

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYZ



LITERACKI

1988



ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1988

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 437

ISBN 2-7168-0104-5

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Michał HELLER

## KAMIENIE MIŁOWE 70-LETNIEJ HISTORII ZWIĄZKU SOWIECKIEGO

### OD AUTORA

*Wśród licznych pamiętnych dat, wydarzeń i faktów, które zostały przypomniane obywatelom sowieckim w roku 70-lecia władzy sowieckiej, bezsporne są tylko dwie: 25 października (7 listopada) 1917 i 11 marca 1985 roku, czyli dzień przewrotu październikowego i dzień wyboru M. S. Gorbaczowa na stanowisko generalnego sekretarza KPZS.*

*W jubileuszowym roku 1987 sowieccy historycy opisują dzieje ZSSR jako niepowstrzymany marsz do socjalizmu, podzielony na pięć etapów: okres leninowski (marsz przebiegał prawidłowo); okresy kultu jednostki, woluntaryzmu i marazmu (na te trzy okresy łącznej długości ok. 60-ciu lat przypadają błędy, wypaczenia i odstępstwa od leninowskiej linii) oraz okres pierestrojki, kiedy kraj (jak za Lenina) wrócił na prostą drogę socjalizmu.*

*Schemat ten budzi zrozumiałe wątpliwości wielu sowieckich obywateli (w tym i niektórych historyków), w związku z czym w roku jubileuszu zaczęły rozlegać się głosy, wzywające historyków do „pisania prawdy”.*

*Dziwne to żądanie. Co znaczy „prawda o historii”? W latach 20-tych Wiktor Szktowski pisał: „Nie istnieje prawda o kwiatach, istnieje botanika”. Parafrazując Szktowskiego, można powiedzieć: Nie istnieje „prawda” na temat przeszłości, istnieje nauka zwana*

historią. Apelującym o „pisanie prawdy” sowieckim historykom chodzi o to, by zaprzestać świadomego, bezczelnego kłamstwa, które przez długie dziesięciolecia było podstawą ich pracy. Bo nie istnieje wprawdzie prawda o przeszłości, ale niewątpliwie istnieją oczywiste kłamstwa na jej temat. Polegają one na bezwstydnym przeinaczaniu faktów, na fałszowaniu zdarzeń, na wykreślaniu z dziejów postaci i zdarzeń historycznych.

Rozważania o potrzebie „prawdy w historii” są tym bardziej zadziwiające, że periodycznie powracają na przestrzeni minionego 70-lecia. Czwierć wieku temu (1962) sowieccy badacze przeszłości kajali się na wszechzwiązkowej konferencji historyków, że ze strachu przed Stalinem łgali, łgali, łgali. Zaklinali się, że od dziś będą pisać prawdę i tylko prawdę. Dwadzieścia pięć lat później jeden z największych specjalistów od historii ZSSR znów odkrył, że w większości sowieckich podręczników historii „nie znajdziesz nawet nazwisk wszystkich przewodniczących Rady Komisarzy Ludowych i Rady Ministrów ZSSR, choć na przestrzeni minionych 70-ciu lat było ich tylko dziesięciu”.

To oczywiście tylko jeden z przykładów. W sowieckich podręcznikach historii nie uswiadcysz prawdziwych informacji nawet o zdarzeniu, które nie powinno budzić we władzy żadnych wątpliwości, mianowicie o przewrocie październikowym. Zafałszowana jest historia kolektywizacji, „wielkiego przelomu”, który był jedną z najstraszniejszych akcji ludobójstwa XX wieku. Liczba ofiar kolektywizacji nigdy nie została ogłoszona. Nie ogłoszono też prawdziwej liczby ofiar wojny z Niemcami: okrągła liczba „20 milionów ofiar” ma charakter magiczny i nie podlega weryfikacji. Historycy sowieccy po dziś dzień milczą na temat tajnych umów, podpisanych w 1939 roku z hitlerowskimi Niemcami, ukrywając tym samym najważniejszą okoliczność, związaną z wybuchem drugiej wojny światowej.

Kłopotliwe położenie sowieckich historyków, domagających się pisania „od dziś” prawdy, choć doskonale wiedzą, że nie jest to możliwe, wynika z faktu, że nie sposób wyłuskać z potoku dziejów potrzebnej części prawdy i na tym poprzestać. Jeśli przyznają, że proces tzw. petersburskiej organizacji bojowej (1921 rok), w którym padło wiele wyroków śmierci (w tym na zrehabilitowanego w międzyczasie Gumilowa), był sfingowany, to wypadnie im przyznać, że tzw. proces szachtyński (1928 rok), proces Prompartii w 1930, „wielkie procesy” drugiej połowy lat 30-tych i niezliczone sądy kapturowe również były sfingowane. W związku z tym trzeba będzie ocenić działalność „organów”. Prawdziwe dane o sprowokowanej wojnie z Finlandią w 1940

roku zmusiłyby ich do poważnej analizy sowieckiej polityki zagranicznej, a w każdym razie nie pozwoliłyby im twierdzić z całkowitą pogardą dla prawdy, że w 1940 roku zaszły w republikach nadbałtyckich rewolucje, które kazały im przystąpić do „niewzruszonego związku” republik sowieckich.

W krótkiej i bardzo zwartej broszurce na temat politycznej historii ZSSR niepodobna wyliczyć nawet głównych faktów, pomijanych, spaczonych i zafałszowanych przez sowieckich historyków. Brak miejsca nawet na wymienienie nazwisk najważniejszych działaczy minionego siedemdziesięciolecia. Zwężony przegląd proponuje tylko zarys alternatywnej historii. Borys Pasternak napisał: rzecz nie w tym, cośmy nosili na grzbiecie; rzecz w tym, że nas pędzili nago. To, cośmy nosili na grzbiecie także należy do historii. Sowieccy dziejopisarze czasami o tym wspominają, milczą natomiast o tym, że nas pędzili nago. Sowiecka interpretacja dziejów ZSSR sprowadza się do trzech elementów: narodziny, lata wzrostu, stworzenie potężnego państwa, zwanego „pierwszym państwem socjalistycznym”. Cała reszta uważana jest za koszty budownictwa silnego państwa.

Istnieje i inna historia: dzieje partii, która przywłaszczyła sobie władzę nad krajem i buduje państwo totalitarne. W 1921 roku Stalin uważał partię za swojego rodzaju zakon kawalerów mieczowych, kierujący i inspirowający działalność organów państwowych. Na publikację tekstu, w którym porównał partię do zakonu krzyżaków, Stalin zgodził się po raz pierwszy w 1946 roku (tom V, str. 71); widać uważał, że formuła wciąż jest aktualna. Odnajdziemy ją w obecnej konstytucji ZSSR, choć oczywiście art. 6, poświęcony miejscu i roli partii w ZSSR, nie wspomina o kawalerach mieczowych.

Michał HELLER

## I. EPOKA LENINA

Historycy sowieccy po dziś dzień spierają się o periodyzację po-październikowej historii Rosji. W niniejszym tekście przyjąłem podział najpotoczniejszy i najbardziej oczywisty: podzieliłem minione siedemdziesięciolecie na okresy rządów kolejnych przywódców partii. Mimo różnic między — powiedzmy — latami 30-tymi i 40-tymi lub między 30-tymi a 80-tymi, system władzy się nie zmienił. Nie zmieniły się metody rozwiązywania pojawiających się problemów ani instrumenty władzy. Podstawowy

arsenał jednych i drugich powstał za Lenina, z jego inicjatywy i pod jego bezpośrednim kierownictwem. Lenin też opracował dwie główne sowieckie polityki, „stara” i „nową”.

Na „epokę Lenina” — okres od przejścia władzy do śmierci wodza — składają się trzy główne fazy: przewrót październikowy, wojna domowa i pierwsze lata pokoju.

W pierwszych latach po Październiku, kiedy bolszewicy nie wstydzili się jeszcze prawdy o sobie, wydarzenia Piotrogradzkiej nocy z 25 na 26 października (starego kalendarza) nazywano przewrotem. Słowa „rewolucja” używano znacznie rzadziej, bo też prawdą było, że w porównaniu z wydarzeniami z lutego tego samego 1917 roku wydarzenia październikowe były przewrotem, który należałoby raczej nazywać kontrrewolucją. Bolszewicy zagarnęli władzę w Rosji po obaleniu demokratycznej republiki, ustanowionej po obaleniu caratu w lutym 1917 roku.

Rewolucja w Rosji była dzieckiem pierwszej wojny światowej. Przez nikogo nie chciana wojna, która po czterdziestu latach pokoju w Europie wydawała się niemożliwa, ale okazała się nieunikniona wskutek polityki mocarstw europejskich, zmieniła oblicze XX wieku. Po niesłychanej wojnie, w której padły miliony obywateli najbardziej oświeconych państw świata, wszystko już było możliwe. Dalsze dzieje dowiodły, że straszne możliwości naszego wieku zostały w pełni zrealizowane. Jednym z głównych następstw wojny była rewolucja w Rosji, przewrót październikowy i stworzenie państwa nowego typu.

W przededniu pierwszej wojny światowej Rosja przeżywała okres burzliwego rozwoju ekonomicznego, lata reform systemu państwowego: pierwszych piętnaście lat nowego stulecia uchodzi za „srebrny wiek” kultury rosyjskiej. Francuski ekonomista Edmond Théry, który odwiedził Rosję w maju 1913 roku, doszedł do wniosku, że jeśli kraje europejskie będą się rozwijać między 1912 a 1950 rokiem tak samo, jak rozwijały się od 1900 do 1912 roku, to „w połowie niniejszego stulecia Rosja będzie w dziedzinie politycznej, ekonomicznej i finansowej dominującym państwem w Europie”. Edmond Théry brał pod uwagę trzy czynniki ładu ekonomicznego, które jego zdaniem decydują o wroście potęgi państwa: 1) wzrost ludności; 2) wzrost produkcji przemysłowej i rolniej; 3) nakłady na oświatę i obronę narodową. Pierwszy czynnik wyraża się następującymi liczbami: 1900 rok — 135.600 tys. mieszkańców, 1912 rok — 171.100 tys. Zakładając, że ludność kraju będzie rosła w tym samym tempie, francuski ekonomista szacował, że w 1948 roku Rosja będzie liczyła 343.900 tys. mieszkańców. Także drugi czynnik nie po-



zostawał w tyle: przemysł rozwijał się w szybkim tempie, rosła sieć kolejowa, rolnictwo notowało zdecydowane postępy. Cytując liczby wzrostu produkcji zboża w latach 1908-1912, Théry stwierdza: „Żaden naród w Europie nie może się pochwalić takimi wynikami”.

W związku z trzecim czynnikiem Théry stwierdza, że Rosja była przez długie lata bardzo zacofana pod względem oświaty, ale zrobiła znaczne postępy w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku. Kwoty wyasygnowane na oświatę wzrosły w latach 1908-1912 w porównaniu z okresem 1898-1902 o 152,2 %, czyli stosunkowo znacznie bardziej aniżeli budżet wojenny. W 1908 roku przyjęto ustawę o obowiązkowym nauczaniu podstawowym; jej wprowadzenie w życie przerwała rewolucja. Władza sowiecka zrealizowała ją dopiero w roku 1930. W roku 1915 — 51 % wszystkich dzieci w wieku od 8 do 11 lat otrzymało podstawowe wykształcenie, 68 % rekrutów powołanych do służby wojskowej umiało czytać i pisać.

Struktura państwa Rosji zmieniała się znacznie wolniej niż jej struktury ekonomiczne, społeczne i kulturalne. Ciasny gorset polityczny hamował rozwój kraju. Rewolucja 1905 roku i wynik pechowej wojny z Japonią zmusiły cara do zgody na reformy społeczne. Rosja stała się praktycznie monarchią konstytucyjną ze zgrupowaniem przedstawicielskim — Dumą Państwową — i zagwarantowaną wolnością druku, zgromadzeń i zrzeseń. W porównaniu do zachodnich państw demokratycznych prawa te były ograniczone, podobnie jak prerogatywy Dumy, ale mimo to były wielkim krokiem naprzód w stosunku do okresu przedrewolucyjnego. W Dumie zasiadali przedstawiciele najróżniejszych orientacji politycznych, od zwolenników nieograniczonego samowładztwa po bolszewików, ale wybory do rosyjskiego parlamentu były wielostopniowe i kurialne.

Najważniejszą reformą były ustawa, przygotowana i przeprowadzona w 1906 roku przez przewodniczącego Rady Ministrów, Piotra Stołypina, pozwalająca chłopom (każdej głowie rodziny) na występowanie ze wspólnoty gminnej (*obszcziny*) i przejęcie na własność przypadającej na nich działki ziemi gminnej. Pod koniec 1912 roku reforma rolna objęła terytorium 22 milionów hektarów, na którym powstało ponad milion oddzielnych gospodarstw chłopskich. Edmond Théry uważał, że potrzeba będzie jeszcze dwudziestu lat, aby 130 mln hektarów ziemi, oddanej chłopom *obszczinom* w 1861 roku, przeszło w prywatne ręce. Francuski ekonomista uważał w 1913 roku, że „nie ma już żadnych wątpliwości, że reforma jest stuprocentowym sukcesem”. Jej znaczenie lakonicznie podsumował Trocki. Gdyby reformę

przeprowadzono, pisał, rosyjski proletariat nie doszedłby w 1917 roku do władzy.

Od 1906 toczył się wyścig między reformą a rewolucją. Najbardziej charakterystycznym rysem roku 1905 i 1917 był paradoks: Rosja przeżywała moment burzliwego rozwoju ekonomicznego, rozkwit kultury, ewolucję polityczną, jakiej nie zaznała w historii, a równocześnie wszystkie warstwy ludności były niezadowolone z władzy. Chłopi marzyli o ziemi, wierząc niezłomnie, że rozdział majątków obszarniczych pozwoli rozwiązać wszystkie problemy. Robotnicy, których położenie systematycznie się poprawiało — uzyskali (z pewnymi ograniczeniami) prawo do strajków ekonomicznych i ubezpieczenia od choroby — domagali się skrócenia dnia roboczego i podwyższenia stopy życiowej. Młoda burżuazja żądała szerszych praw politycznych i udziału w aparacie rządowym. Inteligencja marzyła o rewolucji, która przyniesie wolność. Wszystkie nie-rosyjskie narody były w opozycji do władzy. Szczególnie ostro wyrażali niezadowolenie Polacy, Finowie i Żydzi.

W Rosji w przededniu wojny potwierdziło się spostrzeżenie Tocqueville'a odnośnie Rewolucji Francuskiej: dla złych rządów najgroźniejszy jest moment, kiedy przystępują do reform. Naród, który bez szemrania znosił najsurowsze prawa — pisał Tocqueville — bardzo często obala je w chwili, kiedy zaczynają łagodnieć. Powszechne niezadowolenie w Rosji nasiliło się bardzo w czasie wojny. Wojna wprawiła w skrajne napięcie wszystkie siły kraju i poddała Rosję egzaminowi, któremu jej polityczna struktura nie sprostała. Przekonany monarchista Wasilij Szulgin, członek Dumy i jeden z najzdolniejszych kronikarzy rewolucji, pisał: „Nie może przecież, na Boga, kompletnie zramolały Goremykin być głową rządu w czasie wojny światowej...”. Kiedy Mikołaj II na miejsce Goremykina mianował Stürmera, Szulgin pisał: „Rzecz w tym, że Stürmer jest miernotą, a Rosja prowadzi wojnę światową. Rzecz w tym, że wszystkie mocarstwa zmobilizowały swe najlepsze siły, a u nas premierem jest 'kościany dziadek'...”.

Kłęski na froncie, niezliczone ofiary, zmęczenie na tyłach, wzrost cen, mit Rasputina, który rzucił czar na carską rodzinę, zrodziły potrzebę przemian. Zmian chcą wszyscy, ale nikt nie wie, co robić. Grupa posłów do Dumy pod przewodnictwem monarchisty A. Guczkowa, przywódcy umiarkowanych liberałów, planuje spisak, którego celem ma być obalenie Mikołaja II dla uratowania dynastii. Projekt nie wychodzi poza wstępne rozmowy. Przywódcy partii rewolucyjnych uważają, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do przewrotu. Na początku stycznia 1917 jeden z wodzów mienszewików, N. Czcheidze, kategorycznie oświadcza:

„W danej chwili nie ma najmniejszych nadziei na zwycięską rewolucję”. Kierownik rosyjskiego biura bolszewików, A. Szlapnikow, stwierdza w tym samym momencie: „Wszystkie polityczne ugrupowania i organizacje podziemia były przeciwne powstaniu w najbliższych miesiącach 1917 roku”. Lenin w Zurychu widział przyszłość w ciemnych kolorach. W styczniu 1918 roku wyznał Szwajcarom: „My, stare pokolenie, nie doczekamy przyszłej rewolucji”.

Trudności z dostawą czarnego chleba do Piotrogradu, ku zaskoczeniu wszystkich, spowodowały rozruchy. Wkrótce na stronę rebeliantów zaczynają przechodzić żołnierze. Około południa 27 lutego do demonstrantów przyłączyło się ok. 25 tysięcy żołnierzy, czyli nieco ponad 5 % skoncentrowanych w Piotrogradzie i okolicach wojsk i policji. Dość, jak się okazało, by rozruchy przekształciły się w rewolucję.

Żywiołowy, przez nikogo nie kierowany ruch rewolucyjny w stolicy narastał nie dlatego, że był silny (zawodowym rewolucjonistom wydawał się słaby i skazany na przegraną), a dlatego, że słaby był jego przeciwnik, ustrój carski. „Rzecz w tym — pisze Szulgin — że w całym tym ogromnym mieście nie sposób było znaleźć kilkuset przychylnych władzy osób”.

27 lutego Duma utworzyła na żądanie 30 tysięcy żołnierzy Tymczasowy Komitet „dla przywrócenia porządku rządowego i publicznego”. Kilka godzin wcześniej powstała Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich.

W chwili, kiedy w Piotrogradzie powstały równocześnie dwie władze, imperator, jadący do stolicy z kwatery w Mohylewie, został zatrzymany przez zbuntowanych żołnierzy na stacji Dno. Kiedy szef Kwatery Głównej, generał Aleksiejew, poparty przez dowódców wszystkich pięciu frontów, oświadczył, że tylko abdykacja cara pozwoli kontynuować wojnę z Niemcami, Mikołaj II zrzekł się tronu. Akt abdykacji przekazał przybyłym do Dna monarchistom Guczkowowi i Szulginowi. W ten sposób, za wspólną sankcją rewolucjonistów, liberałów i monarchistów, upadła monarchia. Rosja stała się demokratyczną republiką.

Obalenie samodzierżawia w lutym 1917 roku pogorszyło sytuację w kraju: gospodarka zaczyna się rozpadać, szwankuje dowóz żywności do miast, wartość pieniądza spada z dnia na dzień, wojna trwa. Jedyną realną zdobyczą rewolucji jest całkowita wolność słowa. Stała się ona potężną bronią w rękach bolszewików, przede wszystkim — Lenina.

3 kwietnia wódz bolszewików przejechał w tzw. zaplombowanym wagonie przez całe Niemcy do Piotrogradu. Nie licząc

kilku tygodni w 1905 roku, Lenin nie był w Rosji od 1900 roku. W drodze z Finlandii do Piotrogradu spotkał w pociągu robotnika, który opowiedział mu, co się dzieje, ale i bez spotkania z robotnikiem rozumiał, że w najwolniejszym kraju świata, jakim stała się Rosja, władza była słaba i niezdecydowana.

„Tezy kwietniowe” Lenina, które na jego towarzyszach zrobiły jeszcze większe wrażenie niż na jego przeciwnikach, były nieskrywanym apelem o przejęcie władzy. Lenin wypowiedział wojnę Rządowi Tymczasowemu. Niczym nieskrępowanemu, złąk-nionemu władzy, dysponującemu partią liczącą w kwietniu 1917 roku 77 tysięcy członków wodzowi bolszewików przeciwstawia się obezwładniony Rząd Tymczasowy. Ma związane ręce: po pierwsze stanowi w najlepszym przypadku połowę władzy (druga połowa to Rada Robotnicza i Żołnierska); po drugie nie ma żadnego aparatu wykonawczego: stary został zmieciony, a stworzenie nowego hamuje od góry do dołu powstała dwuwładza. Wreszcie Rząd Tymczasowy krępują normy i uczucia, które wkrótce zyskają miano przeżytków kapitalizmu. Rząd nadal prowadzi wojnę, uważając, że wiąże go umowy z sojusznikami i dane słowo; odmawia też przeprowadzenia reformy rolnej na wniosek Zgromadzenia Ustawodawczego, którego zwołanie było dopiero planowane.

3 lipca żołnierze pietrogradzkiego garnizonu, bojąc się, że ich pošlą na front, organizują zbrojną manifestację pod hasłem obalenia Rządu Tymczasowego. 4 lipca przylącza się do nich 10 tysięcy marynarzy z Kronsztadu. Manifestacja kończy się porażką — Lenin uznaje ją z czasem za próbę generalną przewrotu.

Klęskę lipcowej próby sił tłumaczy przede wszystkim fakt, że Rada Piotrogradzka nie poparła bolszewickiej manifestacji. Do przeciwstawienia się bolszewikom skłoniły wojsko m.in. dokumenty, świadczące o tym, że Lenin i bolszewicy są „agentami niemieckimi” i biorą pieniądze od kajzerowskich Niemiec.

Kwestia „niemieckich pieniędzy” po dziś dzień interesuje nie tylko historyków. Pojęcie „agent obcego mocarstwa” oznacza człowieka, który spełnia cudzą wolę. Nie ulega kwestii, że Lenin miał własną wolę i własne cele, tyle że w 1917 roku były one zbieżne z celami Niemiec. Zwyciężeni zawsze zarzucali wodzom wszystkich rewolucji, że brali pieniądze od obcych mocarstw. Na ogół było to prawdą. Dokumenty, znalezione w niemieckich archiwach w 1945 roku potwierdzają w pełni pogłoski z 1917 roku: Niemcy nie tylko pomogli Leninowi przedostać się do Rosji, ale i dali bolszewikom pieniądze. Jak inaczej partia Lenina mogłaby wydawać w kwietniu 1917 roku siedemnaście gazet codziennych o łącznym nakładzie 320 tys. egzemplarzy dziennie?

Problem „niemieckich pieniędzy bolszewików” jest problemem moralnym i politycznym. Na temat etyki Lenina świadek rewolucji i utalentowany pisarz Mark Ałdanow napisał: „Lenin nie był zażenowany ani sprawą Taratuty<sup>1</sup>, ani fałszywymi asygnatami, ani mokrą robotą w Tyflisie<sup>2</sup> — dlaczegóż więc miałby się wstydzić niemieckich pieniędzy, umiejętnie wykorzystywanych w interesie partii bolszewickiej?”.

„Umiejętne” wykorzystanie niemieckich pieniędzy — oto polityczny aspekt problemu. Pieniądze od kajzerowskiego rządu były konieczne, ale nie wystarczające dla zwycięstwa propagandy bolszewickiej. Pozwalały rozwinąć agitację na szeroką skalę, ale rząd miał nie mniejsze środki. Chodziło więc o to, aby je umiejętnie spożytkować, znaleźć hasła, które porwałyby masy. Hasła proste i jasne: pokój, ziemia, grab zagrabione.

Obawiając się aresztowania, Lenin uciekł w lipcu z Piotrogradu. Wrócił do stolicy jesienią, aby organizować przejście władzy. Piszę „jesienią”, bo sowieccy historycy po dziś dzień nie zdecydowali się, którego dnia. Mowa jest o rozmaitych datach od 22 września do 7 października. Wszyscy są zgodni co do faktu, że uczestniczył w zebraniu KC 10 października, na którym uchwalono przewrót i obalenie Rządu Tymczasowego. Wiadomo, że towarzysze Lenina kazali się bardzo prosić. Wódz partii musiał grozić, że ustąpi z KC i „zaapeluje do dołów”. Tylko dwaj członkowie KC, najbliżsi towarzysze Lenina Zinowiew i Kamieniew, głosowali przeciw przewrotowi.

Wśród licznych mitów, kłamstw i półprawd, jakimi obrosła najważniejsza data sowieckiej historii, szczególnie uporczywy żywot ma legenda o „zdradzie” Zinowiewa i Kamieniewa, którzy 18 października opublikowali w gazecie Gorkiego *Nowaja żyzn* list, zdradzający dzień i godzinę powstania. List ten, zgodnie z duchem sowieckiej historii, nie ukazał się nigdy nigdzie poza wspomnianą gazetą, choć nie ma książki ani artykułu na temat Października, w których by o nim nie wspomniano. List nie zdradzał żadnej tajemnicy (cały Piotrogród wiedział o planowanym wystąpieniu bolszewików), natomiast wyrażał sprzeciw autorów wobec leninowskiej koncepcji przejścia władzy przez samych bol-

---

1. W. Taratuta — bolszewik, który na polecenie partii poślubił szpetną siostrę bogatego przemysłowca N. Schmidta, również członka partii. Schmidt jej właśnie i drugiej siostrze zapisał cały majątek (zmarł w 1905 roku). Fortuna trafiła do kasy bolszewików.

2. „Mokra robota w Tyflisie” — napad na kasjera banku państwowego, zorganizowany przez Stalina i przeprowadzony przez Kamo — przyniosła kasie bolszewickiej 250 tys. rubli. Pieniądze jednak były w dużych banknotach i bolszewicy z trudem mogli je realizować za granicą.

szewików. Zinowiew, Kamieniew i szereg innych członków KC uważało, że należy utworzyć rząd, reprezentujący wszystkie rosyjskie partie socjalistyczne, wchodzące w skład Rady. Lenin upierał się przy puczu bolszewickim i władzę dzielić się nie chciał.

Sowieccy historycy po dziś dzień spierają się także o datę wybuchu rewolucji. Jedni mówią o ranku 24 października, inni o wieczorze tego samego dnia, jeszcze inni o 22 października. Spory wynikają z tego, że historycy chcą przedstawić pucz bolszewicki jako rewolucję, jako bohaterską walkę z rozpaczliwie broniącym się przeciwnikiem. W rzeczywistości władza przeszła w ręce bolszewików 21 października, kiedy Komitet Wojskowo-Rewolucyjny (WRK) Rady Piotrogradzkiej wydał jednostkom wojskowym rozkaz podporządkowywania się wyłącznie jemu i rozesłał komisarzy dla sprawdzenia, czy rozkaz jest wykonywany. Przewodniczącym Rady i WRK był Trocki, a w skład WRK wchodzili sami bolszewicy i kilku popierających ich lewych eserów.

Przewrót już nastąpił, ale nikt tego nie widział. Potrzebna była formalność: zdobycie Pałacu Zimowego i rozpędzenie Rządu Tymczasowego, który i tak nie miał już żadnej władzy.

Zachowanie Lenina podczas tych decydujących dni należy do nierozstrzygniętych zagadek Października. Począwszy od 20 października Iljicz zniknął: nie widać go i nie słyhać. Przez cały dzień 24 października ukrywa się. Zagadkę pogłębia dodatkowo postępowanie bezpośrednich przywódców puczu: wódz partii nie zostaje wezwany do Smolnego. 6 listopada 1918 Stalin opisywał w jubileuszowym artykule: „Wieczorem 24 października Lenin został wezwany do Smolnego, by kierować ruchem”. Sprecyzujmy: nie doczekawszy się wezwania, wódz rewolucji sam tramwajem pojechał z dzielnicy Wyborskiej do Smolnego.

Trocki wspomina, że przybyły do sztabu powstańców Lenin „był zachwycony, co wyrażało się w okrzykach, śmiechu, zaciepaniu rąk, potem zrobił się milczący, zastanowił się i powiedział: 'Cóż, można i tak, byle by tylko wziąć władzę' ”.

„Ostatni bój” stoczyło 5-6 tysięcy bolszewików z 1,5-2 tysiącami zwolenników Rządu Tymczasowego. Ogromny piotrogradzki garnizon ogłosił neutralność. Powstańcy przemykali się pojedynczo lub po dwoje przez niepilnowane „wejście kuchenne” do Smolnego. „Aurora” ślepą salwą dała twierdzy pietropawłowskiej sygnał do rozpoczęcia ostrzału artyleryjskiego: wystrzelwszy w Pałac blisko 30 pocisków, artylerzyści zdołali weń trafić zaledwie dwa czy trzy razy. Obrońcy Pałacu Zimowego na początku brali przemykających do Pałacu czerwonogwardzistów do niewoli; kiedy jeńców zebrała się pokaźna gromada, ci z kolei

wzięli do niewoli i rozbili junkrów. Antonow-Owsienko aresztował Rząd Tymczasowy. Rewolucja zwyciężyła.

Zjazd Rad uchwalił dekrety o pokoju i o ziemi, zatwierdził Tymczasowy Rząd Robotniczo-Chłopski — Radę Komisarzy Ludowych — składający się z bolszewików i kilku lewych eserów. „Rewolucja — pisał Lenin o Październiku — w pewnych przypadkach równa się cudowi... Stał się cud”. W dniu 24 stycznia 1918 roku Lenin wciąż był pod wrażeniem cudu i oznajmił na Zjeździe Rad, że władza sowiecka trwa już pięć dni dłużej niż Komuna Paryska.

Dwukrotnie w ciągu 1917 roku władza w Rosji, porażona niemocą, upadła od lekkiego prztyczka. Różnica między tymi dwoma przypadkami polegała na tym, że w lutym carski despotyzm został zmieciony przez żywiołowe niezadowolenie ludności Piotrogradu i żołnierzy, a w Październiku lewicowy Rząd Tymczasowy został obalony przez partię, na której czele stał człowiek wiedzący, czego chce i głęboko przekonany, że zgłębił prawa historii, ponieważ przyswoił sobie nauki Marksa-Engelsa. W odróżnieniu od człowieka wierzącego, który wie, że wierzy, Lenin, człowiek ideologii, wierzył, że wie.

Zdobywszy władzę, Lenin przystąpił do realizacji utopijnego programu, opracowanego w przedpaździernikowych dniach w Razliwie, znanego pod tytułem „Państwo a rewolucja”. Cel przewrotu październikowego był dlań jasny: rewolucja w Rosji miała być iskrą, która roznieci płomień rewolucji światowej i otworzy robotnikom całej planety wrota raju na ziemi — komunizmu. Najpopularniejszym hasłem pierwszych lat po Październiku było „skok z królestwa konieczności do królestwa wolności”. Po klęsce pierwszego „wielkiego skoku” okres ten zaczęto nazywać komunizmem wojennym.

Lenin natychmiast po zdobyciu władzy zrozumiał, że dla budowy komunizmu potrzebna jest nieograniczona władza w rękach partii i jej wodza. Pierwszy rok władzy sowieckiej otwierają dwie daty: 5 stycznia 1918 — otwarcie Zgromadzenia Ustawodawczego i 6 stycznia 1918 — rozpędzenie Zgromadzenia Ustawodawczego. Jednodniowy żywot pierwszego w dziejach Rosji ciała przedstawicielskiego narodu zawiera w sobie jak w ziarnie wszystkie elementy rodzącego się ustroju sowieckiego.

Pomysł Zgromadzenia Ustawodawczego — organu, wyrażającego wolę całego narodu — narodził się w czasach Rewolucji Francuskiej. Zebrani w Paryżu posłowie narodu obalili monarchię i opracowali konstytucję, która zatwierdziła republikę. Połączony od drugiej połowy XIX wieku Zgromadzenie Ustawo-

dawcze stało się hasłem przeciwników rosyjskiego samodziemia.

Rząd Tymczasowy uchwalił zwołanie wszechrosyjskiej Konstytuanty w marcu 1917 roku. Po przyjeździe w kwietniu do Piotrogradu Lenin wyraził swoje bezwarunkowe poparcie dla organu, ucieleśniającego wolę narodu: „Przypisuje mi się pogląd — skarżył się 4 kwietnia — jakobym był przeciwny jak najszybszemu zwołaniu Zgromadzenia Ustawodawczego!!! Nazwałbym te brednie majaczeniem, gdyby dziesięciolecia walki politycznej nie nauczyły mnie uważać rzetelności oponentów za rzecz wyjątkową”.

Rząd Tymczasowy wyznaczył wybory do Zgromadzenia Ustawodawczego na 12 listopada (starego kalendarza), a 25 października bolszewicy przejęli władzę. Rada Komisarzy Ludowych wydała dekret o przeprowadzeniu wyborów w ustalonym dniu. Do 9 grudnia trwały w całym kraju wybory, w których uczestniczyli także żołnierze. Około 36 milionów obywateli Republiki Rosyjskiej tajnie wybrało swoich przedstawicieli. Mimo, że w dużych miastach wybory odbywały się już pod nadzorem bolszewickich Rad, rezultaty okazały się dla nowej władzy katastrofalne. Na partię Lenina głosowało nie więcej niż 9 milionów ludzi, ok. 25 % wyborców. Partie socjalistyczne (bez bolszewików) zebrały 59,6 % głosów. „Okazało się — oznajmił KC komisarz komisji wyborczej Urickij — że będziemy w mniejszości nawet razem z lewymi eserami”.

Dziesięć dni przed zwołaniem Konstytuanty Lenin pisał, że „jedyną szansą na bezbolesne rozwiązanie kryzysu (miał na myśli fakt, że bolszewicy nie zdobyli większości — M.H.) jest oświadczenie Zgromadzenia Ustawodawczego, że bezwarunkowo uznaje władzę sowiecką, rewolucję sowiecką, jej politykę...”. Innymi słowy — komentuje w swych wspomnieniach przewodniczący Zgromadzenia Ustawodawczego, wódz eserów Wiktor Czernow — „wszystkie problemy, których rozwiązaniem miało się zająć Zgromadzenie Ustawodawcze, zostały rozwiązane przed jego zwołaniem i bez jego zwołania”.

Zgromadzenie Ustawodawcze otwarło obrady 5 stycznia. O świcie 6 stycznia „wygolony marynarz” (jak wspomina Czernow) oznajmił zebranym, że Zgromadzenie Ustawodawcze zostaje zamknięte „decyzją ludowego komisarza”. Tym bardziej, dodał marynarz, że „warta jest zmęczona”. Wola ludowych komisarzy, wola „warty”, staje się najwyższym prawem w państwie.

Kiedy Lenin pisał „Państwo a rewolucję”, wszystko wydawało się proste: wystarczy obalić cara, przejąć władzę, a każda kucharka będzie mogła rządzić państwem. Natychmiast po przewrocie okazało się, że do rządzenia państwem nie wystarczy być



kucharką. W artykule „Najbliższe zadania władzy sowieckiej” (1918) Lenin wciąż jeszcze dawał proste odpowiedzi na pytania o przyszłość. Dla budowy komunizmu wystarczą kontrola i ewidencja dwóch prostych operacji, konfiskat i podziału.

Przyznając się w 1921 roku do błędu, Lenin pisał:

„Na początku 1918 roku (...) postanowiliśmy przejść bezpośrednio do komunistycznego sposobu produkcji i podziału. Postanowiliśmy, że chłopci z tytułu kontyngentów dostarczą nam potrzebną ilość zboża, my zaś rozdzielimy je między zakłady przemysłowe i fabryki — i wtedy będziemy mieli komunistyczny sposób produkcji i podziału”. Magiczny klucz otwierał drzwi do raju: „postanowiliśmy”, „chłopci dostarczą”, „kontyngenty” i już jesteśmy w komunizmie!

Chłopci jednak nie chcieli dawać zboża. W maju i czerwcu 1918 roku Rada Komisarzy Ludowych uchwaliła dekret o „monopolu zbożowym” — obowiązku oddawania państwu „wszystkich nadwyżek” po ustalonych cenach. „Ściąganie kontyngentów zbożowych powinno leć u podstaw naszej działalności. (...) Ściąganie kontyngentów musi być realizowane w pełni. Dopiero kiedy wykonamy to zadanie i będziemy mieli socjalistyczny fundament, będziemy mogli budować na tym socjalistycznym fundamencie (...) wspinały gmach socjalizmu...” — pisze Lenin.

Zaczęła się wojna z chłopstwem. Dla rekwizycji zboża — bo do tego sprowadzało się ściąganie „nadwyżek” — otwarto „front chleba”. Armia aprowizacyjna — *prodtriady* — liczyła nie mniej niż 50 tys. ludzi. Lenin określił ją jako „pierwszy i najważniejszy krok rewolucji socjalistycznej na wsi”.

Przewrót październikowy, który teoretycznie miał być rewolucją pracującej większości przeciw mniejszości wyzyskiwaczy, okazał się puczem, w wyniku którego władza znalazła się w rękach partii Lenina. Nie całe kierownictwo partii zgadzało się z wodzem. Dziesięć dni po przewrocie pięciu wybitnych bolszewików ustąpiło z KC, protestując przeciw ignorowaniu „woli przeważającej większości robotników i żołnierzy”. Domagali się rządu socjalistycznego w koalicji z innymi partiami reprezentowanymi w Radach i uprzedzali, że alternatywa — rząd czysto bolszewicki — zdoła utrzymać się przy władzy tylko terrorem politycznym.

Historycy sowieccy, nazywający pierwsze lata po przewrocie październikowym okresem „komunizmu wojennego”, twierdzą, że przyczyną głodu, nędzy i wszystkich bied była kontrrewolucja, że „czerwony terror” był tylko odpowiedzią na „biały terror”. Rewolucja, obalenie ustalonego ładu społecznego, zawsze budzi reakcję byłych klas rządzących. Po rewolucji zawsze następuje kontrrewolucja, starająca się — skutecznie lub nie — przywró-

cić dawne porządki. W pierwszych miesiącach po przewrocie październikowym opór przeciwko nowej władzy był beładny — wyrażał się strajkami, bierną formą okazywania niezadowolenia. Wyjątkowo agresywna polityka władzy sowieckiej, chcącej zbudować komunizm natychmiast — „za jednym zamachem, w bojowym szyku rewolucyjnych sumień i obowiązkowej służby pracy”, jak powiadał bohater powieści Płatonowa „Czewengur” — mnożyła szeregi i aktywizowała wrogów rewolucji.

W polityce zagranicznej Lenin wypowiedział wojnę całemu „kapitalistycznemu światu”. W polityce wewnętrznej wypowiedział wojnę przeważającej większości ludności. Zakaz prywatnego handlu i monopolizacja rozdziału żywności spowodowały głód. Była to świadoma polityka. Zdaniem Lenina, istniały „dwa sposoby walki z głodem: kapitalistyczny i socjalistyczny. Pierwszy polega na tym, że dopuszcza się do wolnego handlu... Naszą drogą — drogą monopolu zbożowego”.

Głód, brak żywności w miastach i drastyczny spadek wartości pieniądza spowodowały kompletny upadek wydajności pracy i ucieczkę robotników na wieś. Partia Lenina odpowiedziała na to całkowitą nacjonalizacją wszystkich przedsiębiorstw i wprowadzeniem powszechnego obowiązku pracy.

Dyktatura proletariatu była wpisana w program partii socjaldemokratycznej od dnia jej narodzin. Po przewrocie październikowym Lenin uznał, że dyktatura jest praktycznie niezbędna, bo tylko ona pozwoli urzeczywistnić projekt budowy komunizmu w Rosji. Aby nie było żadnych wątpliwości, pisał: „Naukowe pojęcie dyktatury to nic innego jak niczym nie ograniczona, nie skrępowana żadnymi prawami, nie związana żadnymi absolutnie normami, opierająca się na sile w najbezpośredniejszym sensie tego słowa władza”.

To było jasne. Wątpliwości zaczynały się przy proletariacie. Klasa robotnicza, w której imieniu bolszewicy przejęli władzę, zaraz po Październiku rozczarowała Lenina, bo nie spełniła jego nadziei. Na XI Zjeździe partii w 1922 roku Lenin powiedział, że ponieważ w republice sowieckiej przemysł został zdezorganizowany, fabryki stanęły, zniknął też proletariatus. Aleksander Szlapanikow, przewodniczący związku zawodowego metalowców, odparł mu na to: „Pozwólcie pogratulować! Jesteście awangardą nieistniejącej klasy...”.

Wątpliwości co do proletariatu Lenin miał zawsze. W 1904 roku, po II Zjeździe SDPRR (Rosyjskiej socjaldemokratycznej partii rewolucyjnej) Trocki pisał. „W leninowskim schemacie partia zajmuje miejsce klasy robotniczej. Organizacja partyjna

zastępuje partię. Komitet centralny zastępuje organizację partyjną, aż wreszcie dyktator zastępuje komitet centralny”. Piętnaście lat później, po zdobyciu władzy, Lenin nie przeczył: „Kiedy zarzuca się nam dyktaturę jednej partii (...), odpowiadamy: 'Tak jest, dyktatura jednej partii! Opieramy się na niej i z gruntu tego zejść nie możemy'”.

Tak powstał nieznany dotąd dziejom system. Wszystko jest zakazane, wszystko znacjonalizowane, wszystko surowo kontrolowane. Pierwsza konstytucja nowego świata — uchwalona w lipcu 1918 roku konstytucja RSFSR — ustanawia prawną nierówność mieszkańców republiki sowieckiej: na szczycie plasuje proletariats, nieco niżej liczne kategorie chłopstwa (proletariat wiejski, biedniaków, ubogich średniaków, średniaków), a pod nimi pozbawionych wszelkich praw kułaków. Kategoria „pozbawionych praw”, tzw. *liszeńców* (jedno z nowych słów, które wzbogacają język rosyjski) obejmuje także kupców, osoby nie żyjące z pracy własnych rąk, duchownych itd. Wybory do Rad są jawne, nierówne i niebezpośrednie. Siedząca w 1918 roku w austriackim więzieniu, ale doskonale znająca Lenina i jego „schemat” Róża Luksemburg napisała wówczas broszurę pt. „Rewolucja rosyjska”. Zaledwie kilka miesięcy po objęciu władzy przez bolszewików Róża Luksemburg stwierdza, że lekarstwo, odkryte przez Lenina i Trockiego, jest gorsze od choroby, którą miało wyleczyć. Dziś, w dobie *pieriestrojki*, za głównego winowajcę kryzysu w ZSSR uchodzi „biurokracja”. Siedemdziesiąt lat temu Róża Luksemburg pisała: „Zdławienie życia politycznego kraju doprowadzi do tego, że życie powoli zamrze i w Radach. Bez powszechnych wyborów, bez całkowitej wolności prasy i zgromadzeń, bez swobodnej walki poglądów życie zamrze we wszelkich instytucjach publicznych, przetrwają w nich tylko pozory życia, a jedynym aktywnym elementem będzie biurokracja”.

W pierwszych tygodniach po przewrocie październikowym stworzono z inicjatywy Lenina WCzK — policję polityczną, „organ bezpośredniej rozprawy”, jak go z uznaniem nazwały gazety sowieckie. WCzK, oręż terroru, organ ucieleśniający dyktaturę partii, szybko zdobywa nieograniczone pełnomocnictwa. We wrześniu 1918 roku zostaje rozesłana do wszystkich gubernialnych CzK dyrektywa przewodniczącego WCzK Dzierżyńskiego: „W swej działalności WCzK jest całkowicie samodzielna, przeprowadzając rewizje, aresztowania, egzekucje, składając później raport do Sownarkomu i WCIK<sup>3</sup>”. Słynna gazeta kijowskich cze-

---

3. Wszeczwiązkowy Centralny Komitet Wykonawczy partii.

kistów *Krasnyj miecz* pisała: „Nam wolno wszystko, bo pierwszy na świecie podnieśliśmy miecz... w imię powszechnej wolności i wyzwolenia spod jarzma”.

3 marca 1918 roku republika sowiecka podpisała w Brześciu Litewskim odrębny traktat pokojowy z Niemcami, „haniebny pokój”, jak wyraził się Lenin. Rosja wycofała się z wojny, oddając Niemcom Nadbałtykę, część Białorusi i całą Ukrainę. W kierownictwie bolszewickim tylko Lenin nieustępliwie, konsekwentnie i zdecydowanie opowiadał się za podpisaniem traktatu pokojowego. Większość członków KC była mu przeciwna: jedni dlatego, że uważali za niemożliwe, by rewolucyjny rząd podpisywał traktaty z imperialistami, drudzy dlatego, że żywili — jak pisał Boncz-Brujewicz — „pseudopatriotyczne i narodowe przesady”. KC przyjął uchwałę o podpisaniu pokoju znikomą mniejszością głosów. Lenin zwyciężył, bo Trocki i jego zwolennicy wstrzymali się od głosowania.

Pokój brzeski przedstawiany jest jako dowód politycznego geniuszu Lenina. Ale koncepcja Lenina okazała się słuszną tylko dlatego, że sojusznicy ZSSR zwyciężyli Niemcy. Rewolucja, która wybuchła w Niemczech wskutek porażki, położyła kres okupacji zajętych w wyniku pokoju brzeskiego terytoriów, przekreśliła „haniebny pokój” i dowiodła racji Lenina. Gdyby Rosja nie wycofała się z wojny, Niemcy zostałyby zwyciężone wcześniej i Rosja znalazłaby się w szeregach zwycięzców. Gdyby ostatnia wielka ofensywa niemiecka we Francji zakończyła się zwycięstwem Niemiec, byłby to wyrok na władzę sowiecką. Ale w historii liczą się tylko fakty.

Pokój z Niemcami nie dał Rosji spodziewanej chwili wytchnienia. Wiosną 1918 roku zaczęła się wojna domowa. Historycy sowieccy chętnie używają w związku z nią poetyckiej metafory „ogniowy pierścień kontrrewolucji”. Metafora ta nie oddaje charakteru wojny. W ogniu stanął cały kraj niemal natychmiast po przewrocie październikowym. Powszechne niezadowolenie z polityki rządu Lenina wzniciło ogniska powstań na południu, na północnym wschodzie i na zachodzie. Ogniska te nie mogły jednak przerodzić się w powszechne powstanie przeciw bolszewikom, bo kontrrewolucja nie miała ani uznanego wodza, ani uznanego przez wszystkich programu.

Główne ośrodki kontrrewolucji znajdowały się na peryferiach. Dało to władzy sowieckiej znaczną przewagę strategiczną. *Nar-komwojenmor*<sup>4</sup> Trocki, organizator Armii Czerwonej, pisał:

---

4. Ludowy Komisarz d/s Wojska i Marynarki Wojennej.

„Przewaga naszej sytuacji polegała na tym, że zajmowaliśmy centralne położenie i działaliśmy od wewnątrz. Skoro tylko wróg wyznaczył kierunek swego uderzenia, mogliśmy przygotowywać kontruderzenie. Mogliśmy koncentrować nasze siły do natarcia w najważniejszych kierunkach i w najodpowiedniejszej chwili”.

Najważniejsze jednak było co innego. Główną przyczyną porażki rosyjskiej kontrrewolucji był fakt, że jej przywódcy nie zrozumieli, że wojna domowa była wojną polityczną. Wyraziło się to przede wszystkim w tym, że rewolucją dowodzili politycy, a kontrrewolucją wojskowi.

Przedmiotem rosyjskiej wojny domowej — jak każdej wojny domowej — był naród. Bolszewicy doszli do władzy, obiecując pokój i ziemię. Pierwszej obietnicy nie spełnili, ale winę za to przypisali kontrrewolucji. Polityka kontyngentów oznaczała konfiskatę wszystkich płodów rolnych, ale ziemia pozostawała własnością chłopów. Życie — zwłaszcza w miastach — stało się po objęciu władzy przez bolszewików znacznie trudniejsze niż przedtem: szerzył się głód, nędza, terror. Jednej obietnicy jednak nowa władza dotrzymała: były klasy rządzące utraciły wszystkie przywileje. *Bywszyje* żyli teraz nie tylko gorzej niż kiedyś, ale gorzej niż proletariusze. Nie zaspokojono potrzeb materialnych robotników, ale zaspokojono ich potrzeby psychiczne. Obietnica „Międzynarodówki” — „Dziś niczym, jutro wszystkim” — ziściła się w postaci „Kto był wszystkim, stał się niczym”. Był to bezsporny, namacalny rezultat przewrotu październikowego.

Stosunek narodu do władzy zależał w tym okresie od stosunku władzy do dwóch naczelných problemów: przyszłości nadanej chłopom ziemi i przyszłości narodów, wchodzących w skład imperium rosyjskiego. W programach Białych o ziemi mówiono mętnie i dwuznacznie, na terenach zajętych przez Białych zdarzały się przypadki zwrotu ziemi obszarnikom. Polityka kontyngentów wydawała się chłopom mniejszym złem aniżeli zwrot ziemi obszarnikom. Ruch Białych stawiał sobie za cel odrodzenie „jednej i niepodzielnej” Rosji. Rosyjski nacjonalizm Białych szedł w parze z niepowstrzymanym narastającym lokalnym nacjonalizmem na okrainach państwa rosyjskiego, właśnie tam, gdzie były główne punkty walki z władzą bolszewicką.

W programie kontrrewolucji lud widział powrót do dawnych porządków. Program rewolucji wydawał się programem nadziei. Większość ludności dawnego rosyjskiego imperium wołała nieznaną „nowe” od skompromitowanego „starego”.

Rewolucja — był to jeden z jej najważniejszych atutów — miała wodza, którego autorytet uznawali wszyscy rewolucjoniści. Przywódcy państwa sowieckiego kłócili się między sobą nie mniej,

niż przywódcy Białych, dowódcy czerwonych armii zwalczali się nawzajem nie mniej, niż biali generałowie. Lenin jako przewodniczący *Sownarkomu*<sup>5</sup>, przewodniczący Rady Pracy i Obrony i wódz partii dysponował nieograniczoną władzą i niekwestionowanym autorytetem, pozwalającym mu występować w roli arbitra i rozstrzygać wszystkie spory. Biali nie mieli wodza o powszechnie uznanym autorytecie, nie mieli przywódcy, który rozumiałby polityczny charakter wojny domowej.

Terror był jednym z decydujących czynników zwycięstwa bolszewików. Wiele relacji opisuje przerażające wyczyny białego terroru. Ale terror na terenach zajętych przez armie białe zawsze był sprawą jednostek, pojedynczych generałów, sadystów i zwyrodnialców. Miał, jeśli można się tak wyrazić, chałupniczy charakter. Czerwony terror miał charakter państwowy. Skierowany był nie przeciw jednostkom, nawet nie przeciw poszczególnym partiom, lecz przeciw całym grupom społecznym, całym klasom, a w pewnych okresach wojny domowej przeciw większości ludności kraju. Planowy, umyślny terror, oddany w ręce WCzK, dotyczył również Armii Czerwonej.

Terror i obietnica raju na ziemi. Skojarzenie utopijnych obietnic i bezlitosnego masowego terroru było mieszanką piorunującą, która umożliwiła bolszewikom zwycięstwo w wojnie domowej. Obecność wodza, umięjącego dozować — w zależności od okoliczności — składniki tej mieszanki, miała znaczenie decydujące.

Umiejętność dozowania okazała się kluczowa w ostatniej fazie wojny domowej, kiedy przekształciła się ona w wojnę chłopską. Historia Rosji zna wielkie chłopskie wojny. Chłopska wojna XX wieku objęła znacznie większe terytorium i więcej uczestników aniżeli powstania Razina i Pugaczowa. Pierwsza fala buntów chłopskich zalała kraj w 1918 roku. W 1919 roku wybuchły powstania w Rosji centralnej, ponieważ *prodtriady* szczególnie okrutnie egzekwowały kontyngenty na Ukrainie i w obwodach kozackich. W miarę jak zmniejszało się niebezpieczeństwo powrotu obszarników, a zwycięstwo bolszewików stawało się oczywiste, narastał antybolszewicki ruch chłopski. W 1921 roku — pisał M. Pokrowski — „centralna część RSFSR otoczona była niemal pierścieniem chłopskich powstań, od Machny nad Dnieprem do Antonowa nad Wołgą”. Zasięg chłopskiej wojny był w rzeczywistości znacznie szerszy, niż przyznawał marksistowski historyk. Armia Czerwona walczyła z chłopami także na Białorusi, w Południowo-Wschodnim Kraju, we Wschodniej i Zachodniej Syberii, w Azji Środkowej. Ruch chłopski nie tylko się roz-

---

##### 5. Rada Komisarzy Ludowych.

szerzał, ale też nabierał charakteru masowego. O zasięgu wojny chłopskiej świadczy pośrednio fakt, że operacjami przeciw chłopom kierowali najwybitniejsi dowódcy Armii Czerwonej: głównodowodzący Kamieniew, dowódcy frontów Tuchaczewski i Frunze, dowódcy armii Budionny, Jakir, Uborewicz, Fiedko i inni.

Pod koniec 1920 roku coraz głośniej zaczynają wyrażać swe niezadowolenie robotnicy. Bunt robotnicze wybuchały w różnych miastach przez cały okres wojny domowej. Pod koniec 1920 roku wybuchają strajki w Moskwie, ale szczególnego rozmachu nabierają one w „kolebce rewolucji”, Piotrogradzie. Jak powściągliwie pisze „Istoria KPSS”: „Na tle głodu robotnicy wyrażali niezadowolenie z polityki gospodarczej władzy sowieckiej”. Znaczy to, że robotnicy byli niezadowoleni z polityki natychmiastowego skoku w komunizm. Domagali się wolnego handlu, ufając, że pozwoli on zlikwidować głód; w ślad za tym wysunęli żądania polityczne: wolność słowa, druku i zgromadzeń, wolnych wyborów do Rad, zwołania Zgromadzenia Ustawodawczego.

Robotnicze zamieszki w Piotrogradzie zrobiły ogromne wrażenie na marynarzach floty bałtyckiej, „ozdobie i chlubie rewolucji rosyjskiej”. Pierwsi powstają marynarze okrętów „Pietropawłowski” i „Sewastopol”, którzy w 1917 roku stanowili główne oparcie bolszewików w marynarce. Dnia 28 lutego załoga „Pietropawłowska” uchwała rezolucję. Domaga się przeprowadzenia w tajnym głosowaniu ponownych wyborów do Rad, wolności słowa i druku dla robotników i chłopów, wolności zgromadzeń, wolnych związków zawodowych i organizacji chłopskich, prawa chłopów do swobodnej uprawy ziemi i posiadania bydła.

W programowym oświadczeniu „O co walczymy” marynarze kronsztadzcy pisali: „Dokonując rewolucji październikowej, klasa robotnicza miała nadzieję zrzucić kajdany... W rezultacie powstało jeszcze większe niewolnictwo... Coraz ostrzej i wyraźniej widać było to, co dziś stało się oczywiste: RKP nie jest obrońcą robotników, za jaką się podaje, interesy ludu pracującego są jej obce, a dorwawszy się do władzy, boi się tylko o jedno — by jej nie utracić”.

Hasło marynarzy — „Komuniści precz z Rad” — nie pozostawiało żadnych wątpliwości: buntownicy kronsztadzcy występowali nie przeciw władzy sowieckiej, a przeciw władzy partii komunistycznej. Właśnie dlatego powstanie kronsztadzkie było tak groźne dla bolszewików. Bunt w Kronsztadzie, oświadczył Lenin na X Zjeździe partii w marcu 1921, stanowi dla władzy bolszewickiej większe zagrożenie aniżeli Denikin, Judenicz i Kołczak razem wzięci.

2 marca Lenin i Trocki podpisali rozkaz, piętnujący ruch kronsztadzki jako „spisek białogwardzistów”. Przeciw zbuntowanym marynarzom wystawiono około 50 tys. żołnierzy pod ogólnym dowództwem Tuchaczewskiego. W nocy z 17 na 18 marca czerwone oddziały wdarły się do Kronsztadu, którego broniło ok. 5 tys. marynarzy. 18 marca na pierwszych stronach wszystkich gazet sowieckich ukazały się artykuły poświęcone 50-leciu Komuny Paryskiej i piętnujące „krwawych katów Thiersa i Gallifeta”. W zdobytym Kronsztadzie zaczęły się egzekucje buntowników. Pozostałych przy życiu marynarzy wysłano do obozów koncentracyjnych w Archangielsku i Chołmogorach.

Powstanie kronsztadzkie było dla Lenina ostatnim dzwonkiem alarmowym. Przedostatniego dnia X Zjazdu partii, otwartego 8 marca, w dniu pierwszego szturm Kronsztadu, Lenin zapowiedział przejście do nowej polityki ekonomicznej. Parafrazując Puszkina, można powiedzieć, że NEP narodził się w huku armat kronsztadzkich. Lenin zrozumiał, że opór chłopów przeciw niezwłocznej budowie komunizmu będzie narastał i że nawet siła wojskowa nie zdoła złamać sprzeciwu przeważającej części ludności kraju, postanowił więc cofnąć się. Jeden z teoretyków bolszewizmu, D. Riazanow, słusznie nazwał NEP „chłopskim Brześciem”. Tak jak w 1918 roku Lenin nalegał na chwilę wytchnienia dla stworzenia armii, zdolnej stawić czoła niemieckiej machinie wojennej, tak w 1921 żąda od partii ustępstw wobec chłopów.

Nowa polityka ekonomiczna była przede wszystkim polityką rolną. Kontyngenty (*prodrazwierstka*) zostały zastąpione podatkiem żywnościowym (*prodnatog*). Na rok 1921/1922 podatek ów został ustalony w wysokości 240 milionów pudów, niemal dwukrotnie mniej niż wyznaczone uprzednio na ten rok kontyngenty, ale równo tyle, ile rzeczywiście ściągnięto w roku 1920/1921. Ten „ulgowy” podatek żywnościowy stanowił 339 % przedwojennego podatku bezpośredniego. Znaczenie zamiany kontyngentów na podatek polegało na czymś innym: na zmniejszeniu samowoli państwa. Wprowadzeniu podatku żywnościowego towarzyszyło rozszerzenie swobody handlu. Lenin przystał na to z bólem. Tłumacząc na X Zjeździe zasady nowej polityki, powtarzał swą odwieczną śpiewkę: wolność handlu to powrót do kapitalizmu, przyznał jednak, że nie ma innego wyjścia. Należy koniecznie zrobić krok wstecz, przywrócić siły krajowi i ludności, wyczerpanym szaloną polityką natychmiastowej budowy komunizmu. Zrobić to można wyłącznie przy pomocy kapitalizmu, przyznał Lenin.

Wprowadzenie podatku żywnościowego i wolnego prywat-



nego handlu pociągnęło za sobą dalsze posunięcia: zdenacjonalizowano drobne przedsiębiorstwa przemysłowe, cudzoziemcom wydano koncesje na wydobycie bogactw naturalnych i produkcję pewnych towarów. W państwowym sektorze gospodarki wprowadzono zasadę rozrachunku ekonomicznego, zrehabilitowano też pojęcie zysku. W ślad za tym należało zrehabilitować płace, które niemal zanikły, zastąpione „przydziałami”.

Sytuacja zmieniała się z dnia na dzień. Kiedy bohater powieści Płatonowa „Czewengur” wrócił do rodzinnego miasta, w pierwszej chwili pomyślał, że miasto zajęte jest przez Białych: w dworcowym bufecie sprzedawano razowe bułki bez kolejki, a niedaleko dworca dostrzegł nad sklepem szyld z napisem: „Sprzedaż wszystkiego wszystkim obywatelom. Przedwojenne pieczywo, przedwojenne ryby, świeże mięso, domowe marynaty”. Subiekt w sklepiku rzeczowo i lakonicznie tłumaczył klientce sens przemian: „Doczekaliśmy się. Lenin wziął i Lenin dał”. Subiekt się nie mylił. Lenin wziął — skoczył w komunizm — z radością, przekonany, że nie ma dlań rzeczy niemożliwych. I Lenin dał — wycofał się w NEP — bo musiał, pod naciskiem chłopstwa, które zaczęło zagrażać podstawom władzy partii.

Nowa polityka ekonomiczna zmieniła klimat w kraju. Kapitalistyczne formy gospodarcze zaczęły sąsiadować z „socjalistycznymi”, państwowymi. Pojawiła się możliwość porównania, czego nie było od października 1917 do marca 1921. Obywatel mógł kupować u prywatniarza i mógł w państwowym sklepie, porównując asortyment i ceny. Mógł pójść do państwowego teatru albo do prywatnego. Cenzury nie zniesiono: wprowadzona „tymczasowo” dziesięć dni po przewrocie październikowym, uzyskała w 1922 urzędowy statut (*Gławlit*). Ale liczba prywatnych wydawnictw zapewniała jakąś możliwość wyboru. Jeśli by chcieć jednym słowem zdefiniować istotę NEP-u, byłby nim „wybór”. Nikołaj Asiejew skarżył się, że nastąpiły „ryżę czasy” — rewolucyjna czerwień przeszła w kolor buraczkowy.

NEP był radykalnym, porażającym wyobrażnię odwrotem. Z dnia na dzień kazano zmienić całą hierarchię wartości: miejsce ascetyzmu i ideowości epoki komunizmu zajęły rozrachunek ekonomiczny, dyskusje o rentowności i „zgnióły liberalizm”. Partia zachowała w swych rękach wszystkie instrumenty władzy, „punkty dowodzenia” według terminologii Lenina, odstępując tylko niektóre pozycje w gospodarce. Rozczarowało to znaczną część komunistów. Lenin podkreślał, że w chwili defensywy należy bezwzględnie zachować surową dyscyplinę partyjną i bezwarunkowo podporządkowywać się wodzowi. Wymusił na towarzyszach uchwałę o pierwszej czystce w partii. W ciągu jednego roku „wy-

czyszczono” z szeregów RKP(b) prawie 25 % jej członków. Jednocześnie X Zjazd uchwalił rezolucję (pozostała przez kilka lat tajna) o zakazie tworzenia frakcji w partii. Zlikwidowano ostatni relikw starą socjaldemokracji — możliwość tworzenia frakcji i formułowania odrębnych programów. Partia Lenina ostatecznie przekształciła się w organizację nowego typu — partię totalitarną.

NEP przyniósł namacalne owoce. Tak jak wampir nabiera życia po wypiciu świeżej krwi, tak państwo sowieckie, napiwszy się z kapitalistycznego źródła, nabrało sił i okrzepło w toku jednej pięciolatki.

Owocem NEP-u była zmiana stosunku Zachodu do sowieckiej Rosji. Sojusznicy przerwali wojnę z republiką sowiecką w styczniu 1920 roku i znieśli blokadę. W maju 1920 roku przybyła do Londynu delegacja pod przewodnictwem Krasina, mająca prowadzić pertraktacje w sprawie umowy handlowej. Zachód uznał przejście do NEP-u za dowód, że władza sowiecka się zmieniła, że Rosja sowiecka stała się państwem jak każde inne. Straszny głód lat 1921-1922 utwierdził Zachód w tym przekonaniu.

Oficjalnie głód roku 1921 tłumaczy się nieurodzajem na Połwożu. Prawdziwą przyczyną głodu, jaki zapanował na terenach, zamieszkiwanych przez 20 % ludności kraju, była polityka kontyngentów. Na IX Zjeździe partii Trocki krótko podsumował rezultaty wojny domowej: „Zrujnowaliśmy kraj, by rozbić Białych”. Brak rezerw (*prodotriady* konfiskowały nawet zboże siewne), głód w miastach, zrujnowany transport, powstania chłopskie i niezadowolone robotników — wszystko to stwarzało krytyczną sytuację. Natychmiastowej pomocy mogły udzielić tylko państwa kapitalistyczne, a właściwie tylko Stany Zjednoczone. Lenin uważał za najzupełniej naturalne, że kapitaliści odmówią pomocy państwu, które otwarcie stawiało sobie za cel rewolucję światową. Wobec beznadziejnej sytuacji zgodził się na utworzenie Wszechrosyjskiego Komitetu Pomocy Głodującym. Komitet apeluje do świata o pomoc. Gorki, członek Komitetu, rzuca osobne wezwania o pomoc dla głodującej Rosji. Amerykańska filantropijna Organizacja Pomocy ARA (*American Relief Administration*) pod kierownictwem Herberta Hoovera natychmiast wyraziła zgodę na dostawę żywności i lekarstw. 21 sierpnia 1921 roku przedstawiciel rządu sowieckiego Litwinow podpisał w Rydze umowę z ARA. Zaraz potem członkowie Komitetu Pomocy Głodującym zostali aresztowani i zesłani, a następnie ekspulswani z Rosji. ARA rozpoczęła dostawę żywności. *Bolszaja sowietskaja encykłopedija* z 1926 roku informuje, że ARA działała w Rosji od 1 października 1921 do 1 czerwca 1923 i w okresie maksymalnego nasilenia swej działalności żywiła ok. 10 milionów ludzi.

Głód pokazał wielką odporność młodej władzy sowieckiej. Wynikała ona z istnienia partii, scementowanej poczuciem izolacji w kraju, elitarności i absolutnej wszechmocy. Partia była szkieletem maszyny państwowej; muskułami jej były *czerezwy-czajne komisje*. Partia dawała ideę: wszystko nam wolno, bo działamy dla historii. CzK wcielały tę myśl w życie. Stosunek Zachodu do głodującej Rosji otworzył Leninowi oczy: zrozumiał, że kapitalistyczny świat nie pojmuje celów rewolucji, nie uważa jej za zagrożenie dla siebie, a w każdym razie woli zysk dziś aniżeli troskę o przyszłość.

25 maja 1922 Lenin ciężko zachorował: paraliż prawej połowy ciała, utrata mowy. 2 października zaczął wracać do siebie i ponownie zajął się sprawami publicznymi. W grudniu kolejny atak choroby ostatecznie powalił go z nóg. Do 9 marca 1923, kiedy trzeci wylew przekształcił go w żywego trupa, mógł tylko rozmyślać o przeszłości i przyszłości, dyktować przez kilka minut dziennie swoje myśli i mieć nadzieję, że uczniowie i towarzysze posłuchają jego rad.

Choroba i śmierć Lenina były wielką próbą dla stworzonego przezeń systemu. Chodziło o problem następcstwa. Znane z historii wzory — monarchiczny (Lenin nie miał dzieci) i demokratyczny (w partii nie przeprowadzano wyborów) — były nie do zastosowania, trzeba więc było stworzyć mechanizm przejścia władzy od zmarłego wodza partii do następcy.

Lenin, który niczym Zeus Atenę wysnuł partię z własnej głowy, zawsze uważał, że potrzeba jej jednoosobowego kierownictwa. Kiedy na IX Zjeździe (1920) grupa starych bolszewików domagała się rozszerzenia demokracji w partii, Lenin odparł: „Sowiecki centralizm socjalistyczny nie stoi w sprzeczności z władzą jednoosobową i dyktaturą, wolę klasy niekiedy urzeczywistnia dyktator, który czasem więcej zdziała sam i często bardziej jest potrzebny”.

Na łożu śmierci Lenin zrozumiał, że partii zagraża straszne niebezpieczeństwo: dwóch pretendentów do roli wodza i dyktatora, Trocki i Stalin. Lenin nazywa ich „dwoma wybitnymi członkami obecnego KC”. Wrogość między nimi groziła rozłamem, szczególnie groźnym w okresie przedłużającej się defensywy, latach NEP-u. Chcąc zapobiec niebezpieczeństwu, Lenin poddyktował „List do Zjazdu”, który z czasem zaczęto nazywać „testamentem”. Na XII Zjeździe, do którego „List” był skierowany, zapoznano z nim tylko szefów delegacji. Naruszenie woli wodza tłumacząc psychologiznym błędem Lenina. Lenin niedwuznacznie stwierdził, że nikt z jego towarzyszy nie ma kwalifikacji do włożenia jego „kaftanu”, proponuje więc stworzenie ko-

lektywnego kierownictwa. Wymienia sześciu członków KC, którzy mogliby wspólnie kierować partią. Każdemu nazwisku towarzyszy charakterystyka. Należy sądzić, że za wzór posłużyły Leninowi słynne słowa Sobakiewicza, który, zapoznając Cziczikowa z mieszkańcami miasta gubernialnego, powiedział: „Jeden tam tylko jest porządny człowiek, prokurator — a i ten, prawdę mówiąc, świnia”. Towarzysz Stalin — pisał Lenin — „po objęciu stanowiska sekretarza generalnego skupił w swych rękach nadmierną władzę i nie mam pewności, czy zawsze potrafi z tej władzy korzystać z należytą ostrożnością”. Z kolei „tow. Trocki... jest bodaj najzdolniejszym człowiekiem w obecnym KC, ale cechuje go przesadna pewność siebie i przesadne pasjonowanie się czysto administracyjną stroną spraw”. Dalej następują charakterystyki najbliższych towarzyszy Lenina z czasów emigracji, Zinowiewa i Kamieniewa, którym wódz wytyka „październikowy epizod”<sup>6</sup>, choć proponuje nie zarzucać im tego „osobiście”, ani Trockiemu jego późnego akcesu do bolszewizmu. Najmłodszym „najwybitniejszym siłom”, Bucharinowi i Piatakowowi, Lenin przypomina, że Bucharin jest „bardzo cennym i bardzo wybitnym teoretykiem partii, jednakże jego poglądy teoretyczne mogą być tylko z bardzo dużymi zastrzeżeniami zaliczone do poglądów całkowicie marksistowskich”, natomiast Piatakow, „człowiek wybitnej woli i wybitnych zdolności”, zanadto zajmuje się „administratorstwem”. Czyż można się dziwić, że nikomu z wymienionych nie zależało na publicznej lekturze „Listu do Zjazdu”?

Dziesięć dni później Lenin dyktuje uzupełnienie do „Listu”: „Stalin jest zbyt brutalny i wada ta, do zniesienia w naszym środowisku i w stosunkach między nami, komunistami, staje się nie do zniesienia na stanowisku sekretarza generalnego”. Umieirający wódz proponuje „przeniesienie Stalina z tego stanowiska” i zastąpienie go człowiekiem, który różniłby się od niego „tylko jedną zaletą — większą tolerancyjnością, większą lojalnością, większą uprzejmością, bardziej uważnym stosunkiem do towarzyszy, mniej kapryśnym usposobieniem itp.”. Jak widać z tekstu, nie „jedną”, a wieloma cechami miał się różnić od Stalina jego następcą na stanowisku *genseka*.

„List do Zjazdu” jest tylko ostatnim epizodem „ery Lenina”. Jest także przyznaniem się do błędu. Pisząc w „Liście”, że Stalin „objął” stanowisko generalnego sekretarza, Lenin kłamie. Stalin go nie „objął”, tylko został na nie wybrany z inicjatywy Lenina, po tym, jak w kwietniu 1922 specjalnie stworzono taką funkcję. Wódz partii, rozgniewany złą pracą sekretariatu KC,

---

6. Ich opór wobec przewrotu październikowego.

biurokracją i bałaganem, postanowił, że „generalny sekretariat” zaprowadzi porządek w kancelarii KC. W grudniu 1922 roku, kiedy dyktował cytowany wyżej „List”, Lenin już rozumiał, że sam oddał w ręce Stalina „nadmierną władzę”. Lenin był tym szczególnie rozdrażniony, bo patronował Stalinowi, protegował go, znosił jego kaprysy i wykorzystywał go, gdyż uważał cechy „wybitnego Gruzina” za przydatne dla partii i państwa. Stalin „objął” stanowisko generalnego sekretarza w 1922 roku, ale do tego czasu był już członkiem Biura Politycznego, Orgbiura<sup>7</sup>, ludowym komisarzem do spraw narodowości i ludowym komisarzem inspekcji robotniczo-chłopskiej. Nikt inny nie zajmował tylu kierowniczych stanowisk i nie pełnił tylu funkcji. Jest oczywiste, że skupienie wszystkich tych funkcji w jednym ręku nie mogło się obyć bez zgody Lenina.

Austriacki socjaldemokrata Wiktor Adler, pokpiwając z Plechanowa, wytknął mu: „Lenin to wasz syn”, na co Plechanow odparł: „Jeśli to mój syn, to z nieprawego łoża”. Stalin był nie tylko prawowitym, ale — jak się z czasem okazało — jedynym synem Lenina. Fakt, że u schyłku życia ojciec obraził się na syna i usiłował nawet go wydziedziczyć — to przypadek nierzadki. Zwłaszcza jeśli ojciec odkrywa, że synowi spieszo do spadku i nie może się doczekać śmierci ojca.

Pierwszy sowiecki kodeks karny, opracowany przy czynnym udziale Lenina w ostatnim okresie jego życia, jest cenną spuścizną, jaką twórca państwa sowieckiego zostawił swoim następcom. Ostatnimi laty dziennikarze sowieccy z naciskiem podkreślają, że Lenin miał wykształcenie prawnicze: „Szczęśliwie na czele partii i rządu, czyli faktycznie na czele państwa stał prawnik...” (*Izwestia* z 11 sierpnia 1987). Fakt, że Lenin miał dyplom nauk prawnych (i kilka miesięcy praktyki w kancelarii adwokata przysięgłego) nabrał szczególnego znaczenia, bowiem w marcu 1985 roku generalnym sekretarzem KC, czyli faktycznie głową państwa, ponownie został prawnik (który nigdy nie wykonywał tego zawodu). W związku z tym jest ważne, by czytelnik zrozumiał sens poprawek, jakie Lenin wprowadził do projektu sowieckiego kodeksu karnego w maju 1922 roku. Lenin podkreśla, że „należy otwarcie postawić pryncypialną i pod względem politycznym słuszną (a nie tylko ściśle prawną) tezę, uzasadniającą istotę i słusność terroru, jego konieczność, jego granice. Sąd nie powinien wyrzec się stosowania terroru — obiecywanie tego byłoby

---

7. Orgbiuro — Biuro Organizacyjne WKP(b), organ wykonawczy KC w latach 1919-1952.

oszukiwaniem siebie lub oszukiwaniem innych — powinien natomiast uzasadnić i zalegalizować go pryncypialnie, jasno, bez fałszu”. Nalega na „rozszerzenie kary śmierci” (wojna domowa już się skończyła) w stosunku do wszelkiego typu „działalności mienszewików, eserów itp.”. Uwagę zwraca formuła „wszelkiego typu działalność”, jednak główny wkład wodza polega na sformułowaniu paragrafu o „propagandzie i agitacji”. Prawnik Lenin proponuje nieznaną dotychczas w ustawodawstwie zasadę: „Propaganda lub agitacja, obiektywnie pomagająca tej części międzynarodowej burżuazji, która nie uznaje równouprawnienia komunistycznego systemu własności (...) pociąga za sobą najwyższy wymiar kary, z zamianą — w razie istnienia okoliczności łagodzących — na pozbawienie wolności lub wydalenie z granic państwa”.

Odkrywczym wynalazkiem Lenina jest pojęcie „obiektywnej pomocy”. Za głoszenie poglądów, mogących „obiektywnie” pomagać burżuazji kodeks przewiduje karę śmierci (lub obóz koncentracyjny, zesłanie, banicję). Znaczy to tyle, że władza może zabić (lub pozbawić wolności) kogo zechce, kto jej się nie spodoba, kto jej staje w drodze. „Obiektywna pomoc” jest równoznaczna z fikcyjnością prawa. Jest to charakterystyczna cecha państw totalitarnych: prawo nie istnieje, kodeks karny jest fikcją.

Pierwszą próbą zastosowania nowej zasady było deportowanie z Republiki Sowieckiej dużej grupy naukowców, lekarzy, literatów i agronomów. Deportowano ich za granicę — na podstawie nowego kodeksu karnego — chociaż nie popełnili żadnego przestępstwa. Deportacja — pisała *Prawda* — stanowi „pierwsze ostrzeżenie władzy sowieckiej” pod adresem inteligencji.

Drugą próbą był wielki proces pokazowy prawych eserów, oskarżonych o działalność w latach wojny domowej, choć w międzyczasie nastąpiła amnestia. Prokurator Krylenko oświadczył w sądzie: „Gdybyśmy choć przez sekundę mieli gwarancję, że osoby te na przyszłość nie będą niebezpieczne... powiedzielibyśmy im: 'Idźcie i więcej nie grzeszcie'”. Eserzy zostali skazani, w tym wielu na śmierć, za to, że potencjalnie mogli być niebezpieczni. Charakter stalinowskiej epoki był oczywisty dla wszystkich, kto chciał go dostrzec.

## II. EPOKA STALINA

Rozdział sowieckiej historii, który zgodnie z logiką należy nazwać „epoką stalinowską” od nazwiska generalnego sekretarza KC, który wycisnął niezatarte piętno na epoce, rozwoju państwa

i losie wszystkich jego obywateli, trwał około trzydziestu lat. Jego pierwszy etap — to walka o „kaftan Lenina”. Stalin dowiódł doskonałej znajomości prawdziwej natury odziedziczonego po Leninie systemu i jego głównego elementu — faktu, że aparat może być potężną bronią w walce o władzę. Stalin wykazał talent gracza politycznego, zmieniając poglądy w zależności od sytuacji, przechwytyjąc hasła przeciwników, przypisując im stanowisko, jakiego nigdy nie zajmowali. Niszczył swoich konkurentów, szczując jednych przeciw drugim. Początkowo zawarł sojusz z Zinowiewem i Kamieniewem, aby osłabić pozycję Trockiego, który szybko utracił wszelkie szanse pretendowania do kierowania krajem. Potem, w sojuszu z Bucharinem, rozbił „zjednoczoną opozycję Trockiego-Zinowiewa-Kamieniewa”, aby pod koniec lat 20-tych skierować miecz na „prawych”, tj. Bucharina i jego stronników.

W 1926 roku NEP zaczął tracić oddech. Gospodarka w zasadzie stanęła na nogi, przede wszystkim rolnictwo. Powstało pytanie, co dalej. W jakim kierunku rozwijać rolnictwo? Skąd wziąć środki na rozbudowę przemysłu? Główną cechą stworzonego po Październiku systemu zarządzania było podporządkowanie wszelkich problemów kryteriom politycznym i interesom władzy politycznej. Także wszelkie decyzje gospodarcze podporządkowane były kryteriom politycznym.

Patrząc na niepowstrzymaną karierę Józefa Stalina, dostrzegamy, że jego opinie w kwestiach gospodarczych zawsze zależały od interesów walki o władzę. W sojusz z Bucharinem wszedł po to, by rozprawić się z „lewakami”; „lewaków” wezwał, by skończyć z „prawymi”. Do 1927 roku Stalin popierał program Bucharina, który wezwał chłopów do „bogacenia się”. To pozwoliło mu rozprawić się z „opozycją z lewa”. Latem 1927 zmienił front.

Trudności z zaopatrzeniem w zboże, spowodowane państwową polityką cen płodów rolnych, dały pretekst do ataku na chłopstwo. Trzydzieści tysięcy komunistów skierowano na wieś, żeby „wytrzęśli” z chłopów zboże. Chłopi jęczyli: „Wraca 19-ty rok”. 15 stycznia 1928 roku Stalin wyjechał z Moskwy na Syberię — była to ostatnia jego podróż po kraju. Wraca z niej z dyrektywą — zwaną „metodą uralo-sybirską” — aby stosować wobec chłopów § 107 kodeksu karnego i karać ich za ukrywanie zboża jak za spekulację, zmuszać „biedniaków” do poszukiwania zboża w zamian za 25 % znalezionych zapasów. Jest to leninowska metoda przeniesienia wojny domowej na wieś.

Głównym wrogiem zostaje kułak. Całkiem niedawno Kalinin

piisał: „Kułak to postrach, widmo starego świata. Nie jest to warstwa społeczna, nawet nie grupa, nawet nie garstka, to wymierające jednostki”. Teraz Stalin dumnie oświadcza na plenum: „Stopniowo dławimy i dusimy kapitalistyczne elementy na wsi, doprowadzając je niekiedy do ruiny”. W kwietniu 1928 Stalin obwieszcza koniec „pokoju cywilnego”: „Mamy wrogów wewnętrznych, mamy wrogów zewnętrznych. O tym, towarzysze, nie należy ani na minutę zapominać”.

7 listopada 1929 roku ukazuje się w *Prawdzie* artykuł Stalina pt. „Rok wielkiego przełomu”. Artykuł kończy się słowami: „Pełną parą zmierzamy do industrializacji”. Siedem tygodni później poetycka metafora była rzeczywistością: 27 grudnia 1929 roku Stalin oświadcza na konferencji agronomów-marksistów, że „przeszliśmy do polityki likwidacji kułactwa jako klasy”. Kończy się NEP, zaczyna się kolektywizacja, kolejny „wielki skok”. „Odgórna rewolucja”, znacznie radykalniejsza niż przewrót październikowy, zdruzgotała podstawy życia ponad 130 milionów chłopów Związku Sowieckiego stanowiących dwie trzecie ludności kraju, i definitywnie zmieniła charakter państwa.

Straszna „powszechna kolektywizacja” przypadła na zimę 1929/1930. Sowiecki historyk pisze: „W przyjętej 5 stycznia 1930 uchwale o tempie kolektywizacji zamierzano zasadniczo zakończyć kolektywizację Północnego Kaukazu i Środkowego i Dolnego Powołża jesienią 1930 roku... a pozostałych rolniczych rejonów — jesienią 1931 roku” (*Prawda* z 9 sierpnia 1987). Sowiecki historyk nie precyzuje, kto uchwalił tak szalone tempo kolektywizacji. Za to oświadcza: „W marcu 1930 roku KC WKP(b) uchwalił zdecydowane środki dla poprawienia sytuacji”. Dość przejrzyć gazety z 1930 roku, by się zorientować, że uchwałę „o tempie” uchwaliło to samo KC WKP(b), które dwa miesiące później zatrąbiło do — chwilowego — odwrotu.

Sześćdziesiąt pięć dni od 27 grudnia 1929, kiedy Stalin ogłosił początek powszechnej kolektywizacji i likwidacji kułactwa jako klasy (dodając: „Gdy się głowę ucięło, nie oplakuje się włosów”) do 2 marca 1930, kiedy ten sam Stalin opublikował w *Prawdzie* artykuł „Zawrót głowy od sukcesów”, w którym całą winę za ekscesy kolektywizacji przypisał wykonawcom — wstrząsnęło krajem znacznie silniej, aniżeli dziesięć dni października 1917, „które wstrząsnęły światem”.

Tworzenie kułchozów i „rozkułaczanie” odbywają się równocześnie i są wzajemnie powiązane. „Rozkułaczanie” miało dać kułchozom bazę materialną, której nie mogło dać im państwo. Likwidacja „kułaków”, pozbawiając wieś najbardziej przedsiębiorczych, energicznych i niezależnych chłopów, podkopywała ducha



oporu i ułatwiała kolektywizację. Co więcej, los wysiedlanych i zsyłanych na północ, do obozów i więzień kułaków dowodził wszechmocny sowiecki rząd.

Pojęcie „kułaka” nie było zdefiniowane, co dawało władzy potężną broń w ręce. W jednym rejonie za kułaka uważano właściciela dwóch koni, w innym — jednego. Za kułaków uznano wszystkich, którzy nie chcieli iść do kołchozu. To nie kułak był wrogiem, tylko wróg — kułakiem, a każdy, kto odmawiał pójścia do kołchozu, był oczywiście wrogiem. Dla ułatwienia kolektywizacji każda republika, każdy obwód i każdy rejon otrzymały normę rozkułaczenia. Norma kolektywizacji wszędzie była jednakowa — 100 %, norma rozkułaczenia — różna, średnio 5-7 %. Tam, gdzie terenowi działacze chcieli się wybić, plan przekraczano. W niektórych rejonach rozkułaczono od 15 % do 20 % chłopów.

Chłopi stawiali opór: nie zapisywali się do kołchozów, gdziekolwiek wzniesiono bunt, który rząd krwawo tłumiał. Najpowszechniejszą formą oporu było wybijanie bydła. Trzeba było później trzydziestu lat, aby odtworzyć pogłowie bydła z 1928 roku. Ostateczny cios wymierzył chłopstwu świadomie zorganizowany przez władze głód lat 1931-1932. Trudno o wymowniejsze świadectwo stosunku partii do ludu, aniżeli liczby eksportu zboża w okresie kolektywizacji: 1928 — 1 mln kwintali, 1930 — 48,3 mln, 1931 — 51,8 mln. Miliony chłopów umarły z głodu. Angielski historyk Robert Conquest szacuje liczbę ofiar kolektywizacji — zmarłych z głodu, w czasie deportacji, w więzieniach i obozach — na ok. 15 milionów ludzi, ponad 10 % ludności.

Gospodarczy bilans kolektywizacji był katastrofalny: w latach 1929-1933 globalne zbiory zboża i wydajność upraw z hektara spadły. Tragiczny był również bilans demograficzny: kolektywizacja skończyła się ludobójstwem. Natomiast w sensie politycznym kolektywizacja była ogromnym sukcesem. Przede wszystkim pozwoliła państwu konfiskować kołchozom zboże, które przedtem musiało skupywać u samodzielnych chłopów. Stalin był zadowolony: „Partia osiągnęła to, że zamiast 500-600 milionów pudów zboża, które skupowano w okresie przewagi indywidualnej gospodarki chłopskiej, obecnie może uzyskiwać w drodze skupu 1.200-1.400 milionów pudów zboża rocznie”.

Formuła Stalina odpowiadała rzeczywistości: „partia osiągnęła”. Osiągnęła zagładę chłopstwa, ostatniej klasy, która zachowywała resztki niezależności od państwa. Od tej chwili nie napotykała żadnych przeszkód w budowie państwa totalitarnego, w którym wszystko i wszyscy są własnością partii. Władza poli-

tyczna i przedtem znajdowała się w rękach partii; po kolektywizacji zawładnęła ona także gospodarką.

Skutki kolektywizacji Związek Sowiecki odczuwa po dziś dzień. Chroniczny, nieuleczalny kryzys rolnictwa sowieckiego jest bezpośrednim rezultatem kolektywizacji. Permanentny kryzys gospodarki kołchoźniczo-sowchozowej powoduje stały kryzys całej gospodarki sowieckiej. Dzisiejszy Związek Sowiecki jest w znacznej mierze owocem kolektywizacji. Właśnie dlatego sowieccy historycy i ideolodzy po dziś dzień boją się prawdy o kolektywizacji. Ideolodzy nadal bronią „wielkiego przełomu”, powołując się na pożytek, jaki kraj odniósł z kołchozów w latach wojny, dzięki temu, że państwo koncentrowało całą produkcję żywności w swoich rękach. Jest to argument przekonywujący, nawet Hitler go rozumiał. Jak wiadomo, hitlerowcy nie rozwiązali kołchozów na zajętych terenach. Równie dobrze wiadomo, że istnienie kołchozów nie było warunkiem koniecznym zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami. Wielka Brytania na przykład wytrzymała ataki Trzeciej Rzeszy bez kołchozów.

Kolektywizacja była koniecznym etapem budowy totalitarnego państwa. Wytrzebieniu samodzielnego chłopstwa towarzyszyła nacjonalizacja umysłowego życia kraju. W roku 1931 Stalin mianował się najwybitniejszym historykiem i zdefiniował, jak należy pisać o przeszłości. W latach 1932-1934 zaprzysiężono pisarzy: powstał Związek Pisarzy Sowieckich, a w ślad za nim związki „twórcze” przedstawicieli innych dziedzin kultury. Wzięte w cugle i zunifikowane duchowe życie kraju podlega odtąd pełnej kontroli partii.

„Rok wielkiego przełomu” otworzył pierwszą pięciolatkę i dał początek „gospodarce planowej”. Wizja planu, magicznego klucza do rajy, prześladowała Lenina od chwili, kiedy przeczytał książkę berlińskiego profesora Balloda pt. „Państwo przyszłości”. Książka ukazała się w 1898 roku i nie zwróciła niczyjej uwagi. Fantazje pruskiego ekonomisty na temat „państwa przyszłości”, w którym znacjonalizowano by wszystkie środki produkcji i handel zagraniczny, a całe życie gospodarcze i siła robocza regulowane byłyby przez państwo, uchodziły za jedną z wielu utopii. Lenin spowodował publikację „Państwa przyszłości” w Rosji w 1906 roku oraz jego wznowienie po rewolucji. W latach wojny światowej niemiecki minister gospodarki Rathenau wykorzystał kilka pomysłów Balloda w organizacji gospodarki niemieckiej. Lenin uznał to za dowód, że planowa gospodarka jest możliwa. Za słynnym hasłem „komunizm to władza rad plus elektryfikacja” kryła się prawdziwa myśl Lenina: komunizm to władza rad plus kajzerowska (reglamentowana) gospodarka.

Apelując o sporządzenie pierwszego planu, Lenin powoływał się na teorię Balloda i praktykę Rathenaua.

Pierwszy plan perspektywiczny GOELRO<sup>8</sup>, który przewidywał budowę stu elektrowni — potem dwudziestu — pozostał na papierze. Nastał NEP i planowanie odłożono na później. Powrócono doń w roku 1927, kiedy NEP stracił oddech, a rozkwit gospodarki zaczął — zdaniem Stalina i jego towarzyszy — zagrażać władzy partii. Pod surowym nadzorem Biura Politycznego ekonomiści przystąpili do opracowania pierwszego planu pięcioletniego.

Pięcioletka miała się zacząć w październiku 1928 roku, ale plan nie był jeszcze gotowy. Zatwierdziła go dopiero w kwietniu 1928 XVI Konferencja Partyjna, choć wciąż jeszcze nie był gotowy. Opracowanie planu utrudniały dwa główne czynniki. Po pierwsze było to niezwykle trudne zadanie. Dla sporządzenia kompleksowego planu, przewidującego wykorzystanie wszystkich zasobów dla industrializacji kraju, brakowało danych. Władza sowiecka zwróciła się o pomoc za granicę. Amerykańskie firmy zajęły się projektowaniem sowieckiego przemysłu ciężkiego i lekkiego. Amerykanie, Niemcy, Anglicy, Francuzi i Włosi projektowali budowy, kierowali nimi i wyposażali w sprzęt główne obiekty przemysłowe pierwszej pięcioletki.

Druga przyczyna trudności miała charakter ideologiczny. Ekonomiści przygotowali dwa warianty planu — wyjściowy i optymalny. Nawet wariant pierwotny był bardzo optymistyczny. Jak pisał angielski ekonomista A. Nove: „Cuda rzadko się zdarzają w życiu gospodarczym, a bez pomocy boskiej trudno sobie wyobrazić jednoczesny wzrost inwestycji i konsumpcji, nie mówiąc już o oszałamiającym wzroście produkcji towarów przemysłowych, rolnych i wydajności pracy”.

Uchwalono plan optymalny, ale ledwie go zatwierdzono, Stalin podniósł wskaźniki do nowego, niespotykanego poziomu. Stosunkowo niedawno wyśmiewał ideę Trockiego, by zbudować elektrownię wodną na Dnieprze. Generalny sekretarz uważał, że *Dnieprostoj* będzie wymagał za dużych środków: „To tak, jakby *muzyk*, który zdołał oszczędzić parę kopiejek, zamiast zreperować pług kupił sobie gramofon” — z właściwym sobie poczuciem humoru powiedział Stalin. Mniej niż dwa lata po tych szyderstwach Stalin domaga się zakupu milionów „gramofonów”, cyfry Trockiego wydają mu się już „plugawe”. Plan optymalny przewidywał podwojenie wydobycia węgla w ciągu pięciu lat: z 35 mln ton do 75 mln. Stalin kazał wydobyć 105 mln i taki

---

8. GOELRO — Państwowa Komisja d/s Elektryfikacji Rosji.

był odtąd wskaźnik kontrolny. Mniej więcej w tej samej proporcji podniósł wszystkie wskaźniki. W grudniu 1929 zjazd przodowników pracy wezwał do wykonania pięciolatki w cztery lata (*piat' w czetyrie*). W lutym 1931 roku Stalin stwierdził, że można — a zatem należy — wykonać pięciolatkę w decydujących gałęziach przemysłu w ciągu trzech lat. „Najważniejsze jest tempo”, oświadcza Stalin. Zaczyna się „przyspieszenie”.

Wskaźniki upajają planistów na czele ze Stalinem, ale upajają też budowniczych, obywatele kraju. Wydaje się: jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jedna wybudowana fabryka, jeszcze jedna zaporą, jeszcze kilometr kanału — i oto już socjalizm, powszechna szczęśliwość. Powszechna gorączka uchodzi za objaw zdrowia. Partia i poeci ponaglają: Czasie, naprzód! Wydaje się, że czas jest we władzy państwa, że rządzi nim partia.

W okresie pierwszej pięciolatki po raz pierwszy wyszła na jaw główna, ideologiczna funkcja planowania. Odkrycie związku między liczbą a celem było zasługą Lenina. W 1919 roku zawarł je w formule: wystarczy dać chłopu 100 tys. traktorów, a powie — jestem za komuną. Liczbą jest 100 tys. traktorów, celem — komunizm. Rosja miała w owym czasie ok. 2 tys. traktorów, zatem drogę do „komuny” można było obliczyć na podstawie zwiększenia liczby maszyn rolniczych, albo elektrowni, albo fabryk itd. Drogę w przyszłość widać było gołym okiem. Czas poćwiartowano na kawałki, na każdy kawałek przypadały określone liczby. Pięciolatka stała się jednostką przebytej drogi do komunizmu.

W 1932 roku zaczęło się podsumowanie pierwszej pięciolatki, pierwszego etapu drogi do celu. W styczniu 1933 roku Stalin oświadczył, że plan wykonano w 93,7 %. Żonglerka liczbami — obliczanie w procentach, w rublach, których wartość określają według swego widzimisię instancje planujące — pozwala stwierdzić, co się chce i opiewać zwycięstwo. Co więcej, rzeczywiście zrobiono dużo: w niezwykle krótkim terminie wzniesiono gigantyczne zakłady przemysłu ciężkiego na Uralu, w Kuzbasie, na Wołdze, na Ukrainie, zbudowano fabryki w Moskwie i Leningradzie, położono 5.500 kilometrów torów kolejowych (plan przewidywał 16.000 km). Stalin miał prawo zapytać na XVII Zjeździe (1934): „Czyż to nie cud?”.

Wątpliwości budziło nie tyle porównanie wskaźników kontrolnych z ogłoszonymi wynikami (planowano np. wytopienie 10,3 mln ton stali zamiast 4,2 mln ton w roku 1928, a wytopiono 5,9 mln ton), ile koszty „cudu”. Głównym źródłem środków na realizację planu pięcioletniego była tzw. „akumulacja wewnętrzna”.

na". Uzyskano ją w pierwszym rządzie dzięki „konsumpcyjnej ascezie”, o której pisał naczelny stalinowski ekonomista Strumilin: z kraju wywożono surowce, w tym również żywność, choć ludność nawet w miastach na wpół głodowała. Latem 1932 Stalin oświadczył: „Po co było obalać kapitalizm w październiku 1917 roku i budować socjalizm przez wiele lat, jeżeli nie osiągniemy tego, aby ludzie żyli u nas w dobrobycie? Socjalizm oznacza nie nędzę i niedostatek, lecz zniesienie nędzy i niedostatku”.

Pod koniec pierwszej pięciolatki poziom życia spadł nie tylko w porównaniu z rokiem 1913, ale także w porównaniu z rokiem 1928. Przez następne pół wieku sowieccy przywódcy niejednokrotnie powtarzali za Stalinem, że ludzie powinni żyć w dobrobycie. Tymczasem dobrobyt oddala się jak linia horyzontu.

Pięciolatka okupiona została nie tylko spadkiem poziomu życia. Ofiarą jej padły miliony ofiar zorganizowanego przez rząd głodu, w tym ok. 7 milionów Ukraińców. Zaostrzono bardzo przepisy kodeksu karnego. 7 sierpnia 1932 uchwalono najsurowszą bodaj ustawę w historii prawodawstwa: karę śmierci za przywłaszczenie własności publicznej lub spółdzielczej, zamienianą w razie okoliczności łagodzących na dziesięć lat obozu koncentracyjnego. W budownictwie socjalizmu po raz pierwszy w tak niesłychanych rozmiarach zastosowano pracę więźniów. *Biełomorkanał* zbudowany został wyłącznie przez więźniów: ok. 500 tys. aresztantów (300 tys. równocześnie) w ciągu 20 miesięcy przebiło gołymi rękami w karelskim granicie kanał, który okazał się niepotrzebny. Według oficjalnych danych w maju 1933 roku przebywało w samych więzieniach 800 tys. *zeków*. Liczba więźniów obozów koncentracyjnych była wielokrotnie wyższa.

Koszmarne słowa hitlerowskich kacetów nie powinna przesłaniać sowieckiego pierwszeństwa w tej dziedzinie. Terminu „obóz koncentracyjny”, rodem z Kuby końca XIX wieku, po raz pierwszy użył Trocki w rozkazie z 4 czerwca 1918 roku, w którym *narkomwojenmor* zażądał zamknięcia w obozach koncentracyjnych Czechosłowaków, którzy nie chcieli złożyć broni. 26 czerwca Trocki proponuje *Sownarkomowi* wysłanie do obozów koncentracyjnych oficerów, odmawiających służby w Armii Czerwonej. 9 sierpnia Lenin, przestraszony zasięgiem chłopskiego powstania w guberni pienszeńskiej, domaga się od *gubispołkomu*<sup>9</sup> „zastosowania bezlitosnego masowego terroru wobec kułaków, popów i białogwardystów. Niepewnych zamknąć do obozów koncentracyjnych”. 5 września 1918 roku, kiedy represje te były już sze-

9. Gubernialny wykonawczy komitet partyjny.

roko stosowane, *Sownarkom* nadał im pieczęć prawa: „Należy bezwzględnie zabezpieczyć Republikę Sowiecką od wrogów klasowych drogą izolowania ich w obozach koncentracyjnych”. Szybko okazało się, że wśród więźniów niepowstrzymanie rośnie odsetek robotników i chłopów, skazywanych za „sabotaż”, „bumelanctwo”, niewypełnianie normy itp. Dzierżyński oświadczył w 1919 roku, że „obozy koncentracyjne są szkołą pracy”.

Okres pierwszej pięcioletki ostatecznie ukształtował specyficznie sowiecki stosunek do pracy. Przestaje ona być funkcją ekonomiczną, jaką była od chwili, kiedy człowiek pierwotny stanął na tylnych łapach, a w przednie chwycił kamień. Praca sowiecka jest funkcją polityczną, miarą godności człowieka, kryterium jego miejsca w społeczności, a zarazem najwyższym wymiarem kary. Dobry robotnik jest wartościowym człowiekiem, bo przyspiesza budowę socjalizmu. Ale „źli” ludzie, wrogowie, także budują socjalizm w toku reedukacji pracą w obozach. Stalin oświadcza: praca jest sprawą honoru, sprawą ofiarności, sprawą bohaterstwa. Hasło to zdobi bramy obozów koncentracyjnych, których liczba niepowstrzymanie wzrasta. Sprawę honoru, ofiarności i bohaterstwa powierza się coraz częściej więźniom, którzy budują największe (ale i średnie, a nawet małe) obiekty przemysłowe pierwszej pięcioletki. Praca niewolnicza staje się naczelną metodą budownictwa socjalizmu.

Trwa gorączkowa budowa nowego świata. Strach jest składnikiem powietrza, którym oddychają obywatele sowieccy. W listopadzie 1928 roku plenum KC przyjęło uchwałę o drugiej generalnej czystce w partii. W tymże 1928 roku odbył się pierwszy od 1922 roku wielki proces pokazowy, tzw. proces szachtyński. Przed sądem stanęli inżynierowie i technicy, oskarżeni o nieznanе dotąd przestępstwo — szkodnictwo. Kolejnym wrogiem staje się „szkodnik”, przyczyna wszystkich porażek budownictwa socjalistycznego. W procesie szachtyńskim — od A do Z sfabrykowanym przez OGPU, kolejne wcielenie WCzK — padły wyroki śmierci. Towarzyszyła mu kampania nienawiści. Następną kampania nienawiści wobec wrogów przypadła na rok 1930 i dotyczyła kolejnego lipnego procesu, tzw. Prompartii (Partii Przemysłowej).

W 1932 przeprowadzono w Związku Sowieckim paszportyzację. W Encyklopedii Sowieckiej z 1930 roku widniały jeszcze słowa: „System paszportowy był ważnym instrumentem działań policyjnych i polityki podatkowej w tzw. państwie policyjnym. System paszportowy istniał w przedrewolucyjnej Rosji. Prawo sowieckie nie zna systemu paszportowego”. Poznać go miało dwa lata później, przy czym paszporty wydano tylko mieszkańcom miast; chłopów przypisano do kołchozowej ziemi.

Strach, niezbędny element budownictwa komunizmu, został zastosowany przez Lenina natychmiast po przewrocie październikowym. WCzK budziła grozę jako organ, który — po raz pierwszy w dziejach Rosji — miał prawo szukać wrogów, prowadzić śledztwo, ferować wyroki i wykonywać je. Jednym z symptomów zmiany polityki było ukrócenie w 1921 uprawnień „organów” i zmiana ich nazwy. Straszne litery WCzK zastąpiono niewiele znaczącym skrótem GPU, później OGPU. Począwszy od drugiej połowy lat 20-tych nowa nazwa nabiera coraz bardziej złowieszczonego charakteru. W popularnej sztuce Afinogienowa „Strach”, której premiera odbyła się na początku lat 30-tych, fizjolog prof. Borodin oświadcza, że „80 % wszystkich zbadanych (obywateli sowieckich — M.H.) żyje w ustawicznym strachu przed groźbą albo utratą społecznego oparcia. Mleczarka boi się konfiskaty krowy, chłop — przymusowej kolektywizacji, urzędnik — bezustannych czystek, funkcjonariusz partyjny oskarżenia o odchylenie, naukowiec oskarżenia o idealizm, technik — oskarżenia o sabotaż”. Prof. Borodin, który w finale sztuki wyrzeka się swych poglądów po rozmowie z pracownikiem GPU, dorzuca: pozostało jeszcze 20 % obywateli, którzy — wydawałoby się — nie mają się czego bać, bo są „panami kraju” — to robotnicy, ludzie z awansu. „Za tych — tłumaczy fizjolog — boi się ich mózg... Wciąż usiłują dogonić i przegonić. Tracąc dech w nieustannym wyścigu, mózg wpada w obłąd albo stopniowo się degeneruje”. Prof. Borodin kończy słowami: „Żyjemy w epoce wielkiego strachu”. Pisano dopiero 1931 rok!

Kiedy bardzo popularny w ZSSR rumuński pisarz Panait Istrati przyjechał w dziesiątą rocznicę Października do Kraju Rad i odkrył w nim wiele rzeczy, nie odpowiadających jego wyobrażeniom o Nowym Świecie, odpowiadano mu: nie można usmażyć omletu nie rozbijając jaj. Pisarz oponował: widzę rozbite jajka, ale nie widzę omletu. Nie miał całkowitej racji. Głównym owocem „rozbicia jaj” był kult Stalina. W 50-tą rocznicę urodzin Stalina narody Związku Sowieckiego dowiedziały się po raz pierwszy, że partią, państwem, międzynarodowym ruchem komunistycznym i całą postępową ludzkością kieruje wielki wódz — Stalin. W okresie pierwszej pięcioletki Stalin skupił w swoich rękach ogromną władzę we wszystkich dziedzinach i stał się przedmiotem kultu.

Rok 1934 rozpoczął się świętem. 26 stycznia otwarto XVII Zjazd partii, zjazd zwycięzców, jak wyraził się Kirow. Na Kremlu zbrali się organizatorzy kolektywizacji, głodu i industrializacji, strażnicy potężnej armii więźniów, którzy kosztem niesłychanych wyrzeczeń i nieszczęść narodu uzyskali niemałe sukcesy.

W uroczystym referacie Stalin stwierdził z przekonaniem: „Jeśli na XV Zjeździe musieliśmy jeszcze dowodzić słuszności linii partii i walczyć z wiadomymi antyleninowskimi ugrupowaniami, a na XVI Zjeździe dobijać ostatnich stronników tych grup, to na obecnym Zjeździe nie trzeba już niczego dowodzić, a i bić nie ma już kogo”. Pienia najwierniejszych współpracowników Stalina na cześć wodza zwycięzców osiągnęły apogeum w peanie, jaki wygłosił Kirow: „Stalin — największy geniusz wszech czasów i narodów”.

Siergiej Kirow, członek Biura Politycznego, sekretarz KC, sekretarz leningradzkiego komitetu partyjnego został zamordowany 1 grudnia 1934. Po raz pierwszy od czasów wojny domowej ofiarą terrorystycznego aktu padł jeden z przywódców partii. Okoliczności śmierci Kirowa są niezmiernie interesujące nie tylko dlatego, że zabójstwo przywódcy leningradzkich komunistów dało sygnał do „wielkiego terroru”. Legendy, związane z Kirowem, odgrywają dziś ważną rolę w procesie kolejnej falsyfikacji historii. W 1956 roku Nikita Chruszczow dał w tajnym referacie na XX Zjeździe niedwuznacznie do zrozumienia, że Kirow został zamordowany na rozkaz (nigdzie naturalnie nie odnotowany) Stalina. Utworzono komisję, mającą zbadać tę sprawę. Rezultaty jej badań po dziś dzień nie zostały ogłoszone.

Wiadomo, że leningradzki działacz padł od kuli rewolwerowej i że strzelił do niego młody komunista Leonid Nikołajew. Wiadomo, że na wieść o zabójstwie Stalin udał się do Leningradu, gdzie osobiście przesłuchiwał zabójcę i jego rzekomych współników. Wiadomo, że wieczorem 1 grudnia, ledwie wieść o strzale w Smolnym dotarła do Moskwy, przewodniczący WCIK podpisał dekret, wprowadzający praktycznie stan wyjątkowy w całym kraju. W Leningradzie natychmiast ruszyła fala masowych aresztowań według gotowych już list. W innych miastach też aresztowano. W pierwszych dniach stycznia 1935 roku gazety pełne były doniesień o egzekucjach „białogwardzistów”, których pierwszych oskarżono o zabójstwo Kirowa: 37-miu położyło głowy w Leningradzie, 33-ech w Moskwie, 28-miu w Kijowie itd. Są to liczby znacznie niższe od rzeczywistych, o czym świadczą ci, którzy uszli z życiem. Następnie winę za zabójstwo Kirowa władze przypisują przybyłym zza granicy „szpiegom”. Wreszcie przychodzi kolej na starych bolszewików, towarzyszy Lenina — Zinowiewa i Kamieniewa. W styczniu 1935 roku zaczyna się pierwszy proces pokazowy komunistów. Zinowiew i Kamieniew zostają uznani za „moralnie odpowiedzialnych” za zabójstwo Kirowa i skazani na 10 (Zinowiew) i 5 (Kamieniew) lat więzienia. W sierpniu



1936 za to samo przestępstwo sąd skaze ich w kolejnym pokazowym procesie na śmierć.

„Zaczyna się „wielki terror”. Pod względem liczby ofiar ta fala terroru — lata 1935-1938 — ustępuje kolektywizacji, ale przedmiotem frontального uderzenia była tym razem nie „szara masa” chłopstwa, a członkowie rządzącej partii, najwybitniejsi przywódcy rewolucji, partii i rządu, najsylniejsi dowódcy wojskowi. Rozprawa z elitą władzy zrobiła oszałamiające wrażenie na całym świecie, podczas gdy miliony bezimiennych ofiar przeszły niezauważone.

Zabójstwo Kirowa i pierwsze dwa procesy starych bolszewików przygotował ludowy komisariat spraw wewnętrznych pod kierownictwem Jagody. 25 września 1936 Stalin i Żdanow, przebywający obaj na urlopie w Soczi, podpisali telegram do członków Biura Politycznego: „Uważamy za absolutnie niezbędne i pilne, aby tow. Jeżow został mianowany na stanowisko ludowego komisarza spraw wewnętrznych. Jagoda okazał się ewidentnie niezdolny do zdemaskowania bloku trockistowsko-zinowiewowskiego”.

Zaczął się okres jeżowszczyzny. Graficznie można ten okres zobrazować linią falistą, której szpicami byłyby procesy pokazowe, w toku których likwidowano kolejne „spiski”: proces Piatakowa, Sieriebriakowa i in. w styczniu 1937; proces Bucharina, Rykowa i in. w marcu 1938; wiadomość o aresztowaniu wysokiej rangi sowieckich dowódców wojskowych w czerwcu 1937. Procesom tym towarzyszą masowe aresztowania i egzekucje. Ludność obozów osiąga niebywałe rozmiary. W poemacie Twardowskiego „Tiorkin na tamtym świecie” widnieją słowa: „*Tam — riadami, po godam, szli w stroju niezrimom Kołyma i Magadan, Workuta s Narymom... Kto, za szto, po wole czjej — razbieris', nauka...*”.

O jeżowszczyźnie i terrorze stalinowskim napisano wiele książek, wspomnień, analiz... Należą do nich „Archipelag GUŁag” Sołżenicyna, monografia „Wielki terror” Conquesta, „Stalin” Suwarina. Są to publikacje w ZSSR nieznanne. Nauka sowiecka, której Twardowski każe zbadać sprawę, albo milczy, albo kłamie.

„Wielki terror” zaczął się od zabójstwa Kirowa. Kilka lat po „wystrzale w Smolnym” uczestnicy „zjazdu zwycięzców” wpadają jeden po drugim w tryby „maszynki do mielenia mięsa” (formuła Chruszczowa). Spośród 1.956 delegatów 1.108 zostało aresztowanych i oskarżonych o działalność kontrrewolucyjną (tajny referat Chruszczowa, XX Zjazd). Spośród 139 członków i zastępców członków KC wybranych na XVII Zjeździe areszto-

wano i rozstrzelano 98, czyli 70 %. Co spowodowało taką hekatombę?

Świadkom tamtych wydarzeń objaśniał wszystko „Krótki kurs historii WKP(b)”, po raz pierwszy wydany w 1938 roku. Wynikało zeń, że ofiarami represji byli wrogowie ludu, „białogwardyjscy pigmeje”, „nikczemni lokaje faszystów”. Siódme wydanie „Historii KPSS” (1984) tłumaczy rzecz zupełnie inaczej: „Partia i naród nie wiedziały wówczas, że Stalin nadużywa władzy” (str. 425). Należy z tego wnioskować, że terror, który zwał się na wszystkie warstwy ludności, przyjmowany był jak zjawisko najzupełniej naturalne i normalne, na które nikt nie zwrócił szczególnej uwagi. Dopiero wiele lat później niespodziewanie odkryto „nadużycia” Stalina. W połowie lat 60-tych zrodziła się koncepcja, jakoby leninowcy stawiali opór Stalinowi, co miało znaleźć wyraz w przebiegu głosowania na XVII Zjeździe, kiedy jakoby w wyborach do KC padło mniej głosów na Stalina niż na Kirowa. Jest to teoria „dobrego” Kirowa i „złego” Stalina. Najkonsekwentniej jest ona wyłożona w powieści A. Rybakowa „Dzieci Arbatu”. Nie ma jednak dotąd przekonujących dowodów frondy „prawdziwych leninowców” przeciw Stalinowi na XVII Zjeździe. Ani ich wystąpienia na Zjeździe (w tym i przemówienie Kirowa), ani ich działalność w okresie kolektywizacji i industrializacji nie dają żadnych podstaw do powątpiewania w ich wdzięczność dla głównego „zwycięzcy”.

Chruszczow zastanawia się w swych „Wspomnieniach”: „Dlaczego Stalin popełnił te zbrodnie? Może go oszukano? Ale jeśli go oszukano, to kto?”. Różne są koncepcje co do przyczyn „wielkiego terroru”. Niektórzy wręcz twierdzą, że Stalina oszukał Beria! Kluczem do rozwiązania zagadki mogą być wspomnienia Waltera Krywickiego, byłego szefa sowieckiego wywiadu w Zachodniej Europie. Zdaniem Krywickiego Stalin był pod ogromnym wrażeniem „nocy długich noży”, zorganizowanej przez Hitlera latem 1934 roku. W nocy 30 czerwca pojmano i zgładzono najbliższych towarzyszy Hitlera, przywódców SA. Przy okazji zlikwidowano też „bezpartyjnych” przeciwników Führera. Krywicki wspomina, że natychmiast po wiadomości o „nocy długich noży” Stalin zwołał posiedzenie Biura Politycznego. W przeciwieństwie do specjalistów — wywiadowców, dyplomatów i ekspertów — stwierdził, że masowe mordy zorganizowane przez Hitlera skonsolidują nazizm i wzmocnią osobistą władzę Hitlera.

Zabójstwo Kirowa w pół roku po hitlerowskiej akcji otwiera ostatnią fazę budownictwa państwa totalitarnego. Stalinowi wciąż było nie dość „własnej partii”. Kadry WKP(b), budujące od śmierci Lenina pod jego przewodem socjalizm, wciąż — mimo

oddania generalnemu sekretarzowi — pamiętały o rewolucji i czasach, kiedy na czele partii i państwa stał ich twórca. Stalin potrzebował monolitycznej, posłusznej mu „jak trup” partii. W tym celu musiał rozbić stary leninowski aparat, zatrzeć pamięć o Leninie i napełnić pustą powłokę partii nową treścią — i nowymi członkami. W 1935 roku partia przeniknęła już tak bardzo do wszystkich komórek organizmu państwowego, że cios w nią odczuł cały kraj. Za pociągniętą nitką potoczył się kłębek: aparat państwowy, gospodarczy, wojskowy, kultura...

W marcu 1937 roku Stalin wygłosił najbardziej otwarte i najbardziej cyniczne z wszystkich swych przemówień. Uprzedzał: wróg przeniknął wszędzie, człowiek z legitymacją partyjną w kieszeni jest największym niebezpieczeństwem. Wszystkim kierowniczym działaczom partyjnym proponuje, aby sobie przygotowali po dwóch następców. Generalny sekretarz, któremu swego czasu marzyła się partia-zakon kawalerów mieczowych, marzy teraz o partii-armii. 3 marca 1937 roku Stalin mówi o „kierowniczych kadrach naszej partii”: 3-4 tysiące — najwyższe dowództwo, 30-40 tysięcy — korpus oficerski, 100-150 tysięcy — podoficerowie. Cała reszta — to szeregowcy, szare bydło. Organizacyjny plan Lenina stał się ciałem.

Stalin wyklada na plenum swoje główne odkrycie, swój wkład do marksizmu: w miarę postępów budownictwa socjalistycznego zaostrza się walka klasowa. Innymi słowy: im lepiej, tym gorzej.

Lata „wielkiego terroru”, kiedy nikt nie wiedział, czy nie poderwie go nocą pukanie do drzwi, były zarazem latami „zwrotu ku człowiekowi”. „Człowiek jest najcenniejszym kapitałem” — oznajmia Stalin. „Żyje się lepiej, żyje się weselej”. Partia rehabilituje kwiaty, tango i fokstrota. Poeta zapewnia: „Można nosić pstre krawaty, a być w kopalni bohaterem pracy”.

30 sierpnia 1935 Aleksiej Stachanow wyrąbał w czasie jednej zmiany 102 tony węgla zamiast przewidzianych normą 7-miu. Takie przekroczenie planu mogła oczywiście tłumaczyć tylko albo śmiesznie niska norma, albo specjalne warunki, jakie stworzono Stachanowowi. KC „pochwala inicjatywę ludzi pracy”: powstaje ruch stachanowski. Podwyższa się od 15 % do 50 % normy w przemyśle. Prawdziwy entuzjazm idzie w parze z kłamstwem i fałszowaniem „rekordów”, w wykonaniu planów króluje „lipa”. W 1935 roku, osiemnastym roku po rewolucji, przeważająca większość ludności ZSSR żyje gorzej, aniżeli przed rewolucją. Akademik Strumilin obliczył, że sowiecki obywatel spożywał średnio

261,6 kg produktów zbożowych rocznie. Lenin w swej wczesnej książce o rozwoju kapitalizmu w Rosji ubolewał nad tym, że parobek spożywał rocznie średnio 419,3 kg produktów zbożowych, do których zjadał — przyznawał Lenin — 13,3 kg tłuszczu. Strumilin o tłuszczu nie wspomina. Industrializacja spowodowała szybki wzrost ludności miejskiej, co nasiliło kryzys mieszkaniowy.

W drugiej połowie lat 30-tych system sowiecki był w zasadzie skonstruowany: rzeczywistość zniknęła za gęstą zastoną kłamstwa.

W strasznych latach „wielkiego terroru” cały naród radośnie witał nową stalinowską konstytucję, z góry uznaną za najdemokratyczniejszą w świecie. Nowa konstytucja nie zmieniała struktury państwa, wpisano w nią natomiast to, co uprzednio było w domyśle: fakt, że WKP(b) jest awangardą klasy pracującej i jako taka stanowi kierownicze jądro wszystkich organizacji i instytucji robotniczych, społecznych i państwowych. Władza partii stała się prawem. W odróżnieniu od poprzednich, nowa konstytucja przyznawała wszystkim sowieckim obywatelom prawo głosu, ustalała bezpośrednie, równe i tajne wybory do Rad, zapewniała wolność słowa, druku, zgromadzeń, tajemnicę korespondencji itd. Warto przypomnieć, że pierwsze wybory według nowej konstytucji odbyły się w grudniu 1937 roku, kiedy terror osiągnął apogeum i każdy obywatel mógł w każdej chwili pójść za kraty. Zresztą konstytucja zawierała klauzulę, która przekreślała wszystkie zagwarantowane nią prawa. Osobny artykuł głosił, że wszystkie prawa stworzone są „zgodnie z interesami ludu pracującego i w celu umocnienia socjalizmu”. Zatem wszystkie prawa zależały od tego, kto decydował, na czym polegają interesy ludu pracującego i co sprzyja umocnieniu socjalizmu.

Fala masowych aresztów członków partii rosła z dnia na dzień. Legitymacja partyjna, jak zapowiedział Stalin na lutowo-marcowym plenum KC w 1937 roku, była maską wroga. W przeddzień plenum Zjazd partii uchwalił „przebudowę roboty partyjnej w duchu bezwarunkowego i całkowitego wprowadzenia w życie załączków demokratyzmu wewnątrzpartyjnego” Uchwalono, że instancje partyjne będą wybierane w tajnym głosowaniu.

Prawdziwą nowością było nadanie wszystkim obywatelom jednakowych praw. Równość ich polegała na tym, że nikt nie miał żadnych rzeczywistych praw. W owym okresie kult Stalina nabrał już cech bałwochwalstwa. Wszyscy zostali zrównani w rabstwie, a nad tłumem rabów unosił się On, Gospodarz. Francuski pisarz Henri Barbusse podpisał (są podstawy do twierdzenia, że

nie napisał) oficjalną biografię Stalina. „Nowa Rosja — widniało w niej — stworzyła prawdziwy kult Stalina, kult wyrosły na glebie zaufania mas. Jest to człowiek, który wszystkim i wszystkim się interesuje, który dokonał to, czego dokonał, a zrobi to, co będzie należało zrobić. Zbawił — i zbawi”. Stoimy w obliczu nowego Boga, który spłynął z niebios na apel kochających go mas. „Kimkolwiek by był — kończy się biografia Boga — ten dobroczyńca jest wam potrzebny”.

W 1920 roku Jewgienij Zamiatin napisał powieść „My”, wizję przyszłości, opis państwa totalitarnego rządzonego przez kochającego swych poddanych Dobroczyńcę i ich wszechmocnego kata. Fanatyk miłości bliźniego, jak wyraził się Dostojewski. Wymyślony przez Zamiatina Dobroczyńca uciekł z kart książki w rzeczywistość i ujął w swe ręce losy Związku Sowieckiego, wierną kopię zamiatinowskiego Jedyne Państwa. W drugiej połowie lat 30-tych do standardowych epitetów Stalina — mądry, genialny, stalowy, żelazny — doszły: drogi, umiłowany, dobry, ukochany.

Odezwa Gorkiego „Do przodownic pracy na kanale Moskwa-Wołga” doskonale ilustruje degenerację ZSSR, zmienionego w kraj totalnego kłamstwa i powszechnego strachu. obrońca kobiet, przez dziesięciolecia opłakujący ich los w carskiej Rosji, autor „Matki”, zwraca się do więźniarek, konających od katorżniczej pracy: „Wasza robota raz jeszcze pokazuje światu, jak wspaniale działa na człowieka praca, ujrzana przez pryzmat wielkiej prawdy bolszewizmu, jak cudownie organizuje kobiety sprawa Lenina-Stalina”.

Epoka Stalina to także wojna z Niemcami. Wszystko, co zrobiono od drugiej połowy lat 20-tych — kolektywizację, industrializację, niesłychany terror, całkowite duchowe zniewolenie kraju, krótko mówiąc stworzenie państwa totalitarnego — bolszewicy uzasadniali koniecznością przygotowania się do „ostatniego boju” z imperialistami. Perspektywa wojny, którą straszono obywateli sowieckich, zmuszała ich do ustawicznego wyścigu z czasem.

O wojnie Związku Sowieckiego z faszystowską Rzeszą napisano tysiące książek, w tym wiele monografii historycznych. Ukazała się sześciotomowa „Historia Wielkiej Wojny Patriotycznej”. W 1987 roku, kiedy pozwolono podważyć niektóre oficjalne dogmaty, okazało się, że bardzo wiele elementów należy zrewidować, a jeszcze więcej napisać od nowa. Akademięk A. Samsonow, historyk wojskowości, przyznaje, że „nawet wersja niespodziewanej napaści Niemiec na ZSSR nie może być przyjęta bezkrytycznie...” (*Socjalistическая индустрия* z 24 maja 1987). Samsonow pisze, że wojna z faszystowskim najeźdźcą pochłonęła miliony

ofiar, spowodowała gigantyczne straty materialne i kulturalne, przysporzyła ludności nieopisanych cierpień, po czym stawia zasadnicze pytanie: „Czy ofiary te były konieczne?” (*Moskowskije nowosti* nr 18/1987).

W sierpniu 1987 uchwalono, że zostanie napisana dziesięciotomowa historia wojny patriotycznej zamiast istniejącej sześciotomowej. Dowodzi to, że w pozornie tak szczegółowo opisanej historii wojny z Niemcami istnieje bardzo wiele „białych plam”. Do najważniejszych — które, sądząc po najnowszych publikacjach, „białymi” zresztą pozostaną — należą dzieje początku wojny.

23 sierpnia 1939 obywatele ZSSR z największym osłupieniem przeczytali na pierwszych stronach gazet zawiadomienie o przyjeździe do Moskwy ministra spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy, Ribbentropa. Następnego dnia przyszło im zapoznać się z tekstem paktu o nieagresji między ZSSR i Niemcami i ze wzruszeniem obejrzeć fotografię uśmiechniętych Stalina i Ribbentropa, przyjacielsko ściskających sobie dłonie.

Zdumienie obywateli ZSSR jest zrozumiałe: przez wiele lat wmawiano im, że nazizm, hitleryzm, faszyzm są największymi wrogami ludzkości, a przede wszystkim pierwszego socjalistycznego państwa na świecie. Antyhitlerowska propaganda przybrała na sile po Anchlussie Austrii, po aneksji Czechosłowacji i przedstawieniu Polsce roszczeń terytorialnych. Dzień i noc powtarzano obywatelom ZSSR, że hitleryzm jest głównym zagrożeniem wojennym.

Po wojnie opublikowano szereg dokumentów niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, wspomnień i opracowań, które sowieccy historycy ignorują, wynika z nich bowiem, że Stalin długo zabiegał o podpisanie z hitlerowskimi Niemcami paktu, chcąc mieć z nimi równie dobre stosunki, co z Republiką Weimarską. Wszystkie pertraktacje na temat ewentualnego traktatu prowadzono w największej tajemnicy.

Po raz pierwszy Stalin zrobił aluzję do ewentualnego układu sowiecko-niemieckiego na XVII Zjeździe partii w marcu 1939 roku. Dnia 3 maja usunięto ze stanowiska ministra spraw zagranicznych Maksima Litwinowa, który kojarzył się z orientacją antyniemiecką i polityką zbiorowego bezpieczeństwa. Zastąpił go przewodniczący *Sownarkomu* Wiaczesław Mołotow. Przez całe lato 1939 roku ZSSR i Niemcy prowadziły gorączkowe tajne pertraktacje. Hitler aktywnie szykował się do wojny i chciał uniknąć walki na dwa fronty. Stalin usiłował wykorzystać pośpiech Hitlera, aby uzyskać od niego jak największe koncesje w zamian za gwarancję neutralności. Równocześnie rozpoczął w

Moskwie w sierpniu 1939 pertraktacje z przedstawicielami Anglii i Francji.

Rząd sowiecki miał trzy możliwości: mógł wejść w antyhitlerowską koalicję z Anglią i Francją, mógł podpisać pakt z Hitlerem i mógł zachować neutralność. W pierwszym przypadku Hitler musiałby się być zastanowić i odwlec początek wojny w Europie. Także trzeci wariant nie był dla Führera korzystny: neutralny Związek Sowiecki pozostawałby potencjalnym niebezpieczeństwem na flankach. Wariant drugi — pakt z Hitlerem — równał się przede wszystkim zgodzie na rozpoczęcie wojny.

Stalin wybrał Hitlera i wojnę. Wyborowi takiemu przyświecało kilka powodów. Przede wszystkim Hitler zapłacił za pakt znacznie więcej, aniżeli mogłyby zaoferować Stalinowi państwa demokratyczne, które nie mogły rozporządzać nie swoimi terytoriami. Führer oddał Stalinowi Nadbałtykę, część Polski i Bessarabię. Po drugie Stalin liczył na to, że Niemcy w toku wojny z Zachodem osłabią demokratyczne państwa i same siebie. Po trzecie Stalin zawsze organicznie nienawidził demokracji, natomiast psychika Führera była mu bliska i czytelna. Był głęboko przekonany, że uda mu się go przechytrzyć.

Podpisane 23 sierpnia 1939 porozumienie między ZSSR i hitlerowskimi Niemcami nosi nazwę paktu o nieagresji. *Prawda* nazwała je „instrumentem pokoju”, „pokojowym aktem”, sprzyjającym „złżeniu naprężenia w stosunkach międzynarodowych”. Tajny uzupełniający protokół do paktu — który nigdy nie został w ZSSR opublikowany i o którym sowieccy historycy milczą — nie wyglądał na „instrument pokoju”. Tajny protokół przewidywał, że „w razie terytorialnych i politycznych zmian (chodziło o wojnę, którą Niemcy miały rozpętać w najbliższych dniach — M.H.) linią podziału wpływów Niemiec i ZSSR będzie północna granica Litwy”. Drugi paragraf protokołu przewidywał: „Kwestia, czy jest pożądane i czy leży w interesie obu stron zachowanie niezawisłości państwa polskiego oraz granice takiego państwa zostaną ostatecznie ustalone dopiero w toku dalszego rozwoju politycznego”. Historia dyplomacji zna mało dokumentów, w których zamiar likwidacji i podziału suwerennego państwa jest wyrażony również cynicznie.

Sowieccy historycy po dziś dzień twierdzą, że pakt o nieagresji był Związkowi Sowieckiemu niezbędny dla zyskania czasu, że Anglia i Francja wahały się i nie spieszyły z podpisaniem umowy z ZSSR. Takie tłumaczenia są możliwe, bo nie ogłasza się tajnego protokołu i słowem nie wspomina o radości, jaka zapanaowała na Kremlu po podpisaniu paktu. Sowieckie gazety opubli-

kowały toast Stalina: „Wznoszę kielich za zdrowie Führera Rzeszy. Wiem, jak go kocha naród niemiecki. Wiem, jak Niemcy pragną pokoju”. Nigdzie natomiast nie ukazały się zanotowane przez Niemców słowa Stalina do Ribbentropa: „Rząd sowiecki traktuje nowy pakt bardzo poważnie. Stalin może zagwarantować słowem honoru, że Związek Sowiecki nie zdradzi swojego sojusznika”.

„Miłujące pokój Niemcy” rozpoczęły wojnę tydzień po podpisaniu paktu i tajnego protokołu. 14 września poseł Trzeciej Rzeszy w Moskwie wysłał do Berlina iskrówkę: Mołotow chciałby wiedzieć, kiedy padnie Warszawa, aby ogłosić, że Polska przestała istnieć, a mniejszości narodowe spokrewnione z narodem sowieckim potrzebują obrony. Dnia 17 września Armia Czerwona zadała cios w plecy bijącemu się z Hitlerem wojsku polskiemu, wkraczając na terytorium Polski i zajmując tereny, należne ZSSR na mocy tajnego protokołu. Dnia 31 października Mołotow chwalił się na posiedzeniu Rady Najwyższej. „Wystarczyło krótkie uderzenie na Polskę ze strony armii niemieckiej, a potem Armii Czerwonej, aby nie zostało śladu po tym pokracznym bękarcie traktatu wersalskiego...”.

Podpisany 23 sierpnia 1939 roku pakt o nieagresji można próbować tłumaczyć innymi jeszcze, bardzo wątpliwymi argumentami. Znacznie trudniej uzasadnić drugi pakt — o przyjaźni i granicach — podpisany 28 września 1939 roku. Jak zawsze w trudnej sytuacji, sowieccy historycy uciekają się do prostej metody: pakt o przyjaźni i granicach w sowieckiej historiografii nie istnieje. Zdarza się spotykać termin „pakt, podpisany we wrześniu”, nigdzie jednak nie ma mowy o tym, o co w nim chodziło. Otóż Związek Sowiecki zobowiązywał się w nim do dostarczania hitlerowskim Niemcom niezbędnych im do prowadzenia wojny surowców strategicznych (nafty, rudy, zboża), do współpracy między NKWD i Gestapo w walce z polskim ruchem oporu przeciw obojgu okupantom (dla przypieczętowania przyjaźni NKWD wydało w ręce Gestapo niemieckich komunistów, którzy uciekli do ZSSR, po czym zostali wyaresztowani w latach terroru). Niemiecka kronika filmowa uwieczniła wspólną defiladę wojsk hitlerowskich i sowieckich we Lwowie. Tajne porozumienie o granicach ściśle wytyczyło strefy wpływów: Związek Sowiecki dostał Litwę, za którą oddał Niemcom województwo warszawskie.

„Nie zasłużyliśmy na to” — powiedział z goryczą i rozpaczą Mołotow niemieckiemu posłowi, kiedy ten 22 czerwca 1941 przyszedł zawiadomić go, że Niemcy wypowiedziały ZSSR wojnę



(która zresztą trwała już od kilku godzin). Mołotow miał rację, jeśli przyjąć, że przez „my” rozumiał kierownictwo sowieckie: Stalin zrobił wszystko, co w jego mocy, aby pomóc Hitlerowi rozpętać drugą wojnę światową. Prawie dwa lata był wiernym sojusznikiem Führera.

Kosztom niewypowiedzianych ofiar, kosztem milionów żyć ludzkich Związek Sowiecki wspierany przez państwa demokratyczne rozgromił Trzecią Rzeszę. Zwycięzców, jak wiadomo, nikt nie sądzi, ale historia nie powinna zapomnieć o winie sowieckiego kierownictwa w tragedii drugiej wojny światowej.

Nocą 1 stycznia 1944 roku naród sowiecki po raz pierwszy usłyszał nowy hymn ZSSR. Zamiast „*Nikto nie daŕt nam izbawlenija, ni bog, ni car, i ni gieroj...*” z głośników gruchnęło: „*Sojuz nieruszimych respublik swobodnych spłotila nawieki Wielikaja Ruś! ... Lenin wielikij nam puť ozarił... Nas wyrastił Stalin...*”. W 1920 roku ideolog nacjonal-bolszewizmu Nikołaj Ustriałow pisał: „Nad Spasską Bramą, będącą jak zawsze największą narodową historyczną świętością, z kremłowskich kuranów płyną dźwięki Międzynarodówki”. W głębi duszy mimowolnie rodzi się pytanie czy to Międzynarodówka swoimi niecnymi dźwiękami hańbi Spasską Bramę, czy też Spasska Brama kremłowskim tchnieniem uszlachetnia Międzynarodówkę?

Nocą 1 stycznia 1944 hymn proletariuszy wszystkich krajów przestał hańbić Spasską Bramę. Nie było to właściwie niespodzianką. Już w 1943 rozwiązano III Międzynarodówkę, aby przekonać sojuszników, że ze strony komunistów nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Przede wszystkim jednak rozmaite zmiany różnego kalibru wskazywały, że polityka stalinowska zmieniła kurs. Patriotyzm rosyjski, do którego odwołano się w krytycznych chwilach bitwy pod Moskwą, aby zbawić państwo sowieckie, stał się głównym elementem imperialnej ideologii Stalina.

Zwycięstwo pod Stalingradem zmieniło tok wojny. Wróg doznał strasznego ciosu, armia sowiecka pokazała swą siłę, ostateczny pogrom hitlerowskich Niemiec wydał się możliwy. Stalin już widzi się w roli ojca zwycięstwa i z tą myślą sporządza dziwny leninowsko-monarchistyczny koktajl. Dorabia sobie nową genealogię: za głównego przodka obiera sobie Iwana Groźnego, twórcę zjednoczonego państwa. Liczne terminy związane z genealogią rewolucyjną znikają z obiegu. Armia Czerwona zostaje Armią Sowiecką. W nagrodę za zwycięstwo generalny sekretarz i głównodowodzący w jednej osobie przywraca armii jej starą

rosyjską formę, między innymi pagony, które ćwierć wieku wcześniej uchodziły za symbol przeklętej carskiej przeszłości. Do rewolucyjnych orderów Lenina i Czerwonej Gwiazdy dochodzą ordery Aleksandra Newskiego i Suworowa, postaci sprzed rewolucji. Regulamin przewiduje, że przedrewolucyjne ordery mają być przypinane po prawej stronie piersi, a rewolucyjne — po lewej.

Imperialna idea Stalina sprowadza się do absolutnej, niczym nie ograniczonej władzy Stalina. Fundamentem władzy absolutnej jest absolutne posłuszeństwo poddanych. Wódz, Ojciec i Nauczyciel dysponował wieloma narzędziami, zapewniającymi mu pokorę obywateli pierwszego socjalistycznego państwa na świecie. Nie dość mu ich było. Pokora miała być widoczna, sowieccy obywatele zostali więc przybrani w mundury. W każdym ministerstwie obowiązywał inny kolor materiału, inny krój munduru, inne pagony, lampasy, wypustki. Ponownie wprowadzono zapomniane *czyiny*. Na przykład dekret Rady Najwyższej z 16 września 1943 roku wprowadzał następującą nomenklaturę dla prawników: rzeczywisty państwowy pracownik sprawiedliwości pierwszej, drugiej, trzeciej rangi itd.

Imperialna idea Stalina oznaczała także wszechmoc totalitarnego państwa, na którego usługach pozostawali wszyscy obywatele pod przewodnictwem Wodza-Dobroczyńcy. Dnia 25 czerwca 1945 roku Stalin przemawiając na Kremlu podczas przyjęcia z okazji Parady Zwycięzców mógł z zadowoleniem wznieść toast. „Wznoszę — rzekł z właściwą sobie skromnością — prosty, najwyczajniejszy toast... Wznoszę toast za prostych, szarych, skromnych ludzi, za 'śrubki', które utrzymują w ruchu nasz wielki mechanizm państwowy... Piję zdrowie tych ludzi, naszych szanownych towarzyszy”.

„Doktor Żiwago” kończy się słowami: „Choć zwycięstwo nie przyniosło spodziewanego przejaśnienia i wolności, przedsmak wolności unosił się w powietrzu przez wszystkie powojenne lata, składając się na ich niepowtarzalny historyczny klimat”. Powojenne lata były okresem wielkich nadziei. Wojna była tak ciężka i straszna, zwycięstwo tak całkowite i przekonywujące, że wydawało się, iż wszyscy, którzy na froncie i na tyłach przyłożyli do niego rękę, zasłużyli na nagrodę. Stalin był całkiem innego zdania. Właśnie dlatego, że nadzieje były powszechne, że w powietrzu unosił się „przedsmak wolności”, wódz postanowił położyć kres wszelkim oczekiwaniom. Dobrze pamiętał, że zwycięskie dywizje armii sowieckiej wyszły poza granice Związku Sowieckiego i miliony sowieckich obywateli po raz pierwszy ujrzaly na

własne oczy, jak żyją ludzie za granicą. Stalin znał historię i pamiętał, że młodzi oficerowie, którzy w 1813 roku wkroczyli do Paryża, w 1825 wyszli na Plac Senacki.

Trzeba było wzmocnić ducha narodu sowieckiego. Na kulturę, naukę i wszystkie dziedziny życia umysłowego zaczęły spadać cios za ciosem. Podobny huragan przeszedł nad krajem w późnych latach 20-tych pod nazwą rewolucji kulturalnej. Druga połowa lat 40-tych nosi nazwę żdanowszczyzny. Sama nazwa, kojarząca się z jeżowszczyzną, świadczy o zasięgu prześladowań, terroru i okrucieństwa. Na czele pogromu szedł Andriej Żdanow, sekretarz KC do spraw ideologii. Dnia 14 sierpnia 1946 rozległa się pierwsza salwa żdanowszczyzny: KC WKP(b) uchwalił rezolucję w sprawie czasopism *Zwieszda* i *Leningrad*. Obiektem nagonki byli Michaił Zoszczenko i Anna Achmatowa. Następne uchwały dotyczyły muzyki, filmu, teatru. Władza strzela do wybranych pisarzy, kompozytorów, reżyserów jak do kaczek. Na sesji WASChNIL<sup>10</sup> w 1948 roku zatwierdzona zostaje dyktatura Łysenki nad biologią. W 1949 roku zostaje otwarty front walki ze „zgniłym kosmopolityzmem” i „cudzoziemszczyzną”.

„Śmierć Stalina nie była przewidziana w planie ani w żadnej dyrektywie organów — pisał Wassilij Grossman w powieści „Wszystko płynie”. — Stalin umarł bez osobistej wskazówki towarzysza Stalina. Ta wolność, ta samowola śmierci miała w sobie jakiś dynamizm, przeczący najgłębszej naturze państwa. Popłoch ogarnął umysły i serca. Stalin umarł! Jedni wpadli w rozpacz — w niektórych szkołach nauczyciele kazali uczniom klęknąć i, sami też klęcząc, zalewali się łzami, czytając rządowy komunikat o śmierci wodza. Na żałobnych zebraniach w urzędach i fabrykach wielu ludzi dostawało ataków hysterii, słychać było szalone krzyki kobiet, wycie... Inni byli szczęśliwi. Wieś, cierpiąca męki pod żelazną łapą Stalina, odetchnęła z ulgą. Miliony więźniów ogarnęła szaleńcza radość...”

Zgodnie z komunikatem prasowym, Stalin umarł 5 marca 1953 roku. Jego śmierć spadła na ludzi jak grom z jasnego nieba, bo wszyscy uwierzyli, że wódz jest nieśmiertelny. Naturalnie natychmiast zaczęły krążyć pogłoski, że Stalina zabito. Nie odkryto na razie żadnych dowodów spisku, zorganizowanego przez Berię z udziałem Malenkowa, Chruszczowa i Bułganina, domysły obracają się w sferze hipotez. Zważywszy, że nadzieja na ujawnienie dokumentów, a nawet na ich istnienie jest bardzo nikła,

---

10. Wszechzwiązkowa Akademia Nauk Rolniczych im. W. I. Lenina.

zagadka śmierci Stalina pozostanie na wieki zagadką, choć hipoteza zabójstwa ma poważne podstawy.

13 stycznia 1953 roku ukazała się w *Prawdzie* „Kronika TASS-a”, donosząca o zdemaskowanej przez organy bezpieczeństwa „terrorystycznej grupie lekarzy, którzy postanowili umyślnym szkodliwym leczeniem zgładzić czołowych działaczy Związku Sowieckiego”. W tym samym wydaniu gazety ukazał się artykuł, zatytułowany „Podli szpiedzy i mordercy pod maską lekarzy”. Jeśli Stalin nie był autorem tego artykułu, to niewątpliwie wypolerował go swą ręką mistrza. Nie tylko myśli przewodnie, ale i zwroty i poszczególne słowa brzmiały znajomo, po stalinowsku. Artykuł donosił, że zdemaskowano spiszek lekarzy, przeważnie Żydów. Później okazało się, że miał to być sygnał do rozpoczęcia antysemitycznej kampanii w całym kraju, zmierzającej do ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej po bolszewicku: publiczną kaźnią lekarzy na Placu Czerwonym i deportacją wszystkich Żydów do obozów na Daleką Północ. Artykuł zawierał jednak jeszcze inną myśl, która dotyczyła najbliższych towarzyszy wodza, w tym Berii. „Pewni ludzie — pisał anonimowy autor — sądzą, że niebezpieczeństwo szkodnictwa i szpiegostwa zostało zażegnane... Myśleć tak mogą tylko prawicowi oportuniści, ludzie, stojący na antysowieckich pozycjach wygasania walki klasowej. Nie rozumieją oni, że nasze sukcesy prowadzą nie do wygaśnięcia, a do zaostrzenia walki, że im szybciej będziemy posuwali się naprzód, tym ostrzejsza będzie walka wrogów ludu”.

Słowa te nie mogły nie przerazić najbliższych towarzyszy Stalina, bo były niemal dosłownym powtórzeniem przemówienia Stalina z lutowo-marcowego plenum KC w 1937 roku, który dał sygnał krwawej czystce, m.in. wśród najwyższych kadr partyjnych i państwowych. W 1937 roku Stalin powiedział: „Wróg przeniknął wszędzie i kryje się za legitymacjami partyjnymi”. W 1953 roku *Prawda* pisała: „Niektóre nasze sowieckie organy i ich kierownictwo zapomnieli o czujności, zarazili się ślepotą; organy bezpieczeństwa nie zdemaskowały w porę terrorystycznej organizacji szkodników wśród lekarzy”.

Samo aresztowanie lekarzy było złowieszczym znakiem. W 1937 roku aresztowania lekarzy poprzedziły aresztowanie Bucharina, Rykowa, Jagody i innych bolszewików. Historyk A. Awtorchanow, autor książki pt. „Zagadka śmierci Stalina”, twierdzi, że Stalin w starczym ogłupieniu chciał bez zmian powtórzyć scenariusz czystki 1937 roku, co przypłacił życiem. Można też uważać, że kierowała nim bezgraniczna pogarda dla swoich towarzyszy, których, jak pisze Chruszczow, nazywał „ślepymi kociećtami”.

Zamordowany lub zmarły naturalną śmiercią — 5 marca 1953 Stalin zszedł z tego świata. Pogrzeb jego, w czasie którego za-deptano na śmierć setki ludzi, był godny całego życia jednego z najbardziej krwawych tyranów w historii.

### III. EPOKA CHRUSZCZOWA

„Kiedy Stalin umarł — wspomina Chruszczow — zostawił nam w spadku strach i trwogę”. Nietrudno zrozumieć uczucia następców wodza: nie wiedzieli, jak podzielić władzę ani jak rządzić stalinowskim państwem bez Stalina, który o wszystkim decydował i wszystkim rządził. Czterech najbliższych towarzyszy — Malenkow, Beria, Chruszczow i Bułganin — połączyło się z piątym, Mołotowem, najwierniejszym z wiernych, któremu jednak ostatnimi czasy wódz odmówił swych łask, i podzielili się władzą. Zaczęło się „kolektywne kierownictwo”, a wraz z nim walki wewnętrzne. Beria chciał w oparciu o „organy” zdobyć najwyższą władzę. Malenkow, Chruszczow i Bułganin dobrze pamiętali, czym grozi kierownictwu terror „organów” i przy pomocy wojska uprzedzili Berię: w lipcu 1953 roku ukazał się komunikat o aresztowaniu Berii.

Na temat okoliczności aresztowania szefa „organów” i jego śmierci też krążą najrozmaitsze wersje. Sam Chruszczow podaje co najmniej cztery warianty. Oficjalnie *Prawda* opublikowała 24 grudnia 1953 komunikat o rozpoczęciu procesu Berii. Oskarżono go o to, że począwszy od 1919 roku pracował dla Intelligence Service, czyli przez dziesięciolecia spełniał polecenia obcego wywiadu, a nie tow. Stalina. Sąd skazał Berię oraz innych członków przywódców „organów” na rozstrzelanie. Znalezione koźła ofiarne, na którego można było zwalić winę za wszystkie krwawe zbrodnie, jakich dopuściły się „organy” na rozkaz partii.

Rok 1953 zaczął się śmiercią Stalina, a skończył egzekucją Berii. Władzę sprawował triumwirat Malenkow-Chruszczow-Bułganin. Za pierwszego w tej trójcy uchodził Malenkow. Przy rozdziale portfeli wziął sobie stanowisko przewodniczącego Rady Ministrów. Pracujący przez długie lata przy Stalinie Malenkow, którego kariera zaczęła się w osobistej kancelarii Józefa Wissarionowicza, aktywny współtwórca systemu stalinowskiego nie zdawał sobie sprawy, gdzie znajduje się prawdziwy ośrodek władzy. Oddając sekretariat KC Chruszczowowi, praktycznie przesądził o swojej porażce w walce o „szynel” Stalina. Wkrótce po tym

stało się jasne, że, jak zawsze w Związku Sowieckim, władza spoczywa w rękach partii, czyli w rękach jej pierwszego sekretarza.

Jednym z kamieni milowych historii Związku Sowieckiego jest XX Zjazd KPZS. Po raz pierwszy od śmierci Lenina zmieniano najwyższe kierownictwo kraju. Ledwie zakończył się pogrzeb Stalina, ledwie imię jego wyryto na mauzoleum obok imienia twórcy państwa, oczom wszystkich ukazał się głęboki kryzys całego kraju. Jeszcze w styczniu 1953 roku organ KC KPZS *Kommunist* zapewniał: „Problem zbożowy, uważany kiedyś za najważniejszy, został raz na zawsze rozwiązany”. Nowy przewodniczący Rady Ministrów przyznawał w swych pierwszych przemówieniach w marcu 1953 roku, że rolnictwo znajduje się na skraju katastrofy. Przeprowadzono pierwsze niezbędne reformy: obniżono podatek od działek przyzagrodowych i własnego bydła, obniżono podatki kołchozowe, zapewniono, że należy rozwinąć budownictwo mieszkaniowe i inwestycje w przemyśle lekkim, „maksymalnie zaspokoić materialne i kulturalne potrzeby” ludności. Latem 1953 roku Malenkov zaapelował, aby „w ciągu najbliższych 2-3 lat doprowadzić do pełnego zaopatrzenia ludności w żywność i przemysłu lekkiego w surowce”.

Kwestia reform zawsze jest w Związku Sowieckim pochodną głównego kryterium — kwestii władzy. Pierwsza reforma polegała na zmianie miejsca „organów” w drabinie władzy. Dnia 4 kwietnia 1953 opublikowane zostało bez komentarza oświadczenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ZSSR, że sprawa lekarzy — „morderców w białych chałatach” — została spreparowana przez byłe kierownictwo Ministerstwa Bezpieczeństwa, a bezprawnie aresztowani lekarze byli niewinni. W 1918 roku KC partii wydał specjalną uchwałę, zabraniającą krytykowania pracującej „w szczególnie trudnych warunkach” WCzK. Warunki pracy „organów” się nie zmieniły, a ich bezkarność stała się prawem: kogo aresztowano, ten był winien, „organy” się nie mylą. Oświadczenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z kwietnia 1953 roku było pierwszym przyznaniem, że służby bezpieczeństwa mogą być omyłne, znakiem, że zmieniła się ich pozycja w systemie rządów: partia przywłaszczała sobie i tę część władzy, którą zawładnęły „organy” w toku masowych represji.

Reformatorskie posunięcia nowego kierownictwa były tylko widocznym fragmentem niezauważalnej dla niewtajemniczonych walki o władzę. Chruszczowowi przyświecały — podobnie jak Stalinowi w pierwszej połowie lat 20-tych — dwa cele: musiał rozbić stalinowski aparat i stworzyć na jego miejsce własny,

posłuszny tylko jemu. Reformy były jedną z możliwości zmiany stalinowskich funkcjonariuszy na chruszczowowskich.

XX Zjazd był ważnym etapem na drodze Chruszczowa do celu. Chruszczow, wybrany na stanowisko generalnego sekretarza w wrześniu 1953 roku, zwołał Zjazd pół roku wcześniej, niż przewidywał statut partyjny. Spieszył się, musiał uprzedzić przeciwników, umocnić swoją pozycję.

Pierwszą ustawą zapowiadającą przyszły rozwój wydarzeń była propozycja Chruszczowa, aby m.in. powołać komisję do zbadania działalności Stalina i całej jego epoki. Chruszczow pisze w swych „Wspomnieniach”, że starzy członkowie Biura Politycznego — Woroszyłow, Mołotow, Kaganowicz — przyjęli projekt bez entuzjazmu, ale później wybrani członkowie najwyższej instancji partyjnej poparli nowego pierwszego sekretarza. Na czele komisji stanął Piotr Pospiełow, doskonale znający działalność Stalina: w latach 30-tych był członkiem jego sekretariatu, podczas wielkiej czystki kierował wydziałem propagandy i agitacji KC, pod koniec ery Stalina stał na czele Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina-Stalina. W swoim czasie był jednym z autorów „Krótkiego kursu historii WKP(b)”. Właśnie ten człowiek miał badać działalność Wodza i Nauczyciela. Wierny żołnierz partii napisał przemówienie, które, jak wyznaje Chruszczow, zdziwiło nawet jego, bo nie podejrzewał, że represje miały tak ogromny zasięg. W tym przypadku trudno Chruszczowowi wierzyć.

Zjazd odbywał się — jak wszystkie Zjazdy — według rygorystycznego planu. Chruszczow pisze: „... Nie byłem zadowolony. Bez końca rozmyślałem o różnych faktach, opisanych przez komisję Pospielowa. Koniec końców zdecydowałem się i w czasie przerwy jednego z posiedzeń, znalazłszy się w jednym pokoju z członkami Politbiura, zapytałem ich: „Towarzysze, co robimy ze sprawozdaniem tow. Pospielowa?””. Rozgorzał spór. Przeciwnicy Chruszczowa zadali mu trzy pytania: 1. Co będziemy musieli powiedzieć o naszej własnej roli w okresie stalinowskim? 2. Czy Chruszczow zdaje sobie sprawę z następstw demaskacji Stalina? 3. Co skłania Chruszczowa do takiego posunięcia?

Dziś można na te pytania odpowiedzieć następująco: Chruszczow obiecał nie wspominać o roli współników Stalina; nie zdawał sobie w pełni sprawy ze skutków demaskacji Stalina; do takiego a nie innego postępowania skłaniało go kilka przyczyn.

Pierwsza jest oczywista: demaskacja Stalina dostarczała mu bronii w walce o władzę. Zrzucając z piedestału swojego poprzednika, nowy generalny sekretarz wybielał samego siebie i nawracał do pierwotnego źródła — Lenina, mianując się jego ostatnim i jedynym następcą. Nawet jeśli nie wspominał ani słowem o

wspólnikach upadłego Boga, zdemaskowanie stalinowskich zbrodni obniżało ich autorytet. Ważny był i inny czynnik: zrzucenie Stalina z piedestału pozwalało uprzedzić nieuniknione rozliczenia ze zbrodniami ery stalinowskiej. Opowiadając o minionej epoce z trybuny zjazdowej, można było wybrać, o czym mówić i przedstawić minione lata w potrzebnym partii i jej pierwszemu sekretarzowi świetle.

Referat Chruszczowa nie podważał polityki partii ani zasady budownictwa socjalizmu. Relacjonował chorobę wodza, który przypadkiem, przez swój zły charakter (Chruszczow odczytał urywki z „testamentu” Lenina) i skutek złych wpływów (Berii) popełnił błędy. Chruszczow podkreślił, że zły charakter Stalina dał o sobie znać dopiero pod koniec 1934 roku, kiedy generalny sekretarz zorganizował zabójstwo Kirowa (Chruszczow przedstawił dowody) i rozpoczął ostre represje pod adresem członków partii. Wśród najważniejszych dokumentów odczytanych przez pierwszego sekretarza KC figurował telegram Stalina z 20 stycznia 1939. Brzmiał on: „KC WKP(b) ... uważa, że metody fizycznego przymusu w praktykach NKWD poczynając od 1937 roku miały zezwolenie KC WKP(b) ... KC WKP(b) uważa, że metody przymusu fizycznego powinny być w wyjątkowych wypadkach stosowane również w przyszłości w stosunku do znanych, zdemaskowanych wrogów ludu i powinny być w takich przypadkach uważane za dopuszczalną i słuszną metodę”. Znaczenie tego tekstu jest oczywiste: nie Dzierżyński, Jagoda, Beria i inni szefowie „organów” byli inicjatorami i organizatorami terroru — aresztowań, egzekucji, tortur — ale najwyższa instancja partyjna, KC i osobiście wódz partii.

Chruszczow obwinił Stalina o zaufanie do Hitlera, które umożliwiło krajowi przygotowanie się do niespodziewanej napaści wroga, o jego interwencje w przebieg operacji wojennych, które często prowadziły do ogromnych klęsk i strat. Mówił też o deportacji całych narodów — Karaczajewców, Kałmuków, Tatarów krymskich, Induszy, Czeczeńców i innych — na podstawie kłamliwych oskarżeń o współpracę z wrogiem. „Ukraińcy — dorzucili pierwszy sekretarz — uniknęli tego losu tylko dlatego, że byli zbyt liczni i nie było ich dokąd deportować. W przeciwnym wypadku zesłałby ich również”. Wreszcie Chruszczow wspominał o „samodurstwie” Stalina w stosunkach międzynarodowych.

Równocześnie Chruszczow podkreślał, że Stalinem we wszystkich poczynaniach powodowały szlachetne pobudki: „Uważał, że tak należy postępować w interesie partii i mas pracujących, w imię obrony zdobycy rewolucji”. Zadanie polegało zatem tylko



na likwidacji „skutków kultu jednostki” i kontynuacji „leninowskiej drogi ku dalszym sukcesom, nowym zwycięstwom”.

Mimo braku analizy „kultu jednostki”, mimo wahań przy ocenie poczynań Stalina, „tajny referat” był ciosem w podstawy systemu sowieckiego: zdemaskowano Boga, ściągnięto go na ziemię i oskarżono o „błędy”. Pośrednimi i bezpośrednimi następstwami były głębokie rysy w monolicie sowieckiego imperium (polski Październik 1956, rewolucja węgierska tego samego roku), „ferment i wrzenie” w samym Związku Sowieckim.

Dziesięciolecie po śmierci Stalina nazywamy „epoką Chruszczowa”. Zręcznie manewrując, Chruszczow dowodzi, że był najlepszym uczniem w stalinowskiej szkole intryg politycznych. W lutym 1956 roku Malenkov „składa dymisję” ze stanowiska przewodniczącego Rady Ministrów z powodu „niekompetencji”. Stanowisko to przypada najbliższemu sojusznikowi Chruszczowa, Bułganinowi.

Wspinaczka Chruszczowa na szczyty piramidy sowieckiej zakończyła się „kultem” jego własnej osoby i dowiodła, że stalinowski model zdobywania władzy jest nieodłączny od systemu. Chruszczow wymienił tylko „śrubki” w maszynie, samej zasady jej funkcjonowania nie zmienił. Najpierw Stalin, potem Chruszczow, a za nim kolejni następcy dowiedli, że najłatwiej zdobyć władzę (tj. wymienić stary aparat na swój) pod płaszczykiem reform. Stalin wspinał się na szczyty w czasie „odgórnej rewolucji” lat 1929-1934. Chruszczow — w okresie demaskowania „kultu jednostki”. Konieczność zmian była po śmierci Stalina oczywista, ale wszystkim reformom — gospodarczym, społecznym, kulturalnym — przyświecał „wyższy cel”, umocnienie władzy pierwszego sekretarza KC. W latach Chruszczowa stało się jasne — późniejsze lata tylko to potwierdziły — że działalność reformatorska jest ściśle związana z problemem władzy; próby reform przypadają tylko i wyłącznie na okres zdobywania władzy.

Nazwy poszczególnych okresów historii ZSSR nie budzą na ogół przyjemnych skojarzeń: komunizm wojenny, kolektywizacja, jeżowszczyzna, żdanowszczyzna. Od tej zasady istnieją dwa wyjątki: NEP i „odwilż”. Słowa „odwilż” w odniesieniu do życia politycznego i publicznego Rosji użył po raz pierwszy Herzen po śmierci Mikołaja I. Sto lat później (1954) Ilja Erenburg zatytułował swą kolejną powieść „Odwilż”, w nadziei na złagodnienie ustroju związanego z imieniem Stalina.

Pierwszą jaskółką zwiastującą odwilż (zanim jeszcze słowo to weszło w użycie) był artykuł pisarza Władimira Pomerancewa

„O szczerości w literaturze”, opublikowany w *Nowym mirze* w grudniu 1953 roku, dziewięć miesięcy po śmierci Stalina. Autor twierdził, że kłamstwo stało się w ZSSR zasadą życia, że należy koniecznie „rozszerzyć paletę tematów”, tj. podjąć szczerze główne problemy życia kraju. Nikita Chruszczow dobrze rozumiał istotę „odwilży”. Oto co pisze we „Wspomnieniach”: „Po wojnie, po śmierci Stalina ludzie zaczęli, jak to się mówi, otwierać usta, i dano im możliwość robienia uwag bez obawy, że ich posadzą. Wzrosły potrzeby, powiedziałbym nawet, że nie potrzeby wzrosły, a możliwości mówienia o potrzebach”. Ponieważ w Związku Sowieckim nie istnieje inne forum wyrażania potrzeb jak literatura, właśnie ona stała się nośnikiem idei „odwilży”. Możliwość autentycznego, nie kierowanego z góry dialogu z władzą (o „potrzebach”) wydawała się bluźnierstwem, uderzeniem w podstawy systemu. Chruszczow przyznaje: „Do nazywania tego okresu 'odwilżą' mimo wszystko nie odnosiliśmy się całkiem pozytywnie... Z jednej strony rzeczywiście zgodziliśmy się na osłabienie, by użyć brutalnego języka polityki, osłabiliśmy kontrolę, i ludzie zaczęli swobodniej wypowiadać się w rozmowach i w prasie — w gazetach, czasopismach i literaturze... Z drugiej strony byli ludzie, którzy nie życzyli sobie tej odwilży. Ostrzegali nawet i mówili, że gdyby Stalin żył, to nigdy by na to nie pozwolił”.

Chruszczow pozwolił zadawać pytania. „Odwilż” była okresem pytań i pierwszych odpowiedzi. Literatura — „Ryczagi” A. Jaszyna, „Nie samym chlebem” W. Dudincewa — pytała o strukturę zbudowanego po Październiku społeczeństwa, o mechanizmy władzy sowieckiej i o ich wpływ na świadomość ludzi. Literatura zajęła się przeszłością. Ledwie pozwolono zadawać pytania, okazało się, że zawodowi historycy świadomie i planowo kłamali. Na konferencji historyków w 1962 roku A. Sniegow stwierdził, że fałszowanie dokumentów i przeinaczanie faktów nabrało gigantycznych rozmiarów i zaproponował ustanowienie dla historyków przysięgi, podobnej do przysięgi Hipokratesa: „Aby uzyskać dyplom doktora medycyny, należy złożyć przysięgę albo uroczyste zobowiązanie, że człowiek będzie uczciwie pracował, a nie zatrąwał żołądki. Może doktor historii również powinien złożyć zobowiązanie, że będzie uczciwie wykorzystywał dokumenty, a nie zatrąwał mózgi ludzi”<sup>11</sup>.

Pisarzy, pragnących zrozumieć przeszłość interesują następujące główne zagadki: rewolucja, prawdziwa rola Stalina i innych przywódców partii, kolektywizacja — droga przez mękę milionów

---

11. Ćwierć wieku później sowieccy historycy, którzy uchylili się od przysięgi, znów się kajali: łgaliśmy, łgaliśmy, łgali...

chłopów, terror lat 1937-1938, który wrzucił w tryby maszyny do siekania mięsa całą ludność ZSSR, obozy koncentracyjne, o których wszyscy wiedzą i wszyscy milczą, wojna i druzgocące porażki jej pierwszych dwóch lat. Liczne książki podejmują te i inne kwestie i udzielają na nie różnych co do siły wyrazu i głębi odpowiedzi. Należy do nich „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza”, jeden z kamieni milowych literatury rosyjskiej i myśli społecznej. Powieść Sołżenicyna, jedno z największych osiągnięć rosyjskiej prozy XX wieku, miała wielkie znaczenie polityczne. Zgoda na jej wydanie oznaczała, że kaci przyznają, iż łagry i terror rzeczywiście istniały. Ogłoszonym za granicą licznym świadectwom ofiar nie dawano wiary. Świat czekał na potwierdzenie katów — i uzyskał je.

W latach „odwilży” nie tylko zrehabilitowano wiele ofiar — z reguły pośmiertnie — ale też przywrócono literaturze wielkich pisarzy Andrieja Płatonowa i Michaiła Bułhakowa (przyjdzie jednak poczekać jeszcze ćwierć wieku, by można zacząć mówić o publikacji wszystkich ich dzieł). Powstają pierwsze formy wyrażania myśli i uczuć poza cenzurą. Bułat Okudźawa, Aleksander Galicz i Władimir Wysocki zdobywają ogromną popularność bez pomocy (i mimo przeszkód) państwowych środków przekazu. „Jest magnetofon firmy Jauza — śpiewał Galicz — i to wystarczy”. Rodzi się samizdat. Teksty odrzucone przez cenzurę — która pilnie kontroluje skalę „odwilży” — przechodzą do samizdatu. Ręcznie przepisywane opowiadania, powieści i nowele rozchodzą się po kraju. „Erika’ bierze cztery przebitki — ciągnie Galicz — i to wystarczy”. Powieści Sołżenicyna i „Opowiadania kołymskie” Szalamowa zdobywają rozgłos dzięki samizdatowi.

Epoka Chruszczowa, okres ożywienia życia umysłowego, była też okresem bujnej działalności reformatorskiej. Można by wręcz mówić o okresie „wielkich reform”, gdyby przeważająca ich większość nie okazała się wkrótce pustym głośłowiem. Pierwsze zmiany po śmierci Stalina dotyczyły wsi: władza zmniejszyła nacisk na kołchoźników, obniżyła normy dostaw obowiązkowych, zlikwidowała obowiązek zasiewów na rozkaz „z góry” (rejon — wciąż jeszcze nie kołchozy i kołchoźnicy — mogą odtąd same decydować, co i kiedy siał). Uchwalono „reformę”, pozwalającą ominąć problem: powiększono kołchozy drogą komasacji i zamieniono w sowchozy. Cel: przekształcenie kołchoźników w najemnych robotników rolnych. Próbą obejścia problemu sowieckiego rolnictwa było też „zagospodarowanie ugorów” i „kukurydzycja” ZSSR.

Uchwalono również środki, mające poprawić stan przemysłu.

Chruszczow bezlitośnie skrytykował pracę *Gosplanu* (Komisji Planowania) i porównał jego urzędników do prestidigitatorów cyrkowych, zonglujących liczbami „wziętymi z powietrza, bez znajomości sprawy, bez głębokiej analizy”.

Zarówno w rolnictwie jak w przemyśle reformy sprowadzały się do „przebudowy zarządzania”, do prób zmiany metody kierowania bez zmiany modelu ekonomicznego. Chruszczow starał się trochę zdecentralizować system zarządzania. Niektóre ministerstwa przeniesiono z Moskwy na prowincję, bliżej „zarządzanych”. Chruszczow wymusił stworzenie terenowych rad gospodarczych (*sownarchozów*), na które nałożono obowiązek czuwania nad gospodarką rejonową, wykorzystaniem miejscowych zasobów naturalnych i lokalnym przemysłem. *Sownarchozy* miały pomóc pierwszemu sekretarzowi w walce z nadmierną centralizacją. Upatrując głównego przeciwnika w stalinowskim aparacie, Chruszczow wywalczył główną reformę. Pod koniec 1962 roku plenum KC postanowiło podzielić partię na rolniczą i przemysłową. Po raz pierwszy w dziejach ZSSR próbowano zrobić zamach na fundament systemu — jedność partii. Chruszczow bynajmniej tego nie pragnął, przyświecał mu całkiem inny, konkretny cel — rozbicie wrogiego mu aparatu — ale mimo to przeprowadził reformę, która mogła doprowadzić do powstania dwóch partii. Pomysł stworzenia dwóch partii wysunięto otwarcie tylko raz, w 1926 roku. Jakow Ossowski, robotnik i komunista od 1918 roku, opublikował wówczas w *Prawdzie* (w dziale dyskusji) propozycję: „Trzymając się zasady absolutnej jedności i jedyności naszej partii, nie dopuszcza się w organizacjach i prasie partyjnej do swobodnej wymiany poglądów, mimo że w samej partii istnieją różnice zdań w związku z różnorodnością gospodarki”. Ossowskiego usunięto z partii jako opozycjonistę.

Reformatorska działalność Chruszczowa ogarnęła wszystkie dziedziny życia ZSSR. Uchylono antyrobotniczą ustawę z 1940 roku, przypisującą robotników do zakładu i surowo karającą spóźnienia i opuszczenie stanowiska pracy; wprowadzono płacę minimalną i nowy system ubezpieczeń społecznych. W lipcu 1964 roku wprowadzono po raz pierwszy emerytury dla kołchoźników. Na budownictwo mieszkaniowe przeznaczono znaczne sumy. Przyjęto uchwałę, że pora „skończyć z głodem mieszkaniowym” za 10-12 lat, tzn. do końca lat 60-tych. Plan był równie fantastyczny jak większość pozostałych, ale mimo to przez dziesięć lat rządów Chruszczowa park mieszkań w miastach podwoił się i chociaż „chruszczomy”, jak zaczęto nazywać pospiesznie zbudowane bloki, szybko znalazły się w opłakanym stanie, sytuacja mieszkaniowa licznych rodzin polepszyła się. Chruszczow wymógł też uchwa-

lenie reformy szkolnictwa pod hasłem „szkoła bliżej życia”. Nieprzemyślana i nieprzygotowana reforma szkolnictwa została zapomniana natychmiast po jego upadku.

W dniu śmierci Stalina sowieckie imperium obozowe, „archipelag GUŁag”, liczyło według najostrożniejszych obliczeń od 8 do 9 milionów więźniów. Ogłoszona w marcu 1953 roku amnestia dotyczyła tylko więźniów kryminalnych. Powstania, które wybuchły wiosną i latem 1954 roku w licznych obozach rozmaitych wysp „archipelagu” — w Republice Komi, na Syberii i Uralu, w Kazachstanie, w Azji Środkowej — kazały następcom Stalina zastanowić się nad przyszłością imperium obozowego. Po XX Zjeździe zaczęły się masowe zwolnienia *zeków*. Utworzono specjalne komisje rehabilitacyjne, mające prawo zwalniać więźniów od ręki, prosto z obozu. Chruszczow przejdzie do historii jako człowiek, który wyzwolił miliony więźniów. Rehabilitowano „ofiary nieuzasadnionych represji” — tak brzmiała uświęcona formuła — wojskowych, działaczy partyjnych, ludzi kultury. Rehabilitacja zatrzymała się przed progiem moskiewskich procesów lat 1936-1938. Słuchy o rehabilitacji Bucharina i niektórych innych towarzyszy Lenina nie wyszły poza ramy pogłosek. Ożywiona dyskusja na temat reformy sądownictwa, w toku której domagano się obecności adwokata od chwili aresztowania podejrzanego, zakończyła się uchwaleniem nowego kodeksu karnego, który w niczym nie zmieniał poprzedniego systemu prawnego.

„Epoka Chruszczowa” zakończyła się w listopadzie 1964 roku. Związek Sowiecki stał się po raz pierwszy w swych dziejach widownią udanego przewrotu pałacowego — pierwszy sekretarz KC został obalony. Chruszczow był sam autorem swojego upadku: zdemaskowanie „kultu jednostki”, zanegowanie „boskiej natury” generalnego sekretarza umożliwiły spiski. Nie ścinając głów przeciwnikom, którzy w czerwcu 1957 roku głosowali przeciwko niemu, Chruszczow pokazał, że nieudany spisek nie grozi śmiercią. Wreszcie fakt, że w 1957 roku Chruszczow posłużył się plenum KC przeciw Biuru Politycznemu podpowiedział spiskowcom — przewodził im członek Biura Politycznego Susłow — taktikę obalenia pierwszego sekretarza.

Niezadowolenie z polityki Chruszczowa wynikało z całego zespołu rozmaitych powodów. Po obaleniu go zarzucano mu liczne grzechy w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Oskarżono go o konflikt z Chinami i umieszczenie rakiet na Kubie, a następnie ustępstwo pod naciskiem Stanów Zjednoczonych; zarzucono mu porażki w rolnictwie i nadmierne upodobanie do reform. Sowieccy historycy przypięli „epoce Chruszczowa” łatkę „wolun-

taryzmu". Wszystkie zarzuty pod adresem pierwszego sekretarza były uzasadnione. Można by do nich dodać wiele innych. Ale Chruszczow był „woluntarystą” w tej samej mierze co Stalin i co jego następcy. W kraju, w którym władzę sprawuje jedna partia — samozwańcze uosobienie rozumu, honoru, sumienia itd. — jest naturalne, że przywódca tej partii ucieleśnia te same cechy. Klęskę Chruszczowa tłumaczy nie fakt, że był „woluntarystą”, a fakt, że był nim nie dość. Pierwszy sekretarz przeliczył się, przecenił swe siły, przedwcześnie uznał, że zdobył już pełną władzę.

#### IV. EPOKA BREŻNIEWA

Na miejsce obalonego Chruszczowa wybrany został Leonid Iljicz Breżniew, drugi sekretarz za czasów swego poprzednika. Powtórzyła się — do najmniejszych szczegółów — sytuacja z chwili po śmierci Stalina: poprzednika nowego *genseka* oskarżono o „woluntaryzm” i skupienie w swych rękach zbyt dużej władzy oraz uchwalono, że stanowiska generalnego sekretarza i prezesa Rady Ministrów nie będą odtąd łączone w jednym ręku, jak za Stalina i Chruszczowa. Ogłoszono powrót do „kolektywnego kierownictwa” i „leninowskiego stylu pracy”. Winę za trudną sytuację w licznych dziedzinach życia i „nierozwiązane problemy” przypisano byłemu pierwszemu sekretarzowi.

Niedawną uchwałę o podziale partii na rolniczą i przemysłową natychmiast uchylono. W ślad za tym wykreślono ze statutu partii włączony doń z inicjatywy Chruszczowa paragraf o obowiązkowej wymianie w najbliższych wyborach od 25 % do 50 % członków kierowniczych instancji partyjnych wszystkich szczebli aż do prezydium KC. Nomenklaturowe stanowiska partyjne ponownie stały się dożywotne. Na XXIII Zjeździe partii (1966), pierwszym zjeździe pod kierownictwem Breżniewa, przywrócono tradycyjne stalinowskie (datujące się z czasów Lenina) nazwy najwyższych instancji: prezydium KC znów nazywa się Biurem Politycznym, a pierwszy sekretarz sekretarzem generalnym.

Doświadczenie przewrotu pałacowego podyktowało Breżniewowi, jak strzec się podobnego niebezpieczeństwa. Chruszczowa usunęły sekretariat KC i prezydium, które przedstawiły plenum KC uchwałę do zatwierdzenia. Na XXIII Zjeździe wprowadzono do statutu partii paragraf, zgodnie z którym generalnego sekretarza wybiera plenum. Zatem tylko plenum może go usunąć. Jest jasne, że łatwiej zebrać dostateczną liczbę spiskowców wśród

dwudziestu członków sekretariatu i Biura Politycznego, aniżeli wśród setek członków KC.

Początkiem „nowej ery” ogłoszono „październikowe plenum” (1964), na którym doszło do władzy nowe kierownictwo, oraz „majowe plenum” (1965), na którym Breżniew przedstawił swój program rozwiązania wszystkich problemów i usunięcia wszystkich trudności.

Przewodniczący Rady Ministrów Kosygin rzucił hasło reformy gospodarczej. Rozpoczęto ją jeszcze za czasów Chruszczowa, w 1962 roku. Naczelną myśl reformy wyłożył E. Liberman w artykule „Plan, zysk, premia”, opublikowanym w *Prawdzie* 9 września 1962. Liberman proponował, by kryterium wydajności przedsiębiorstw była nie ogólna objętość produkcji, lecz zysk ze sprzedaży, by wziąć pod uwagę podaż i popyt oraz wykorzystać bodźce materialne dla zwiększenia wydajności pracy. Nie były to propozycje nowe. Podobny projekt reform został sporządzony przez polskich ekonomistów w 1956 roku. Podobnie jak w Polsce, tak i w Związku Sowieckim próby wprowadzenia do „modelu socjalistycznego” elementów gospodarki rynkowej napotkały opór politycznej struktury państwa. Projekt „reformy Kosygina”, uchwalony na plenum we wrześniu 1965 roku i zatwierdzony przez XXII Zjazd w marcu 1986 roku, został w praktyce na papierze. Reforma była skazana na przegraną, bo usiłowała pogodzić zwiększenie uprawnień przedsiębiorstw ze zwiększoną centralizacją (wszystkie chruszczowowskie instytucje decentralizujące zlikwidowano).

Sąd nad pisarzami Andriejem Siniawskim i Julijem Danielem w lutym 1966 roku dał sygnał do odwrotu od „odwilży”. Ferment, jaki nastąpił po śmierci Stalina zaczął wychodzić poza dozwolone ramy. Władimir Bukowski wspomina w „I powraca wiatr...”: „W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyrastały jak grzyby po deszczu organizacje, związki, grupy i nawet partie najrozmaitszych odcieni”. Część z nich działała w podziemiu, część usiłowała działać jawnie. Proces Siniawskiego i Daniela, pierwszy pokazowy proces ery po-stalinowskiej, pokazał, że nowe kierownictwo jest zdecydowane położyć kres „fermentowi i wrzeniu”, czyli nadziejom ery Chruszczowa. Surowy wyrok — 7 i 5 lat obozu za opublikowanie na Zachodzie utworów literackich — oznaczał, że porządek będzie przywracany z całą stanowczością.

Inwazja Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku pokazała, że kolejne kierownictwo sowieckie zamierza utrzymać ład nie tylko we własnym kraju, ale i w całym obozie socjalistycznym. Kryzys

czechosłowacki był skutkiem próby reform, mających pokonać kryzys gospodarczy i polityczny w CzSR. Obalenie Chruszczowa i dojście do władzy Breżniewa odbiły się w Czechosłowacji zmianą na stanowisku pierwszego sekretarza KC: w styczniu 1968 roku miejsce Antonina Novotnego zajął Aleksander Dubczek. Podobnie w 1956 roku walka na szczytach w Moskwie spowodowała falę buntu w Polsce i rewolucję na Węgrzech.

Od stycznia do sierpnia 1968 roku Dubczek i jego zwolennicy usiłowali ulepszyć system, zmienić pewne szczegóły, które — ich zdaniem — szpeciły „ludzką twarz” socjalizmu.

Chruszczow wiernie wyraził uczucia przywódcy partii komunistycznej, zmuszonego do zgody na pewne reformy: „... Kierownictwo szło na odwilż, i szło świadomie, i świadomie bało się trochę tej odwilży, dlatego, że jakby z tej odwilży nastąpiła powódź... Bali się więc, że kierownictwo nie da rady uporać się ze swoimi zadaniami i kierować sowieckim łożyskiem...”. Każdy kraj socjalistyczny, który przeszedł przez kryzys i okres reform, w innym momencie osiągał punkt krytyczny. Na Węgrzech było nim — zdaniem Chruszczowa — utworzenie rad robotniczych i zezwolenie na powstanie partii nie komunistycznych. Sam Chruszczow przypłacił swoje reformy utratą stanowiska w chwili, kiedy postanowił podzielić partię. W Czechosłowacji granicę cierpliwości „bratnich” partii wyznaczyło zniesienie cenzury. W lipcu 1968 roku Gomułka, domagając się ukrócenia czechosłowackiego „eksperymentu”, groził: „Zniesienie cenzury oznacza, że kierownictwo partyjne zrezygnowało z wywierania choćby najmniejszego wpływu na życie kraju”.

Nocą 21 sierpnia 1968 zaczęła się największa operacja wojskowa w Europie od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Armie krajów Paktu Warszawskiego w liczbie 650 tys. żołnierzy zajęły Czechosłowację. Operacja przebiegła tym lepiej, że Dubczek dawno już zapewnił, że wojska czechosłowackie nie będą stawiały oporu. 15 września *Prawda* tłumaczyła: „profilaktyczne uderzenie” było „internacjonalistycznym obowiązkiem”, który nakazuje bronić socjalizmu zawsze i wszędzie. Sformułowana zostaje podstawowa zasada stosunków w obozie socjalistycznym: „Państwo socjalistyczne, ogniwo łańcucha innych państw, stowiących wspólnotę socjalistyczną, nie może być niezależne od ogólnych interesów tej wspólnoty”. Innymi słowy: kraj, w którym władza należy do partii komunistycznej, na wieki pozostanie komunistycznym. W razie zagrożenia dla partii ze strony własnego narodu przyjdą jej z pomocą „inne państwa członkowie wspólnoty socjalistycznej”. Zachód nazwie tę zasadę „doktryną



Breżniewa”, zapominając, że podstawą sowieckiej polityki zagranicznej był od początków ZSSR „internacjonalizm proletariacki”. Pod tym hasłem Lenin skierował w 1920 czerwone dywizje do Polski, ustanowił władzę sowiecką na Zakaukaziu w latach 1920-1921...

W odpowiedzi na zarzuty bezprawnej okupacji Czechosłowacji *Prawda* pisała 26 września 1986: „W społeczeństwie klasowym nie istnieje i nie może istnieć prawo ponadklasowe. Ustawy i normy prawne podporządkowane są prawom walki klasowej, prawom ogólnego rozwoju...”.

Po okrzepnięciu na stanowisku generalnego sekretarza Breżniew ustabilizował system, który szybko doszedł do siebie po rozterkach i wrzeniu destalinizacji. Okres zastoju i widzialnego gołym okiem regresu ekonomicznego był zarazem okresem uspokojenia i ufnej wiary, że wszystko pozostanie bez zmian. Przede wszystkim uspokoił się aparat partyjny. Dla breżniewowskiego stylu rządzenia typowe było zostawianie na stanowiskach przywódców partyjnych w republikach i w średnim aparacie oraz „cicha czystka” na najwyższych szczeblach władzy. Z 14-tu członków chruszczowowskiego Politbiura Breżniew zachował pod koniec lat 70-tych pięcioro, a usunął siedmioro; dwóch — F. Kułakow i K. Mazurow — niespodziewanie i tajemniczo zmarło. Równie starannie „oczyścił” Breżniew sekretariat KC, zastępując wszystkich niepewnych swoimi ludźmi.

System sowiecki osiągnął w latach Breżniewa „stały rytm”. Terror — fachowo dozowany przez Andropowa (15 lat na czele KGB!) — nabrał charakteru selektywnego. Obok tradycyjnych środków represji — aresztowań, długich lat obozu czy więzienia — wprowadzono nowe — przede wszystkim szpitale psychiatryczne i przymusowe leczenie. Wróciły znane z lat stalinowskich procesy pokazowe. Do arsenału spektakli sądowych doszły wyznania skruszonych „dysydentów” na konferencjach prasowych dla dziennikarzy zagranicznych i telewizji. Wiktor Krasin opisał w swych wspomnieniach („Sąd”), jak Andropow przyjeżdżał do niego do więzienia, aby osobiście nakłonić skruszonego „dysydenta” do wystąpienia na konferencji prasowej. W walce z „dysydenctwem” uciekano się hojną ręką do emigracji. W 1922 roku sam Lenin sformułował artykuł kodeksu karnego, przewidujący banicję z Republiki Rad jako najwyższy wymiar kary, wyższy od śmierci. Na karę tę skazano po raz ostatni Trockiego w 1929 roku. W 1974 roku następcy Lenina przypomnieli sobie testament Nauczyciela i deportowali Aleksandra Sołżenicyna. „Dysydentów” zaczęto wymieniać na szpiegów. Pozwolono wyjeżdżać Żydom. Tej „liberalnej metodzie” przyświecało kilka celów:

pozwaląca pozbyć się niewygodnych ludzi a zarazem przedstawić Związek Sowiecki jako państwo z „ludzką twarzą”. Zarazem zwiększanie i zmniejszanie rozmiarów emigracji stało się środkiem nacisku na zachodnie — głównie amerykańskie — kręgi polityczne i przemysłowe. „Dysydenci” i Żydzi stali się towarem wymiennym i zakładnikami. Wreszcie wyselekcjonowanie Żydów jako jedynej grupy obywateli sowieckich, mogącej liczyć na wyjazd z ZSSR, robiło z nich „obcy element” i „piątą kolumnę”.

Powszechna korupcja (za wiedzą władz) stała się narzędziem podziału dochodów. Zastój gospodarczy wymaga gospodarki kontrolowanej nędzy. W listopadzie 1981 roku Breżniew oświadczył na plenum KC, że „problem żywności jest zarówno w planie ekonomicznym jak w planie politycznym centralnym problemem całej pięciolatki”. Generalny sekretarz przyznał, że po sześćdziesięciu pięciu latach istnienia władza sowiecka wciąż boryka się z problemem wyżywienia kraju i w najbliższej pięciolatce (1981-1985) będą „przerwy w dostawach mięsa, produktów mięsnych, tkanin bawełnianych i szeregu innych towarów”. W maju 1982 KC KPZS uchwalił program żywnościowy, który miał „w jak najkrótszym terminie (do 1990 roku) rozwiązać zadanie stałego zapewnienia ludności w żywność”. Program ten, opracowany pod kierownictwem członka Biura Politycznego i sekretarza KC M. Gorbaczowa, nazwano „wydarzeniem unikalnym”. Zdaniem komentatorów, „w kapitalistycznych społeczeństwach nikt nigdy nie postawił sobie za cel zorganizowania produkcji wysokiej jakości produktów żywnościowych w rozmiarach pozwalających urzeczywistnić racjonalne, zalecane przez naukę normy i strukturę wyżywienia...”.

„Epoka Breżniewa” pokazała, że kult jednostki jest nieodłączny od systemu komunistycznego. Podobnie jak jego poprzednicy Stalin i Chruszczow, Breżniew „w naturalny sposób” przeszedł od „kolektywnego kierownictwa” do władzy jednoosobowej (bezlitośnie eliminując wszystkich konkurentów), a potem do „kultu”. Niezliczone ordery, medale, odznaczenia i nagrody miały świadczyć o wielkości generalnego sekretarza. Sześciotomowe wydanie przemówień i artykułów pod wspólnym tytułem „Wzorem Lenina” nie zaspokoilo ambicji Breżniewa. Między 1978 a 1981 rokiem ukazały się cztery cienkie tomiki tekstów autobiograficznych (napisanych przez „murzynów”). Generalny sekretarz zdobył leninowską nagrodę literacką. Najślynniejsi pisarze sowieccy wychwalali jego talenty pisarskie. W corocznym spisie autorów przekładanych na języki obce, jaki sporządza UNESCO, Leonid Breżniew widnieje w 1980 roku na piątym miejscu, przed Szekspirem.

Czwarta, obecnie obowiązująca konstytucja ZSSR, uchwalona w 1977 roku, może nosić nazwę „breżniewowskiej”. To za Breżniewa ukończono prace nad tekstem konstytucji zwycięskiego komunizmu, którą planował Chruszczow. Obecna konstytucja różni się od stalinowskiej (1936 r.) dwoma elementami. W konstytucji z 1936 roku rolę partii definiował ogólnikowo artykuł 136. W konstytucji z roku 1977 rola partii określona jest szczegółowo: „Kierowniczą i sterującą siłą społeczeństwa sowieckiego, jądrem jego systemu politycznego, wszelkich organizacji państwowych i społecznych jest KPZS. KPZS istnieje dla narodu i służy narodowi. Zbrojna w naukę marksizmu-leninizmu partia komunistyczna wytycza generalną perspektywę rozwoju społeczeństwa, linię polityki wewnętrznej i zagranicznej, dowodzi wielką twórczą działalnością narodu sowieckiego, nadaje planowy, naukowy charakter jego walce o zwycięstwo komunizmu”.

Zupełną nowością było włączenie do konstytucji rozdziału 4 pt. „Polityka zagraniczna”, której cel został zdefiniowany następująco: „tworzenie korzystnych warunków międzynarodowych dla budownictwa komunizmu w ZSSR...”. Sowieckim siłom zbrojnym konstytucja wyznacza kilka zadań: obronę socjalistycznej ojczyzny, obronę wspólną z bratnimi armiami każdego państwa socjalistycznego i całej wspólnoty socjalistycznej, okazywanie pomocy narodom państw wyzwolonych (na ich prośbę), obronę pokoju na całym świecie.

Okres Breżniewa, epoka zastoju i regresu wewnętrznego, był zarazem okresem energicznej ekspansji zagranicznej ZSSR. Korzystając z polityki „odprężenia” i słabości Stanów Zjednoczonych wskutek wojny wietnamskiej i afery Watergate, Związek Sowiecki sprzyjał zwycięstwu partii komunistycznych w różnych krajach Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. W tych latach stworzono „drugie imperium sowieckie”.

W 1979 roku sekretarz KC Ponomariow stwierdził, po wyliczeniu sukcesów (Wietnam, Laos, Kambodża, Angola, Mozambik, Gwinea-Bisau, Etiopia, Nikaragua, Jemen Południowy): „Toczy się nieubłagany proces zamiany archaicznych ustrojów na postępowe, coraz częściej o orientacji socjalistycznej”. Państwo dotknięte zastojem ekonomicznym kieruje wszystkie siły na wyposażenie wojska w najnowszą technikę. Buduje potężną flotę. Zacołowanie techniczne zwalcza szczególnym sposobem: tworzy potężny aparat pod kierownictwem Komitetu Wojskowo-Przemysłowego, mający wszelkimi możliwymi sposobami — drogą zakupu, kopiowania lub kradzieży — zdobywać za granicą najnowsze odkrycia technologiczne.

Sekretarz KC Ligaczow przyznał, podsumowując lata 60-te i 70-te (*Prawda* z 27 sierpnia 1987), że istniały jeszcze pewne niedociągnięcia: „Narastały zjawiska negatywne, tempo rozwoju gospodarki ekstensywnej osłabło, szerzyły się nadużycia władzy, spadała dyscyplina, obniżał się międzynarodowy autorytet ZSSR”. Równocześnie Ligaczow szermuje „oszałamiającymi” sukcesami: „Dochód narodowy zwiększył się czterokrotnie. Życie ludności stało się materialnie i duchowo bogatsze. Osiągnięto parytet wojskowo-strategiczny ze Stanami Zjednoczonymi”.

Fakt, że Stany Zjednoczone uznały wojskowo-strategiczny parytet ze Związkiem Sowieckim był wielkim sukcesem polityki zagranicznej Breżniewa. Kapitalistyczne wielkie mocarstwo przyznało, że zadanie „dogonienia czołowych państw kapitalistycznych”, jakie Stalin postawił przed Związkiem Sowieckim na początku lat 30-tych, zostało wykonane. Obojętne, że równowagę osiągnięto tylko w dziedzinie wojskowej. Uznanie Związku Sowieckiego za drugie wielkie mocarstwo świata legitymowało wszystkie wysiłki narodów sowieckich i wszystkie ich wyrzeczenia. Poza tym pozwalało ZSSR zaproponować Ameryce podział świata, kondominium. Idea kondominium zdobyła materialną podstawę w postaci parytetu nuklearnego.

Wynikiem uznania równowagi wojskowo-strategicznej była europejska konferencja w Helsinkach. Pomysł takiej konferencji rzucił Chruszczow na początku lat 60-tych. 1 sierpnia 1975 przywódcy trzydziestu dwu państw europejskich oraz prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Kanady podpisali tzw. Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Zachód nie tylko zatwierdził na wieki granice ustanowione po drugiej wojnie światowej (Związek Sowiecki był jedynym uczestnikiem wojny, który w jej wyniku poszerzył swoje terytorium), ale uznał też za nietykalną strefę „socjalizmu realnego”. Odprężenie osiągnęło apogeum. Breżniew nie ukrywał, jak interpretuje sytuację: „Odprężenie — pisał — w żadnej mierze nie podważa i nie może podważyć ani zmienić praw walki klasowej... Nie ukrywamy, że widzimy w odprężeniu drogę do stworzenia korzystniejszych warunków dla pokojowego budownictwa socjalistycznego i komunistycznego” (*Prawda* z 25 lutego 1976). W powieści „Zwycięstwo”, poświęconej konferencji w Poczdamie (1945) i w Helsinkach (1975), Aleksander Czakowski z naciskiem podkreśla, że Stalin położył tylko podwaliny pod zwycięstwo, a Breżniew zebrał jego owoce.

Odprężenie i Akt Końcowy KBWE, zapewniający Moskwie władzę nad obozem socjalistycznym, pozwoliły kierownictwu so-

wieckiemu rozwiązać m.in. „polski problem”, wynikły z narodzin „Solidarności”. Zręcznie manewrując, stwarzając atmosferę niechybnej inwazji, Moskwa uzyskała poparcie Stanów Zjednoczonych dla „mniejszego zła”, tj. wprowadzenia w Polsce stanu wojennego i normalizacji Polski rękami jej własnych obywateli.

W grudniu 1979 roku wojska sowieckie wkroczyły do Afganistanu. Po raz pierwszy od drugiej wojny światowej Związek Sowiecki zaczął poszerzać terytorium swojej strefy. Wojna w Afganistanie, nazwana „spełnieniem internacjonalistycznego obowiązku”, była interpretowana jako realizacja „doktryny Breżniewa”, jako powtórka operacji „Praska Wiosna”. Niespodziewany opór narodu afgańskiego pomieszał szyki sowieckim przywódcom. Inwazja Afganistanu zmieniła się w wieloletnią wojnę, której nie widać końca, która pochłonęła już dziesiątki tysięcy ofiar z obu stron i wyгнаła z ojczyzny miliony Afgańczyków. Oto epilog „epoki Breżniewa”.

Marazm ekonomiczny idący w parze z niebywałymi sukcesami polityki zagranicznej, deprawacja, spowodowana koniecznością dostosowywania się do chronicznego braku najniezbędniejszych towarów i zgoda władz na złą pracę stwarzają rodzaj enklawy ekologicznej, w której człowiek sowiecki mości sobie miejsce. Władza i obywatele ustalają niepisaną i szczególną umowę społeczną, której sześć zasad zawiera popularny dowcip: „Nie ma bezrobocia, bo nikt nie pracuje; nikt nie pracuje, a produkcja wzrasta; produkcja wzrasta, a w sklepach pusto; w sklepach pusto, a nikt nie umiera z głodu; nikt nie umiera z głodu, a wszyscy są niezadowoleni; wszyscy są niezadowoleni, a wszyscy głosują za”.

## V. INTERREGNUM

Pod koniec lat 70-tych Związek Sowiecki stanął przed problemem, genetycznie wpisanym w jego ustrój. Ponieważ władza należy do jednej partii, nie ma żadnych powodów, aby stanowisko generalnego sekretarza nie było dożywotne. W zasadzie także wszyscy jego wybrańcy i pomocnicy mogliby piastować swe stanowiska do śmierci. W listopadzie 1982 umarł po długiej chorobie w wieku 76 lat Breżniew. Stanowisko generalnego sekretarza objął Jurij Andropow (ur. 1914).

Wybór Andropowa rozbudził nadzieje. Związane one były z faktem, że nowy generalny sekretarz wyglądał młodziej i zdro-

wiej niż Breżniew, że jako wieloletni szef KGB znał prawdziwą sytuację w kraju i że w stęchłej atmosferze „epoki Breżniewa” trudno już było oddychać. Wszyscy łaknęli przemian. Rzecz paradoksalna, wybór Andropowa przyjęto radośnie na Zachodzie, gdzie ZSSR umiejętnie rozprzestrzeniał pogłoski o słabości do whisky i znajomości języka angielskiego b. przewodniczącego KGB. Zachód uznał to za dowód zmian ustrojowych w ZSSR.

Pierwsze posunięcia Andropowa miały charakter tradycyjny: włączył mechanizm strachu w nadziei, że zmusi człowieka sowieckiego do wydajniejszej pracy na rzecz socjalizmu. W listopadzie 1982 roku partia przegłosowała ustawę o granicach państwowych ZSSR, która obywatelom sowieckim przypominała słynną stalinowską formułę „granicy pod kluczem”; ustawa o „kolektywach pracy i zwiększeniu ich roli w zarządzaniu przedsiębiorstwami, urzędami i organizacjami” (czerwiec 1983) była w pewnym sensie odpowiedzią na narodziny „Solidarności” w Polsce. Ustawa o kolektywach głosiła konieczność „socjalistycznej samorządności”, w praktyce jednak niczego nie zmieniała, pozostawiając całą władzę nad przedsiębiorstwami w rękach „trójkąta”, w którym — parafrazując Orwella — wszystkie kąty były równe, ale kąt partyjny znacznie równiejszy od pozostałych.

Krótkie rządy Andropowa zaznaczyły się zestrzeleniem koreańskiego samolotu pasażerskiego, zaatakowanego przez sowieckiego myśliwca nad Morzem Japońskim. Zginęło 269 osób. Tragedia pasażerskiego samolotu obnażyła wiele cech systemu sowieckiego: niesłuchany, irracjonalny strach przed „naruszeniem granic”, skrajną centralizację — rozkaz o zestrzeleniu samolotu wydała Moskwa — brak wszelkich humanitarnych uczuć (nawet jeśli samolot zszedł ze swojego kursu i naruszył sowiecką granicę, zdarzyło się to w czasach pokoju).

9 lutego 1984 roku Andropow zmarł po długiej chorobie. Zastąpił go Czernienko (ur. 1911). Spośród wszystkich możliwych kandydatów wybrano najstarszego, którego cała kariera przebiegła w cieniu Breżniewa. Nowy generalny sekretarz zrobił już przy pierwszym wystąpieniu w telewizji wrażenie człowieka zgrzybiałego i przede wszystkim ciężko chorego. Wybór Czernienki był ostatnią barierą, jaką kohorta starców próbowała wzniesić w Biurze Politycznym dla ochrony swoich stołków.

Krótkie rządy Czernienki znamionowała intensywne działalność ustawodawcza. W kwietniu 1984 przyjęto uchwałę „O głównych kierunkach reformy szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego”, w listopadzie KC KPZS uchwalił program melioracji gruntów, który miał — któryż to raz! — ostatecznie rozwiązać

problemy sowieckiego rolnictwa. Program przewidywał m.in. odwrócenie biegu rzek z północy na południe. 10 marca 1985 Czernienko zmarł po długiej chorobie.

## VI. EPOKA GORBACZOWA

11 marca 1985 generalnym sekretarzem KC KPZS został Michaił Gorbaczow. Jego młody wiek (ur. 1931) wydawał się czymś niezwykłym, ale wrażenie to wynikało z podeszłego wieku jego bezpośrednich poprzedników — Stalin został *gensekiem* w wieku lat 43, Chruszczow — 58, Breżniew — 57. Ożywiona działalność Gorbaczowa wydaje się jeszcze żywsza na tle poprzedzającego ją marazmu.

Zacząła się nowa epoka: po Październiku (1917) nadszedł Kwiecień (1985). Już w pierwszych swych przemówieniach nowy generalny sekretarz napiętnował katastrofalne położenie kraju. Stwierdził, że „możliwości socjalizmu” nie zostały wykorzystane w przemyśle, rolnictwie, służbie zdrowia, organizacji transportu kolejowego, budownictwie mieszkaniowym i zaopatrzeniu ludności w żywność. Zarazem podkreślał, że mimo trudności socjalizm rósł i rozkwitał.

Ten zdumiewający paradoks — chwalenie się sukcesami i przyznawanie, że w wyniku sukcesów powstał kryzys — obserwujemy nie pierwszy raz. W 1953 roku następca Stalina odkrył, że kraj znajduje się w katastrofalnym położeniu mimo sukcesów, o których bezustannie trąbiono za życia wodza. W 1964 roku kryzys przypisano „woluntaryzmowi” pierwszego sekretarza, którego nazwisko wykreślono z kart historii. Gorbaczow zrzuca całą winę za gospodarczą, społeczną i kulturalną katastrofę na Breżniewa, który dowodził krajem przez 18 lat.

Rządy Gorbaczowa są w pełnym toku. Ich realnych owoców na razie nie widać.

Specyficzną cechą „epoki Gorbaczowa” jest wykorzystywanie środków masowej informacji dla stworzenia wrażenia ruchu, działań i przemian. Ograniczenie sprzedaży alkoholu zrobiło duże wrażenie, jest to jednak tylko pozór przemian, alkoholizm od niego nie zmalał, tylko zszedł do podziemia. Nie przypadkiem naczelnym słowem „epoki Gorbaczowa” jest *glasnost*. Głos, rozmowa i słowo nigdy jeszcze nie były w takim stopniu instrumentem polityki. Fakt, że wybrano taki a nie inny instrument tłumaczy szczególną rolę „inteligencji twórczej” w propagowaniu

idei *pieriestrojki*, drugiego słowa-kłucza. Zezwolenie na druk szeregu zakazanych dotychczas książek pisarzy, popadłych z rozmaitych powodów w niełaskę, wprowadzenie na ekrany filmów, zalegających od dziesięcioleci na półkach pozwoliło wstrzyknąć kulturze sowieckiej trochę świeżej krwi, bez której już usychała. Kiedy padło hasło-zezwolenie *glasnost'*, okazało się, że szuflady koryfeuszy sowieckiej literatury nie zawierają żadnej nie wydanej książki. Świeżej krwi dostarczyli zmarli prozaicy i poeci lub autorzy książek napisanych przed dziesiątkami lat.

Ustawy, mające zmienić sytuację w gospodarce nie przyniosły jeszcze żadnych rezultatów, jeśli nie liczyć zamieszania i dezorganizacji, wynikłych z pospiesznego wprowadzania w życie nowych zasad.

Najskuteczniejsze i realne rezultaty osiągnął Gorbaczow w polityce zagranicznej. Liczne sowieckie propozycje rozbrojeniowe trafiły na grunt marzeń amerykańskiego prezydenta o podpisaniu z Moskwą układu i dały początek nowemu „odprężeniu”. Gorbaczow osiągnął to, co nie udało się Andropowowi ani Czernienice — uzyskał zgodę Zachodu na usunięcie amerykańskich Pershingów z Zachodniej Europy.

Działania Gorbaczowa należą do tradycyjnych reform, przeprowadzanych po każdej zmianie na stanowisku generalnego sekretarza. Nowy *genssek* burzy aparat poprzednika i zastępuje go własnym. Proces przejmowania władzy przebiega jak zawsze pod hasłem naprawy błędów poprzedników. Generalni sekretarze postępują z żelazną logiką: aby coś zmienić, ulepszyć socjalizm, generalny sekretarz musi mieć władzę absolutną. Tylko proces przemian pozwala mu rozbić stary aparat i zdobyć totalną władzę. Wszystkie zmiany muszą „ulepszać” system, ale nie wolno im go w żadnym wypadku łamać. Jak chętnie powiada Gorbaczow, potrzeba „więcej socjalizmu”.

Opór obecnym zmianom stawiają dziś w ZSSR nie mityczne „jastrzębie” w Biurze Politycznym lub „opozycja” w aparacie. Głównym ich przeciwnikiem jest szary obywatel. Katastrofa „dojrzałego”, „rozwiniętego” socjalizmu — jest rewersem jego sukcesów w dziedzinie kształtowania człowieka sowieckiego. W wyniku budownictwa socjalistycznego, zaznaczonego straszными kamieniami milowymi „czerwonego terroru”, kolektywizacji, pospiesznej industrializacji, jeżowszczyzny itd., itp., powstał człowiek, który stracił zainteresowanie dla pracy i ze strachem czeka na jeszcze gorsze jutro. Tego to człowieka chce Gorbaczow przekończyć do *pieriestrojki*, aby socjalizm poszedł jeszcze dalej.

Apele o *glasnost'* zastępują żądanie swobodnej dyskusji o prawdziwych przyczynach katastrofy. Nawet najodważniejsi



krytycy „epoki Breżniewa” mówią, że zjawiska kryzysowe pojawiły się dopiero „w ostatnim dziesięcioleciu” i że należy koniecznie naprawić tylko „system zarządzania przedsiębiorstwem”.

Stosunek do sowieckiej przeszłości jest papierkiem lakmusowym polityki Gorbaczowa. Po objęciu stanowiska generalnego sekretarza Gorbaczow sprzeciwiał się przez jakiś czas otwarciu dyskusji o historii sowieckiej i podkreślał, że należy skupić wszystkie siły na aktualnych problemach. Zbliżające się siedemdziesiąte Rewolucji Październikowej i apele o *glasnost* we wszystkich dziedzinach kazały mu wreszcie zgodzić się na podjęcie tematów, zwanych „białymi plamami”. Już pierwsze wypowiedzi historyków potwierdziły to, o czym wszyscy doskonale wiedzieli: że sowiecka historia jest sfałszowana, zakłamana, pełna „białych plam”, bo nie wolno wspominać wielu historycznych postaci i epizodów, które odegrały decydującą rolę w życiu kraju. Okazało się np., że spośród dziesięciu postaci, które stały na czele rządu sowieckiego w toku jego siedemdziesięcioletnich dziejów, do najnowszych czasów historycy wymieniali zawsze tylko dwie — Lenina i aktualnego prezesa Rady Ministrów.

Gorbaczow dał dwie dyrektywy: drogi nam jest każdy dzień naszej historii i należy koniecznie zlikwidować „białe plamy”. Znaczący to, że należy nazwać po imieniu ludzi i wydarzenia, wykreślone dotychczas z sowieckiej historiografii, ale nie należy rewidować sowieckiej przeszłości. W książce „Pieriestrojka” i w jubileuszowym przemówieniu 2 listopada 1987 generalny sekretarz pokazał, jak należy interpretować dzieje pierwszego w świecie państwa socjalizmu. Wspomniał mianowicie zły charakter Stalina i jego odpowiedzialność za prześladowania komunistów w latach 1937-1938, ale wysoko ocenił jego walkę z „opozycją” i podkreślił, że kolektywizacja była konieczna mimo pewnych błędów w wykonaniu. Liczbę ofiar kolektywizacji obliczył na „dziesiątki tysięcy”, choć wiadomo niezłomie, że szły one w miliony.

Znaczenie historycznych ekskursów generalnego sekretarza nie ogranicza się do wskazywania drogi historykom. Polityczne posunięcia przywódców sowieckich, które Gorbaczow wybiera jako wzorce do naśladowania, odsłaniają sens jego *pieriestrojki*. W siedemdziesięcioletniej historii ZSSR szczególnie pouczające wydają mu się trzy decyzje: dwie Lenina i jedna Stalina. Chodzi o pokój brzeski (marzec 1918), Nową Politykę Ekonomiczną (NEP, marzec 1921) i pakt z Hitlerem (sierpień-wrzesień 1939). Wszystkie te decyzje — podjęte w chwili kryzysu, w obliczu zagrożenia państwa sowieckiego i wbrew sprzeciwom najbliższych towarzyszy — były, podkreśla Gorbaczow w naciskiem, śmiały,

mądrymi i jedynymi prawidłowymi posunięciami. Każda dawała republice sowieckiej chwilę wytchnienia.

Wskazując bez ogródek te trzy wzorcowe decyzje, Gorbaczow dodaje — już w zawołanej formie — czwartą. W „Pierestrojce” generalny sekretarz robi sensacyjne odkrycie: „Klasyczna w swoim czasie formuła Clausewitza, że wojna jest przedłużeniem polityki, tylko innymi środkami, jest beznadziejnie przestarzała” (str. 200). Znaczenie tych słów powinno przykuć uwagę, ponieważ myśl Clausewitza należała do ulubionych formuł Lenina. Zatem Gorbaczow występuje tu w roli śmiałego reformatora, twierdzącego, że „po raz pierwszy w dziejach jest życiową koniecznością, aby u podstaw polityki międzynarodowej legły normy moralno-etyczne, aby uczłowieczyć, zhumanizować stosunki międzypaństwowe” (str. 200). Odkrycie Gorbaczowa wyda nam się mniej sensacyjne, jeśli sięgniemy do listu Stalina do historyka wojskowości, pułkownika Razina. W lutym 1946 roku Stalin pisał: „Jeśli natomiast chodzi o Clausewitza, to jest on, oczywiście, przestarzały. Sam Clausewitz był przedstawicielem chałupniczego okresu wojny. Ale teraz mamy przemysłowy okres wojny” (*Bolszewik* nr 3, 1946).

W 1946 roku, w oczekiwaniu na sowiecką bombę atomową w odpowiedzi na nową broń Amerykanów, Stalin podkreśla, że należy przejść do obrony przygotowując zarazem kontruderzenie. Czterdzieści dwa lata później Gorbaczow cytuje Stalina i powtarza jego manewr.

„Nowa myśl polityczna” Gorbaczowa jest niczym innym jak strategią chwilowego odwrotu, ucieczką do warownej twierdzy „niewykorzystanych możliwości socjalizmu” — dla chwili wytchnienia. Jest to sławetny leninowski „krok w tył”, pozwalający później zrobić „dwa kroki w przód”.

*Pieriedyszka* jest konieczna z dwóch powodów. Po pierwsze Gorbaczow wciąż jest w trakcie zdobywania pełnej władzy, jaką potencjalnie może dysponować generalny sekretarz. Po drugie sowiecka gospodarka przeżywa kryzys, co zagraża parytetowi wojskowo-strategicznemu ze Stanami Zjednoczonymi. Utrata parytetu oznaczałaby przy zacołaniu gospodarki sowieckiej upadek ZSSR do rządu trzeciorzędnego państwa. Sens reform Gorbaczowa sprowadza się do zmiany form zarządzania bez zmiany systemu. Sowieckie kierownictwo zdaje sobie sprawę z politycznych ograniczeń możliwych reform gospodarczych. Sformułowany przez Gorbaczowa cel *pieriestrojki* — demokratyczny centralizm plus samorządność — jest zlepkiem dwóch sprzecznych zasad.

Świadom ograniczonych możliwości naprawy gospodarki so-

wieckiej, Gorbaczow stawia sobie za cel zdobycie poparcia Zachodu, który ma Związkowi Sowieckiemu pomóc w zachowaniu witalnego dlań parytetu wojskowo-strategicznego ze Stanami Zjednoczonymi. Odprężenie — chwila wytchnienia — ma pozwolić Gorbaczowowi skonsolidować władzę, podwyższyć choć trochę wydajność modelu sowieckiego i uzyskać pomoc Zachodu.

Posługując się stalinowską koncepcją przejściowych i stałych czynników zwycięstw i porażek w wojnie, można powiedzieć, że obecny etap trwającej już siedemdziesiąt lat walki między światem komunistycznym i niekomunistycznym charakteryzują trzy przejściowe i trzy stałe czynniki. Przejściowe — wymagające wytchnienia: proces konsolidacji władzy generalnego sekretarza, kryzys ekonomiczny, pilna potrzeba poparcia Zachodu. Stałe: przekonanie, że „imperializm jest wrogiem całej ludzkości” („Miedzunarodnoje kommunisticeskoje dwiżenije” pod red. W. Zagładina, Moskwa 1984, str. 10), że w nim „jak wiadomo tkwi główne niebezpieczeństwo wojny” (M. Gorbaczow, „Pieriestrojka”); istnienie sił wrogich imperializmowi (ruchy narodowo-wyzwoleńcze, światowy ruch komunistyczny, pacyfiści, ekolodzy itd.); głębokie przekonanie, że dla zwycięstwa socjalizmu w skali światowej wojna nie jest konieczna. Jak wyraził się Gorbaczow 2 listopada 1987, to, co Związek Sowiecki zdobył przez siedemdziesiąt lat, dostępne jest całej ludzkości.

Przyszłość pokaże, co dała *pieriestrojka*. Na razie warto przypomnieć, co pisał wybitny rosyjski historyk Wasilij Kluczewskij o reformie Piotra Wielkiego: „Była to rewolucja nie z uwagi na swe cele i rezultaty, a wyłącznie z uwagi na odbiór i wrażenie, jakie wywarła na umysłach i nerwach współczesnych. Był to raczej wstrząs, niż przewrót... Reforma Piotra była walką despotyzmu z narodem, z jego marazmem. Piotr miał nadzieję, że groźna władza obudzi samodzielność w zniewolonym społeczeństwie... Chciał, żeby rab, zostając rabem, działał jak człowiek świadomy i wolny”.

Michał HELLER

Paryż, październik 1987

## DROGA PRZEZ MGŁĘ

Z PROFESOR MARIĄ TURLEJSKĄ  
ROZMAWIA R. SOCHA

R. SOCHA: — *Pani profesor, należy pani do grona historyków dziejów najnowszych, którzy nie czekając na sprzyjającą koniunkturę, próbowali podejmować drażliwe wątki, określane obecnie mianem białych plam.*

MARIA TURLEJSKA: — Mnie się wydaje, że mówi się często o białych plamach, tam gdzie właściwie większość faktów jest znana, chociaż może nie były one publikowane albo publikowano je tylko fragmentarycznie. Pakt Ribbentrop - Mołotow, wydarzenia 17 września 1939, wywózki, sprawa Katynia — te białe plamy istnieją w historiografii polskiej częściowo. Zrodziły się one z obaw, że ujawnienie prawdy może zaszkodzić czy to naszym stosunkom ze Związkiem Radzieckim, czy to stosunkom wewnętrznym w Polsce. Tego typu zjawiska związane są z pewnego rodzaju magicznym myśleniem, z przekonaniem, że jeśli się pewnych rzeczy nie nazwie, to one nie istnieją. Podobnie jak w plemionach pierwotnych nie wolno było wypowiadać swojego imienia, aby złe duchy się nie dowiedziały i nie czyniły szkody.

R.S.: — *Jednak sytuacja uległa zmianie. Posłużę się cytatem: „Wszyscy dziś zabrali się do wypełniania sobą białych plam — stwierdza ironicznie felietonista Polityki — poobsadzali siebie w roli adwokatów prawdy i teraz naganiają publiczność do sal, bojną ręką rozdając przepustki i wejściówki. Jest w tym widowisku, przyznaję: ciekawym, coś z odpustowej tandety, coś z wyścigu w workach”.*

M.T.: — Owszem, dużo się mówi o białych plamach. Wszyscy deklarują dobrą wolę, ale na razie więcej wokół tego dyskusji niż namacalnych dowodów. Na przykład, gdzieś na przełomie roku zeszłego i obecnego napisałam spory szkic, dotyczący zabójstwa Marceliego Nowotki, braci Mołojców i całego tego dramatu z początków PPR, wokół którego nagromadziło się wiele zmyśleń, kłamstw i mistyfikacji. W znacznej mierze wzięły one źródło z wersji sformułowanej po raz pierwszy przez Bieruta, który twierdził, że ówczesny dowódca Gwardii Ludowej, członek trójki kierowniczej — Bolesław Mołojec — był agentem defensywy i jako taki zorganizował zabójstwo Nowotki. Nie korzystałam z archiwaliów radzieckich, które w tej kwestii mogłyby wyjaśnić niejedną wątpliwość, niemniej — jak mi się wydaje — mój materiał rzuca trochę nowego światła na tę sprawę. Wysłałam go do *Odry*, gdzie został przyjęty z radością. Potem jednak zapadła głucha cisza. Redakcja z zalem musiała zrezygnować z opublikowania tego artykułu. Na razie ze zdziwieniem stwierdzam, że o niektórych sprawach wciąż jeszcze pisze się mniej, niż pisałam.

R.S.: — *Konkretnie, jakie tematy ma pani na myśli?*

M.T.: — Pod wpływem chruszczowskiej odwilży udało mi się, chociaż nie bez kłopotów, napisać sporo o latach 1939-1941. A z okresu powojennego zdołałam opisać, jak rozpoczęła się wojna w Korei, początki zimnej wojny, przebieg wyborów w Polsce w 1947 roku...

R.S.: — *Udało się. Ale nakład pani książki „Zapis pierwszej dekady”, opublikowanej w 1972 roku, został częściowo wycofany z księgarń.*

M.T.: — Połowa z 20-tysięcznego nakładu.

R.S.: — *Pani natomiast straciła pracę na wyższej uczelni. Zestano panią — tak to chyba można określić — do archiwum.*

M.T.: — Nie od razu, tylko po 8-miesięcznym bezrobociu. I nawet nie do archiwum, tylko do Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, to było raczej urzędnicze stanowisko.

R.S.: — *Spodziewała się pani takich skutków?*

M.T.: — Nie, nie przewidywałam aż tak daleko idących następstw, zwłaszcza że książka odleżała się w cenzurze. A powstała ona w sposób całkiem naturalny — prowadziłam cykl wykładów z zakresu historii najnowszej.

R.S.: — *Historycy niechętnie wkraczają na śliski teren czasów powojennych.*

M.T.: — U nas. Na Zachodzie ta historia najnowsza jest uprawiana.

R.S.: — *Odnoszę wrażenie, że o latach pięćdziesiątych, o doświadczeniu stalinizmu jak dotychczas więcej dowiedzieliśmy się od filmowców niż od badaczy dziejów.*

M.T.: — To prawda. Zresztą jest to charakterystyczne nie tylko dla Polski, bo na Węgrzech sztuka — film i literatura — też więcej powiedziała o roku 1956 niż historycy.

R.S.: — *Czy to nie paradoks? Wspomniała pani o lękach władzy. Przecież sztuka ma zwykle szerszy krąg odbiorców niż prace powstające w zaciszu naukowych gabinetów, drukowane w niewielkim nakładzie, dla fachowców.*

M.T.: — Faktem jest, iż w Polsce wiele filmów węgierskich pokazywano w klubach studenckich, w Węgierskim Ośrodku Kultury, nie wprowadzając ich do normalnego rozpowszechniania, chociaż odnosiły się do Węgier...

R.S.: — *Obecnie mamy już własną produkcję.*

M.T.: — Ona też leżała na półkach. Ale — jak mi się wydaje — rzecz w tym, że w sztuce na przykładzie indywidualnych losów, losów jednostek, znacznie łatwiej jest pokazać to, co się działo. Historycy muszą dysponować materiałem innego rodzaju, potrzebują dostępu do ówczesnych źródeł. Niechętnie sięgają do czasów najnowszych, ponieważ na tym polu skazani są na źródła pośrednie, na materiały prasowe, na relacje świadków i uczestników, którzy po latach wiele spraw przedstawiają w zmienionej wersji, innych w ogóle nie są w stanie przedstawić. Oczywiście, jest kilku historyków, którzy zajmują się tą problematyką. Trzeba tu wymienić przede wszystkim Krystynę Kerstenową z Instytutu Historii PAN i Jerzego Tomaszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego.

Ale podstawową rzeczą w naszej pracy jest dostęp do archiwów. I pod tym względem chyba nic się na razie nie zmieniło. A bez tego interpretacja niektórych wydarzeń będzie utrudniona. Cóż, generalnie, mówienie o tym, co wydarzyło się po 1944, 1945 roku przysparza kłopotów, bo właściwie bezpośrednio dotyczy tego, co się dzieje dzisiaj.

R.S.: — *W przedmowie do „Zapisu pierwszej dekady” stwierdziła pani, że mimo wszystko nie wolno czekać, nie wolno zaniechać pisania o historii współczesnej, ponieważ zaistniała luka rychło wypełnia sterowana mitologia lub ustna tradycja — obie zniekształcające rzeczywistość, zależnie od interesów ich autorów. W tej opinii pośrednio zawarta została ocena stanu naszej wiedzy o dziejach najnowszych. Co zaliczyłaby pani do najbardziej rażących przeinaczeń, pilnie wymagających korekty?*

M.T.: — *Jeśli chodzi o okres międzywojenny, panują dwa stereotypy, które wzajemnie się wykluczają. W ramach owej sterowanej mitologii powstał w latach stalinowsko-bierutowskich obraz czarny, stopniowo nabierający odcieni szarości, ale w sumie negatywny, nie doceniający tego, co osiągnięto w dwudziestoleciu. Z drugiej strony ustną tradycję zdominował obraz zdecydowanie apologetyczny, zawierający między innymi całkowicie pozytywną ocenę postaci historycznych, chociażby Piłsudskiego przed i po przewrocie majowym. Utrwalił się też stereotyp Polaka — męczennika, bohatera pozbawionego wad. Tymczasem na historię polską, historię naszego społeczeństwa, narodu, państwa, powinnościśmy patrzeć podobnie, jak patrzymy na historię innych narodów.*

R.S.: — *A w dziejach powojennych?*

M.T.: — *Też był to obraz jednostronny, który w pewnych momentach ulegał nieznacznemu pogłębieniu. Myślę, na przykład o działalności komisji zajmującej się — pod przewodnictwem Hieronima Kubiaka — badaniem kolejnych kryzysów. Jednakże w ostatecznym rozrachunku z bogatych, wielostronicowych opracowań wyszła cieniutka broszurka, na podstawie której trudno się zorientować, jak wyglądały podstawowe przebiegi i przyczyny kryzysów. Moim zdaniem, schemat cyklów od jednego kryzysu do drugiego świadczy o powtarzalności tych samych błędów związanych z pewnym mechanizmem.*

R.S.: — *Główne elementy tego mechanizmu?*

M.T.: — *Wychodząc od ekonomii — dysproporcja między pracą a wynagrodzeniem. Od razu nasuwa się slogan, że skoro praca jest mało wydajna, to i zapłata musi być mała. Ale sedno w tym, że punktem wyjścia powinno być pewne minimum społecznego bytowania. Te sprawy od 1945 roku nie zostały rozwiązane i ciążą po dziś dzień. W istocie rzeczy rozdziew między płacą a potrzebami leżał u źródeł poszczególnych kryzysów. Próby obniżenia standardu życiowego doprowadzały do wybuchów. No i spr-*

wy polityczne, a więc kwestia wolności politycznej dla inaczej myślących, dążenie do zlikwidowania monopolu w dziedzinie informacji, ekonomii, kultury. Patrząc z perspektywy ostatnich trzydziestu paru lat, można powiedzieć, że w wielu sferach (na przykład informacji) monopol ten został przełamany.

R.S.: — *Pomówmy teraz trochę o pani. Ma pani interesującą biografię. Mieszkańcom Wybrzeża, z którym związany jest nasz tygodnik, nazwisko Turlejska kojarzy się ze statkiem noszącym imię pani męża — Jana Turlejskiego. Zapewne była pani matką chrzestną?*

M.T.: — Ten statek został zwodowany jako jednostka „Dalmoru” i dopiero później, w 1954 roku, po przeróbce przekazano go Szkole Rybołówstwa Morskiego, wtedy też otrzymał to imię, ale to już nie były takie chrzciny, jak wtedy, kiedy statek jest wodowany. Niestety, on już nie pływa. W 1985 roku wycofano go ze służby.

R.S.: — *Jan Turlejski zginął w 1941 roku, podczas startu samolotu, przy próbie przerzutu na obszar okupowanej Polski pierwszej grupy inicjatywnej, której zadaniem miało być utworzenie PPR. Pani jeszcze w okresie przedwojennym działała w Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, w czasie okupacji była pani żołnierzem Armii Ludowej. Należała pani do PPR. Zatem można mówić nie tylko o sympatiach, ale wyraźnym usytuowaniu w nurcie lewicy. Jakie były pani ówczesne wyobrażenia o przyszłej Polsce?*

M.T.: — Nie mogę mówić o wyraźnie skryształizowanej pozytywnej wizji, raczej o dość ogólnych postulatach, które skłoniły mnie jako młodą studentkę ku organizacji socjalistycznej. A więc, żeby nie było: bezrobocia, nędzy, ucisku społecznego, narodowego... Przypuszczam, że podobne motywy kierowały innymi młodymi ludźmi i popychały ich w szeregi opozycji. Zresztą i teraz dzieje się podobnie. W każdym razie nie była to konkretna i spójna propozycja, jak ma wyglądać nasze społeczeństwo. Przyszłej rzeczywistości nie można wymyślić przy biurku. To powinien być proces organiczny. Wszystkie błędy naszego systemu biorą się stąd, że nie kształtował się on w wyniku organicznych procesów, tylko stanowi efekt nazbyt mechanicznej realizacji sformułowanej doktryny.

Nasze założenia pozytywne wynikały z postępowego przekonania, że ludzie są równi, to znaczy, że mają prawo do równego



startu życiowego... W sumie wszystko to było dość naiwne, oparte na nikłej znajomości mechanizmów sprawowania władzy. Chodziło o odrzucenie ówczesnej rzeczywistości, o dążenie do tego, żeby uczynić Polskę krajem demokratycznym, nie rządonym przez monopartię, jaką był OZON. Wprawdzie istniała wtedy legalna opozycja, ale spychano ją na margines życia politycznego. Moje poglądy stanowiły po prostu reakcję na ówczesne realia.

Późniejszy związek z PPR był świadomą kontynuacją obecności w tym nurcie. W programach wysuwanych przez PPR powtarzały się hasła obecne w programach innych postępowych ugrupowań — nacjonalizacja przemysłu, reforma rolna, planowanie...

R.S.: — *Po wyzwoleniu znalazła się pani w pobliżu elity władzy, zaangażowała w tworzenie nowego ładu...*

M.T.: — Rzeczywiście do 1948 roku pracowałam — najpierw w Wydziale Propagandy, potem w Wydziale Historii KC PPR.

R.S.: — *Jakie to miało znaczenie dla pani zainteresowań naukowych?*

M.T.: — O nauce jeszcze trudno było mówić. Do 1948 roku pisałam artykuły o PPR w latach okupacji. Chciałam pokazać jej działaczy, zwłaszcza tych, którzy zginęli w czasie wojny. PPR miała wtedy nieduże wpływy, uczestniczyła jednakże w polskim ruchu oporu. Byli w jej szeregach wspaniali ludzie — komuniści i socjaliści. Rozpowszechnione mniemanie, że byli to tylko „agenci Moskwy”, to duże uproszczenie. Jednocześnie oficjalna propaganda przemilczała zasługi innych, związanych z AK i rządu polskiego w Londynie. Tych potępiano. W latach 1949-1955 niewiele pisałam i mam do tego stosunek krytyczny.

R.S.: — *Przebyła pani drogę od tzw. słusznych pozycji do niesłusznych.*

M.T.: — Niełatwo do tego wracać. To był okres wielkiego rozdarcia, niejasności, dysonansu poznawczego. Kilka osób z mojego bliskiego otoczenia znalazło się w więzieniu. Potępiono Gomułkę, który był aresztowany. Podobnie jak Spychalski, Kliszko i wielu innych. Dramat polskiego komunisty pokazuje film „Matka Królów” według książki Kazimierza Brandysa. Autor sportretował w niej jednego z naszych wspólnych przyjaciół, który przez trzy i pół roku dzielił celę z Kurtem Heinemayerem z krakowskiego gestapo. Trudno dziś zrozumieć tamte lata. Dominował wów-

czas strach. Każdy się lękał, że zostanie nie tylko aresztowany, ale także odsądzony od czci i wiary. Trudno było uwierzyć, że ten czy ów, który siedział, był wrogiem, ale jednocześnie nie mogłam pojąć, dlaczego został tak potraktowany? Sama też nie byłam pewna, czy partia ma jeszcze do mnie zaufanie. Czy trzeba wszystko odrzucić, bo weszliśmy na fałszywą drogę? A może po prostu wszystkiego nie wiemy? Może z czasem sprawy się wyjaśnią? Nic, tylko noc i mgła.

Dopiero po śmierci Stalina zaczęto ujawniać pewne fakty. Proces destalinizacji był jednak powolny. Marian Spychalski siedział nadal i szykowano jego proces w 1955 i 1956 roku. Chodziło mi o działanie na rzecz jego uwolnienia. (Nastąpiło ono dopiero po śmierci Bieruta). Tymczasem moje próby przyspieszenia procesu destalinizacji zakończyły się usunięciem mnie z partii i z pracy jeszcze w marcu 1955 roku.

Przez długi jednak czas o różnych sprawach myślałam starymi kategoriami. Działyły nawyki, które należało zmienić, uwolnić się od dogmatów, odrzucić uświęcone tezy, w pewnym sensie programujące myślenie o rzeczywistości. Trzeba było zerwać ze zmystyfikowanym językiem i z jego paradoksami, uświadomić sobie, na przykład, że nie ma dyktatury proletariatu, tylko jest dyktatura — że dyktatura jest dyktaturą niezależnie od przydanych określeń. Trzeba było przywrócić słowom ich dawne znaczenie.

R.S.: — *Przestała się pani identyfikować z ideą...*

M.T.: — *Idea... Stary Engels, wykorzystując stare angielskie przysłowie, mawiał, iż smak puddingu próbuje się jedząc go (The proof of the pudding is in the eating). Tak samo socjalizm daje się sprawdzić w zrealizowanej wersji. Musimy mieć świadomość, iż rzeczywistość często dyskredytuje ideę.*

Zresztą każda partia rewolucyjna z chwilą, kiedy przejmuje władzę, zaczyna inaczej funkcjonować. Widzi się w niej jeszcze dawnych towarzyszy broni, walki, okresu burzy i naporu, kiedy się chciało stworzyć nowy świat. Ale to już są inni ludzie, nie owi rewolucjoniści, którym grozi więzienie, tylko biurokraci — ministrowie, sekretarze. Jest to już zupełnie inna partia — partia przywilejów.

R.S.: — *„Do historii należą również warianty nie zrealizowane, plany nie wykonane, dążenia nie wprowadzone w życie. (...) Historyk wyróżnia z chaosu wydarzeń zjawiska istotne, porządkuje i układa je w ciągi, buduje synchroniczne struktury (for-*

macje, „episteme”), szuka genezy przemian i czynników rozwoju. Ale winien również uświadomić współczesnym, jakie możliwości wyboru rysowały się w przeszłości”. Ta konstatacja pochodzi z pani „Sporu o Polskę”. W badaniach historycznych funkcjonuje kierunek zwany historią alternatywną. Spróbujmy zatem wskazać powojenne alternatywy, momenty, kiedy istniała szansa, aby do głosu doszedł inny wariant, a także określić bliżej owe warianty.

M.T.: — Moim zdaniem, były co najmniej trzy takie momenty. Pierwsza możliwość to utrwalenie stanu z 1945 i 1946 roku. Jeszcze w 1947 roku wydawało się, iż przetrwa formuła demokracji ludowej, która będzie nie dyktaturą proletariatu, lecz — jak się to dziś nazywa — rozwiązaniem pluralistycznym. Bo przecież wówczas istniała legalna opozycja, reprezentowana w Krajowej Radzie Narodowej. Dziś widzimy, że w 1947 roku taka alternatywa nie wchodziła już w grę, ale wtedy o tym jeszcze nie wiedzieliśmy.

Następnie wydawało się, że trwać będą osiągnięcia Października, układ, który wytworzył się w 1956 i 1957 roku. Pewne zdobycze tamtego okresu zachowały się do dziś. Od innych Gomułka zaczął odchodzić na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

R.S.: — *Słyszałam, że spotykała się pani z Władysławem Gomułką po Sierpniu 1980.*

M.T.: — Od lutego 1980 do połowy 1981 roku. Odebrałam z nim około dwudziestu rozmów. Pracuję teraz nad książką „Rozmowy z Gomułką”, ale niezbyt mi to idzie.

R.S.: *Oceny tej postaci oscylowały między totalnym potępieniem po Grudniu 1970 a żywiołową apologetyką po śmierci w 1982 roku.*

M.T.: — Cóż, musi być chociaż jeden przywódca, którego można by umieścić na cokole.

R.S.: — *A pani opinia?*

M.T.: — Po co pisać hagiografię? Gomułka jest postacią historyczną, którą trudno jednoznacznie określić. Zaczynał bardzo dobrze w październiku 1956 roku. Otrzymał poparcie większości społeczeństwa, jak żaden z przywódców komunistycznych. Stopniowo jednak zaczął antagonizować, najpierw inteligencję (list trzydziestu czterech z 1964 roku), potem Kościół (list do bisku-

pów niemieckich), wreszcie studentów w 1968 roku, a robotników w 1970.

R.S.: — *Jaki charakter miały te rozmowy? Zawierały usprawiedliwienie? Wyjaśnienie motywów poszczególnych decyzji politycznych?*

M.T.: — Gomułka niechętnie przyznawał się do błędów. W zasadzie uważał, że prowadził słuszną politykę i to, co go spotkało, było nieuzasadnione i krzywdzące. Prawdopodobnie sądził, chociaż *expressis verbis* tego nie wyrażał, że kryły się za tym elementy prowokacji czy manipulacji.

R.S.: — *Wróćmy do wątku alternatyw.*

— Trzecią szansą był oczywiście rok 1980. Stan wojenny nie przekreślił wszystkich zdobyczy Sierpnia. Polityka kulturalna jest bardziej otwarta niż była kiedykolwiek przedtem. Kryzys gospodarczy jednak trwa. I wydaje się, że wyjść z niego będzie można tylko przez radykalne zmiany polityczne.

**Wywiad z Marią Turlejską**  
ukazał się w piśmie *Wybrzeże* 6 grudnia 1987.

# WSPOMNIENIA

Adina BLADY-SZWAJGER

## SZPITAL W GETCIE

(1939-1943)\*

### *Wstęp*

To moja wina, że dopiero teraz piszę, kiedy tak wiele spraw zatarło się w pamięci. Zaraz po wojnie postanowiłam, że niczego nie napiszę: to wszystko jest nie do opowiadania, ani do czytania. Tak mi się wydawało. Teraz, kiedy już wiem, jak niewiele czasu mi zostało, mam uczucie, że zostałam komuś coś winna.

### *Powrót ze Lwowa*

Wróciłam do Warszawy w grudniu 1939 roku, zostawiając we Lwowie wszystko, co zabrałam ze sobą, kiedy wyjeżdżałam w październiku z domu. Przyszłam-przyjechałam do Warszawy w starym płaszczu, w mufce miałam jedyny „dokument” — jakiś papierek z uniwersytetu. Nie pamiętam, czy dowód immatrykulacji na uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, czy protokół egzaminu z higieny. Chyba to ostatnie, bo przecież przywiozłam sobie do Lwowa zaświadczenie o absolutorium i indeks. Na tej pod-

\* Pierwodruk w *Zeszytach Niezależnej Myśli Lekarskiej* (pismo podziemne) 1986 i 1987.

stawie przyjęto mnie na uniwersytet Jana Kazimierza i zezwolono na zdawanie egzaminów. (Indeks i zaświadczenie o absolutorium zostały we Lwowie w dziekanacie Wydziału Lekarskiego i nigdy ich nie odzyskałam. Odtwarzałam absolutorium po wojnie w Łodzi dzięki obecności tam profesorów Venuleta i Pruszczyńskiego, którzy pamiętali swoich studentów z czasów Uniwersytetu Warszawskiego).

Sądząc jednak z tego, że niczego ze sobą nie zabrałam (pierwsza, ale nie ostatnia utrata dobytku), miałam chyba zamiar wrócić do Lwowa. Po upływie blisko pięćdziesięciu lat nie pamiętam, co zaważyło na nagłej decyzji wyjazdu, podjętej w ciągu paru godzin — czy przeciek wiadomości o wywożeniu wszystkich, którzy jak ja w październiku 1939 „optowali za Polską”, czy strach o mamę pozostawioną w Warszawie. Pamiętam dobrze tylko uczucie bezgranicznego przerażenia, że nigdy nie wrócę do Warszawy, do Polski — Lwów i Białystok wydawały mi się obcyzną, to było za granicą, nie mogłam sobie wyobrazić dalszego życia w odcięciu od domu, mamy i kraju. Myślę, że zadziałało wszystko razem, ale chyba zamierzałam pojechać, ściągnąć mamę i po przeczekaniu wywózki „bieżeńców” — wrócić. Dlatego też został w Białymstoku Stefan, który miał czekać na mój powrót lub wiadomość, że ma przyjechać do Warszawy. Uważaliśmy, że dla mnie jako kobiety ta podróż w obie strony jest bezpieczniejsza niż dla niego.

Oczywiście okazało się, że powrót do Lwowa jest niemożliwy. Stefan wrócił do Warszawy kilka dni po mnie. Wydawało się wtedy, że zrobiliśmy wspaniałe — moich kolegów wywieziono, wielu nigdy nie wróciło.

Ale i nas nie czekało nic lepszego.

Powrót trwał pięć dni. Mówiono, że na Bugu strzelają. Lepiej iść polami koło Małkini. Więc poszłam i od razu zostałam złapaną. Tłumaczyłam się, że idę po matkę — nic to oczywiście nikogo nie obchodziło i zamknięto mnie w chlewie. Zupełnie nie pamiętam, w jaki sposób uciekałam z tego pachnącego gnojem pomieszczenia, ale wiem, że następnego dnia znów znalazłam się na wolności gdzieś koło stacji Czeremcha. Byłam głodna, brudna, niewyspana i zmarznięta. Nigdy nie dowiedziałam się, kim był człowiek, który mi pomógł. Nie wiem nawet, jak się nazywał. Kazał mi udawać swoją żonę i nie odzywać się po polsku, bo Rusini (mieszkańcy Czeremchy byli Rusinami) Polaków nie Kochają i natychmiast wydają w ręce posterunków.

Weszliśmy do jakiegoś domu. Mój towarzysz mówił biegle po rusku. Nie wiem, co im opowiedział, dość, że dostałam jajecznicę, miskę wody do umycia twarzy i rąk, łóżko przykryte czerwoną,

kraciastą pierzyną. W tym łóżku przespaliśmy oboje noc pod tą samą pierzyną i nawet nie wpadło mi na myśl, że leżę w łóżku (co prawda prawie ubrana — pluskwy) z obcym mężczyzną i w ogóle z mężczyzną. Rano wypiliśmy herbatę z kawałkiem chleba i mój towarzysz odprowadził mnie do lasu, gdzie uciekinierzy czekali na zapadnięcie zmroku. Tam pożegnaliśmy się, a ja umówiłam się z grupką przemytników, że będę szła razem z nimi. Był to jedyny sposób przejścia zielonej granicy, bo oni, chodząc stale, znali drogę i orientowali się w zwyczajach straży. Ten dzień przesiadzałam na skraju lasu. Jeść mi się chciało. W pewnej chwili zobaczyłam, że wokół okutanej w kozuch baby gromadzą się ludzie — sprzedawała zupę w brudnych kubkach, z których jadło się kolejno. Bardzo mi smakowała. Gorzej było ze znalezieniem tzw. domu z serduszkami. Wreszcie nos zaprowadził mnie we właściwe miejsce. Niewiele brakowało, a moja podróż przez zieloną granicę skończyłaby się na utonięciu w g.... Ale wyszłam z tego cała, tyle że zgubiłam rękawiczkę — trudno było po nią sięgnąć. Ale miałam mufkę.

Wreszcie zapadła noc i zaczęliśmy iść przed siebie. Oczywiście moi towarzysze podróży gnali przed siebie nie oglądając się na mnie. Zgubiłam ich dość szybko i znalazłam się sama nocą w polu. Gdzieś z boku słyszałam strzały. Bałam się diabelnie, ale uparcie szłam przed siebie. W pewnej chwili wpadłam do strumienia czy wielkiej kałuży. Nie wiem. Cienki лёd chrupnął pod nogą i zapadłam się w wodę prawie po kolana. Wybrnęłam z wody, ale na nogach utworzyły mi się natychmiast dodatkowe buty lodowe. Jakoś to się stało, że nie odmroziłam nóg — chyba przez ten uparty, nieprzerwany bieg naprzód.

Kiedy słońce wzeszło, stwierdziłam, że jestem po właściwej stronie granicy. Niemieckie napisy, plakaty, jakieś *Bekanntmachung*, wreszcie i mundury — żołnierze niemieccy. Byłam w Polsce.

Do Warszawy przyjechałam pociągiem i właściwie pierwsze, co pamiętam, to droga pieszo przez Plac Zamkowy do domu. A zapamiętałam Plac Zamkowy, z którego odjeżdżałam przed dwoma miesiącami dlatego, że na rogu Miodowej zobaczyłam sklep spożywczy — piekarnię — z bułkami na wystawie. Nie miałam oczywiście pieniędzy, ale widziałam bułki. Prawdziwe.

Jak dowlokłam się na ulicę Świętojerską, nie pamiętam. Na podwórku spozjrzałam w okna mieszkania i zobaczyłam przerażoną twarz Mamy.

— Po coś wróciła? — To było powitanie.

Ale potem była woda do mycia, dużo jedzenia i łóżko. Własne.

Jedzenia w domu było rzeczywiście dużo. Uderzająca zmiana w obyczajach warszawiaków po wrześniu — kupowanie na zapas? Ucieczka od pieniądza, który zresztą już prawie nie miał wartości? Przede wszystkim chyba wspomnienie głodu, które zwiększało, zdawałoby się, potrzebę jedzenia i patrzenia na zapasy.

Tak rozpoczęło się moje wojenne bytowanie w Warszawie.

Stefan wrócił kilka dni po mnie, przeszedłszy nieco głódziej tę samą drogę. Nie miało już sensu utrzymywać w tajemnicy naszego małżeństwa przed jego rodzicami. Wojna zmieniła ich stosunek do przedwczesnego związku dwojga studentów. Zamieszkaliliśmy więc razem w naszym domu i nim zdecydowaliśmy, co dalej — rozchorowałam się. Zaczęło się od niewinnego bólu zęba. Okazało się, że to ropień okołozębowy. Obniżenie odporności po kilku miesiącach głodowania zrobiło swoje i rozłożyłam się z ciężkim zakażeniem, dwukrotnym cięciem ropnia itd. Trwało to do końca lutego.

Wstałam z łóżka w najcięższym okresie tej pierwszej wojennej zimy. W domu zimno. W stołowym „koza” z rurą wypuszczoną przez okno. Siedzieliśmy przy niej grzejąc ręce i „front”. Od tyłu lodowate zimno. Możliwości utrzymania się coraz trudniejsze. Mama rozpoczęła pracę na terenie swojej dawnej szkoły powszechnej (gimnazjum spaliło się). Otworzyła „kuchnię dziecięcą”, w której nauczyciele starali się choć trochę uczyć dzieci. Nie wiem, czy były z tego jakieś pieniądze, ale Mama przynosiła do domu co dzień „przydział”: blaszaną puszkę po ogórkach pełną zupy. Jedliśmy ten obiad we trójkę i to już było ułatwienie. Stefan, który musiał zatroszczyć się o byt rodziców — dwojga starych ludzi, w tym ojca po wylewie mózgowym — zaczął wyprzedawać pozostałości towaru, który został u jego ojca. Były to chemikalia, olejki aromatyczne i jakieś inne substancje, potrzebne przy produkcji surogatów żywnościowych. Nawiązał, a raczej kontynuował współpracę z firmą „Strójwąs”, co okazało się w przyszłości opatrnościowe dla wielu ludzi. Pomagał mu Mietek, starszy od nas jego brat, który zdążył przed wojną uzyskać dyplom lekarza.

Mietek szybko zatrudnił się w szpitalu na Czystem i zaczął namawiać mnie, abym postarała się o pracę stażystki w tymże szpitalu. Tak, ale ja marzyłam o pediatrii.

Z pomocą przyszła dr Kleniecowa, lekarz szkolny „Jehudyi”, szkoły Mamy. Córka jej, młodsza ode mnie o kilka lat Mirka, pracowała jako pielęgnairka przyuczona w szpitalu dziecięcym im. Bersonów i Baumanów.

— Chcesz tam pracować?

— Bardzo chcę.



## *Szpital na Siennej*

11 marca 1940 roku zgłosiłam się do szpitala im. Bersonów i Baumanów w Warszawie na ul. Siennej do Naczelnej Lekarki, dr Anny Braude-Hellerowej. Znałam już trochę tę niską, czarnowłosą panią mówiącą głębokim altem i poruszającą się ze zdumiewającą przy jej tuszy zręcznością.

Była matką mego bliskiego kolegi ze studiów, z tej samej grupy, Arika, a ponadto teściową mojej bliskiej przyjaciółki od najmłodszych lat, Marysi Natanblut. Pomimo tej znajomości, wchodząc do gabinetu miałam duszę na ramieniu.

Doktor Naczelną uosobiała wszystkie sny i rojenia młodej adeptki o zawodzie lekarza-pediatry. Była znanym i cenionym lekarzem, wspaniałym organizatorem, społecznikiem. Ponadto, co nie było bez znaczenia dla dziewczyny „z głową w chmurach”, była postacią romantyczną. Zawsze w grubej czerni. Po śmierci synka z powodu — o ironio — nierozpoznanego zapalenia wyrostka nie zdjęła nigdy żałoby. Potem, już w czasach szpitalnych, powiedziała mi kiedyś, że to był największy jej grzech wobec Arika, któremu zabrała radość i bez troskę dzieciństwa. Ale to było potem. Tego dnia spojrzała znad okularów na wystraszoną dziewczynę i powiedziała tylko:

— Chce pani pracować u nas? Dobrze. Przydzielam panią na oddział wewnętrzny do pomocy dr Keilson. Ale przed tym proszę zgłosić się do komisarza szpitala, dr. Skonecznego. To następny gabinet.

Grzecznie podziękowałam. W drzwiach zatrzymały mnie słowa wypowiedziane zupełnie innym tonem:

— A Arik i Marysia nie wrócili...

Odwrociłam się i powiedziałam wychodząc:

— Wiem, że wrócą niedługo, pani doktor.

To była prawda. Wrócili po dwóch tygodniach. Marysia w zaawansowanej ciąży.

W gabinecie doktora Skonecznego szczupły pan w średnim wieku spojrzął na mnie sponad szkieł i fatalnym akcentem zapytał:

— Panienska chce u nas pracować? Jako praktykantka pielęgniarska?

Zaczerwieniona po uszy odpowiedziałam:

— Nie, panie dyrektorze. Jestem absolwentką medycyny i mam być stażystką na oddziale wewnętrznym.

— To i topsze — proszę się głosić na oddział.

— Dziękuję.

Wyszła z gabinetu myśląc: ten Niemiec jest całkiem możliwy.

Doktorze Wacku Skoneczny! Przez te wszystkie koszarne lata, kiedy byłeś nam przyjacielem, nigdy nie wróciliśmy pamięcią do tego pierwszego spotkania.

Nieżyjący już dr Waław Skoneczny był Polakiem wychowanym i wykształconym w Niemczech. Fakt, że został naszym komisarycznym dyrektorem zawdzięczał prawdopodobnie swojej błędnej znajomości języka. Nie wiem. Może przyjął volkslistę? Też nie wiem. Ale wiem, że w dziejach szpitala na Siennej był i jego piękny rozdział „rozdział komisarza”, który nie tylko nie przeszkadzał, ale starał się jak mógł pomóc.

Ale na razie ja rozpoczynałam swój mały udział w historii nadludzkiej medycyny, w murach szpitala dziecięcego w getcie warszawskim.

Nie pamiętam, kto zaprowadził mnie na II piętro przez ten na zawsze zapamiętany hall ze schodami, które prowadziły półokrągło w dwie strony. (Kiedy po wojnie otwierano Szpital Dzieci Warszawy, spotkałyśmy się u stóp tych schodów z dr Kochańską i stałyśmy długą chwilę milczące, bezradne wobec wspomnień). Chyba był to Józio Ferszt, intendent. W każdym razie ubrano mnie w dwa fartuchy, jeden zapinany z przodu, na to drugi z tyłu, dano mi czepek i maskę — takie były wymagania — i weszłam na oddział. Wtedy, 11 marca 1940 roku, był to normalny, prawidłowy oddział. Z salami przeszklonymi, żeby pielęgniarka mogła widzieć, co się dzieje, z białymi łóžeczkami przy białych ścianach i prawie normalnymi dziećmi ze zwykłymi chorobami. Było jeszcze przed zamknięciem getta i dzieci chorowały na zwykłe dziecięce choroby. Tylko może zagęszczenie było trochę większe niż trzeba i było trochę trudniej z jedzeniem. Ale przecież zapisywało się normalnie niemowlętom mieszanki — 1-2-3-4 (tak wtedy było) zakwaszone i „Dubo”, a tym wymagającym lepszego odżywiania nawet dodatkowo jajka i kakao (!!). Zwykły szpital, tylko chyba trochę lepszy od innych już wtedy, bo to był szpital z wielką tradycją, z tradycją dr. Gantza, Srebrnego, Śmiechowiczowej i wielu, wielu innych — szpital dla wszystkich dzieci bez różnicy wyznania, rzeczywiście Szpital Dzieci Warszawy.

Tego dnia poznałam Helę Keilson, z którą potem nie rozstałam się aż do tego 22 kwietnia 1943, kiedy wygarnięto wszystkich z naszej kawiarenki na Miodowej i myśmy zostały z Marysią na ulicy bez dokumentów i pieniędzy, i nie miałyśmy niczego więcej — a przede wszystkim dachu nad głową — a Hela wraz z siostrą Marysi, Haliną, zabrane zostały na Pawiak. Halina

załamała się w śledztwie i przyznała się do żydostwa — została rozstrzelana. Hela jako Janina Małecka trzymała się do końca i została wysłana do Oświęcimia. Przeżyła obóz. Po wyzwoleniu została przewieziona do Szwecji i nie wróciła do kraju. Otrzymałam od niej tylko jeden list — potem zerwała z nami kontakt. Dlaczego? Nie wiem. Ale to było dużo później.

Wtedy był pierwszy dzień naszej współpracy i pierwszy obchód. Ordynator oddziału, dr Lichtenbaumowa, była nieobecna z powodu choroby. Hela szła od łóżka do łóżka z Jurkiem Rotbalsamem, drugim asystentem, i pielęgniarką oddziałową, której dyktowała zlecenia. Po raz pierwszy w życiu brałam udział w obchodzie już nie jako studentka, ale jako „p.o. lekarza”.

Dostałam do niesienia historii choroby. Wiedziałam już, że będę je prowadziła pod bacznym okiem Heli — wtedy dla mnie pani doktor Keilson. Byłam szczęśliwa. Dumna, szczęśliwa i przepelniona entuzjazmem do tego, co otwierało się przede mną — leczenia dzieci.

Więc na początku było szczęście.

A potem wchodziłam w to wszystko coraz głębiej i szczęście zastąpiła bezradność i tylko jedno było do końca: że trzeba robić to, co do człowieka należy i jest się tu po to, żeby pomagać. To była nadludzka medycyna i dlatego, chociaż jest jak jedna rana, jest najpiękniejsza ze wszystkiego.

Zbyt późno zaczęłam pisać te wspomnienia. Stara jestem i wielu rzeczy nie pamiętam. Zresztą nigdy nie uważałam, że wiem tyle, żeby pisać historię szpitala. Ale wydaje mi się teraz, kiedy przeczytałam wszystkie książki, które mi wpadły w ręce o cierpieniu i męce, i o tych, co przeżyli i jak przeżyli — że trzeba powiedzieć też choć ułamkową prawdę o tych, którzy nigdy albo prawie nigdy nie zaznali wątpliwości, jak należy żyć, ani pokusy ucieczki. O tych, którzy w przeważającej większości nie przeżyli.

Więc to wszystko będzie po prostu garstką wspomnień.

### *Złamana igła — poznanie Tosi Goliborskiej*

Wiosną 1940 roku panowała epidemia meningokokowego zapalenia opon mózgowych. Leczyło się je wtedy surowicą podawaną dokonałowo. Dość szybko wyćwiczyłam się w pomocy przy nakłuciach. Należało do mnie szybkie napełnienie strzykawki surowicą (wbrew pozorom nie było to takie łatwe) aby podsunąć ją w momencie, w którym skończy się upuszczanie płynu, a następnie odebranie próbki z płynem i umieszczenie jej w statywie. Trzymanie głowy u dziecka ze sztywnością karku i wygięcie

do tyłu wymagało dużo sił i robili to mężczyźni. Pewnego dnia trzymający (nie pamiętam, kto) nie utrzymał dziecka przy gwałtownym odgięciu do przodu i igła złamała się między wyrostkami kręgowymi.

— Dzwonź po chirurgów!!!

Telefon był na dole w hallu, a właściwie w laboratorium. Nie wiem, jak zbiegłam z drugiego piętra. Wiem, że przez ostatnią poręcz przeskoczyłam z wysokości pół piętra i wpadłam jak burza do laboratorium.

— Dzwonić na chirurgię — igła złamała się w kręgosłupie!

Bez przepraszam, bez dzień dobry, bez przedstawienia się tej drobnej, pięknej pani w białym fartuchu, która, jak później mówiłam, „nie miała wypisane na czole, kim jest”. Ale kierownik laboratorium, dr Tosia Goliborska-Gołębowa, właścicielka laboratorium na Kredytowej, lekarz prezydenta, wielka dama, oburzyła się strasznie na „wychowanie dziewczyny”, która wpadła jak szalona do jej królestwa.

Tak fatalnie zaczęła się znajomość z Tosią, która przerodziła się w wielką i piękną przyjaźń, która przetrwała wojnę, ale nie przetrwała czasu powojennego. Tosia, serdeczna i kochana podczas swego pobytu w Polsce w latach 60-tych, obraziła się na mnie śmiertelnie za to, że nie udało mi się wysłać jej wazonu glinianego, który tu kupiła. Wazon, niestety, stłukł się przy pakowaniu. Nie udało mi się jej przebłagać i nawet nie wie o tym, że w moim stosunku do niej nic się nie zmieniło, że wspomnienie o niej, żyjącej gdzieś w Australii, jest wspomnieniem o tej, która tak pięknie nadawała ton naszemu bytowaniu w szpitalu i pomagała nam utrzymać się zawsze na poziomie człowieka. Nigdy nie zapomniałam i nie zapomnę Tosi tego, że straszego dnia 30 lipca 1942 roku, kiedy wiedziałam już na pewno, że matka moja, zabrana poprzedniego dnia, została wywieziona — Tosia zaryzykowała przyjscie do getta na ten jeden dzień po to, żeby być przy mnie. I tego dnia, kiedy przez okna szpitala na Żelaznej patrzyliśmy na tragiczny pochód wyprowadzanych na Umschlagplatz, stała przy mnie i trzymała mnie za rękę.

Ale w tym czasie nie było już szpitala na Siennej. Nie było już całego małego getta, do którego chodziło się mostem przez Chłodną. I był już początek końca.

### *Zamknięcie*

Tymczasem jesteś jeszcze w tym cudownym szpitalu, w którym dla wszystkich od dr Naczelnej poprzez wszystkich leka-

rzy, pielęgniarki i całą administrację aż do najskromniejszej pomocy pielęgniarskiej czy salowej — najważniejsze były dzieci. Najpierw te normalnie chore, których czasem nie udawało się uratować, bo medycyna wtedy mogła jeszcze mniej niż dzisiaj. A potem te obrzęknięte z głodu, rozdęte karykaturalnie ciała, do których jak patyczki do nieudanego pajacyka przyczepione były chudziutkie rączki i nóżki. Te czasem udawało się uratować — glukozą z cebionem, odrobiną jaja w proszku, pół deka margaryny, resztką rozwodzonego mleka. Ale to też jeszcze nie nadeszło. Wiosna 1940 roku pozwalała nawet na nadzieję. Nadzieję na przetrwanie — „bo przecież to się musi kiedyś skończyć” — i na życie takie, żeby potem nie trzeba było się wstydzić.

Moje „wejście” w szpital, tzn. pod podszewkę tego wszystkiego, co miało się tam rozegrać, zaczęło się od zamknięcia szpitala przez władze pod pretekstem rzekomego zakażenia wewnątrzszpitalnego durem plamistym. Cały personel wraz z chorymi został zamknięty w szpitalu, przed którego bramą stał granatowy policjant. Nie wolno było wejść ani wyjść. Nocowaliśmy pokotem w wielkiej sali bibliotecznej na parterze pod portretami fundatorów szpitala, Bersonów i Baumanów. Jadaliśmy w stołówce obiady składające się z talerza zacierki na wodzie, kąpaliśmy się w łazience w hallu, tzw. łazience na katafalku. I staliśmy się jedną rodziną. Zamknięcie ludzi w kwarantannie, oddzielenie ich od rodzin i domów, narażenie na głód i niewygody — zaowocowało zespoleniem całego personelu w jedność, której nic nie mogło już potem rozerwać.

W tym zamknięciu chyba powstała nasza grupa przyjaciół, do której przygarnięto tak nic nie znaczącą osobę, jaką była młoda stażystka. Były w tej grupie obie siostry Keilson, Hela i Dola — siostra przełożona szpitala, „bohatera pielęgniarka”, która przy każdym ciężkim przypadku dyżurowała osobiście, bez oglądania się na godziny pracy; tylko zdrowiejących zostawiała innym pracownikom. Dola Keilson, rozstrzelana w Otwocku w 1943 roku właśnie jako bohatera pielęgniarka. Piękna, władcza, uwodziecielska, z kokiem miedzianych włosów, rzuciła bezpieczne schronienie po „aryjskiej stronie”, by pielęgnować swego dawno rozwiedzonego męża, umierającego na gruźlicę. Zadenuncjowana przez jakąś swołocz, zabrana na gestapo w Otwocku, nie załamała się do końca. Zapytana, czy wie, że pielęgnowała Żyda, odpowiedziała, że jest pielęgniarką i opiekowała się chorym człowiekiem.

- A czy opiekowałyby się również Niemcem?
- Gdyby był człowiekiem — tak.

Następnie Tosia Goliborska, która wyrzucona ze swego mieszkania na Kredytowej mieszkała w pokoju przy laboratorium i tamże zwoziła resztki ocalałej meissenowskiej porcelany, kryształów i dywanów. To ona „dyrygowała” nami tak, żebyśmy nie ośmielili się obniżyć poziomu.

Jedyna laborantka, cudowna przyjaciółka Fecia Fersztówna, siostra intendenta, dziewczyna z nabożnego, ubogiego środowiska, z nieładną twarzą i wielkim sercem i umysłem.

Należał do tego grona Marek Edelman, wtedy goniec szpitala, pełen przewrotnej fantazji i pozornie dziecięcej pustoty, i ja — właściwie taka sama, włączona chyba właśnie przez kipiącą fantazję i chęć zgrywy — a może przez to, że długo jeszcze nie znałam uczucia strachu.

Potem do tego „wybranego grona” doszła dr Margolisowa, po śmierci męża rozstrzelanego na Radogoszczu w Łodzi szukająca schronienia wraz z dziećmi w Warszawie. Nie pamiętam, kiedy doszła do nas sekretarka szpitala, Bronka Feinmesser — Marysia. To już było po „zamknięciu”, które trwało parę tygodni.

Od czasu do czasu na wspólne śniadania o godzinie 10-tej zapraszani byli goście — Józio Ferszt, dr Leneman i uroczą dr Kachane (zmarła po wojnie śmiercią naturalną). Śniadania te, zasadniczy posiłek podawany na meissenach i pity w kryształowych kieliszkach, składały się z 10 dkg kartkowego chleba, pokrajanego w cieniutkie kromki i 1 dkg buraczanej marmolady lub 5 g „małpiego smalcu”. Do tego dochodził 1 — słownie jeden — 25-gramowy kieliszek nierozcieńczonego spirytusu, wypijanego jednym zręcznym haustem. Ten jeden kieliszek nie powodował rauszu, ale pomagał pracować. A jakie miał znaczenie kaloryczne, przekonaliśmy się dopiero później, w okresie zupełnego głodu, kiedy z naszej grupy nikt nie miał obrzęków głodowych. 200 dodatkowych kalorii miało niewątpliwie znaczenie zasadnicze. Po zamknięciu getta spirytus był naszym jedynym ratunkiem. Z cudownym brakiem konsekwencji okupant, pozabiając nas żywności, utrzymał dla lekarzy przydział spirytusu.

### *Dzień powszedni szpitala*

Zamknięcie getta zbliżało się wielkimi krokami. Zmieniał się obraz ulicy i obraz szpitala. Do Warszawy zwożono Żydów z miast i miasteczek. Na ulicy coraz więcej wynędzniałych, obdartych nędzarzy, błagających o kawałek chleba. W szpitalu coraz więcej dzieci zaświerzbionych, zawszonych, zagrzybionych. Coraz

częściej dzieci wycieńczone głodem o dorosłych oczach i coraz więcej gruźlicy.

Oddział gruźliczy — kilka pokoików na III piętrze, w których leżały dzieci, dla których nie było już nadziei. Z gruźlicy w tym czasie dzieci nie zdrowiały. Ordynatorem tego oddziału była dr Margolisowa, równie jak Naczelną wierząca, że praca musi być taka jak zawsze, jak przed wojną, że ani na jotę nie wolno odstąpić od świętego schematu pracy lekarza. Rano zabiegi, pobieranie krwi, obchód, wpisywanie zleceń. Potem wypełnianie historii chorób, prowadzenie ich na wzór kliniczny tak, aby dokumentacja mogła przetrwać lata. Ani na chwilę nie można było dopuścić myśli, że ta dokumentacja nikomu do niczego się nie przyda — tak jak nie wolno było dopuścić myśli, że można zaniedbać czegokolwiek przy chorym dziecku.

Dzień szpitalny zaczynał się codziennie od „raportu” — odprawy u Naczelniej, gdzie nie tylko omawiało się nowe lub trudne przypadki, ale trzeba było tłumaczyć się z każdego zgonu i udowodnić, że zrobiono wszystko, co możliwe dla uratowania życia. A tych tłumaczeń było coraz więcej.

Pierwszym takim „zbiorowym” zgonem była śmierć w ciągu paru zaledwie tygodni niemowląt przywiezionych z Domu Podrzutków. Zamorzone głodem niemowlęta zginęły z powodu „infekcji pośladowej”, która zabierała nam jedno po drugim. Nie pomagały żadne środki, odżywki ani opatrywanie strasznych zmian troficznosci skóry. Wszystkie zginęły cichutko, prawie bez płaczu.

Potem zaczęły się zgony na oddziale gruźliczym. Dzieci leżały tam długo i nie wolno im było wychodzić do ogrodu, żeby nie zarażały innych. Były to dziwne dzieci. Dojrzałe świadomością nieuniknione, a jednocześnie jakby oddzielone niewidzialną ścianą od straszliwej codzienności getta. Dzieci, które czytały mądre książki i dyskutowały „o życiu”, ale nie wojennym. Było wśród nich kilkoro z Domu Korczaka, wśród nich Ariel, piękny 13-letni Ariel, który grał na skrzypcach. Była też Zosia, starsza od niego rok, i była ich miłość. Miłość dwojga dzieci, a może miłość dorosłych ludzi, których życie przeszło od dzieciństwa do dojrzałości w ciągu jednego wojennego roku na oddziale gruźliczym szpitala dziecięcego. Przyjaźniłam się z tymi dziećmi. Co dzień po trzeciej przychodziłam na ich oddział i rozmawialiśmy długo, czytaliśmy książki, a później, kiedy z powodu szkarlatyny przeleżałam sześć tygodni na oddziale zakaźnym, sąsiadującym z oddziałem gruźliczym, w ciągu ostatnich dwóch tygodni już nie „zakaźna”, pomagałam im w urzędzeniu „wieczoru artystycznego”. Ariel grał na skrzypcach, a malutka 6-letnia Ryfka tańczyła taniec

umierającego motyla. Była jak motylek śliczna, smukła i tak bardzo lubiła stroić się w barwne wstążki i korale, żeśmy ją nazywali „hotentotką”. Tak radośnie śmiała się ubrana w bibułkowe spódniczki z masą barwnych papierków, ze skrzydełkami z drutu i opaską papierowych kwiatów. W kilka tygodni potem usnęła na łóżeczku, żeby się więcej nie obudzić. A potem, akurat w dzień moich urodzin, pierwszy dzień wiosny 1941 roku, umarł Ariel. Umierał ciężko, dusząc się krwią, bolesnym kaszlem. Dostał morfinę. A ja, w ten dzień moich dwudziestych czwartych urodzin, dostałam niezwykle w getcie prezent — trzy żywe żonkile.

Ariel leżał w kostnicy szpitalnej, poszłam do niego i położyłam te trzy kwiaty. Niczego więcej nie miałam do dania.

Stchórzyłam tego dnia. Nie poszłam na oddział gruźliczy. Nie mogłam spojrzeć w oczy Zosi, która w swoim krótkim życiu przeżyła już miłość i śmierć. Nie mogłam spojrzeć na puste łóżko dziecka, które było mi bliskie jak własne.

Kiedy szłam do domu, świadoma swego tchórzostwa, usłyszałam wołanie. To dzieci z oddziału gruźliczego zobaczyły mnie przez okno. Poszłam na górę i usłyszałam:

— Pani doktor, my wiemy, dlaczego pani do nas nie przyszła. Ale nie trzeba się bać. My nie rozpaczamy. Z nami przecież będzie tak samo.

Następnego dnia na odprawie omawiano śmierć Ariela. Ale już nie trzeba było się z niej tłumaczyć. Już było wiadomo, że coraz mniej jesteśmy zdolni do ratowania życia, a coraz bardziej stajemy się dawcami cichej śmierci. W poszukiwaniu łaski cichej śmierci pewnego dnia bezdomny dzieciak w łachmanach rozebrał się do naga przed bramą szpitalną w zimny jesienny dzień i krzyczał głosem rannego psiaka, żeby go zabrać do szpitala, bo jest sam, głodny i zmarznięty.

A ja wychodząc wieczorem ze szpitala nadepnęłam na coś miękkiego: trup niemowlęcia, obrzęknięty, przykryty gazetami.

Głodne dzieci. Coraz więcej ich było na oddziale wewnętrznym, aż wreszcie zajęły wszystkie łóżka.

Co dzień rano obchodziliśmy sale. Co rano patrzyliśmy na rozdęte, zniekształcone ciała, na twarze pozbawione wyrazu i z tym samym przerażeniem odczytywaliśmy wiek tych stworzeń bez wieku: cztery, pięć, sześć, czasem dziesięć albo dwanaście lat. Patrzyły na nas oczy bez dna, oczy tak strasznie poważne i smutne, jakby cały żal dwu tysięcy lat diaspory znalazł w nich wyraz. Na kołdrze leżały bez ruchu ręce o poobgryzanych paznokciach, opalone lub blade, kiedyś ruchliwe, teraz bezsilne i bierne.



Nie, nieprawda, nikt nie poddawał się rozpacz. Wśród salowych, poruszających się z trudem na obrzękniętych nogach — ich też nie oszczędzała choroba głodowa — poruszaliśmy się my, lekarze, w których rękach znalazły się nie tylko nędzne leki wstrzykiwane dożylnie w obrzęknięte ręce, ale i równie nędzne przydziały Jointu: pół jajka w proszku, 1 dkg margaryny — skarby, których nie można było powierzyć konającym z głodu salowym nie dlatego, że nie były dostatecznie uczciwe, ale dlatego, że nie można ich było narażać na męki pokusy.

Głód jest rzeczą straszną. A to był głód prawdziwy. Ten, który zabija. W 1974 roku w Nowym Jorku znalazłam w IWO na wystawie fotogramów z getta kawałek naszej sali szpitalnej z Helą Keilson, z Sabiną, której nazwiska nie pamiętam, tylko wiem, że z nadludzką siłą stojąc na spuchniętych nogach podnosiła ciężkie, bezwładne ciała, myła je, przewijała, podkładała czyste pieluchy — tak długo, aż pewnego dnia nie przysłała do pracy. Powalona chorobą głodową leżała na nędznym barłogu i czekała na śmierć. Wtedy udało się ją uratować. Codziennie po pracy w szpitalu dzieliliśmy między siebie odwiedziny u konających z głodu pracowników. Nieśliśmy im jedyne, cośmy mieli — glukozę dożylną, która czasem na krótki czas wracała im siły.

Przy takiej okazji zaraziłam się dudem plamistym. Poszłam na punkt przesiedleńców, by wstrzyknąć glukozę z cebionem jednej z naszych salowych, która leżała z obrzękami głodowymi. W ciemnej izbie przysiadłam pod oknem na niskim barłogu. W mieszkaniu leżeli pokotem ludzie, ale nikt z nich nie gorączkował. Kiedy wyszłam, okazało się, że siadłam w gniazdo wszy. Chodziły mi po sukience niebieskiej w czarne paski, którą włożyłam tego dnia, 26 czerwca 1941 roku, bo były imieniny męża Tosi, Władysława. Obchodziła te imieniny, które były zarazem jej rocznicą ślubu, jakby miała tym świątecznym dniem zakląć go do powrotu. Zginął w Katyniu. A ja, prosto z tej uroczystości, poszłam po tyfus.

Nie pomogło natychmiastowe odwszenie w kamerze dezynsekcji. 13 lipca stwierdziłam, że czuję się niewyraźnie i mam 38,3° gorączki. Była niedziela, a ja miałam sama jedna dyżur na oddziale duru plamistego. Więc wyszłam z domu i poszłam do Maryli Folmanowej, koleżanki z tego oddziału. Byłyśmy tam wtedy we trójkę na 150 dzieci i uprzedziłam ją, że że może nie wytrwam do końca dyżuru.

Obchód zrobiłam i zaczęłam wypełniać karty wypisowe i przeniesienia z tzw. *Verdacht* na *sicher*. Był to codzienny raport dla władz niemieckich, który z samego rana Marek z przepustką zawoził do Stadtsarzta Schrempfa. Pamiętam, że z trzydziestu kart zrobiłam dwadzieścia osiem i skończyłam, więcej nie mogłam.

Więc poszłam do dr Naczelnej do gabinetu i powiedziałam jej, że mam tyfus i idę do domu.

Patrzyła na mnie przerażona tymi swoimi czarnymi oczami. — Idź — powiedziała. Pojechałam do domu rikszą. Po drodze rikszarz wpadł na niemiecki samochód. Niemiec wyskoczył ze szpicrutą i ciął. Ja wyskoczyłam i dalej poszłam pieszo. Dwa tygodnie tyfusu przeleżałam w domu, do południa sama. Domownicy wychodzili do pracy.

Po południu przychodzili koledzy ze szpitala i kłuli mnie zastrzykami — glukoza dożylnie, jakieś nasercowe, dawali mi pić, bo to było jedyne, co mi dokuczało — i znowu leżałam we mgle 40° gorączki. Po czternastu dniach nastąpił kryzys. Temperatura nagle spadła, ja wstałam, ubrałam się i wyszłam z domu na ulicę. Nie, nie upadłam, nie umarłam. Kupiłam na wózku 10 dkg wiśni, wróciłam do domu, położyłam je na talerzyk i położyłam się z powrotem do łóżka. Kiedy po południu przyszła Hela, spytała się, skąd te wiśnie.

— Kupiłam.

— Jak to?

— No, kupiłam na dole.

Przerażeni ustanowili dyżury. Była to malutka, króciutka psychoza durowa, która minęła po trzech dniach.

Po trzech tygodniach wróciłam do szpitala. Pierwszy tydzień leżałam na leżaku w ogrodzie szpitalnym, a potem po prostu wróciłam do pracy. Znow na oddział tyfusowy, na którym dzieci nie umierały. Tylko nie starczało dla nich łóżeczek i leżały po dwoje, czasem po troje z plasterkami z numerkiem przyklejonymi do czoła. Gorączkowały i bez przerwy wołały pić. Nie, nie umierały na dur. Wypisywaliśmy je do domu, śmiertelnie zmęczeni, bo codziennie przymowaliśmy po kilkanaścioro i tyleż trzeba było wypisać lub przesunąć z „podejrzenia” na „pewność”, a dokumentacja oddziału durowego była przecież pod nadzorem Niemców. Wypisywaliśmy je, aby umierały z głodu w domu lub wracały z obrzękami po łaskę cichej śmierci.

### *Dzieci, które pamiętam ze Śliskiej*

Abramek Federman chorował na „dziwną chorobę”. Tracił władzę w rękach i nogach, które ulegały przykurczom. Przychodził do niego neurolog, ale nie można było nic poradzić. Abram krzyczał z bólu i beczności bezustannym wyciem, którego nie można było wytrzymać. Aż ktoś wpadł na pomysł, żeby w przykurczone palce włożyć ołówek i dać mu kartkę papieru. I Abra-

mek ucichł. Nie tylko ucichł. Uśmiechnął się. Potem dostał jeszcze kredki. Rysował. Rysował z głowy, z pamięci — i to, co widział. Na tych obrazkach zobaczyliśmy pewnego dnia niemieckiego żandarma, który dawał dziecku cukierki.

Rafałek Wichels. Trzylatek. Chyba z Domu Podrzutków, przywieziony jeszcze za „dobrych” czasów z powodu zapalenia płuc. Pyzaty, psotnik, śmiejący się prawdziwym śmiechem dziecka. Pieszczotliwie przytulał nam buzię do kolan i prosił: „Daj ciu-ciu”. Bawił się wszystkim, co wpadło w psotne rączki. Umarł na gruźlicę. Zapalenie płuc okazało się gruźlicą.

Aronek, którego nazwiska nie pamiętam, był synem rabina. Przyszedł do szpitala tak zawieszony, że główka jego sprawiała wrażenie siwej. Dopiero z bliska widać było, że ta siwa czupryna się rusza. W „brudnym przyjęciu” ostrzyżony do gołej skóry, przeżył głęboko utratę pejsów. Płakał i bał się ojca. Ale stary rabin, który przyszedł do szpitala, powiedział tylko: „Jak można było dopilnować dziecka, jeżeli pędzili nas cały dzień, a teraz w jednej izbie jest nas pięćdziesiąt osób? Pan Bóg wybaczy ci, synku”. Aronek nie umiał po polsku. Z trudem porozumiewałam się z nim tymi swoimi nędznymi pojedynczymi zdaniami, których nauczyłam się od dzieci po to, żeby z nimi rozmawiać.

Tenże Aronek, wdzięczny za każdy uśmiech, za każde słowo, usiłował nauczyć mnie piosenki, którą śpiewała mu kiedyś mama. A raz wieczorem, kiedy siedziałam w dyżurce i wypełniałam historie chorób, usłyszałam rozmowę dzieci o nas.

— Przecież oni nic nie rozumieją. Po co im opowiadać.

— Oni nie wiedzą, co to jest, że się nie ma już nic do sprzedania i nic do jedzenia.

— O, jak moja siostra umarła, to tatuś powiedział, że to wszystko jedno, gdzie ją pochowają, bo my i tak nie będziemy żyli, żeby chodzić na grób. I tatuś zwinął ją w papier i zaniósł na ulicę, a mamusia płakała i chciała mu ją wyrwać, ale nie miała sił.

— A ja wyrwałem ludziom chleb i mnie złapali i zbili. A potem to już nie pamiętam.

Na ulicach getta było pełno „chaperów”. Obok żebraków, małych nędzarzy śpiewających piosenkę „Bo my jesteśmy młodzi”, były to dzieci chyba najgłodniejsze. Wyrzywały przechodniom paczuszki z jedzeniem lub odłamywały kawałek niesionego bochenka.

Aż kiedyś na Lesznie mały nędzarz wyrwał mi z ręki bukietek fiołków i zjadł.

Wszystkim dzieciom przyjmowanym do szpitala trzeba było pobierać krew na odczyny Vidala, Weila Felixa. Dotyczyło to

nawet tych z góry skazanych, z gruźliczym zapaleniem opon mózgowych, które wtedy było jeszcze chorobą nieuleczalną.

Nie było to łatwe zajęcie. W obrzękniętych lub wyniszczonych rączkach nie dawało się wyczuć żyły.

Nauczyłam się pobierać krew z żyły jarmowej na szyjce. Dlatego też przez moje ręce przechodziły wszystkie dzieci świeżo przyjęte do szpitala. I zapewne dlatego dostąpiłam zaszczytu pobierania krwi u dzieci zagłodzonych dla Tosi Goliborskiej, która należała do zespołu badającego chorobę głodową.

Przynosiłam jej krew w małych probówkach, a potem czasem opowiadała nam o zebraniach grupy badaczy.

Lekarze w getcie nie tylko nie przestali być lekarzami, ale do ostatniej chwili pracowali naukowo z myślą o tych, którzy przyjdą po nich.

Ostatnie zebranie naukowe zespołu badającego chorobę głodową odbyło się w sierpniu 1942 roku, już w czasie akcji. Dr Milejkowski zawiadomił zebranych, że jest to już ostatnia sesja i wtajemniczył ich w miejsca, w których będzie ukryta w odpisach praca. Między innymi na cmentarzu. Tydzień po tym zebraniu prawie nikt z biorących w nim udział nie żył.

Nie była to jedyna praca naukowa, jaką wykonywali lekarze w szpitalu. Wewnątrz szpitala odbywały się do ostatnich miesięcy co dwa tygodnie zebrania naukowe, na których omawiano ciekawe (coraz mniej ich było) przypadki, dyskutowano nad metodami leczenia, a nawet wygłaszano krótkie referaty teoretyczne. Na każdym oddziale dwa razy tygodniowo odbywały się obchody z dr Naczelną. Normalne, przedwojenne obchody z referowaniem wszystkich przypadków po kolei, z dyskusją przy łóżku chorego. A był taki jeden dzień, kiedy przygotowani do obchodu czekaliśmy w sali. Drzwi otworzyły się, weszła Naczelna, za nią z pistoletem wymierzonym w jej plecy Schrempf, a za nim dwóch gestapowców. Tym razem na tym się skończyło.

Ktoregoś dnia umarła Felutka. Było to gdzieś jesienią 1941 roku. Leżała już od pół roku na chirurgii, dorosła do trzech lat i była ulubienicą wszystkich. Mówiła: „Daj wańcuszek” i „tocham cię”. Śliczna i radosna jak ktoś z dawnego świata, cieszyła oczy i serce. Chorowała na ropniaka opłucnej. Ciągłe punkcje nie pomagały. Chirurg zdecydował się na zabieg operacyjny i dziecko zginęło na stole. Wyszłam z oddziału gruźliczego na III piętrze i zamierzałam zejść na dół, kiedy ktoś złapał mnie za rękę i pociągnął z całej siły na schody. To była dr Naczelna. Grzmiącym głosem krzyczała: „To nie lekarz! To rzeźnik! On nie ma co robić w naszym szpitalu! Zabił dziecko!”. Głos jej się załamał. Spojrzałam — łzy toczyły się po twarzy naszej dyrek-

torki. Nie wypuszczając mojej ręki biegła tak na sam dół, aż na parterze puściła mnie i wpadła do pokoju siostry przełożonej. W tym piekle szalejącej śmierci Naczelną płakała nad tym jednym zgonem, którego można było uniknąć. Szpital był jej domem, chore, umierające dzieci były jej dziećmi. Umierała z każdym dzieckiem, którego nie można było uratować, zburzony szpital wciąż organizowała na nowo.

Dr Naczelną nie wyszła z getta. W ostatnim liście, który otrzymaliśmy od Niej w marcu 1943 roku — trzy miesiące po moim wyjściu z getta — pisała: „Nie martwcie się o mnie — mam inne plany” — i została na gruzach szpitala na Gesiej, ostatniego schronienia chorych dzieci. Ale szpital na Siennej nie nosi jej imienia. Kiedy po wojnie w odnowionym budynku otwierano Szpital Dzieci Warszawy, powiedziano nam, że czasy nie odpowiadają temu, żeby nadać mu imię dr Anny Braude-Hellerowej.

### *Szpital na Lesznie*

To już była jesień 1941 roku. Zdawało się, że nie pozostało nam już nic poza bezradnością. Na łózkach leżało już nie po dwoje, ale i po troje dzieci. Jeżeli zdarzało się, że dziecko zdrowiało, często nie było już komu odebrać go ze szpitala. Dzień pracy coraz dłuższy, coraz większe zmęczenie pielęgniarek, które — same staniając się na nogach — przemywały odleżyny, układały obrzęknięte ciała na boku, „podawały leki”. Coraz częściej brakowało jedzenia, nawet tych głodowych racji. Był taki dzień, kiedy na sali „starszych dzieci” wygłodniałe szkielety rzuciły się na kocioł z zupą, przewróciły go, odpychając pielęgniarkę, a potem zbierały rozlane pomyje z podłogi i chleptały je, wydzierając sobie kawałki zgniłej brukwi. Nasz tradycyjny kieliszek spirytusu przestał być symbolem czasów, które minęły, stał się środkiem znieczulającym, który pozwalał przylepić na twarz grymas uśmiechu i tak chodzić między dziećmi. A dzień szpitalny się nie zmienił. Naczelną trwała niezłomnie przy swoim. Odprawa — obchód — teczki z historiami choroby, które coraz częściej, prawie zawsze kończyły się adnotacją: zmarł o godz...

Nie wiem, jakiego hartu ducha trzeba było, aby zdecydować się na otwarcie filii szpitala dziecięcego. Nie pamiętam, jak przebiegały starania o uzyskanie budynku, ale tyle wiem, że gdzieś we wrześniu-październiku 1941 roku dowiedzieliśmy się, że część personelu przejdzie do gmachu szkoły na rogu Leszna i Żelaznej. Był to smutny trzypiętrowy budynek tuż koło „waczy” — bramy

w murach getta. Po drugiej stronie Żelaznej, połączone z gettem mostem, znajdowały się budynki Arbeitsamt'u i kwarantanny dla tych, którzy zetknęli się z dudem plamistym.

W nowym szpitalu mieściły się trzy oddziały. Na I piętrze oddział zakaźny, którego ordynatorem był dr Makower, na II piętrze oddział wewnętrzny dr Heleny Keilson, zaś na III piętrze oddział niemowlęcy pod kierownictwem prof. Heleny Hirszfel-dowej.

Profesorostwo Hirszfeldowie ze względu na manifestacyjną przynależność do parafii katolickiej nie cieszyli się popularnością w getcie. Mimo całego szacunku, jakim był otoczony ich dorobek naukowy, była między nami a nimi jakaś obcość. Było widoczne, że czują się dodatkowo pokrzywdzeni tym, że zostali strąceni z piedestału przynależności do „lepszej części społeczeństwa”. Dlatego Naczelną wahała się przed zatrudnieniem prof. Hirszfel-dowej. Ale w końcu przeważało uznanie dla niej samej jako dla naprawdę wybitnego lekarza pediatry i ludzkie współczucie dla matki, która bezradnie patrzyła, jak ginie jej jedyne dziecko. Marysia Hirszfeld umierała na chorobę Simmonsa. Pamiętam takie zebranie naukowe czy wykład profesora, w czasie którego patrzyliśmy z przerażeniem na ten żywy szkielet przybrany w dzwoniące bransoletki. I patrzyliśmy na twarz matki, która trzymała ją mocno za rękę.

Wobec tego, że dla szpitala na Lesznie nie było dość etatów, a Heli Keilson i mnie zależało na tym, żeby się nie rozstawać, Naczelną formalnie zatrudniła mnie na etacie dezynektera. Oznaczało to, że do moich obowiązków, poza normalnymi zajęciami na oddziale, należały dwukrotne w ciągu dnia oględziny personelu przychodzącego i wychodzącego z pracy. Ci, u których stwierdzono wszy odzieżowe lub włosowe musieli przejść przez kamerę dezynsekcijną. Praca ta, jakkolwiek przykra, była dla mnie bezpieczna — tyfus już przeszedłam, a na widok wszy byłam całkowicie zobojętniała. Stanowiły po prostu część rzeczywistości. Uważałam tylko, żeby ich nigdzie nie przenieść, ale ubrana byłam tak szczelnie, od stóp do głowy w kalosze, kombinezon, rękawice i czepek, że nie zdarzyło mi się nic przez cały czas pracy. Przed wejściem na oddział kąpałam się i przebierałam „na czystej stronie” w normalny strój szpitalny. Byłam jedną z najbardziej uprzywilejowanych osób w getcie: codziennie dwukrotna kąpiel pod prysznicem.



Nie pamiętam daty. Było to pod jesień. Weszliśmy do budynku i zobaczyliśmy miejsce, które miało stać się szpitalem. Były

to wielkie sale, kiedyś zapewne klasy szkolne, jakoś tak zbudowane wokół hallu, identycznie na każdym piętrze. A w hallu stał długi stół z szufladami i tam pisałyśmy historie chorób. Nawet nie pamiętam, na którym piętrze była dyżurka lekarska. Chyba na parterze. Wiem, że stała tam kozetka, na której się spało, jeżeli dyżur był taki, że można było spać. I jeszcze w takich oddzielonych kawałkach hallu były dyżurki (?), boksy (?) pielęgniarerek. A na parterze była wielka sala czy wielki hall i tam potem był ten „punkt chirurgiczny”, gdzie znoszono dzieci postrzelone przez Niemców „na wasze”. Do izby przyjęć, kuchni i kamery dezynfekcyjnej wchodziło się jakoś od ogrodu, który wcale nie był ogrodem, tylko zwykłym podwórkiem i to chyba były suteny. To wszystko jest już bardzo odległe i zamazane, tylko sale szpitalne, do których weszliśmy tego październikowego dnia, będą pamiętała zawsze, bo ani przedtem, ani potem nie widziałam niczego takiego, chociaż było Powstanie Warszawskie i widziałam zdjęcia z rewirów obozowych.

Te rewiry były jeszcze gorsze, tylko że tam leżeli dorośli, a mnie dorośli nigdy nie przejmowali tak jak dzieci. Dopiero teraz, kiedy już jestem stara i chora, wiem, że to jest zupełnie to samo.

Więc tam, w tych wielkich salach, na drewnianych pryzkach, na papierowych materacach bez pościeli leżały dzieci przykryte takimi samymi papierowymi materacami. A w kątach sali stały blaszane wiadra, bo nie było ani basetów, ani nocników, a dzieci miały *Durchfall* — krwawą biegunkę głodową — i nie mogły iść do ubikacji. Więc rano, kiedy się wchodziło, to te wiadra się przelewały i było pełno na podłodze, i unosił się straszny zapach krwi i ropy i kału.

A na pryzkach leżały szkielety dzieci albo ogromne obrzęknięte bryły. Tylko oczy żyły. Kto nie widział takich oczu, takiej twarzy zagłodzonego dziecka z czarną jamą otwartych ust, ze zmarszczoną pergaminową skórą, ten nie wie, jakie może być życie.

A my mieliśmy białe fartuchy i nie byliśmy obrzęknięci, bo przecież mieliśmy spirytus, więc te oczy patrzyły na nas chyba z nienawiścią.

Nie byliśmy tam jednak po to, żeby patrzeć na grozę, tylko po to, żeby leczyć albo pomagać w spokojnym umieraniu. Przede wszystkim jednak po to, żeby ratować, bo chociaż już było źle i najgorzej, myśmy jeszcze wciąż nie wierzyli, że nie ma po co i myśleliśmy, że jeśli wytrwamy, to uratujemy te dzieci i one dożyją końca. Więc tak je ratowaliśmy tą odrobiną jedzenia i jakimis lekarstwami i zastrzykami, i niektóre z nich zdrowiały.

A kiedy zdrowiały, kiedy z tych obrzękniętych, strasznych brył wyłaniały się szkieleciki, to nawet czasami zdarzało się, że widzieliśmy coś jakby uśmiech. To był taki uśmiech, od którego włosy jeżyły się na głowie albo można było dostać gęsiej skórki.

Materaców na pryzkach nie starczało i coraz było ich mniej, bo rozmiękły od tych krwawych biegunek i dzieciom zaczęło być zimno i zaczęły się zapalenia płuc.

Wtedy Naczelną postanowiła stworzyć „matriarchat”. Nie „patriarchat”, nie komitet opiekuńczy, tylko właśnie „matriarchat”, że to do matek apelujemy. I kazała mi mówić do zebranych, a to byli wszyscy ci, którym w getcie jeszcze się dobrze powodziło (pamiętam, że był Geppner i przedstawiciel Jointu Guzik, i jeszcze wielu innych). Więc nie bardzo wiedziałam, jak mam mówić do tych nielicznych jeszcze sytych i ubranych. Postanowiłam, że trzeba im pokazać prawdę. Powiedziałam im o tym dziecku, które się rozebrało w mróz do naga na ulicy, żeby je wziąć do szpitala, bo do nas dzieci przychodzą już po to ostatnie, co możemy im ofiarować — po łaskę cichej śmierci. I opowiedziałam im o małej Ryfce, która chciała się bawić i tańczyć. I potem jeszcze o tym, że na tych pryzkach umiera może mały Rubinstein albo Heine. I że ten szpital to jest Golgota, na której pod krzyżem upada mały Chrystus getta — po trzykroć niewinne, po tysiącokroć męczone dziecko żydowskie.

Kilka lat temu przeczytałam to wszystko w polskim wydaniu *Foteks-Sztymme* i do tego „w tłumaczeniu z żydowskiego”. Gdzie i jak znalazł się rękopis tego przemówienia, pojęcia nie mam. Ale to przecież też nieważne. Tylko nie było tego zdania o Golgocie i Chrystusie getta, bo może to było bluźnierstwo?

I poprowadziliśmy ich na sale, może tylko na jedną, to wystarczyło.

Wczesną wiosną 1942 roku na salach stały prawdziwe łóżka z prawdziwymi materacami. Na tych łóżkach leżała biała pościel i prawdziwe koce. Były nawet baseny i nocniki, kubki i miseczki. Cieszyliśmy się. Naprawdę. Pewnie nie zdawaliśmy sobie sprawy ze straszliwej ironii tych białych łóżek dla dzieci, które już za parę miesięcy miały pojsć do gazu.

A tymczasem pomimo białych łóżek i trochę większych przydziałów żywności z Jointu byliśmy coraz bardziej bezsilni. Zaczęła się gruźlica, wszechwładna i panująca. To było tak, że kiedy dziecko stawało na nogach po zejściu obrzęków głodowych i nawet zaczynało rozmawiać, wykonywało się odczyn Pirqueta. A ten odczyn wypadał dodatnio. I chociaż nie było żadnych innych objawów, już było wiadomo, że to nie potrwa dłużej niż 6-8 ty-



godni. Więc już nie odsyłaliśmy tych dzieci na Śliską, na oddział gruźliczy, bo nie było po co. Z początku kładliśmy je jeszcze na innych salach. Dla czystego sumienia. Potem nawet to nie miało sensu.

Wtedy wpadliśmy na pomysł trochę z Grand-Guignola, że przecież tym dzieciom odartym ze wszystkiego musimy spróbować przywrócić trochę uśmiechu.

Przyszła Marysia Natanblut-Hellerowa, synowa Naczelniej, która nie miała nic do roboty, bo była po AWF-ie, i we dwie zaczęłyśmy próbować po południu „prowadzić świetlicę”. Z początku w ogóle nie wiedziałyśmy, jak się do tego zabrać. Z maluchami to było najłatwiejsze. Kiedy się je zbierało w jednej sali albo w hallu, to chętnie słuchały bajek, nawet tych o krasnoludkach, albo bawiły się w dom. W tym domu byli mama i tata, był stół i paliły się świece, bo to był piątek i na stole leżał chleb i „stynki”. Nigdy nie słyszałam, żeby wymyśliły coś o bułce i szabasowej rybie. Kiedyś gotowały zupę dla dzieci i w tej zupie pływały „prawdziwe” kartofle.

Ze starszymi dziećmi to w ogóle nie wiedziałyśmy, jak zacząć, bo przecież one były starsze od nas i mądrzejsze o cały wiek udręki i śmierć najbliższych. Więc na początku powiedziałyśmy im, żeby nam trochę pomogły bawić się z młodszymi, te co chcą, oczywiście. Przyszło dwoje czy troje, reszta się z nas śmiała. Któregoś dnia, a raczej którejś nocy siedziałam na dyżurze przy małej lampce w hallu i wypełniałam historie choroby, kiedy usłyszałam rozmowę.

— One się bawią z dziećmi, myślą, że to...

— Że co?

— No, że to jest zwyczajne życie i że to są prawdziwe dzieci.

— Bo one chyba są jeszcze głupie.

— A może one nigdy nie były godne?

— A może one mają stracha i wolą być z nami niż same?

— A wiecie co? Ja bym nawet chciała, żeby można było się bawić i jeszcze chodzić zwyczajnie po pokoju i śpiewać. Ja lubiłam śpiewać.

— Zaśpiewaj, Fajgele.

— Co wy, po nocy?

— A jutro?

— Może.

— To opowiedzmy sobie coś.

— Jak moja siostra umarła i mama ją wyniosła, to już nie miała sił, żeby coś uzebrać i leżała tak i trochę płakała, ale ja

też nie miałam sił wyjść, więc mama też umarła, a ja strasznie chciałam żyć i modliłam się jak tata. Przedtem, zanim go zabili, to mówił „Szma Israel” i ja też zaczęłam tak mówić i przyjechali po trupy i zobaczyli, że ja jestem żywa i przywieźli mnie tutaj i ja będę żyła.

— To może my też będziemy mówić „Szma Israel”?

Więcej nie usłyszałam, bo spadła mi teczka z kartami i dzieci ucichły.

Więc następnego dnia, kiedy starsze dzieci przyszły popatrzeć, jak się te małe bawią w dom, powiedziałam nagle: — Fajgele, zaśpiewaj im coś. — A dlaczego ja? — Bo ty tak wyglądasz, jakbyś umiała śpiewać. — I Fajgele zaśpiewała kołysankę. A potem zaczęliśmy rozmawiać. I jakoś tak wyszło, że rozmawialiśmy jak równe. Że wszyscy boimy się tak samo i że my też nie bardzo mamy co jeść, ale że jeżeli chcemy przeżyć, to musimy się starać żyć jak ludzie, musimy pozostać ludźmi, bo oni chcą z nas zrobić zwierzęta. Opowiedziałam im, jak się na Śliskiej uczyliśmy angielskiego. Wreszcie postanowiliśmy wspólnie, że urządzimy koncert na święta wielkanocne.

Urządziliśmy koncert. Marysia napisała jakąś bajkę do inscenizacji, nie pamiętam już jaką, a ja z nimi zainscenizowałam piosenkę „Oj dem prieczok”. Fajgele była rabinem, śpiewała, kazała dzieciom „robić to co ona” i pokazywała im kroki tańca. A małuchy przebrane za chłopaczków z chederu tańczyły taniec chasydzki. I jeszcze były jakieś ciasteczka z marchwi czy brukwi i sztucznego miodu.

Dzieci bawiły się i śmiały, a ja już wiedziałam, że śliczna Fajgele z głosikiem jak skowronek ma dodatniego Pirqueta, więc to już była sprawa tygodni. Ale śmiała się tak wesoło, że łzy mi ciekły i dzieci wołały: „Pani się popłakała ze śmiechu”. To była ostatnia Wielkanoc, 1942 rok.

Tego samego dnia miałam dyżur w bramie na interwencjach. Tam siadywałam wieczorami i takie różne panie doktorowe przynosiły „paczki”, a ja miałam przed sobą informacje z oddziałów i mówiłam rodzicom o chorych, jak się czują i czy żyją. Bo na oddział tych ludzi obdartych i zawszonych nie można było wpuścić.

Właśnie tego dnia przyszła sześćioletnia Ryfka, która miała jeszcze w domu ojca, a w szpitalu starszego brata i trzyletnią siostrę. Matki już nie miała. Ta trzyletnia siostra umarła. Ryfka — pamiętam, powiedziałam — tę paczuszkę dla siostrzyczki zabierz, bo ona już nie żyje. A Ryfka podniosła na mnie swoje czarne oczy bez dna i powiedziała: — Bo jak człowiek musi uprać i sprzątnąć i ugotować, to nie starcza mu czasu i ja nie dopilno-

wałam dziecka. — I ten człowieczek okutany w łańchmany odwrócił się i odszedł starczym, człapiącym krokiem.

Poszłam na parter po swoje ubranie. Zobaczyłam, że w hallu są ludzie i białe fartuchy. To znaczy, że znów są ranni, bo „na wasze” stoi Frankenstein. To był taki żandarm, który się bawił strzelaniem do dzieci, jak do wróbli. Bo jak te dzieci wracały z żebrów przez dziurę w murze do getta, to wsuwały się do dziury jedno po drugim. A on czekał, aż ustawi się kilkoro, cztery-pięć sztuk, i wtedy strzelał i jednym strzałem załatwiał wszystkie. Jeżeli któreś dziecko jeszcze jęczało, to przynosiliśmy je do nas do szpitala i przychodził dr Wilk. Czasem można było jeszcze odwiedzić je na Śliską na chirurgię, a czasem już nie było po co.

Tego dnia był taki mały chłopak, może ośmio-, może dziesięcioletni, miał postrzał wątroby i nic mu nie można było pomóc, a ja jakoś przypadkiem stanęłam przy nim. Wtedy akurat otworzył oczy, spojrzał na mnie i wyciągnął rączkę, w której ścisnął pięćdziesiąt groszy. „Daj mamie”, powiedział i umarł.

Taki był mój wielkanocny wieczór na Lesznie. Koncert, mała Ryfka, co nie dopilnowała dziecka i ten chłopiec, którego życie warte było pięćdziesiąt groszy. Tych pięćdziesięciu groszy nie mogłam nawet oddać jego mamie, bo gdzie jej miałam szukać. Nie wiem, co z nimi zrobiłam. A potem było już coraz bliżej końca. Tylko jeszcze pamiętam sprzed akcji, jak Renia Frydman, która była z tej samej szkoły co ja i pracowała jako pomoc pielęgniarska, zachorowała na tyfus plamisty i leżała na I piętrze u dr. Makowera. Ciężko chorowała i przez parę dni nie mogła oddać moczu. Aż raz jej się przysniło, że Hela Keilson jako anioł „zrobiła za nią siusiu” i obudziła się i oddała mocz. A potem był już kwiecień i 51 rozstrzelanych i coraz bliżej 22-go lipca, kiedy zaczął się koniec.

Ten cały okres to jest tak jakby jedna noc albo jakiś ogromny cień, który wszystko ogarnął. Niczego nie potrafię sobie przypomnieć po kolei. To są tylko obrazy, które się na siebie nakładają i wiem, że tak było, ale co i kiedy? I tak jak w narkotycznym śnie myśmy dalej prowadzili historie chorób, chociaż już nie było żadnego porządku, bo przyszedł do nas szpital ze Śliskiej i znów byliśmy wszyscy razem, tylko dzieci nie było tak dużo, bo żywe zabrali rodzice, oczywiście tylko te, które jeszcze miały rodziców. Ale nie było już szpitala na Śliskiej i nie było małego getta. A Tosia Goliborska była już poza gettem. I nie wiem, jak to się stało, że przyszła do nas tego rana, kiedy poprzedniego wieczora zabrali moją Mamę i ja całą noc szukałam pomocy, a o 5-tej rano przyszedł na Umschlag dr Makower, który był lekarzem policyjnym i powiedział, że wszyscy z wieczora poszli prosto do wa-

gonów. Więc ja poszłam normalnie do pracy i była Tosia, a potem stanęłyśmy w oknie, a właściwie przy framudze, bo do okien strzelali, i patrzyłyśmy, jak ich prowadzą.

Przeszła dr Efros ze swoim nowonarodzonym synkiem na rękę i dr Lichtenbaumowa z ustami otwartymi jak do krzyku, i szli, i szli, z wózkami dziecięcymi i jakimiś dziwnymi rzeczami, jakimiś kapeluszami i płaszczami i garnkami i miskami, wciąż szli.

A potem nagle Renia Frydman złapała mnie za rękę i krzyknęła: — Moi rodzice! — I Broneczka! — a ja powiedziałam jej: — Nie krzycz — bo żandarm spojrział w naszą stronę. A oni wciąż szli i szli, był taki upalny dzień 30 lipca i taka cisza w powietrzu, bo nie było wiatru i powietrze stało.

Z Leszna, tam po drugiej stronie, wyjechała rollwaga, na koźle siedział młody mężczyzna w niebieskiej koszuli, zapalił papierosa i takim luźnym, szerokim gestem odrzucił zapalną.

W domu na Żelaznej, tam po drugiej stronie, wyszła na balkon kobieta w kwiecistym szlafroku i podlewała kwiatki w skrzynkach. I chyba widziała ten pochód, ale dalej podlewała kwiatki.

A po tej stronie szli i szli bez końca, starzy z siwymi brodami i małe dzieci i kobiety w letnich sukienkach i w płaszczach, i kobiety w jesionkach, i toboły, to wszystko na tę daleką drogę.

Tę rollwagę w słońcu i kobietę na balkonie czasem widuję we śnie.

Wcale nie wiem, jak ten dzień się skończył, tylko tak mi się zdaje, żeśmy się żegnały z Tosią.

A potem dalej przychodziliśmy do szpitala, często nocowaliśmy w szpitalu, bo ciągle łapali na kolejnych ulicach. A kiedy mnie wyrzucili z domu, bo tam wprowadzili się szczotkarze, to zabrałam pościel i zapakowałam w nią płyty i rosenthalowską porcelanę! To wszystko złożyłam w takim pokoiku na Lesznie, o który się wystarał jakoś Stefan, i kiedy tam przyszłam po trzech dniach, to wszystko było potłuczone i pomieszane razem, porcelana i płyty, cała podłoga była tym zasłana na grubość kilku centymetrów, a na wierzchu była jeszcze wysypana kumaryna z resztek towarów Stefana. Ale mnie było już zupełnie wszystko jedno. Tylko na drzwiach wisiała moja różowa nocna koszula i ja tę koszulę zabrałam i miałam ją ze sobą w szpitalu. I włożyłam ją wtedy, kiedy nie chciałam już więcej żyć.

A potem jeszcze raz staliśmy we framudze okiennej i patrzyliśmy, jak Żelazną w stronę Nowolipek idzie Korczak ze swoimi dziećmi. Podobno to było 9 sierpnia, ale ja tego nie pamiętam, bo myśmy dni nie liczyli.

Tylko do końca chodziliśmy między dziećmi, badaliśmy ich i pisaliśmy o nich. I pamiętam, jak dr Margolisowa chwaliła mnie

za porządnie prowadzone historie chorób, więc nie wiem teraz, czy to był śmiech czy płacz. Już jej nie zapytam.

Był taki dzień, kiedy kończyłam historie chorób za Michała Jaszubskiego, bo on i jego świeżo poślubiona żona Bronka już nie żyli, a on się z nią ożenił, bo mówili, że jego Ausweis chroni i jego, i ją. Ja już przedtem czasem pisałam za niego, bo on tego nie znosił i mówił, że to głupota. A myśmy myśleli, że jak te historie choroby zostaną, to po wojnie ktoś je znajdzie i będzie materiał dowodowy dla historii.

A potem już prawie nic nie pamiętam. Przyszli Niemcy i wywieźli dzieci na Umschlag. Przenieśli szpital. A Naczelnaj powiedzieli, że ma przeprowadzić redukcję personelu. A ja wiedziałam, że tam z nią jest Arik i pomyślałam, że mnie ta redukcja nie dotyczy, a jednocześnie pomyślałam, że mnie przecież jest zupełnie wszystko jedno, skoro dzieci zabrali. Tylko myślałam o tym, że trzeba, żeby wszystko było w porządku, więc usiadłam w hallu i kończyłam dokumentację, żeby ci, co pójdą na Stawki wiedzieli, co i jak. A potem poszłam do dyżurki i przebrałam się w nocną koszulę. I to jest wszystko, co pamiętam o szpitalu na Lesznie 81.

## *Koniec*

Nie wiem, który to był dzień. Ale tak mi się wydaje, że to był chyba 4 września 1942. Nie, to było dzień czy dwa wcześniej. W każdym razie był to ten dzień, kiedy do szpitala na Stawkach zwieźli wszystkich chorych ze wszystkich szpitali. Myśmy tam już byli wcześniej. To znaczy, że dzieci przywieziono na Umschlag dużo wcześniej. Tak, dzieci były na tym III piętrze już od dwóch tygodni. Ja doszłam później, bo tego dnia, kiedy dzieci ze szpitala na Lesznie zabrali na Umschlag, ja połknęłam fiolkę luminalu, popiłam pół szklanki wódki (więcej luminalu nie miałam, a bałam się, że to za mało) i położyłam się do łóżka. A potem przyszła Hela Keilson, ja jeszcze nie spałam, zapytała: „coś ty zrobiła?”, a ja jej odpowiedziałam, że wszystkie historie choroby doprowadziłam do końca i odożyłam na miejsce, a wtedy ona zaczęła krzyczeć i wzięli mnie mocno za rękę i wyprostowali, żeby można było wkłuć się do żyły, a ja krzyczałam: „zostawcie mnie w spokoju, wszystko się przecież skończyło, już nie trzeba...”. Potem usłyszałam jakiś dzwonek i koniec, więcej nic nie pamiętam. Dopiero potem się dowiedziałam, że Hela Keilson wzięła do strzykawki dwa razy tyle kardiamidu, co glukozy, bo pomyliła ampułki, i to był wstrząs kardiazolowy.

Dopiero po trzydziestu siedmiu latach, jak czytałam to, co Marek mówił, dowiedziałam się, że to on mnie wyniósł w tej różowej koszuli.

I dlatego ja do tego mieszkania na Pawiej i na ten oddział na Umschlagu przyszedłam o kilka dni później niż wszyscy. Ale i tak byłam tam swoje trzy tygodnie. Codziennie wychodziłam po odjeździe wagonów i zbierałam dzieci, które matki rzuciły na plac. Może chciały ratować te dzieci, a może siebie? Strach przed śmiercią to jest taka rzecz, której nie można zrozumieć. Trzeba go poczuć, żeby wiedzieć. I ja go też poczułam, ale to było dużo później i całkiem inna sprawa. A wtedy w ogóle nie czułam nic, jak wychodziłam na to podwórko i pokazywałam temu Ukraińcowi wódkę i piłam pierwsza, a on resztę, i wtedy zbierałam te dzieci i odnosiłam do szpitala na oddział.

A kiedyś on rozmawiał ze mną, a w oknie przy Umschlagu pokazała się jakaś dziewczynka. Więc on podniósł karabin, zastrzelił ją i dalej coś do mnie mówił.

A ja wzięłam te dzieci i powiedziałam mu do widzenia i poszłam, tylko nie bardzo wiedziałam, jak je trzymać, żeby jak on do mnie strzeli, nie trafił dziecka. A potem wysłało się je karetką na miasto, bo karetka jeździła do końca. Nie wiem, kto je tam zabierał. Niektóre wracały. Zresztą, co za różnica? Przecież i tak zginęły. Tylko wtedy wydawało mi się, że to jest różnica. A czasem były rodziny. W 1974 roku w Nowym Jorku Stasia mi powiedziała, że jak wyszliśmy po wszystkim z kotła i wsiadaliśmy do karetki, to ja ją ciągnęłam do środka, a kierowca wyciągał, i wtedy ja krzyknęłam: „Ty draniu, wczoraj twoje dziecko wyniosłam, a ty...”. I on się uspokoił. Więc chyba były jakieś rodziny też. A ja tego zupełnie nie pamiętam.

Chociaż to, żeśmy wyszli było strasznie ważne i pozostało ważne do dziś. Nie wiem, czy to jest jakieś wytłumaczenie, że byliśmy tacy młodzi i chcieliśmy żyć. Ja po tym, jak mnie uratowali z tej próby śmierci to naprawdę chciałam żyć. Jeszcze wtedy nie znałam strachu i dlatego wyszliśmy z tymi głupimi numerkami, a ci inni zostali. Tylko niemowlęta nie zostały, i dzieci starsze spały.

A w ogóle to było tak, że jak rano obudziłam się na Pawiej w domu, to powiedziano nam, że trzeba się zbierać w tym czworoboku ulic (Miła, Zamenhofs, Gęsia, Smocza) i wtedy dr Margolisowa i ja powiedziałyśmy, że idziemy do szpitala i ktoś jeszcze powiedział, kilka osób, ja już nie pamiętam. Wiem tylko, że szliśmy pustymi ulicami. Nawet nie wiem, czy Marek był wtedy z nami. Wiem, że potem byliśmy razem, ale wtedy nie wiem. Tylko pamiętam, że szliśmy w białych fartuchach i chyba do nas

nie strzelali. A może strzelali? Nie wiem. Jestem już stara i nie pamiętam.

Tylko pamiętam te drzwi szpitala i schody, na których leżeli ludzie, i straszliwy smród ropy i kału, i że ktoś mnie ciągle łapał za fartuch i krzychał „siostra, siostra”. To było całkiem inaczej niż potem w powstańczych szpitalach, chociaż i tam było strasznie. Wiem, że szłam coraz wyżej i tylko się starałam nie deptać po ludziach. Tam leżały trupy i żywi razem. Aż doszłam na to nasze trzecie piętro. Była tylko salka niemowląt, a dziecinnych sal nie było, wszędzie leżeli chorzy, ranni i umierający. Jak tak chodziłam, to zaczęły się znajdować dzieci, wychodziły z kątów i zbierały się koło mnie jak ptaki albo szczeniaki, i tak szliśmy coraz dalej i było ich coraz więcej, aż doszliśmy na jakąś salę i tam usiedliśmy. I wtedy taka Marysia, która miała gruźlicę węzłów chłonnych, to się wtedy nazywało skrofuły, powiedziała do mnie: „My już wszystkie wiemy, pani doktor, my już wiemy, że nie mamy ani mamusi, ani tatusia i że my też nie przeżyjemy. Ale czy pani doktor będzie z nami do końca?”.

— Tak, Marysiu, zostanę z wami na pewno — powiedziałam.

To było tylko pół prawdy, bo przecież wyszłam, tylko że one już wtedy spały i nie powinny się były obudzić. I tylko czasem, jeszcze teraz, jak nie mogę spać, to myślę, czy się któreś nie obudziło? Ale o tym lepiej nie myśleć.

Wtedy jeszcze o tym nie myślałam i w ogóle nie wiedziałam, czy wyjdziemy. Jeszcze był cały dzień przede mną. A na dole leżała Hela Keilson z obandażowaną nogą, a w drugim łóżku leżała kierowniczką kuchni cała w bandażach. Obie były poparzone, bo kierowniczką kuchni któregoś z poprzednich dni chciała się pochwalić, że ugotowała dla dzieci zupę z brukwi z marchewką i Hela tam zeszła, a ta kierowniczką tak się cieszyła, że jest zupa, że nie spojrzała za siebie i usiadła w ten wielki kocioł zupy, który stał już na podłodze. To, co prysnęło, oparzyło Heli Keilson nogę, tak że nie mogła przez kilka dni chodzić.

Więc ja tam siedziałam z nimi, bo Niemcy i szaulisi wpadli do szpitala i szukali „obcych”, a one nie leżały na sali chorych, tylko na dole w takim pokoiku koło dyżurki. Kiedy szaulisi wpadli do pokoju, ja akurat odwiedzałam opatrunek tej kierowniczką kuchni i oni poszli dalej — uznali, że wszystko w porządku. A tam w sąsiednim pokoju leżała Zosia Frachter, też młoda lekarka, otruta. Dowiedziała się, że jej matkę zabrali. I tylko tyle pamiętam, że jak z tego pokoju poparzonych szłam z powrotem na oddział, to ktoś niósł trupa Zosi na rękach. Ona gdzieś tam na pewno leży „pochowana”. Tam, gdzie dziś jest zajezdnia na Inflanckiej? Nie wiem.

A potem wróciłam na oddział do tego pokoju, gdzie siedziały dzieci i była tam dr Margolisowa, i była u siebie w gabinecie Naczelną. Wiem, że poszliśmy do Naczelną, która mówiła, że nie chce dzielić numerków. Pamiętam, że jej powiedziałam: „Jak pani doktor tego nie zrobi, to od nas nikt nie przeżyje, bo zrobi to dyrektor szpitala dla dorosłych”. I ludzie wszyscy mówili, że Ona musi to zrobić, a to było podłe, bo przecież nikt nie chciałby wyrokować o tym, kto ma żyć, a kto nie, a jednak żądałyśmy tego od Niej. Ordynatorzy mieli podobno numerki automatycznie, a o reszcie trzeba było decydować. Potem, po wojnie zapytałam Arika, czy wie, dlaczego myśmy dostali te numerki, to znaczy tacy jak ja, a nie ci starsi, tysiąc razy więcej wari. On mi wtedy powiedział, że mama postawiła na młodość, że my może przeżyjemy i coś jeszcze w życiu zrobimy. Więc tak było, że z tej naszej najbliższej grupy to miała być dr Margolisowa i Ala, i Hela Keilson, i Marek, i ja, a nie miała Stasia, bo ona była w ogóle nie z naszego szpitala, tylko wzięliśmy ją ze sobą na Stawki, żeby się nie rozdzielać. A Marysia i Dola Keilson były już chyba wtedy po aryjskiej stronie z Wackiem Skonecznym. W każdym razie ja ich tam na Umschlagu nie pamiętam.

Więc wróciłam z tego pokoju oparzonych do dzieci i siedziałam, bo już nic innego nie miałam do roboty, tylko siedzieć i rozmawiać z dziećmi, i opowiadać, jak to było kiedyś. Trochę nam ta rozmowa szła, a trochę nie, więc siedzieliśmy w milczeniu, tych piętnaścioro dzieci i ja jedna. Wtedy przysłała po mnie siostra Mira, nie pamiętam jej nazwiska, chociaż jej twarz mam ciągle w oczach jak żywą, i poprosiła mnie, żebym z nią zeszła na chwilę na dół. Jak wyszliśmy z tej sali, powiedziała do mnie i ja to ciągle słyszę: „Pani doktor, pani zrobi zastrzyk mojej matce, bo ja nie mogę. Ja panią błagam. Ja nie chcę, żeby ją zastrzelili na łóżku, ona nie chodzi”.

Więc ją zapytałam, co jest w strzykawce, a ona mi powiedziała, że morfina. I wtedy nagle zrozumiałam, co mogę zrobić z dziećmi, żeby im dotrzymać słowa. Chociaż jeszcze nie wiedziałam, że mam numerek, ale i tak wiedziałam, że nas rozdziela i nie uda mi się im pomóc w tej ostatecznej chwili. Spytałam ją, czy ma dużo morfiny, a ona powiedziała, że mi da. Bo wiedziała, po co.

Poszliśmy na pierwsze piętro, gdzie leżały rodziny personelu. Tam przedtem leżał mój teść, ale Mietek go zabrał, a przecież jemu też bym pomogła. Więc ta siwa pani uśmiechnęła się do mnie i wyciągnęła rękę. A siostra zrobiła zacisk. I tak wstrzyknęłam do żyły tę morfinę.



Potem zobaczyłam jeszcze parę osób, które już nie mogły się ruszać o własnych siłach. Wtedy zapytałam Mirę, co mam zrobić, a ona powiedziała: „Chyba im pomóc”. Więc pomogłyśmy im też. A pod oknem leżała taka kobieta z obrzękami, z niedomogą krążenia i ona patrzyła cały czas i miała w oczach błaganie. Więc ona była ostatnią, której zrobiłyśmy zastrzyk.

Dopiero później, dużo później dowiedziałam się, że to była żona dr. Landsberga. I ta „scena”, kiedy on się o tym ode mnie dowiedział, znalazła się w jednej z nowel Rudnickiego. Chyba to było „Wniebowstąpienie”. Tylko że tam jest niezupełnie tak, jak było. Ale to wszystko jedno... Więc jak wyszłam z tego pokoju, wyciągnęłam rękę i dostałam dwa duże opakowania morfiny. Nie powiedziałyśmy sobie ani słowa, tylko chyba uścisnęłyśmy sobie ręce.

I z tym poszłam na górę. Tam była dr Margolisowa i ja jej powiedziałam, co chcę zrobić. Więc wzięłyśmy łyżeczkę i poszłyśmy do pokoju niemowląt. I tak jak przez te dwa lata prawdziwej pracy w szpitalu pochylałam się nad łóżeczkami, tak samo teraz wlewałam w te małe buzie ostatnie lekarstwo. I tylko dr Margolisowa była ze mną. A na dole był krzyk, bo tam już byli szaulisi i Niemcy, i zbierali chorych z sal do wagonów.

Potem jeszcze poszłyśmy do dzieci starszych. Powiedziałam im, że to jest lekarstwo, żeby się nie bały, i one mi uwierzyły i wypily z kieliszka tyle, ile trzeba. A potem kazałam im się rozebrać, położyć i przespać. Więc położyły się i po kilku minutach, po ilu nie wiem, ale jak drugi raz wszedłam do pokoju, to spały. A potem już nic nie wiem, co było dalej. Tylko wiem, że miałam przypięty ten numerki i poszłam do oparzonych z tymi numerkami i Hela wstała, a ta kierowniczką otruła się luminalem i myśmy ją tak zostawiły. A potem był ten hall na dole w szpitalu przed drzwiami i tam się ludzie pchali do wyjścia, i tam spotkałam swoją nauczycielkę ze szkoły, dr Stefanię Złotowską, i ona zapytała mnie gorzko „masz numerki?”, a ja nie wiedziałam, jak odpowiedzieć, bo mi było wstyd. A potem była ta kotłowanina, a ja nie wiem jak zabrałam pół litra spirytusu i tylko wiem, że w tej kotłowaninie i w tym pchaniu nie puściłam Heli i Stasi. I to jest chyba najgorsze, że ci wszyscy z numerkami pchali się do życia, a tamci zostali.

Po kotle jeszcze przez parę dni wysyłaliśmy nasze numerki do szpitala, bo ich wywieźli na samym końcu. Parę osób w ten sposób wyszło — ale to i tak niczego nie zmienia. Niczego nie zmienia i to, że to nie jest koniec. Potem było tych pięć miesięcy w trzech pokoikach na Gęsiej, gdzie był niby oddział

dziecięcy i ja rano znów pomagałam, a wieczorem pracowałam jako salowa, bo taki miałam etat. I była jeszcze ta druga akcja i potem rozkaz wyjścia, i zaczęły się te dwa lata, kiedy poznałam naprawdę strach i zrozumiałam, że co innego jest walczyć z bronią w rękę, a co innego bać się i iść tam gdzie trzeba i być zupełnie bezbronnym. To były całe dwa lata, ale one i tak niczego nie wymazały z tego dnia, kiedy podawałam dzieciom morfinę. I pewnie dlatego różniłam się zawsze od wszystkich was, a wyście tego i tak nie rozumieli. I chyba myśleliście, że mnie to już nic nie obchodzi. I jeszcze były te głupie ploty, o których nic nie wiedziałam. I nie widziałam się prawie z nikim, kto przyjeżdżał, nikt o tym nie myślał, tylko z Celiną, bo z Celiną myśmy były zaprzyjaźnione inaczej niż wy wszyscy myślicie, to były nasze babskie sprawy ponad wojną. Ale to, co było potem, to już całkiem inna historia i już jej chyba nie zdążę napisać. Zresztą po co?

### *Podzwonne*

Pamiętasz? Tak, Ciebie pytam, jedyny żywy człowieku, któryś tu pozostał. Nie ma nikogo więcej. Czteryście tysięcy zginęło. Kilka — kilkadziesiąt tysięcy, które pozostały, rozproszyło się po świecie. Tylko Ciebie mogę spytać, czy pamiętasz, jak szliśmy we dwójkę ulicą umarłego miasta.

Dlaczego, po co? Czego szukaliśmy w ciszy, która krzyczała nam w uszach, na podwórkach, gdzie woda kapała z hydrantów, a wybite okna broczyły pierzem? Dlaczego zaglądaliśmy przez te okna do mieszkań, w których na ścianach wisiały fotografie, na stole stała niedopita szklanka herbaty, a na podłodze leżał drewniany konik i malutki trzewiczek?

Pamiętasz? Ktoś do nas strzelał. Gdzieś siedział ten Niemiec, który nagle zobaczył dwie sylwetki pozbawione ludzkich wymiarów i usiłował je zdmuchnąć. Ale nie trafił. Tylko kulki gwizdały nam koło uszu. Ale to nie miało żadnego znaczenia, bo przecież myśmy już własną śmierć przeżyli. Więc mówiliśmy o tym, że będziemy pisać kronikę tego, co się stało. I coś tam napisaliśmy. Tylko, że potem, dużo potem, było Powstanie Warszawskie i wszystko zginęło w ruinach kościoła św. Aleksandra.

A wtedy — może szukaliśmy czegoś, co można porąbać i spalić pod kuchnią, jak tę skrzynkę lokatorów, którą przenieśliśmy na to nasze czwarte — trzecie? — piętro czynszówki na Gęsiej. A może szukaliśmy czegoś do jedzenia, bo przecież kiedy wyszliśmy z kotła i przyszliliśmy do tego domu, gdzie miał być szpital

i nasze mieszkanie, zaczęliśmy od szukania po szafach i szafkach. Znaleźliśmy herbatę, kaszę i woreczek fasoli. Więc nie myśleliśmy o niczym innym, tylko żeby jak najszybciej ugotować tę kaszę i zjeść.

Dużo nas było w tym trzypokojowym mieszkaniu — chyba dziesięć-dwanaście osób. Wieczorem stawiało się na małym gazie garnek z „fałszywym ciulentem”, trochę kaszy, ziemniaków, jeżeli były, czasem 5 dkg słoniny. Jakieś przyprawy? Sól na pewno, bo przecież znaleźliśmy trochę soli.

O piątej-szóstej każdy nalewał sobie talerz tej gorącej, gęstej zupy i szliśmy do pracy. Bo wciąż jeszcze pracowaliśmy w szpitalu. Ta czynszówka na Gęsiej, której jedyna oficyna była mieszkaniami personelu — to był szpital.

Starczało tego dla trzydziestu-pięćdziesięciu tysięcy (?) żywych.

A trzy pokoiki na pierwszym piętrze to było akurat tyle, ile trzeba było dla tych paru tysięcy dzieci, które jeszcze nie zginęły.

Była tam Naczelną i była Hela Keilson, i nie wiem, kto jeszcze.

Niewiele pamiętam z tego oddziału. Chociaż przychodziłam tam rano do pracy. Po południu lub nocą pracowałam jako salowa, bo przecież salowych nie było, a etatów lekarskich tyłu nie potrzebowaliśmy.

Nie pamiętam? Nieprawda. Wystarczy zacząć o tym myśleć, żeby poczuć smród gnijącego mięsa. I żeby zobaczyć Chanę, która miała dziesięć lat i śmiała się całą chudziutką twarzyczką i mówiła, że tak się cieszy, że jej nic nie boli. A przecież bez palców też można żyć i to dobrze żyć. Tylko wciąż przeproszała, że jej nóżki tak brzydko pachną.

A Chaimek prosił, żeby mu uratować palce u rąk, bo on chce grać na skrzypcach jak tata, który został na drodze do Warszawy w śniegu i błocie.

Mroźna była ta zima 1942-1943? Chyba tak, bo po ulicy przemykały się wieczorami postacie okutane w szmaty i jeszcze raz szmaty. A dzieci na łózkach trzęsły się z zimna, bo opału było mało, a chudość nie grzeje.

Tylko nie było już obrzęków głodowych, bo przecież w dzielnicy były bony tych, po których dym się rozwiął na polach Treblinki.

Więc mieliśmy więcej chleba, sztucznego miodu, a od „placówkarzy” kupowało się 5 dkg słoniny albo kwaterkę końskiej krwi.

Pamiętasz? Sprzedawaliśmy na chleb u szcztokarzy cukier i kiełbasę, które przyniósł dr Skoneczny, kiedy jeszcze miał przepustkę. Tylko że nie umieliśmy sprzedawać, więc staliśmy na

podwórku i czekaliśmy, co dalej. A to było moje podwórko i ja tam znalazłam fotografie.

Więc nie było już obrzęków głodowych, chociaż nie było za dużo jedzenia. Były tylko odmrożenia i oparzenia.

A ja już nie pracowałam jako salowa, bo skaleczyłam się przy myciu podłogi w separacie durowej, w której leżał Stefan, i miałam obrzydliwą flegmonę. Leżałam dziesięć dni. Dr Wilk przeciął mi to w domu, a potem zostałam jego pomocnicą.

Nie było już przecież oddziału chirurgii dziecięcej. Dr Wilk prowadził „małą chirurgię” dla całego szpitala.

Nie wiem, nie pamiętam, gdzie wyjąławałam narzędzia. Gdzieś był jakiś autoklaw. Pamiętam tylko, że z tacą przykrytą serwetkami chodziłam za dr. Wilkiem po oddziałach i coraz lepiej rozumiałam, że trzeba nieść pomoc do końca, ale przedtem trzeba stać się kawałkiem drewna.

Nie, to mi się już nie śni. To minęło. Tylko potem, kiedy pracowałam w szpitalu w Powstaniu Warszawskim, patrzyłam na to wszystko ślepymi oczami. Bo nic nie było takie, jak odleżyny na całe pośladki, martwe tkanki obcinane zwyczajnie nożyczkami bez znieczulenia. Albo oparzeni w czasie pracy na placówkach, wiszący na prześcieradłach w soli fizjologicznej.

Chlebem codziennym były odmrożone stopy, palce czarne od zgorzeli, amputowane na łożku bez stołu, nawet bez rękawiczek, zwyczajnie po umyciu rąk. I smród — straszliwy smród.

Nie lubiłam wtedy mojego oddziału dziecięcego. Nie lubiłam asystować przy amputacji odmrożonych palców ani przy opatrywaniu dzieci śmiertelnie poparzonych z powodu braku opieki. Nie lubiłam — po prostu.

Z tego okresu pamiętam najlepiej uczennice szkoły pielęgniarzkiej, nadal w tym ostatnim domu przedpogrzebowym trzymane żelazną ręką Luby Blum-Bielickiej.

Obchodząc o 6-tej rano sale chorych durowych pytała w swój charakterystyczny sposób, zaciągając z wileńska:

— Czy pani była dzisiaj myta?

Pewnego dnia uczennica spiesząc się, żeby zdążyć wszystko przed kontrolą dyrektorki szkoły, natarła spirytusem plecy zmarłych, wystawionych w nocy na korytarz.

To był już inny czas. Kiełkowała myśl o zemście. Ludzie już uwierzyli, że to koniec i od myśli od śmierci mocniejsza była myśl o tym, jak umrzeć. Z jednej strony ktoś szykował broń i organizował ludzi, którzy za kilka miesięcy mieli zapłonąć wielkim fajerwerkiem, widocznym w całym świecie, a z drugiej strony coraz więcej ludzi myślało o ratunku. Codziennie dowiadywaliśmy się o kimś, kto wyszedł z placówki i nie wrócił.

Już krążył w odpisach wiersz Szlengla „Warum Juno sind rund”, już padły pierwsze strzały z naszej strony, już radość walki była silniejsza od nienawiści.

Tylko w szpitalu nic się nie zmieniło. Codziennie chodziliśmy po oddziałach, codziennie usiłowaliśmy tłumaczyć umierającym, że nadzieja nie minęła. Taki to był szpital.



Tego styczniowego ranka 1943 roku obudziliśmy się i usłyszeliśmy niemieckie krzyki. Któryś z chłopców zbiegł na dół, wrócił i powiedział, że akcja.

No to trzeba było się ubrać i czekać, co dalej.

Nagle ktoś zastukał do drzwi i wszedł gestapowiec jak z obrazka. Między nimi byli tacy piękni chłopcy, tylko oczy mieli z kawałka lodu. Popatrzył po wszystkich i podszedł do mnie.

— Kim jesteś?

— Lekarzem. — Miałam już na sobie fartuch i słuchawkę na szyi.

— Boisz się śmierci?

— Nie. — To była prawda. Nic nie czułam.

A on wyciągnął pistolet i przystawił mi do czoła. Powiedział przy tym coś, że on wcale nie chce, ale *Befehl ist Befehl*.

A ja wciąż się nie bałam, tylko wszyscy się zlekli, bo to by wcale nie było przyjemne, taki trup z rozwaloną głową i w ogóle.

A on po chwili podrzucił pistolet na dłoni, uśmiechnął się, że taki żart mu się udał i wrzasnął, żeby mężczyźni szli na dół „pomagać chorym”. Więc chłopcy wyskoczyli z mieszkania, ale oczywiście schowali się gdzieś. W bramie? W schowku?

Kiedy on poszedł, stanęła sprawa, żeby się schować. Na drugim piętrze był schowek, który pewno zrobił sobie jakiś kupiec na towar. To była taka wąska kiszka, która szła w drugą stronę niż pokoje i drzwi do niej były zastawione szafą.

Nie miałam najmniejszego zamiaru tam pójść, ale okazało się, że rodzice Heli nie chcą pójść bez niej, a ona nie chce beze mnie. Więc Marek powiedział do mnie: — Musisz iść, bo w domu jest broń i nie chcemy starych w razie strzelaniny.

W tym „schronie” było około trzydziestu osób i świeczka, którą zapalono, po godzinie zgasła, bo już nie było tlenu. A ja, zanim usiadłam, to wypatrzyłam na półce taki ciężki, chyba 2-kilogramowy odważnik. Usiadłam na piecyku koło tej półki.

A potem tośmy słyszeli, jak rozwalają jedne drzwi po drugich i kiedy weszli do naszego mieszkania, to usłyszeliśmy taki trzask,

jakby odsuwali szafę. Wtedy pierwszy raz poczułam, że jest mi strasznie zimno, zwłaszcza w nogi. To właśnie był strach. Ale złapałam ten odważnik w rękę i nie pamiętam już, czy się jeszcze bałam. A potem usłyszeliśmy, jak mówią: *Ist nichts da* i odchodzą.

Jeszcze długo nikt się nie ruszał. Dopiero później okazało się, że kiedy oni otworzyli tę szafę, to tak szarpnęli, że tylna ściana wypadła i zasłoniła drzwi od schowka.

Potem usłyszeliśmy trzy strzały. U nas w domu zostały trzy osoby. Wtedy już wiedziałam, że się boję i trzęsłam się tak, jakbym miała dreszcze. Jak się wszystko skończyło, Naczelną patrzyła na mnie, żebym poszła zobaczyć, czy można już wyjść, a ja nie mogłam, bo wciąż się trzęsłam. I dopiero jak ktoś po nas przyszedł i powiedział, że już koniec, zabrałam Tecię i poszłam przez ich mieszkanie i przez jakieś gruzy do naszego. Ale u nas wszystko było w porządku. Tylko chorych już nie było.



Po tej drugiej akcji 25 stycznia 1943 roku kazano mi wyjść z getta. Nikt mnie nie pytał o zdanie, po prostu wyszłam, bo tak było trzeba.

Wraz z Marysią, która już była po aryjskiej stronie organizowałyśmy wychodzenie ludzi z getta. Szykowałyśmy mieszkania i dokumenty dla tych, którzy mogli się poruszać.

Przyjmowałyśmy ludzi najbliższych, kolegów ze szpitala. Ostatnią osobą, która zdążyła przyjść do nas była Renia Frydman — Zosia. A potem napisałyśmy ten list do Naczelną, że błagamy ją, żeby wyszła, że mamy dla Niej wszystko.

Dostałyśmy odpowiedź: „Nie martwcie się o mnie. Mam inne plany”. Przez chwilę uwierzyłyśmy, że ma inną drogę, tak jak wielu wybitnych lekarzy.

A to była tylko jedna droga: razem ze szpitalem.

Tak naprawdę, to nie wiemy, jak zginęła. Czy w płomieniach palącego się szpitala, czy gdzieś w piwnicy. A może znalazła się wśród wywiezionych? Nie wiemy.



Zaczęły się dwa następne lata. Lata, w których poznałam nienawiść i strach. Strach, od którego lodowacieją ręce i nogi. Ale to zupełnie inne sprawy.



A teraz lata minęły. Dużo lat.

W tym wielkim nowoczesnym mieście nie ma śladu po tym, co się tu stało.

Tak, stoi pomnik. Ale nie ma ani kawałka muru, który oddzielał jedną trzecią mieszkańców miasta od reszty. Nie pozostawiono żadnej enklawy kamiennej pustyni, w którą obrócono miejsce, gdzie żyli, umierali i walczyli ci, którzy tu żyli tysiąc lat.

Nie ma ani jednego wypalonego domu, z którego okien matki wyrzucały dzieci, a potem skakały za nimi.

Chodzę czasem tą nową, nowoczesną dzielnicą po bruku, który kryje kości spalonych, patrzę na to miejsce na niebie, gdzie stał mój dom i wszystkie inne domy.

Kiedy zamykam oczy, ulice stają się znów bliskie. Tłum ludzi — cieni — krąży między cieniami domów i wyraźnie, tak jakby to było naprawdę, słyszę głos dzieci, wołających w tamtej mowie: *Hobt rachmunes*. Miejcie litość.

Przychodzę czasem na ulicę Sienną czy Śliską. Patrzę na bramę szpitala, zaglądam przez kraty i widzę, że nie ma już rajszych jabłoni, które tu kwitły. Ten szpital nie nosi imienia, które powinien nosić.

Ale zamykam oczy. Wtedy otwiera się brama, ta od Śliskiej, gdzie kiedyś rozebrało się bezdomne dziecko, i wychodzą z niej wszyscy ci, których nie ma. Na ostatnim obchodzie idzie Naczelną w białym fartuchu, za nią lekarze, pielęgniarki, salowe, potem wychodzi administracja i dyrektor Kroszczor starannie zamyka bramę.

Wiem, że zostawili po sobie wszystko w porządku, a Dola Keilson zamiotła na koniec podłogi.

#### *Nazwiska, które pamiętam*

Komisaryczny dyrektor szpitala — *dr Wacław Skoneczny* (zmarł po wojnie).

Lekarz Naczelną — *dr Anna Braude-Hellerowa* (zginęła w kwietniu 1943 roku).

Dyrektor administracyjny — *Henryk Kroszczor* (zmarł po wojnie).

Kierowniczką kancelarii — *Regina Goldmanowa* (zmarła po wojnie).

Pracownica administracyjna — *p. Maria (?)*, siostra *p. Goldmanowej* (zginęła w czasie wojny).

Sekretarka — *Bronisława Feinmesser* — „*Marysia*” *Warmanowa* (żyje w USA).

- Pracowniczka księgowości — *p. Sachs*, wdowa po lekarzu (zginęła).
- Intendent — *Józef Ferszt* (zginął na Majdanku).
- Pielęgniarka przełożona — *Debora Keilson* (rozstrzelana w Otwocuku w 1943 roku).
- Pielęgniarka gospodarcza — *Tenenbaumowa (?)* (otrzymała się, zostawiając swój numerki życia córce).
- Kierowniczką kuchni — *p. Hodesowa* (przeżyła, zmarła w USA).
- Dr Lichtenbaumowa* — ordynator oddziału wewnętrznego (zginęła w Treblince).
- Dr Efros* — lekarz (zginęła w Treblince).
- Dr Fedentrumpf* — ordynator oddziału zakaźnego (zginął w Treblince).
- Dr Helena Keilson* (przeżyła obozy, żyje w Szwecji).
- Dr Anna Margolisowa* — ordynator oddziału gruźliczego (przeżyła).
- Dr Jerzy Rotbalsam* — asystent oddziału wewnętrznego (przeżył).
- Dr Zofia Frachter* (otrzymała się na Umschlagu).
- Dr Wilk* — ordynator chirurgii (przeżył, wyjechał do Szwecji).
- Dr Wilkowa* — konsultant okulistyki (przeżyła).
- Dr Leneman* — asystent chirurgii (zginął).
- Dr Lewin* — laryngolog (przeżył).
- Dr Maria Folman* — asystent oddziału durowego (zginęła w Treblince).
- Dr Luba Higber (?)* — lekarz (zginęła w Treblince).
- Teodozja Goliborska* — kierowniczką laboratorium (przeżyła, żyje w Australii).
- Fajga Ferszt* — laborantka (zginęła na Majdanku).
- Dr Michał Jaszowski* — asystent oddziału wewnętrznego na Lesznie (zginął).
- Prof. Hirszfeldowa* — ordynator oddziału na Lesznie (przeżyła).
- Dr Makower* — oddział na Lesznie (przeżył).
- Sara Dubni* — pielęgniarka oddziału durowego na Śliskiej (zginęła).
- Renia Frydman* — *Zosia Skraszewska* (przeżyła).
- Mirka Klenieć* — pielęgniarka sali operacyjnej (zginęła).
- Lilka Wagner-Lewinowa* — pielęgniarka (przeżyła).
- Dr Kachane* — asystentka oddziału zakaźnego (zmarła po wojnie).
- Marek Edelman* — goniec (przeżył).
- Adina Sz wajger* — stażystka (przeżyła).



## PO ARYJSKIEJ STRONIE

We wszystkich wspomnieniach, jakie czytałam, mówi się przede wszystkim o tym, jak ludziom udało się uratować życie. I jeszcze o tych, którzy pomagali, którzy z narażeniem siebie ratowali nie tylko ludzi, ale godność człowieka. Nic albo prawie nic nie wiadomo o tym, jak żyli dalej ci, którzy walczyli, a potem wyszli zza murów. Wiadomo coś niecoś o tym, że bojownicy getta, którzy przeżyli pożogę, walczyli potem w lasach, ginęli w Powstaniu Warszawskim, ale nie mówi się nigdzie o tym, że kiedy skończyła się walka o honor umierania, zaczęła się walka o utrzymanie przy życiu tych kilku — kilkunastu? — tysięcy Żydów ukrytych w Warszawie i innych miastach. To była trudna walka. Sztab ŻOB-u, lepiej lub gorzej zamelinowani bojownicy oraz garstka łączników i łączniczek mieli trudniejsze zadanie niż inne konspiracje. Zagrożeni podwójnie — za opór oprawcom i za pochodzenie — przemykający się ulicami, na których własna twarz była wrogiem, a mogła być wyrokiem śmierci, nieśli na barkach odpowiedzialność za wszystkich bezradnych i przerażonych „zwykłych ludzi”, zamkniętych bez możliwości poruszania się i oczekujących pomocy. Nie tylko pieniężnej. Były załamania i sploty różnych, często tragicznych spraw, choroby i zgony, które trzeba było ukrywać, rozpacz i strach, szmalcownicy i ludzie dobrej woli.

Przy tych wszystkich sprawach trzeba było interweniować. Dochodził do tego własny strach, którego nie wolno było nigdy okazać. Ale był zwinięty ciasno jak sprężyna w żołądku.

Więc chociaż nie wszystko pamiętam i nie wszystko wiedziałam, myślę, że trzeba o tym opowiedzieć.

### *Łączniczka ŻOB*

Wysłałam z placówką 25 stycznia 1943 roku. Tak mi kazano. Najpierw Marek<sup>1</sup> powiedział mi, że mam wyjść. Nie chciałam. Powiedziałam z głupia frant, że nie mam pieniędzy na zapłacenie placówce. Odpowiedział, że to mnie nic nie ma obchodzić. Szukałam więc jakiegoś innego wykrętu, żeby zostać. Wtedy wtrącił się Abrasza Blum, który wtedy był u nas. Miał ischias, leżał i dostawał zastrzyki. Przyszedł zaraz po drugiej akcji z 18 stycznia. Właściwie dużo nie mówił, tylko uśmiechnął się tym swoim

---

1. Edelman.

spokojnym uśmiechem i powiedział, że tak trzeba. Bardzo szanowałam Abraszę i uznałam, że jak jest wojna, to może być i rozkaz.

I poszłam. Z płacówką.

Miałam na sobie trzy zmiany bielizny, kostium letni (bardzo stary), garsonkę „lepszą” i na tym wszystkim jesionkę. W torbie na zakupy miałam jakieś dodatkowe obuwie (pepegi), jakieś drobiazgi, dużo fotografii, parę pamiątek z domu, które straciłam dopiero w Powstaniu Warszawskim. Ostatni i jedyny majątek (jedyne, czego żałuję).

Przeszłam przez wachę, chyba nie kontrolowana, w tłumie, i zaraz za przejściem zsunęłam opaskę. Słyszałam „miauczenie” szmalcowników, którzy w ten sposób podawali sobie potencjalne ofiary, ale patrzyłam im w oczy z taką pewnością, że nikt mnie nie zaczepił. Wyszliśmy we dwie z Helą Keilson. Ona miała jakiś inny adres, a ja tego pierwszego dnia poszłam do p. Marii Zarębianki, córki starej niani mojej Mamy. To była stara panna, urzędniczka tramwajowa, do szpiku kości przyzwoita kobieta, która z bardzo prostego środowiska „awansowała” na urzędniczkę. Pamiętam, że przyjęła mnie na tę pierwszą noc z sercem, ze łzami i na pewno ze strachem. Dała mi jeść, a była bardzo biedna. Jadłyśmy *Blutwurst*, tzn. krwawą kiszkę. Wydawała mi się wspinała. Potem pościeliła mi na podłodze i kiedy już się położyłam, zaczęła czegoś szukać w szufladzie komody. Znalazła futrzany kołnierzyk i przyszyła mi go do jesionki, bo — powiedziała — po braku futra poznaje się Żydów na ulicy.

Szła na 7-mą do pracy, więc wyszłam o 6.30 i poszłam obejrzeć Warszawę. Nie pamiętam, co wtedy czułam, chociaż przez te wszystkie lata, miesiące i dni tęskniłam do mojego miasta za murami. Chyba nic nie czułam, bo byłam jeszcze ciągle i na zawsze za murami, w środku tego, co się tam działo, i to zwyczajne miasto nie było już moje.

Pewne szczegóły zatarły mi się w pamięci. Nie wiem, kiedy spotkałam się z Marysią. Wiem, że zeszliśmy się z Helą i poszliśmy pod ten adres na Miodowej, gdzie na dole była kawiarenka, a na piętrze mieszkała pani pułkownikowa P. ze swoimi pięknymi córkami. Tam u nich spałyśmy kilka nocy i zostawiłyśmy wszystkie nasze rzeczy i pieniądze. Później trzymałam tam jeszcze pieniądze starej ciotki, bo ona była w złym miejscu i nie miała zaufania.

Po kilku dniach znalazłyśmy z Helą pokoik sublokatorski na Dzielnej blisko getta i tam nocowałyśmy. Ja zaraz pierwszego czy drugiego dnia poszłam pod adres na Senatorską (4?, 61?)

tuż przy Miodowej i zaczęłyśmy z Marysią robić to, co do nas należało, to znaczy szukać mieszkań dla tych, co mieli wyjść i ewentualnie przeżyć oraz szykować dokumenty dla tych, którzy będą mogli się poruszać.

Punktem kontaktowym była ta kawiarenka na Miodowej. Już nigdy się nie dowiem, kto tam był najbardziej nieostrożny, bo oprócz nas przychodziło tam bardzo dużo ludzi. I ci, co wyrabiali dokumenty, i ci, co musieli zdobyć dokumenty i różni inni, nam potrzebni albo z zupełnie innych spraw.

Hela była chyba jeszcze załamana i niezupełnie wolna od strachu przy poruszaniu się. Nie pamiętam, czy coś załatwiała, czy tylko chodziła do swoich starych rodziców, którzy gdzieś tam byli urządzeni na fałszywych papierach. Nosili zdaje się to samo nazwisko co Hela, Małeccy, tylko on był Leon. I jeszcze pamiętam, że wyostałam moją starą cioteczną babcię i umieściłam ją u jej dawnej pomocy domowej koło Freta.

Szukanie mieszkań, chodzenie pod różne adresy, co do których nie było wiadomo, czy to jest dobry adres, czy pułapka, wyrabianie dokumentów, odbieranie fotografii od łączników było z początku najważniejsze. Potem, tak pod wiosnę, było już coraz bliżej walki, byli już Antek<sup>2</sup>, Kazik<sup>3</sup> i Michał Klepfisz<sup>4</sup> i zaczęło się noszenie broni i amunicji z jednego miejsca na drugie, tzn. odbieranie od tych, którzy sprzedawali lub dostarczali i noszenie pod getto, gdzie kto inny odbierał. Ale jak szłam z bronią, to się najmniej bałam, bo wiedziałam, że się nie dam żywcem. A wtedy już zaczęłam się bać, bo parę razy spotkałam moich kolegów z UW i niektórzy tak dziwnie patrzyli, a przez jedną wyskoczyłam w biegu z tramwaju, ale nikt nie zauważył.

Dopiero kiedy dostałam cyjanek, poczułam się pewniej, bo największy strach to była myśl, że można nie wytrzymać bicia i zacząć mówić. Nie wiedziałam tylko, że ten cyjanek był zwietrzały.

Dr Margolisowa pracowała wtedy jako niania do dziecka gdzieś na Muranowskiej. Często tam chodziłyśmy, bo z okna klatki schodowej było widać getto. Szukałyśmy znajomych sylwetek, ale nie można było nikogo poznać.

Chodziłyśmy z Marysią bardzo często razem. Tak było bezpieczniej: słyśmy roześmiane i rozgadane, dwie młode dziewczyny, jakich pełno było na ulicach Warszawy, a jak szła jedna, to czasem się zapominała i miała „złe” oczy.

---

2. Iechak Cukierman (przeżył, zmarł w Izraelu).

3. Symcha Rotem (przeżył, mieszka w Izraelu).

4. Zginął w powstaniu w getcie.

Nie pamiętam już teraz, kiedy kto wychodził z getta, wiem tylko, że było już dużo ludzi bliskich i dalszych i najbliższych. Niektórzy, jak np. dr Margolisowa, wyszli zaraz po nas, a kiedy wyszła Stasia, nie pamiętam, wiem tylko, że była, i wiem, że wyszła rodzina dr Hellerowej, tzn. jej siostrzeniec Bubi i jej siostra Judyta Braude. Oni wszyscy byli umieszczani w kolejnych mieszkaniach i coraz to coś się „paliło” i trzeba było szukać innych schronień. Mego męża Stefana umieściłam w piwnicy u jarzyniarki na Mokotowie, a jego rodzice i brat Mietek z żoną nie chcieli wyjść.

Już miałyśmy to parszywe doświadczenie, że jak ktoś chce dużo pieniędzy, to jest źle, bo to może być szmalcownik, ale często nie było rady i trzeba było ryzykować.

A raz ktoś z „naszych” ludzi ze szpitala zrobił świństwo. To już nieważne, kto. Gdyby to było dla ratowania życia, to można by mieć litość, bo ludzie strasznie chcieli przeżyć, ale to było dla ratowania pieniędzy. Sprzedali nam, tzn. wzięli zwrot pieniędzy, które wpłacili za mieszkanie, bo powiedzieli, że znaleźli wygodniejsze. Marysia umieściła tam p. Natanblutową i chyba Judytę, a to się okazało mieszkanie spalone i przyszli do nich szmalcownicy. Na szczęście wzięli tylko pieniądze. Nie pamiętam już, jak to się stało, ale po kilku dniach spędziliśmy w tym mieszkaniu noc — z jakiegoś powodu nie można było inaczej. Pamiętam tylko, że było kilka osób i wśród nich Stasia. Siedzieliśmy po ciemku. Późnym wieczorem ktoś się zaczął dobijać, chyba też szmalcownicy. Siedzieliśmy cichutko, zupełnie jak w getcie. Kilka razy próbowali, w końcu poszli. Na mnie wszyscy patrzyli z zazdrością, bo miałam na palcu ręki okropnie bolesny ropień i właściwie nic mnie nie obchodziło, tylko całą noc chodziłam podtrzymując rękę. Rano wyszliśmy stamtąd. Poszłam do dr. Skonecznego, który wtedy pracował w Omedze przy Alejach Jerozolimskich i on mi to przeciął. To było zupełnie jak w chińskim powiedzeniu, że jak boli ząb, to trzeba rąbnąć w twarz z drugiej strony...

Cały ten okres od końca stycznia do kwietnia zataił mi się w pamięci. Zyliśmy ni to we śnie, ni to w transie. Znajdowaliśmy się już po tej stronie i cały dzień byliśmy w ruchu. Ciągłe się coś załatwiała. To pieniądze, to broń, to kogoś się przejmowało z getta, ale wszystko to było nieważne, bo wszystkie nasze uczucia były po tamtej stronie murów. Często zresztą byłam pod murami z przesyłkami, coś się przerzucało, coś ktoś odbierał, pamiętam, że czasem marzyłam, żeby mi pozwolili tam pójść.

17 kwietnia miałam pójść z Michałem Klepfiszem, bo było

dużo do zanieśienia. Już byłam pod przejściem, kiedy w ostatniej chwili dowiedziałam się, że mam zostać. On mi mówił o Łodzi i Irenie<sup>5</sup>, że mam o nich pamiętać, i poszedł, a ja musiałam zawrócić i pójść na Żoliborz. I tylko pamiętam, że wtedy się rozplakałam, ale po chwili sobie przypomniałam, że nie wolno płakać na ulicy.

A jeszcze przedtem, chyba 9 kwietnia, wyszła Renia Frydman — Zosia. Ostatnia z naszego szpitala. Wtedy też otrzymaliśmy ten ostatni list od Naczelnej, że Ona ma „inne plany”. A potem nadeszła noc z 18 na 19 kwietnia. Spałyśmy z Helą Keilson w naszym pokoiku na Dzielnej. Rano usłyszałyśmy strzały.

### *Campo di Fiori*

Dochodziły z daleka. Nie z naszego domu ani z naszej ulicy.

Ubrałam się i zesłałam na dół. Ludzie mówili, że to w getcie. Zaczęło się.

Więc weszłam na górę, powiedziałam to Heli, a ona tak jakby się zapadła. Powiedziałam, że wychodzę — nic nie odpowiedziała.

Włożyłam najlepszą i jedyną sukienkę, taką garsonkę w brązową kratkę (było ciepło, piękna wiosenna pogoda), potem uczałam się starannie przed lustrem, upudrowałam i umalowałam usta. Na mieście kupiłam u ulicznej straganiarki wielki bukiet żółtych kaczęńców. Kaczeńce, bo przecież była wiosna i Wielki Tydzień, poniedziałek. Te kaczęńce to było moje przebranie. Miały wyrażać radość i mogłam w nie chować twarz. Ale i tak nie płakałam.

Poszłam na Plac Krasińskich, stanęłam obok karuzeli z tym pękiem kaczęńców w obu rękach i uśmiechałam się. Karuzela się kręciła, dzieci się śmiały, ja się uśmiechałam, grała jakaś muzyka — a może mi się tylko zdaje? Słońce świeciło, a tam były jakieś dymy i strzały. Ludzie mówili potem o chorągwiach, ale ja nic nie widziałam, chociaż naprawdę nie miałam w oczach ani jednej łzy. Choćbym mogła i chciała, to bym nie płakała, bo wszystkie łzy, jakie kiedykolwiek miałam, już dawno wyschły.

To nie było do płaczu. Tylko nogi miałam jakieś drewniane, ciężkie, i może bym gdzieś usiadła, ale nie było gdzie.

Nic więcej nie pamiętam z tego dnia, chociaż wiem, że musiałam w końcu stamtąd odejść, bo przecież miałam co robić. Ale jest tak, jakbym tam stała jeszcze do dziś. Tylko kiedy potem czytałam ten wiersz Miłosza „Campo di Fiori”, to sobie przez

---

5. Żona i córka.

chwilę pomyślałam, że może On obok tej karuzeli widział radosną dziewczynę z kaczeńcami?

Teraz, kiedy piszę te wspomnienia, budzę się kilka razy w nocy. Czasem przed samym obudzeniem czuję, że nogi mi ciążyą i stoję tam w słońcu obok studni na Placu Krasińskich i kręci się karuzela, a za murem płonie mój dom, bo on tam był, właśnie przy samym Placu.

Nie, nie chodziłam często na Plac Krasińskich. Chodziłyśmy na klatkę schodową na Muranowskiej i patrzyłyśmy do bólu oczu. Kiedyś nam się zdawało, że widzimy na dachu czerwony sweter<sup>6</sup>. Ale to nam się chyba tylko zdawało. W oczach miałyśmy szarość dymu i w ustach gorycz od swądu, który stał nad Warszawą, ale wciąż byłyśmy z Marysią tak samo uśmiechnięte i beztroskie.

Było dużo pracy, bo przecież wierzyło się, że dużo naszych za murami przeżyje: jak się walczy, to niekoniecznie trzeba zginąć. Więc szukałyśmy mieszkań, szykowałyśmy dokumenty, a na Warszawę padł blady strach, więc o mieszkania było trudno.

Zaraz potem był Wielki Czwartek. Padał deszcz, więc włożyłam stary kostium i pepegi i zesłam do kawiarni na Miodowej. Czekwały na mnie Marysia, jej siostra Halina i Hela. Marysia powiedziała, że musimy zaraz iść na Żoliborz, bo tam jest jakieś mieszkanie, które trzeba zobaczyć i załatwić.

Hela Keilson i Halina zostały w kawiarni, a my miałyśmy zaraz wrócić. Chyba umówiłyśmy się z nimi na obiad. Nie pamiętam. Nie pamiętam też, czy załatwiłyśmy to mieszkanie, tylko pamiętam, że na Placu Inwalidów była jakaś łapanka, więc trzeba było przeczekać i denerwowałyśmy się, czy one będą na nas czekały.

Wreszcie przyjechałyśmy tramwajem na Miodową — a tam nie było już nic. Kawiarnia zamknięta. Na ulicy pusto. Przeszłyśmy nie patrząc na Senatorską czy Krakowskie Przedmieście, znów kupiłyśmy od bab jakieś kwiaty i wróciłyśmy z nimi na Miodową. Przed sąsiednim domem stała dozorczyńni i jeszcze kilka kobiet i opowiadały, jak zajęchały budy i zabrały wszystkich z kawiarni, z domu właścicielkę lokalu z córkami i opieczętowali mieszkanie.

Więc znów poszłyśmy przed siebie. Marysia wiedziała, że już chyba nie zobaczy swojej siostry, a ja Heli, a poza tym zostałyśmy bez dokumentów, bo ona była zameldowana z siostrą, a ja z Helą, bez mieszkania, bo na Dzielną już nie można było wrócić, Hela miała ten adres na kennkarcie, bez żadnych rzeczy, tylko to co na sobie, no i bez pieniędzy, chyba 300 zł w kieszeni.

6. Czerwony sweter miał Marek Edelman.

I znów stałyśmy na Placu Krasińskich i opowiadałyśmy sobie jakieś żarty, żeby się śmiać. Jeszcze trzeba było wstąpić na Senatorską i powiedzieć, cośmy załatwiły na Żoliborzu, ale zrezygnowałyśmy, bo nie byłyśmy pewne, czy nie mamy ogona. Więc stałyśmy tak z kwiatami i słuchałyśmy detonacji, na Świętojerskiej już się paliło, a myśmy się śmiały. Widziałam, jak się palił mój dom. I śmiałam się.

Na Placu Krasińskich była pętla tramwajowa. Wsiadłyśmy w tramwaj i pojechałyśmy na dworzec, tam w elektryczny pociąg i do — nie pamiętam, ale chyba do Świdra. Tam poszłyśmy do pensjonatu i wynajęłyśmy pokój na jedną noc. Powiedziałyśmy, że szukamy letniska dla dziadków, dziadek jest po zapaleniu płuc, i że tego dnia już nie zdążymy do Warszawy przed godziną policyjną. W ten sposób już miałyśmy nocleg na jedną noc. Następnego dnia rzeczywiście wynajęłyśmy tam czy w Michalinie — nie pamiętam — pokój z kuchnią i werandą dla rodziców Heli. Znów opowiedziałyśmy, że to nasi dziadkowie i że on jest po chorobie. To było dobrze, bo tam godzina policyjna była później, wystarczyło zdążyć przed 8-mą wieczór na dworzec w Warszawie. I w ogóle dobrze było na noc zniknąć z Warszawy. Więc to mieszkanie utrzymałyśmy przez całe lato, chyba aż do października, chociaż naprawdę mieszkaliśmy już na Miodowej 24.

Ten pokój na Miodowej jakoś wpadł nam w ręce zaraz po tym, jak dostałyśmy dokumenty. Na fałszywe paszporty od p. Trediakowskiego wyrobiłyśmy sobie prawdziwe kennkarty, więc mogłyśmy się tam legalnie zameldować. To było samodzielne mieszkanie, rzecz bardzo ważna, ale to długa historia. Wszystko, co się działo na Miodowej to było potem, aż do Powstania Warszawskiego.

A na razie to starzy byli już jakby bezpieczni, my miałyśmy gdzie być i trwało powstanie w getcie, więc było bardzo dużo spraw do załatwienia. Tylko codziennie słyśmy na chwilę na Muranowską, żeby popatrzeć. A najdziwniejsze było to, że długo, chyba do maja działały telefony w getcie i wieczorem rozmawiało się z nimi. Ale już było jasne, że trzeba szykować wydostanie tych, co przeżyją. Antek i Kazik mieli kontakty z kanalarzami i ciągle trzeba było się z kimś spotykać i omawiać te sprawy.

Teraz mi się wydaje, jakby cały ten okres kiedy tam się paliło, a ludzie mówili o tym na ulicach i w tramwajach i tak różnie mówili, a myśmy tego słuchały obojętne i uśmiechnięte, i ciągle dokądś biegłyśmy z jakimiś poleceniami, żeby coś przenieść, coś załatwić albo z kimś się umówić — więc że cały ten czas to był jeden straszny dzień. Nie pamiętam żadnych szczegółów. Kiedy już było po wszystkim i Kazik poszedł do nich i wszystko było

zapięte na ostatni guzik, kazano mi iść na Plac Grzybowski spotkać się z Krzaczkim. Z daleka usłyszałam jakąś strzelaninę. Przyszłam na Plac Grzybowski i tam był Krzaczek. Tylko że nie żył. Wtedy chyba jedyny raz poczułam, że mdleję i musiałam się oprzeć o ścianę na rogu Próżnej i Placu Grzybowskiego. Zdawało mi się, że wszystko przepadło, bo przecież Krzaczek miał mi powiedzieć o tych ciężarówkach, które miały podjechać na Proszą do wjazdu.

Ale potem pomyślałam, że przecież nie wiem wszystkiego, jestem tylko łączniczką, a tamci „u góry”, Antek i inni, na pewno nie zostawili wszystkiego na jednej nitce, która się może zerwać. Uprzytomniłam sobie też, że nie wolno mdleć na ulicy. Więc poszłam.

Rzeczywiście wszystko było „zapięte” i dopięte. 10 maja 1943 roku zajęły przed wjazd na Prostej ciężarówki i załadowane odjechały do lasu.

Getto dopalało się, dymy i swąd wisiały nad ulicami Warszawy.



Abrasza Blum nie pojechał do lasu. Był starszy od nich i niezbyt zdrowy. Został w Warszawie.

On „należał” do Władki i chyba to ona załatwiła mieszkanie na Barokowej. Nie wiem.

Tylko wiem, że następnego dnia Władka powiedziała mi, że Abrasza chce się ze mną zobaczyć. Ja też bardzo chciałam, ale sama bym tego nie zaproponowała, bo to było wbrew zasadom, żeby chodzić tam, gdzie nie trzeba koniecznie. Ale na jego prośbę poszłam.

On był radosny. Nawet nie pogodny, ale radosny. Tak jak człowiek, który wyszedł z koszmaru na słońce.

Porozmawialiśmy trochę, tak po prostu o niczym i wreszcie powiedział mi, dlaczego chciał się ze mną zobaczyć. Był jakby trochę zakłopotany tym dziecinny pragnieniem i nie chciał, wstydził się powiedzieć Władce. Marzył o ciastkach. Takich prawdziwych, z cukierni.

Wyszłam stamtąd spokojna. Po raz pierwszy od miesiący uśmiechałam się naprawdę. Najbliżsi przeżyli, zdawało mi się, że są bezpieczni w lesie. I ta rozmowa. Taka normalna.

Następnego dnia od rana myślałam o spotkaniu. Umówieni byliśmy na drugą po południu, a ja od 12-tej chodziłam po cukierniach i szukałam ciastek, które wyglądem i smakiem przypominały przedwojenne. Kupiłam i z pudełkiem przewiązanym kolo-



rowym sznurkiem punktualnie o 14-tej znalazłam się na Barokowej. Tylko, że to się stało już wcześniej.

Rano dozorca zamknął drzwi pokoju na klucz i poszedł na gestapo. Abrasza wyskoczył oknem. Połamał nogi. Tak go zabrali.

Jak to się stało, że nie weszłam na górę i nie trafiłam do kotła, nie wiem. Pamiętam tylko, że z tym zbyt długim pudełkiem na palcu wracałam do domu i miałam tylko jedną myśl: nie wolno płakać. I nienawiść. Tak straszną nienawiść do morderców i donosicieli, że chyba była ponad rozpaczą.



Nie wiem dokładnie, nie pamiętam wszystkiego i zapewne nie wiedziałam wszystkiego, więc nie chcę nikogo skrzywdzić wskazywaniem winnych. Wiem tylko, że bojowcy w lesie ginęli nie tylko w potyczkach z Niemcami. Byłam o tyle blisko tych spraw, że w tym czasie zastąpiłam Antka w łączności z Henrykiem Wolińskim. Zrobiłam to na jego prośbę. Henryk miał żonę Żydówkę, piękną Fanię Kruk, tak nazywaną od granatowo-czarnych włosów, i mieszkali w swoim przedwojennym mieszkaniu w Alei Niepodległości. Ona nie wychodziła z domu, ale w tym czasie przechodziła depresję i bała się przychodzących. Mnie się nie bała. Znałyśmy się już przedtem przez Tosię Goliborską. Byłam zresztą kobietą, a to było zawsze bezpieczniejsze.

Więc przychodziłam do niego po glejt od Dowództwa Sił Zbrojnych, który miał im w lesie zapewnić względne bezpieczeństwo. Bardzo był zdenerwowany własną bezsilnością w tej sprawie. Czasem to ja usiłowałam go pocieszyć.

Ale ludzi z lasu trzeba było zabierać. Część przeniosła się w inne okolice, część sprowadzono do Warszawy. Gdzieś tam połączyła się Celina<sup>7</sup> z Antkiem. W jednym mieszkaniu mieszkał Marek z Welwlem<sup>8</sup>. I jeszcze inni.



Przez te wszystkie lata nigdy nie wróciliśmy do tego dnia. Nigdy nie zapytałam jedynego człowieka, który mi pozostał, co czuł przez te dwa czy trzy dni, kiedy siedział sam w spalonym mieszkaniu czekając na szmalcowników lub gestapo.

7. Cywia Lubetkin (przeżyła, zmarła w Izraelu).

8. Wolf Rozowski.

Welwl wyszedł po pieniądze, których żądali szantażyści, i nie wrócił. Ktoś był winien tej śmierci, ktoś stchórzył i kazał mu błąkać się po ulicach i przyjść po raz drugi. Już nie doszedł. Złapali go po drodze. Ale nie tylko jeden człowiek stchórzył. Ja też.

Kiedy dowiedzieliśmy się o tym z Marysią, chyba następnego ranka, najpierw wysłałyśmy Jankę, taką Polkę, która załatwiała nam różne sprawy. Robiła to za pieniądze, ale była bezwzględnie uczciwa, szczerze oddana. Nie pobiegłam od razu po Marka, tylko najpierw poszła Janina sprawdzić, czy go nie zabrali i czy nie ma kotła.

W międzyczasie załatwiała mu się lokal. I dopiero jak wróciła i powiedziała, że na razie wszystko w porządku — poszłam. I coś z tego, że chwile oczekiwania dla mnie też były dłuższe niż życie.

Nie pamiętam, dokąd go odprowadzałam. Wiem tylko, że szliśmy przytuleni, jak para zakochanych. Już się nie bałam, bo wiedziałam, że on ma broń.

Tylko, że to było po śmierci Welwla, więc znów dławilo gdzieś w gardle, a trzeba było uśmiechać się do siebie.

I nienawiść znów była większa od bólu.

Tak zaczął się następny okres po powstaniu.

### *Miodowa 24*

Ten dom stoi do dziś. Wejście jest od Miodowej 22. Teraz mieści się w nim Wyższa Szkoła Teatralna. Przetrwał też nasz pokój. Byłam tam parę lat temu. Po wspomnienia? Chyba. To było wspaniałe miejsce. Przed wojną był w tym budynku Najwyższy Trybunał Administracyjny i pokoje sędziowskie w oficynie zostały przerobione na kawalerki ze wspólną ubikacją i wodą na korytarzu.

Ale nie to było najważniejsze. Od frontu mieściły się urzędy — gazownia, elektrownia, jeszcze jakieś biura. Kręciły się tam setki interesantów. Idealny punkt na skrzynkę kontaktową i dlatego jak tylko wyłoniła się możliwość wynajęcia tego pokoju, dostałyśmy na to zgodę i pieniądze.

Jakim cudem ten punkt przetrwał aż do Powstania Warszawskiego — nie wiem. Ale przetrwał.

Przez cały 1943 i połowę 1944 roku byliśmy tam zameldowane z Marysią, mieszkaliśmy tam i adres ten był znany bardzo wielu ludziom jako ostateczne schronienie w razie niebezpieczeń-

stwa. I ludzie przychodzili. Zresztą co dzień odbywały się tam „odprawy”, tzn. przychodzili ludzie po pieniądze i prasę, przynosili dokumenty, a czasem przychodzili po prostu tak, żeby przez chwilę po prostu porozmawiać, poczuć się człowiekiem w tym wielkim mieście, w którym nie było dla nas miejsca. Często-gęsto ktoś „spalony” przychodził na noc. Spod tapczanu, na którym spałyśmy we dwie wysuwało się materac i tam nocował gość. Pokój był na I-szym piętrze, a pod oknem stał drewniany śmietnik magistracki, więc w razie alarmu można było względnie bezpiecznie wyskoczyć.

Ponieważ częste wizyty, zwłaszcza męskie, musiały zwrócić uwagę sąsiadów, w mieszkaniu odbywały się głośne przyjęcia — miałyśmy patefon, kilka płyt, wychodziłyśmy na korytarz po wodę na herbatę, było głośno, wesoło, „alkoholowo”. Jednym słowem „wesołe dziewczynki”.

Czasem odbywały się zebrania „na wysokim szczeblu”. Wtedy również jedna z nas zostawała jako gospodyni przyjęcia, goście przychodzili z kwiatami, a po przeciwnej stronie ulicy w kawiarence siedziała obstawa. Zwłaszcza rojno było w święta. Wigilia, Noc Sylwestrowa. Wtedy przychodzili wszyscy ci, którzy mogli się poruszać po mieście i nawet niektórzy z tych, którzy zwykle siedzieli w domu. Chwila wytchnienia. Spotkania samotników, których zamknięcie doprowadzało do depresji. I spotkania przyjaciół. Jasne chwile.

Taki mi się wydaje ten pokój na Miodowej 24 we wspomnieniach. Ale od tego czasu minęły czterdzieści cztery lata. Może wszystko było inaczej? Wiele spraw zatarło się w pamięci, nie wiem jaka była kolejność wydarzeń. Dlatego piszę tak chaotycznie. Było — kiedy? Nie wiem. Tyle, że to wszystko trwało do Powstania Warszawskiego. Więc tak jakby rok — trochę więcej niż rok. Potem wybuchło powstanie. Szpital w suterenie na Miodowej 24, przejście kanałami do Śródmieścia i wreszcie wyjście z Warszawy.

A jeszcze w międzyczasie, jeszcze na Starówce był ten straszny, najgorszy dzień, kiedy oni wszyscy: Zosia, Antek, Celina, Marek, Marysia, Zygmunt poszli kanałami na Żolibórz, a myśmy z Joanną nie mogły pójść z nimi, bo zostałyśmy w parę osób z czterdziestoma rannymi, a komendant szpitala i chirurg już nie żyli. Więc to było jeszcze jedno rozstanie z najbliższymi i w tym piekle ginącej Starówki wydawało się ostateczne.

A potem były trzy miesiące w Grodzisku do wyzwolenia, kiedy znów byliśmy wszyscy razem.

Cała przeszłość jest jak film mocno zwinięty i schowany w jakiejś szufladce pamięci. Tylko, kiedy się przypadkiem dotknie

tej rolki, cały film rozwija się i ukazuje poszczególne kadry. Niektóre już spłowiwały, niektóre się zatarły. Ale są. A czasem mi się zdaje, że to wszystko trwa. Że w jakiś sposób ciągną się tamte czasy i dlatego nie umiałam żyć tak jak inni. Jak ci, którzy wyjechali w daleki świat i zaczęli wszystko od nowa. I potrafią cieszyć się mieszkaniem, samochodem, dostatkiem dnia codziennego. Po prostu życiem. Ale to nieważne. Teraz już na pewno nie.

Jaki był dzień powszedni łączniczki? Na początku miesiąca odbierałam z Senatorskiej pieniądze. Milion złotych. To wtedy była nie tylko ogromna suma, ale i 1.000-2.000 banknotów po tysiąc albo pięćset złotych. Ogromna paczka papieru. Przynosiłam tę paczkę do domu i z samego rana rozkładałam na poszczególne paczki. Dla łączników, którzy je mieli roznieść swoim podopiecznym i dla nas, Marysi i mnie, dla naszych podopiecznych.

Rozkładanie pieniędzy i pakowanie w paczki trwało prawie do południa. A potem przychodzili po to ludzisko.

W te dni gotowałyśmy obiad dla wszystkich. Żeby nie musieli chodzić z pieniędzmi do jakiejś knajpy, czy nawet do sklepu. Bo jeść ludzie musieli. Kiedy gotowała Marysia, to wszyscy chwaliłi. A ja umiałam tylko parę rzeczy. Rosół, polędwicę końską duszoną i jeszcze różne placki. Celek mówił, że gotuję „po lekarSKU”, jak według recepty. Nigdy nie nauczyłam się naprawdę gotować. Ale wszyscy jedli. I potem wychodzili. Kolejno. A na końcu my. Wtedy już nie razem, tylko każda do swoich „klientów”. A jak wracałyśmy wieczorem przed samą godziną policyjną, jeszcze niezupełnie wolne od tych cudzych pieniędzy i jeszcze pełne strachu, piłyśmy wódkę. A jak któryś z chłopców przychodził na noc, to piliśmy na umór. A rano byłyśmy trzeźwe i znów szłyśmy do ludzi, żeby w ciągu dwóch dni wszystko roznieść. A przed samym Powstaniem Warszawskim nie zdążyłam i zostały świece, jakieś puszki i 50.000 zł. Te świece i puszki przydały się w szpitalu, a pieniądze zostały na Starym Mieście.

Ale poza pieniędzmi wciąż było mnóstwo innych spraw. Wciąż trzeba było chodzić do ludzi; albo do bliskich, żeby im coś załatwić i żeby nie byli sami, albo do obcych, którzy nie mogli się poruszać. Wciąż też były sprawy mieszkań i dokumentów, coraz to ktoś się „palił” i przeprowadzało się ludzi z jednego miejsca na drugie. Więc nie było za wiele czasu na myślenie i pamiętanie o tym, co się stało. I tylko trochę czasu zostawało na „sprawy osobiste”, bo były i takie. Przecież mimo wszystko byłyśmy młode. Marysia przeżywała wtedy wielką i ostateczną miłość swego życia. Zygmunt pracował jako ślusarz i mieszkał

u jakiejś strasznej baby na Krakowskim Przedmieściu. Kiedyś przyszedł do nas trochę zdenerwowany i opowiedział nam, że jego gospodyni bała się sama pójść na strych z bielizną, jego prosiła o pomoc, „bo tam może straszy ta Żydówka, którą najpierw chowaliśmy na strychu, a potem jak ogłosili, że za to kara śmierci, tośmy ją wydali”.

Moje „sprawy osobiste” — Stefan — ukryte były w piwnicy zieleniarki na Mokotowie. Tam była woda. Ona tam trzymała swoje zapasy warzyw, więc przychodziła co dzień niby po towar, a naprawdę przynosiła mu coś do jedzenia i wynosiła wiadro. W tym czasie on mógł w skarpetkach chodzić po mieszkaniu, bo poza tym przez cały czas leżał w łóżku. Ja przychodziłam z nią co drugi dzień, niby coś kupić i wtedy rozmawialiśmy cicho, a ona mówiła głośno. On z początku miał nadzieję, a potem już nie mógł więcej, więc jak była ta okazja z „Hotelem Polskim”, zdecydował, że jedzie. „Albo rybka, albo...”, powiedział, a ja nie mogłam mu ani poradzić, ani odradzić i tak się skończyła moja pierwsza miłość i pierwsze małżeństwo. Ale to było później...

A tymczasem był nieustanny kołowrotek wciąż tych samych spraw, biegania od 7-mej rano do godziny policyjnej, ciągle na ulicy, ze spotkania na spotkanie, czasem w kawiarni, tam się siedziało długo, piło się kawę, jadło ciastka i oddawało fotografie do dokumentów, odbierało dokumenty albo prasę i znów się to roznosiło po mieszkaniach. Setki piętér i klatki schodowe, na których nie wolno było o nic pytać. Tak się nauczyłam, że jak mi podawano adres i numer mieszkania, to już wiedziałam, które to podwórko i która klatka, wyrobił mi się taki szósty zmysł i prawie nigdy się nie myliłam. A zdarzały się wypadki, które były prawie cudem. Tak jak ten, kiedy weszłam na klatkę schodową w domu, gdzie ktoś był zamelinowany na trzecim piętrze i na pierwszym podeście zobaczyłam p. A.S., krakowską adwokatkę z dwoma szmalcownikami. Oni ją legitymowali i nie chcieli jej wypuścić, ona chyba nie miała przy sobie dość pieniędzy. Przeszłam tamtędy dwa razy, żeby mnie zobaczyła i tak myślałam, czy będzie miała dosyć przytomności umysłu, żeby ich przetrzymać.

To było tuż obok biura Strójwasa. To był przedwojenny kontrahent mego teścia, chyba endeck, ale w czasie wojny był porządny, w każdym razie dla nas. I miał takich chuliganów na usługi, nie wiem do czego. Chyba robił jakieś szwindle z Niemcami. Więc pobiegłam do niego i on posłał takich dwóch cwaniaków, zdążyli na czas i tamtych przegonili.

To i tak nie skończyło się dobrze, bo oni znali jej adres i musiała wyjść z mieszkania, ale życie uratowała.

A czasem wygrywało się bezczelnością i nieświadomością. Tak było kiedyś ze mną. Wyszłam od Stasi, ona była na Grochowie i jechałam tramwajem. Kiedy wysiadłam na Placu Zamkowym i weszłam w Miodową, zaczął mnie jakiś volksdojcz. „Jude?“, zapytał. Najpierw udawałam, że nie rozumiem, a potem zagrałam na całego i zaprowadziłam go do komisariatu na Długą. Tam podeszłam do policjanta i poskarżyłam się, że ten gość mnie zaczepia i poprosiłam, żeby go wylegitymował. Więc on wylegitymował i jego i mnie — ja przecież miałam prawdziwą kennkartę — i powiedział mu — czego pan chce od tej pani, przecież ona jest w porządku.

A ja się dopiero potem dowiedziałam, że ten gość szedł za mną od tego mieszkania na Grochowie. Tak go skołowałam tą bezczelnością, że myślał, że pomylił osoby. Ale gdybym wiedziała kto to jest, pewno bym zapłaciła i spaliłabym mieszkanie. A tak nic się nie stało.

A potem wpadł Józef. Jeden z naszych ludzi. I nigdy się nie dowiemy, czy sypał, czy oni już wszystko wiedzieli, ale prowadzili go ze sobą do lokali, z których zabierali ludzi. Dużo osób wtedy zginęło. On znał nasz adres na Miodowej. Powinnyśmy były wtedy wyjść z mieszkania, ale nie miałyśmy dokąd, więc zostałyśmy w domu. Piłyśmy wódkę i czekałyśmy całą noc, czy po nas przyjdą. Ale nic się nie stało. A potem Józef wyskoczył oknem z 3-go piętra klatki schodowej, jak go prowadzili do kolejnego mieszkania. Więc już było wiadomo, że tego adresu nie sypnął.

Taki był dzień powszedni. Ludzie, sprawy, bieranina i strach. Wtedy już był strach. Każda znajoma twarz była wroga. Całe miasto było obce, wrogie i za każdym rogiem czaiła się możliwość końca. Ale ten strach był nieświadomiony. Był gdzieś pod spodem, przyczajony. Tylko przez ten strach piło się tyle wódki. Wieczorami. Jak pod sam koniec Marysia przeniosła się na Leszno, to piłam do lustra. Bo inaczej nie można było.

### *Międzylesie*

Do Międzylesia jeździłyśmy latem. To było to mieszkanie, które znalazłyśmy wtedy, kiedy spaliła się kawiarenka na Miodowej w kwietniu 1943 roku. Przez dwa kolejne lata jeździłyśmy tam wieczorem, a rano o 7-mej wracałyśmy do Warszawy na Miodową. Tam też przyjeżdżali do nas ludzie i tam mieliśmy jakby trochę wytchnienia. Wydawało się, że tam jest bezpiecznie, więc ci, którzy tam przyjeżdżali, też mogli odetchnąć. Właściwie

wieczorami niczego się nie załatwiało, tylko piło wódkę i rozmawiało.

A raz to było tak, jak w głupim filmie przygodowym. Wyszliśmy rano do pociągu, jak zwykle w ostatniej chwili i z krzaków przed domem wyszła cała rodzina — 5 osób. Babcia, rodzice i dwoje dzieci. Byli zamelinowani w Warszawie i przyszli do nich szmalcownicy. Wykupili się i wyszli z mieszkania. Nie wiem skąd mieli ten adres, ale przyjechali pierwszą kolejką i czekali na nas w krzakach. A myśmy się spieszyły do Warszawy. Więc wpuściliśmy ich do mieszkania, zamknęliśmy na klucz i kazały siedzieć cicho. Do drugiej. O drugiej obiecałyśmy wrócić.

Nie wiem cośmy miały takiego pilnego, że musiałyśmy jechać. Ale spieszyłyśmy się bardzo i o 12-tej już byłyśmy na dworcu, żeby wracać. A przedtem była straszna burza, taka letnia z piorunami. Kiedy przyszłyśmy na dworzec, okazało się, że burza zerwała przewody i kolej elektryczna nie idzie. Mieli zaraz naprawić, czekałyśmy godzinę i nic z tego. A tam ludzie zamknięci. Więc postanowiłyśmy iść pieszo. Pojechałyśmy tramwajem do pętli grochowskiej. Stamtąd było 14 km, to nie jest dużo i zaczęłyśmy iść. Uszłyśmy może ze dwa kilometry, kiedy znów zaczęła się burza. Chyba nigdy przedtem ani potem nie przeżyłam takiej burzy. Było zupełnie ciemno, tylko błyskawice co chwila rozświetlały drogę. Pioruny waliły, a myśmy szły torami obok słupów wysokiego napięcia, w te słupy ciągle waliło. Deszcz lał strumieniami, nic nie było widać, wicher wiał nam w twarz i utrudniał chodzenie.

Te 14 km szłyśmy 5 godzin. W pewnym momencie usłyszałyśmy straszny huk i wszystkie światła w domach koło toru zgasty. Uderzyło w elektrownię w Falenicy. Było zupełnie ciemno. Wyzuwałyśmy tory i szłyśmy wciąż przed siebie.

Wreszcie doszłyśmy do stacji Międzylesie. I tam powstała sytuacja tragikomiczna. Na stacji był taki mały sklepik ze słodyczami, dobrze znałyśmy właścicielkę. W tej budce paliła się świeczka. Więc zapukałyśmy. Chciałyśmy trochę się osuszyć i napić czegoś. Ale ta kobieta otworzyła drzwi, spojrzała na nas, krzyknęła „Jezus Maria” i zatrzasnęła. Nie rozumiwałyśmy, co się stało i poszłyśmy dalej. Potem się okazało, że nasze sukienki farbowały, więc jak wycierałyśmy twarz, umazałyśmy się dokładnie na wszystkie kolory tęczy. Wyglądało to niesamowicie, a w świetle świecy sprawiało wrażenie krwi.

Do domu dobrnęłyśmy około 8-mej wieczór, przerażone na myśl o tym, co zastaniemy. Okazało się, że nasi gospodarze zorientowali się w sytuacji, otworzyli drzwi i zaopiekowali się „gośćmi”.

Nie zrobili nam ani słowa wyrzutu. Byli to rzeczywiście wyjątkowo przyzwoici ludzie. Niestety, kiedy przyjechałam do Międzylesia po wyzwoleniu pragnąc im podziękować, nie znalazłam ich na miejscu. Nie wiem, co się z nimi stało.

Do Międzylesia jeździliśmy do końca lipca 1944 roku. W ostatnim miesiącu z Zosią i Joanną. W tym czasie Marysia mieszkała już na Lesznie, a one mieszkaly ze mną na Miodowej, bo ich mieszkanie okazało się z pewnych względów niepewne.

W tym ostatnim okresie też miała miejsce jedyna moja wyspa i to razem z nimi. Szmalcownicy prawdopodobnie byli dobrze poinformowani, bo nie pomogła żadna beczelność i zaprowadzili nas do komisariatu. Wyszyliśmy za 10.000. Takie pieniądze zawsze miałyśmy przy sobie na wypadek wyspy. Ale ja byłam właściwie spalona i już nie przychodziłam na Leszno, gdzie w mieszkaniu „krytym” przez Marysię Sawicką był cały Sztab Ż.O.B.-u.

Moje sprawy w dużej mierze przejęła Marysia. Ale to było dużo później, przed samym Powstaniem Warszawskim. A na razie miałyśmy jeszcze przed sobą dużo spraw.

I może jeszcze o niektórych spróbuję opowiedzieć.

### *W y j a z d y*

Kiedy trzeba było jechać do Krakowa, przychodziło się na dworzec nie wiedząc na który pociąg. To było na los szczęścia, bo w Radomiu wysadzali żandarmi, a w Radomsku partyzanci wysadzali pociągi w powietrze. Jechało się tym pociągiem, do którego można się było dostać i liczyło się na los.

Uchodziliśmy za szmuglerów, bo do Krakowa ludzie wozili bimber — tam był droższy — i kiełbasę. Myśmy nie mieli bimbru, ale mieliśmy zawsze przy sobie 1-2 kg kiełbasy. W drodze bimbrownicy wyciągali flaszkę, myśmy się dołączali z kiełbasą i tak jechaliśmy w grupie szmuglerów. Jeździłam z Kazikiem. On wyglądał jak prawdziwy warszawski andrus, taki z Powiśla czy Woli. Tylko był bardzo młody, chyba nie miał osiemnastu lat i nie bardzo jeszcze umiał pić. Więc kiedyś upił się tym bimbrem i kiedyś wysiedli, usiadł na schodach dworca w Krakowie i ani kroku dalej. To było nawet zabawne, zwłaszcza, że upił się na wesoło i coś tam śpiewał, tylko mnie nie było do śmiechu. Bałam się. Ale wsiedliśmy jakoś w dorożkę i jeździliśmy godzinę po Krakowie. I przeszło mu.

W Krakowie punkt kontaktowy to był zakład fotograficzny, należący do Reichsdeutscha. Miał żonę Żydówkę, a tam w stolicy GG przepisy miały jakąś wartość i ona była chroniona. Dwoje



ich dzieci też miało volkslistę. To też było coś z fantazji, ta stara Żydówka siedząca za atelier w pokoju i jej syn w mundurze Hitlerjugend. Czegoś takiego w Warszawie nie można było sobie wyobrazić.

W ogóle w Krakowie było inaczej. Chyba dużo łatwiej. Tam nawet, jak wpadliśmy kiedyś w łapankę, to wystarczyło pomachać żandarmom pod nosem jakimś dokumentem i przejść śmiało — puszczali.

Ale pomimo to krakowianie bali się chyba bardziej niż warszawiacy. Jak widzieli patrol, to zawracali z trzeciej ulicy.

Ale i tam byli dzielni ludzie, którzy pomagali. A w ogóle to jeździliśmy tam do Marii Hochberg-Mariańskiej. Kiedyś dałam jej jakieś wiersze i zapomniałam o nich. A po wojnie jeden z nich odnalazłam w tomie „Pieśń ujdzie cało” jako bezimienny.

Kraków nie był jedynym miejscem. Jeździło się do obozów — do Trawnik i Poniatowa. Kiedyś w Trawnikach jedna z naszych dziewczyn o mało nie wpadła. Złapali ją przy obozie. Ale jakoś się wyłgała, że chciała zahandlować. To byli Ukraińcy, więc chętnie pili wódkę. I za wódkę ją puścili.

A ja pamiętam, że jak przyjechała po tych trzech dniach nieobecności, to łapałam ją za ręce i za nogi, żeby się upewnić, że żyje, że jest ciepła i cała.

Ja jeździłam jeszcze pod Częstochowę, tam była grupa bojowców u chłopca pod stodołą. Trzeba było zawozić pieniądze, więc parę razy tam byłam. I wtedy widziałam wojenną Częstochowę, ale i tak pełną pątników, którzy kłęczeli na ulicach, a raczej szli na kłęczkach pod klasztor.

To było mocne wrażenie, bo wtedy w jakiś sposób wszystko co nadnaturalne stawało się bliskie. Może nawet potrzebne?

A tam, u tego chłopca schodziłam po drabinie do schowka i jedliśmy jajecznicę i piliśmy wódkę, a potem opatrywałam takie różne drobne urazy, jakieś odparzenia, zadrapania i zostawiałam im zapas opatrunków i maści, bo to był mój „dział” wtedy. I wracałam do Warszawy.

A jeden wyjazd się nie odbył i to było szczęście. Miałam jechać do Lwowa z jedną Polką, podobno pewną. Miałyśmy po 2.000 dolarów i po 100.000 zł. Ja dostałam te pieniądze na Pańskiej, bo tam wtedy mieszkała cała komenda Ż.O.B.-u.

Te 2.000 dolarów to były dwa papierki, więc łatwo było schować, ale 100.000 zł to były banknoty po 500 zł, cała byłam wytapetowana nimi pod ubraniem. Szłam z tym wczesnym rankiem, jak tylko skończyła się godzina policyjna, ale i tak spotkałam po drodze trzy patrole.

Więc jak przyszedłam do domu, te banknoty były mokre od potu. Ze strachu. I tak jakoś pamiętam, że najbardziej się bałam o te 2.000 dolarów, bo jak mnie złapią, to przez te głupie 100.000 złotych przepadną „prawdziwe” pieniądze.

Ale nie pojechałam, bo nie dostałam przepustki. Nie udało się załatwić.

A potem się okazało, że ta dziewczyna zdradziła. Dla pieniędzy. Więc gdybym z nią pojechała, to bym teraz nic nie pisała. Na pewno.

Jeździliśmy do Krakowa jeszcze po Powstaniu Warszawskim. Kiedyś Niemcy wyrzucili mnie w Żyrardowie z wagonu i te 15 km do Grodziska jechałam w mroz na platformie. Bo wtedy były otwarte platformy.

W Grodzisku było szczęście, że ktoś po mnie wyszedł na dworzec. Bo nie umiałam wyjść o własnych siłach ani stanąć na nogach.

Ale nic sobie nie odmroziłam.

### *Hotel Polski*

Tak sobie szliśmy ulicami Warszawy, jak kiedyś. Szłam z moim chłopcem pod rękę przez Marszałkowską, i dalej przez Ogród Saski, wyszliśmy przez Niecałą, Wierzbową i wreszcie przez Bielańską na Długą. Zupełnie jak w latach 1937-1939, kiedy wracaliśmy z kina i on odprowadzał mnie do domu. Przed tym zwariowanym ślubem 27 lipca 1939 roku. Tylko, że teraz wyprowadziłam go z piwnicy u zieleniarki na Mokotowie i prowadziłam do Hotelu Polskiego.

Szliśmy ostatni raz w życiu. I ja go tą ostatnią drogą prowadziłam. Chociaż to była jego decyzja. Że już trudno. Więcej nie można. Nie pamiętam jak to się stało, że to jedno darmowe miejsce zaoferowane nam przez żydowskich gestapowców, którzy szukali sobie wtedy jakiegoś alibi, dostało się właśnie mnie. W każdym razie ja nie uważałam, że mogę jechać. Nie było nikogo innego, więc powiedziałam o tym Stefanowi. I on się tej myśli uczepił. Jak ostatniej nadziei, albo może z pełną świadomością tego, co będzie. Tylko, że więcej nie chciał. Nawet żyć.

Nie pamiętam o czym rozmawialiśmy i czy w ogóle rozmawialiśmy po drodze. Doszliśmy do końca tej drogi i tam chyba w portierni siedział ktoś, kto go legitymował? Wręczył mu dokumenty? Odebrał je od niego? Nie wiem, nie pamiętam.

W każdym razie podano mu numer pokoju gdzieś na piętrze. Tyle wiem. A mnie nawet nie legitymowano. Pełno było odpro-

wadzających. Kiedy wyszliśmy z tej portierni do hallu, to było tak, jak we śnie albo w surrealistycznym filmie. Wszędzie byli Żydzi. Bez opasek. Poruszający się swobodnie.

To byli bogaci Żydzi, bo ten wyjazd dużo kosztował. Papiery przysłane ludziom, których spopieliałe kości dawno użyźniały ziemię w Treblince odsprzedawało gestapo za drogie pieniądze. To była kosztowna śmierć. Tylko, że przedtem za te pieniądze otrzymywało się 2-3-4 dni złudzenia. Może to też coś warte?

Ludzie, których tam widziałam, nie byli wygłodzeni, a na tę nadzieję kobiety ubrały się w co miały najlepszego i umalowały usta, a większość zdążyła pójść do fryzjera i uczesać się. Tylko tego nie pamiętam, czy mogli wychodzić z hotelu, czy fryzjer był na miejscu.

Ale na pewno na miejscu była kawiarnia, gdzie można było wypić kawę. To była lura, ale nie było gdzie szpilki wepchnąć. Bo ludzie upili się tym przedsmakiem wolności i nagle przypomnieli sobie, że są ludźmi. Więc rozmawiali. Zwyczajnie, głośno. Schodzili z góry na dół i wracali z powrotem. Zajmowali się dziećmi i strofowali je. Bo dzieci biegały i hałasowały. Jak wypuszczone z klatki. I widziałam dzieci, które się śmiały.

Zdawało mi się, że oczy mam coraz większe. Bo widziałam nie tylko tę garstkę „uratowanych” dzieci, ale i te, których już nie było. I nic nie rozumiałam. Do końca. Choć miałam jakieś przecucia. Marysia też tam była. Odjeżdżał ktoś z jej znajomych, więc przez te kilka dni przychodziliśmy tam codziennie. A ostatniego wieczoru nie poszliśmy do domu. Zostałyśmy na noc.

I znów prawie nic nie pamiętam. Wiem, że przesiedzieliśmy tę noc na kozetce, gdzieś w hallu na piętrze. Nie wiem nic więcej tylko to, że Stefan powiedział: — Nie pożegnam się z Tobą, żeby nie zapeszyć naszego spotkania po wojnie.

Więc jak już było rano, to pomachał mi tylko ręką i zszedł na dół.

— Nie odprowadzaj mnie — powiedział.

Ale jeszcze z dołu krzyknął: — Bądź zdrowa!

I wyszedł na podwórko.

A ja pobiegłam za nim. Marysia też.

I zobaczyłyśmy. Zobaczyłyśmy, że nie przyjechały autobusy, tylko budy. I że żandarmi zgarniają ludzi i krzyczą: *schnell, schnell!!!*

I to, że ludzie jeszcze nie rozumieją i spieszą się, przepychają przy wsiadaniu, żeby się dostać do auta.

O mało co nas nie zgarnęli z innymi.

Ten transport pojechał prosto do Oświęcimia.

Ktoś wyrzucił kartkę z okna wagonu.

Ja mu to zrobiłam. Własnymi rękami. On chciał, ale przecież gdyby nie ja, nie wiedziałby nawet, że tędy można uciec z życia.

I znów okazało się, że nie ma czasu na myślenie i na taki luksus, który się kiedyś nazywał rozpaczą.

Trzeba było wracać do spraw codziennych.

### *Sprawy ludzkie*

Dzieci rodzą się zawsze. Nawet w schronach i piwnicach. Tylko giną często i nie można ich uratować. Ma się tylko dwie puste ręce, a trzeba mieć leki i pokarm matki, który się wcale nie pokazał, a gospodyni boi się przynieść więcej mleka, niż kupowała zawsze. I jeszcze potrzebują powietrza, którego nie ma w piwnicy i nie można go przynieść w rękę.

Nie wolno im też płakać. Boją się gospodarze, boją się współmieszkańcy. Zaszczuta, przerażona matka zatyka dziecku buzię poduszką, bo ktoś wszedł do mieszkania. Więc nie dziwcie się, że wyniosłam w tekturowym pudełku zwłoki noworodka. A to starsze, kilkumiesięczne, wyniosłam w beciku, ubrane.

Nie chcę już pamiętać o tym, jak się pije wódcę z grabarzami, żeby gdzieś pod płótem pochowali.

Ale były i żywe dzieci. Niewiele miało jeszcze rodziców. Były dorosłe tą 5-6-letnią dojrzałością, która nauczyła je, że nigdy się nie płacze, nie rozmawia się i prawie cały dzień leży się w barłogu.

Od tego leżenia na łóżku w ciemnej norze dzieci przestają chodzić. To jest znana choroba, nazywa się *rachitis tarda*, czyli późna krzywica. Ale trzeba ją widzieć, żeby wiedzieć, jak to jest, kiedy taka 12-letnia dziewczynka leży bez ruchu i nawet wtedy, kiedy można, nie staje na nóżkach. I płacze bez głosu. Potem zaczynają się przykurcze. Patrzyliśmy na to wszystko bezradnie.

Dopiero po wojnie, te które przeżyły, dostały sterygyl i niektóre wróciły do zdrowia.

Ale było coś jeszcze. Te małe, 4-5-latki zapomniały mowy. Cofały się w rozwoju. Zmieniały się w malutkie zwierzątka, patrzące ogromnymi oczami i wydające urywane dźwięki. Nawet bawić się nie umiały.

Kiedy wróciliśmy do Warszawy w styczniu 1945 roku, pracowałam w C.K.Żyd. na Targowej. Któregoś dnia pojechałam z ekipą rosyjskiego Dowództwa Sanitarnego wydostawać dzieci ze schronów. Bo znałam adresy.

Kiedy wynosiliśmy takiego małego Benia, ten oficer, który mówił trochę po polsku, bo był z rodziny Kryńskich, zapytał mnie:

— To jest niedorozwinięte dziecko, prawda? Imbecyl?

A ja mu na to chyba nie odpowiedziałam, tylko potrząsnęłam głową, że nie. Że to jest dziecko ze schronu.

Było też trochę małych żebraków w łachmanach, przemykających się wieczorami pod ścianami domów i pukających do drzwi mieszkań z prośbą o kawałek chleba. Czasem wynoszono im nieco jedzenia, a nawet jakiś łachman, ale często, bardzo często odpędzono od drzwi jak psiaki. Ze strachu? Podobno. Ale bywało i inaczej. Czasem pukały do właściwych drzwi. Przygarnięte na chwilę, przesyłane były łańcuszkiem, aż trafiały albo w nasze ręce, albo gdzieś na wieś, do klasztorów. Znalezione przez nas, umieszczone były w najpewniejszych miejscach. Nie znalezione przez nikogo — ginęły.

Byli też mali gazeciarze. To jest bardzo piękna karta historii. Gazeciarzy ukrywali ich mali koledzy, gazeciarze z aryjskiej strony. Nawet ja nie wiem dokładnie, jak wyglądały ich kryjówki. Ukrywali się gdzieś w ruinach na Miodowej. Ich opiekunowie nie dopuszczali nikogo do samej kryjówki. Mówili, że chociaż mają do mnie zaufanie, tak jest lepiej. Więc przychodziłam o umówionej godzinie w ruiny i stałam. Zawsze o zmroku. Nagle dokoła mnie robiło się rojno. Małe figurki wychodziły gdzieś z cienia. Jak szczury. Prawie nie rozmawiali. Podchodzili, pozwalali się dotknąć. Najstarszy brał pieniądze i trochę słodczy, które udawało mi się kupić. Znikali bezszelestnie, znów jak szczury. Nie wiedziałam nigdy jak i gdzie.

Dożyli do Powstania Warszawskiego. Więcej nie wiem.

Byli jeszcze dwaj chłopcy, którzy spędzili lato w ziemiance w ogrodzie zrujnowanej willi na Mokotowie. Późną jesienią czy początkiem zimy ktoś nas o nich zawiadomił. Przychodzili do jakichś ludzi na Mokotowie, którzy dawali im jeść. Poszliśmy tam. To było w okresie świąt, w domu stała choinka do sufitu.

Dzieci nie było. Prosiłyśmy, żeby je zawiadomić, jeśli się zgłoszą, że przyjdziemy po nie za dwa dni wieczorem. Przyszłyśmy. Stałyśmy na tej małej, ciemnej uliczce i nagle ktoś rzucił snop światła z latarki. Przerazone cofnęłyśmy się w cień — i usłyszałyśmy dziecinne głosy: — To my, proszę się nie bać.

Dwie malutkie figurki czarne na białym śniegu, dwóch obdartaśców i latarka.

Kazałyśmy natychmiast ją zgasić i iść naprzód. Słyszymy za nimi i patrzyliśmy na drobne sylwetki odcinające się od śniegu i idące przed siebie, w pustkę. Na każdym rogu stawali i czekali na

dalsze wskazówki. A myśmy miały dusze na ramieniu. Ale udało się. Mieszkanie było chyba na Chmielnej. Na trzecim piętrze. Dobra, serdeczna pani Ludwika, której nazwiska, niestety, nie pamiętam, zaczęła od gorącej kąpieli i spalenia wszystkiego, co mieli na sobie.

To było mieszkanie za pieniądze, ale opiekunka ich okazała się serdecznym, uczciwym człowiekiem. Chłopcy przeżyli wojnę. Wyjechali za granicę. Ale przedtem napisali pamiętnik. Pisali o tym, jak przeżyli prawie cały rok w ziemiance na Mokotowie dożywiani przez mieszkańców okolicznych willi. Było im zimno i głodno, trochę się bali, ale najważniejsza w ich opowiadaniu była hulajnoga, którą znaleźli na śmietniku i doprowadzili do stanu użyteczności przy pomocy kawałków drutu i sznurka. Jeździli na niej po uliczkach Mokotowa zapominając o ostrożności, aż znalazł się ktoś, kto doniósł: — „Żydzi jeżdżą po ulicach i zakłócają spokój”. Więc przyszli żandarmi. A chłopcy uciekali na hulajnodge. Kiedy myśleli, że już koniec z nimi, stanęła na ich drodze przekupka ze straganem jabłek. Kiedy przebiegli koło niej, przewróciła stragan pod nogi żandarma. Jabłka się posypały, baba zaczęła rozpaczać i lamentować. Żandarm wściekły zamierzył się na nią pejczem, ale jakoś się wywinęła, a chłopcy zdążyli do swojej kryjówki. Niemcom nie chciało się łązić po ciemnych uliczkach Mokotowa. Trzy dni dzieci przesiedziały w ziemiance bez jedzenia i picia. Dopiero po trzech dniach odważyły się wieczorem pójść na żebry. A po jeszcze kilku dniach zostały przez nas zabrane. Pamiętnik kończył się słowami: „Te panie zaprowadziły nas w dobre miejsce i tu nam jest dobrze, ale szkoda nam hulajnogi, bo już jej na pewno nie znajdziemy”.

Jasia miała pięć lat, kiedy matka jej — lekarz — zmarła w getcie na tyfus. Dziecko zabrała opiekunka Polka i wywiozła do Częstochowy, ale po kilku miesiącach przywiozła ją do Warszawy do ciotki twierdząc, że ludzie w sąsiedztwie domyślają się czegoś. W mieszkaniu, w którym ciotka jej pracowała jako pielęgniarka, mała nie mogła zostać. Z pomocą przyszła dr Wierzbowska, której zawdzięczamy życie kilkunaściorga dzieci ukrytych w Domu Podrzutków im. księdza Boduena. Jasia pojechała na kolonię, a my szukałyśmy dla niej schronienia. Znalazło się najlepsze z najlepszych u p. Janiny, o której już mówiłam, tej samej, która oddawała nam liczne usługi. Ale po powrocie z kolonii, kiedy miała już przejść do nowej opiekunki, okazało się, że dziecko przyjechało ze szkarlatyną. Znów niezawodna dr Wierzbowska załatwiła miejsce w szpitalu na Wolskiej.

Miałam ją tam zawieźć. Kiedy wyszłyśmy z domu, okazało się, że godzina jest zbyt późna. Nie miałam szans na zdążenie

przed godziną policyjną na Wolską i z powrotem na Miodową, więc zdecydowałam się zabrać ją na noc do siebie. Marysia tego dnia nocowała na Lesznie, byłam sama, a ja szkarlatyny się nie bałam.

Pojechaliśmy na Miodową. Weszłam z dzieckiem do pokoju i okazało się, że światło jest zepsute. Ciemno. W jednym z sąsiednich pokoi mieszkał elektryk. Powiedziałam: — Poczekaj Jasiu chwileczkę. Pójdę tylko po pana, który zreperuje światło.

Po chwili światło zabłysło. Na tapczanie pod obrazkiem Matki Boskiej klęczała mała jasnowłosa dziewczynka ze złożonymi rączkami i mówiła paciorek.

Janka przeżyła cały czas do Powstania Warszawskiego u Janiny. Z nią wyszła z Warszawy, chyba do Piaseczna.

Przez cały czas odwiedzałam ją co tydzień i byłam przekonana, że dziecko nie pamięta nic i nie wie nic o swoim pochodzeniu. Była przecież taka mała. U Janiny zaczęła chodzić do szkoły do siostr i czuła się tam świetnie.

Po wyzwoleniu Janina, która była wyjątkowo uczciwym człowiekiem, uznała, że jej obowiązkiem jest powiedzieć dziecku prawdę. Nie wiedziała, czy ktoś z jej rodziny lub opiekunów przeżył powstanie. Chciała ją zatrzymać u siebie, ale z wiedzą dziecka, kim jest.

Jakież było jej zdumienie, kiedy po pierwszym zdaniu, które powiedziała, mała Jasia spytała: — To ciocia wiedziała, jak ja się nazywam?

Do Domu Podrzutków im. ks. Boduena dzieci podrzucało się w umówionej bramie o umówionej godzinie. Zabierał je stamtąd granatowy policjant, który współpracował z nami i dostarczał je na miejsce.

W taki sposób podrzucona została mała Irenka<sup>9</sup>. Matka jej pracowała jako służąca. Ojciec zginął w getcie śmiercią żołnierza i tej matce zostało tylko dziecko.

Zobaczyła Irenkę. Po porozumieniu z dr Wierzbowską stałyśmy któregoś dnia na klatce schodowej domu naprzeciwko zakładu. W oknie ukazała się postać kobiety, która na rękę trzymała dziewczynkę z różową kokardą we włosach.

## *Świetlica RGO*

Miałam też kontakt z dziećmi ulicy. Nie pamiętam już, jak to zostało załatwione, ale zostałam świetliczanką w świetlicy RGO,

---

9. Klepfisz.

która mieściła się w klasztorze o.o. salezjanów na Powiślu. Świe-tlica była w skrzydle administracyjnym, w kancelarii klasztoru był telefon, z którego mogłam korzystać i który był czasem przy-datny, a poza tym miałam prawdziwy *Ausweis*, który też mógł się przydać. Pomimo, że celem pracy było lepsze zakamuflowanie prawdziwych spraw, wykonywałam obowiązki uczciwie i przyznaje, że z przyjemnością. Kontakt z dziećmi ulicy warszawskiej sprawiał mi trochę radości, były nawet chwile, w których zapominałam o swojej obcości, o tym, że bez przerwy gram.

Brałam udział w trudnym życiu tych istot skrzywdzonych przez wojnę, może na inny sposób, ale również dotkliwie. Te dzieci nie były syte ani spokojne, nie miały prawdziwego domu ani troskliwych rodziców i dlatego były mi bliskie. I też były do-rosłe, okrutną przedwczesną dorosłością okradzionych z dzie- ciństwa.

A jednak były dziećmi.

Pamiętam rozmowę z nimi, kiedy przygotowywaliśmy wspólnie „kominek”, który miał się odbyć wieczorem, oczywiście przed godziną policyjną.

Chłopcy prosili mnie, żebym przyszła do nich na ten wieczór (godziny mojej pracy wypadały zwykle rano od 10-tej do 1-szej po południu). Powiedziałam im szczerze, że się boję. Powrót do domu tuż przed godziną policyjną przez zaciemnione uliczki Po-wiśla nie należał do bezpiecznych, a to, co miałam zwykle przy sobie było zbyt cenne, aby paść ofiarą rabunku. Trzeba pamiętać, że na ulicach Warszawy, na wszystkich ludzi, nie tylko na nas, poza żandarmami i szmalcownikami czyhały bandy zdemoralizo-wanych wojną wyrostków i słowa „wyskakuj panna z jesionki” nie należały do rzadkości i nie bardzo można było się sprzeciwić. W ten sposób na Polu Mokotowskim dr Margolisowa w mroźny wieczór została pozbawiona płaszcz. Na szczęście zostawiono jej mufkę z dokumentami. Dokumentów nie brali. To przecież byli polscy złodzieje, więc nie narażali swoich ofiar na dodatkowe niebezpieczeństwo ze strony Niemców. Tak więc mój strach był uzasadniony, a zwiększały go egipskie ciemności, panujące na ulicy.

I nagle otrzymałam obietnicę opieki: — Niech się Pani nie boi. Mój tata jest największy złodziej na całym Powiślu — my Panią odprowadzimy, to nikt Pani nie ruszy.

Nie były to czcze słowa ani przechwałki.

Przekonałam się parę dni czy tygodni później, że byliśmy — pracownicy świetlicy — pod specjalną ochroną „knajaków” z



Bednarskiej, Furmańskiej, Gęsiej. Nasze — właściwe — sprawy zaprowadziły mnie właśnie na ulicę Furmańską. Gdzieś w trzecim podwórku ohydnej rudery znajdowało się mieszkanie, do którego musiałam dotrzeć. Ale już w pierwszej bramie usłyszałam za sobą skradające się kroki.

Przez chwilę poczułam lodowaty strach. Ale nie miałam wyjścia. Nie mogłam się cofnąć ani iść do celu, bo przecież nie wiedziałam, czy prześladuje mnie zwykły andrus, czy szmalcownik.

Więc szłam przed siebie postanawiając, że w jakiś sposób zmylę klatkę schodową.

I nagle, gdzieś między drugim podwórkim a bramą usłyszałam męski głos z charakterystycznym warszawskim przyśpiewem:

— Felek, zjeżdżaj . . . . . twoja mać. Nie widzisz, lebiego, że ze świetlicy?

Tupot pośpiesznie oddalających się kroków — i spokój.

Ale nie poszłam tego dnia tam, gdzie miałam dojść. Lepiej było nie naprowadzać na ślad.

Moja praca w świetlicy nie trwała długo. Parę miesięcy. Wszyscy pracownicy byli młodzi i zaangażowani w różne konspiracyjne układy.

Pewnego rana, kiedy przyszłam do pracy, okazało się, że nic już nie ma. Poprzedniego dnia po południu zabrali i księży i personel świetlicy.

Warszawiacy tamtego pokolenia, którzy jeszcze żyją, pamiętają zapewne wisielców w czarnych habitach widocznych na pustym terenie getta spoza murów na Lesznie.

### *Pan Antoni*

Pan Antoni był dozorcą na Próżnej 12? — 14? Nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że te dwa domy stoją do dziś. Są identyczne i takie same są bramy i w nich stróżówki, ciasne pomieszczenia w bramie, w których przed wojną mieszkali warszawscy stróże.

Pan Antoni był, jak sam o sobie mówił, „wachmistrzem w Wojsku Polskim”, a więc wtedy w AK. Chodził w zawsze rozpiętym kozuchu, jak furman, i miał długie, sumiaste wąsy, a nad wąsami czerwono-fioletowy nos pijaka i bystre oczy pod krzaczastymi brwiami.

W stróżówce pana Antoniego była meta. Można tam było w małym schowku za skrzyniami ulokować kogoś spalonego na

kilka dni, i tam też lokowało się chwilowo chłopców, którzy przychodzili z lasu.

Łącznikiem z lasem był Zygmunt „Igła”, przed wojną czeladnik krawiecki.

Do pana Antoniego zachodziłam dość często. Stosunki nasze były nieco skomplikowane. Pan Antoni podejrzewał mnie o to, że nie chcę się „pospolitować” z nim i dlatego odmawiam picia bimbrowa z brudnej musztardówki. Istotnie, nie pociągała mnie perspektywa popijawy i zawsze wymawiałam się, że jestem na „służbie”, tzn. nie skończyłam załatwiania spraw i muszę być trzeźwa. Ale jednego razu źle trafiłam. To było w dzień napadu na furgonetkę bankową. Mogłam się domyślić, że brał w tym udział, ale jakoś nie pomyślałam. Kiedy weszłam do stróżówki, było ich tam kilku. Na stole stały musztardówki, bimber, piwo i na gazecie leżał salceson. Obok pieniądze. Dużo pieniędzy. Pan Antoni był pijany. Złapał mnie za rękę i powiedział: — Jak dziś ze mną nie wypijesz, to znaczy, że panienska gardzi stróżem. To koniec z nami.

Więc już wiedziałam, że nic mi nie pomoże. Usiadłam. Nalali mi do musztardówki pół na pół bimbrowa i piwa. Wypiłam i świat zakołował mi przed oczami. Nie, nie byłam delikatną panienką, ale takiej piekielnej mieszaniny nie piłam ani przedtem, ani potem. Łzy stanęły mi w oczach. Słowa nie mogłam wykrztusić. A Pan Antoni zachwycony rąbnął mnie w plecy i oświadczył: — Tu już nic nie mamy, idziem do knajpy!

Nie można było się sprzeczać. Był pijany i nieodpowiedzialny. Więc przez Plac Grzybowski w biały dzień przedefilowała para: w miarę elegancka dziewczyna i dozorca w kozuchu, w kaszkiecie na bakier, idący niezupełnie po linii prostej. Knajpa była na Placu Grzybowskim, tam gdzie dziś stoi teatr.

Weszliśmy, usiedliśmy przy stoliku — i stał się cud. Pan Antoni stwierdził, że zapomniał pieniędzy.

— Siedz tu i nie ruszaj się!

A sam poszedł po pieniądze. Knajpiarz był niegłupi. Znał pana Antoniego. Mrugnął na mnie — i wypuścił mnie drugim wyjściem na Twardą.

— Załatwię z nim — powiedział.

Nie bardzo wiem, jak doszłam do domu — ale doszłam. Takie było moje ostatnie spotkanie z panem Antonim.

Kilka dni potem, kiedy przyszedli do niego nasi chłopcy z Zygmuntem — stało się najgorsze. Byli u niego też chłopcy z AK. Ktoś doniósł? Ktoś zobaczył? Przyjechali żandarmi i wywiązała

się strzelanina. Nikt nie wyszedł żywy — po tamtej stronie też były ofiary.

Razem z naszymi chłopcami zginął z bronią w ręku i pan Antoni.

Nie wiadomo za kim przyszli Niemcy — za naszymi chłopcami? Za tamtymi? Ale wszyscy razem walczyli i razem zginęli.

### *To, co było najgorsze w sprawach ludzkich i własnych*

Byliśmy grupą ludzi młodych, bardzo młodych i trochę starszych. Więc choćby było najgorzej i najciężej, to jak się nie umierało z głodu i wieczorem w domu można było zapomnieć o strachu i nie zawsze nasłuchiwało się kroków na schodach — budziło się życie.

Więc były pary — ludzie kochali się wbrew wszystkiemu, co było dokoła. Był Antek z Celiną, Kazik był wtedy z Irką, Marysia z Zygmuntem i jeszcze inni.

A ja? Po śmierci Stefana nie włożyłam żałoby. Było tak, jakby coś się we mnie wypaliło i nie umiałam ani nie chciałam myśleć o tym, że on tam jechał tym pociągiem, który miał go wieźć do wolności, a zawiózł do pieca.

I wtedy związałam się z Bernardem. Nie, nie kochałam go. Moja miłość odjechała tą budą z Hotelu Polskiego. Tylko miałam dla niego mnóstwo szacunku i podziwu. Był stary. W każdym razie dla mnie wtedy bardzo stary. Ale bardzo chciał, żebym z nim była i bardzo był nieszczęśliwy w tym schowku pod podłogą, do którego przychodziłam do niego. Tam nawet były dobre warunki: łóżko, stół, ale to było zamknięcie. A ci zamknięci, samotni byli najnieszczęśliwsi.

Bernard właściwie się poruszał. Miał dobry wygląd, ale źle mówił. I bał się. Wychodził wtedy, kiedy to było konieczne, na ważne zebrania, konferencje „na wysokim szczeblu”, przychodził nawet na Miodową na jakieś spotkania, ale na co dzień siedział w zamknięciu. A potem, kiedyś, kiedyśmy trochę się poweselili — złamał nogę. I leżał w tym łóżku „pod parterem”, schodziło się tam po drabinie, a on był w gipsie przez długie sześć tygodni.

I wtedy to się zaczęło. Mnie było właściwie wszystko jedno, bo jak Stefana już nie było, a on tak bardzo pragnął tego, to sobie pomyślałam, że... czemu nie? Co mi za różnica? Przecież nie myślałam nigdy na serio, że coś jeszcze będzie po wojnie. A poza tym, jeżeli nawet — to i tak już nie to.

W tym czasie byłam już bardzo stara. A właściwie tak mi się zdawało, że wszystko najważniejsze już za mną i że wszystko jest nieważne.

To rzeczywiście nie było najważniejsze. To, co było z nami. Tylko chwilami stawało się ważne, kiedy były jakieś powikłania.

Najgorsze były sprawy ludzi zamkniętych, rozłączonych, bez szans na spotkanie się, czasem bez wiadomości o mężach, żonach, dzieciach poumieszczanych gdzieś na wsi czy w klasztorach.

Dr R. chodził po mieście. Spotykałam się z nim na ulicy i tam wręczałam mu pieniądze. Koniecznie chciał wydębić ode mnie adres żony. Nie podałam mu. Ale gdzieś go zdobył. Powiedział mi o tym triumfująco przy spotkaniu. Błagałam go, żeby tam nie szedł, nie narażał jej. Nie usłuchał. Ale i nie doszedł. Wpadł w łapankę i zginął na Pawiaku. A ona nic nie wiedziała, więc przez kilka miesięcy przekazywałam jej pozdrowienia od męża. Tylko miała żal, że on nie pisze. Wreszcie musiałam jej powiedzieć prawdę, bo zaczęła się domyślać i groziła, że wyjdzie z domu szukać go tam, gdzie mieszkał — rzuciła się na mnie i zaczęła mnie bić...

Pani Goldmanowa, sekretarka naszego szpitala, mieszkała ze swoją śliczną córką Noemi. To były moje dalekie krewne, więc odwiedzałam je często. Noemi — piękność o typie Sulamity — nie powinna była się poruszać. Utleniała włosy i zdawało jej się, że może chodzić. Nie wytrzymywała zamknięcia. Nie usłuchała prośb i tłumaczeń. Wyszła z domu i nie wróciła. Matka została. Przeżyła wojnę.

Moja stara ciotka, a właściwie cioteczna babcia, umieszczona była u swojej dawnej pomocy domowej. Szukałam dla niej lepszego miejsca. Nie znalazłam. Pewnego dnia zawiadomiono mnie, że jest na ulicy. Wiadomość, przez jakiś pechowy przypadek, przyszła o dzień później. Nie znalazłam jej na umówionym miejscu. Dopiero po wojnie dowiedziałam się, że odnalazła przyjaciela syna, później znanego architekta Eugeniusza Szwankowskiego. Umieścił ją w szpitalu, gdzie zmarła normalną śmiercią. Ale przedtem myślałam, że zginęła jak inni.

Była ostatnią żyjącą osobą z mojej rodziny.

Spóźniona też przyszła wiadomość z Majdanka. Przywiozła ją profesorowa Michałowiczowa, odwiedzająca tam swego męża. Była to wiadomość od mego szwagra Mietka, jego żony i rodziny Fersztów, laborantki i intendenta szpitala na Śliskiej. Udało się za pieniądze znaleźć Ukraińca, który obiecał ich wykupić. Za późno. Parę dni wcześniej zginęli.



Były różne sprawy, którymi musiałam się zajmować niejako „z urzędu”. W poprzednim życiu byłam przecież lekarzem.

Więc były sprawy sprzętu lekarskiego, opatrunków, które trzeba było wysyłać do lasu. To było proste. Z wyjątkiem jednego wypadku, kiedy dziewczyna w lesie zaszła w ciążę. Trzeba było pojechać na miejsce i zrobić zabieg, a przedtem zdobyć zestaw narzędzi. Narzędzia zdobyłam, ale zabiegu nie mogłam się podjąć. Byłam przecież tylko początkującym pediatrą. Miałam w Warszawie starszego kolegę ze studiów. Powiedział, że umie. Pojechał, wykonał zabieg. Okazało się po paru tygodniach, że ciąża rozwija się normalnie. Mąż tej dziewczyny zginął w walce, więc sprowadziło się ją do Warszawy. Ukryta w małym domku kolejarza czy tramwajarza gdzieś na Rakowieckiej dotrwała tam do Powstania. Urodziła zdrowego chłopca w prowizorycznej izbie porodowej w piwnicy na Hożej i z kilkudniowym niemowlęciem wyszła z Warszawy. Przeżyli u chłopca pod Warszawą.

Następne powikłania zaczęłam ja sama. Byłam w ciąży, albo mi się tak zdawało. Różne zaburzenia były na porządku dziennym. Jakby mało tego, złapał mnie atak wyrostka. Leżałam na Miódowej i było mi parszywie.

Dr Margolisowa skontaktowała się z dr. Markiem Landsbergiem i on do mnie przyszedł. I wtedy nawaliłam. Dostałam szoku. Bo przecież to była jego żona, tam w szpitalu, której...

Musiałam mu o tym powiedzieć. To była scena jak z kiczowatego filmu: ja leżałam z tym wyrostkiem, a on klęczał przy tapczanie, całował mnie po rękach i mówił, że może już spokojnie umrzeć.

Atak wyrostka minął pod zimnymi kompresami. Na szczęście odezwał się dopiero w 1946 roku, kiedy operacja nie była problemem.

Ale ten drugi problem istniał. Musiałam znaleźć wyjście. Nie pamiętam, kto mi podał adres „zaufanego” lekarza. Oczywiście za duże pieniądze, o które musiałam prosić. To wcale nie było miłe. Ale sam fakt też nie był miły. Ten lekarz był zrzeczny, ale potwornie ordynarny. Oczywiście robił to bez narcozy, a ja to cholernie przeżywałam. A najgorsze było to, że przez to, że musiałam mieć dodatkowe pieniądze, dowiedział się Bernard i zrobił mi straszną awanturę.

Co mu miałam powiedzieć? Czy miałam mu wyjaśniać, że żyjemy w czasach, w których dzieci nie mają prawa się rodzić, bo nie rodzi się dzieci dla umierania?

Ale najgorsze było przede mną. Aż przyszło.

Nie wiem, może jednak powinnam była odmówić. To nie była

robota dla lekarza. Tylko, że wśród nas poza mną nie było wtedy lekarzy, więc nikt tego nie rozumiał. Nie miałam komu powiedzieć, że wolałabym umrzeć. Wolałabym umrzeć, niż wykonać eutanazję chorej umysłowo, która była zagrożeniem dla rodziny gospodarzy i sześciu młodych, zdrowych ludzi. W tym własnej córki. Zabiłam ją. Na prośbę tej córki.

*Adina BLADY-SZWAJGER*

---

Andrzej SUCHCITZ

DZIENNIK MJR. DYPL. JANA JAŻWIŃSKIEGO  
Z SIERPNI 1944 ROKU  
LOTNICZE WSPARCIE POWSTANIA  
WARSZAWSKIEGO

Organizacja lotniczego przerzutu zaopatrzenia dla Armii Krajowej z Zachodu była jednym z głównych zadań i trosk Oddziału VI (Specjalnego) Sztabu Naczelnego Wodza. Wyrazem wagi tej sprawy były liczne interwencje ustne i pisemne czynników rządowych i wojskowych (włącznie z Premierem i Naczelnym Wodzem) o uzyskanie potrzebnego wsparcia Anglików. Wewnątrz Oddziału VI istniała specjalna komórka do spraw przerzutu do Kraju, zwana Samodzielnym Referatem, później Wydziałem „S” (Specjalnym).

W archiwum Studium Polski Podziemnej jest przechowywany dziennik czynności szefa Wydziału „S” Oddziału VI i później dowódcy przerzutowej Bazy Nr 11 we Włoszech\*. Obejmuje on cztery lata (1940-1944) intensywnych zabiegów o zorganizowanie i zwiększenie ilości dostaw dla Armii Krajowej. Autor dziennika, ppłk dypl. Jan Jaźwiński, był przez cały ten okres odpowiedzialny za dział przerzutów. Na 312 stronach maszynopisu przedstawił szczegółową historię organizacji komórki przerzutów w Oddziale VI, jej kilkakrotne reorganizacje, przebieg starań u Anglików

---

\* SPP. Sk.372 am/9. Dziękuję Studium Polski Podziemnej za pozwolenie wykorzystania stron 303-312 dziennika w całości.

o zmontowanie pomocy i później zwiększenie wysiłku (przede wszystkim przez starania o otrzymanie większej liczby samolotów na operacje do Kraju). Szczególnie ważnym elementem dziennika są szczegółowe opisy przebiegu licznych konferencji i wymiany listów pomiędzy Oddziałem VI a SOE i brytyjskim Ministerstwem Lotnictwa oraz stosunków między Oddziałem VI Sztabu NW i SOE. Z dziennika wynika, że Wydział „S” nieustannie walczył o zwiększenie ilości pieniędzy, materiału wojennego i samolotów dla przeprowadzenia operacji zrzutowych. Opinia autora dziennika o współpracy angielskiej wypada raczej ujemnie. Wystarczy podać tu kilka przykładów z dziennika. Na początku 1943 Jaźwiński pisał:

„Niezrozumiałe jest stanowisko Air Ministry, stale uniemożliwiający przerzut — przeciwne utworzeniu jednostki lotniczej w pełni zdolnej do wykonania tych zadań. Tym bardziej, że jednostka ta, tak stosunkowo niewielka nawet wobec strat ponoszonych w jednej przeciętnej operacji bombowej, da niewątpliwie niewspółmiernie większe wyniki, przerzucając specjalnie i celowo dobrany materiał wojenny dla Armii, która ma warunki użyć go w miejscu i czasie najbardziej dotkliwym dla tego samego wroga — Niemców” (str. 128).

Jak trudno było uzyskać potrzebną pomoc lotniczą, wskazuje następujący zapis z końca 1942 roku:

„Uwaga: fakt, że dotąd Komitet Szefów Sztabów 'nie widzi, aby wsparcie akcji Armii Sekretnej w Polsce było opłacalne' i że 'decyzję w tej sprawie może dać tylko Premier Churchill gen. Sikorskiemu' — a więc jeszcze nie dał — wyjaśnia stałe trudności nasze i 'bicie głową w mur' gdy chodzi o czwarty samolot, piątą załogę, eskadrę łącznikową itp. drobiazgi na szczeblu państwowym” (str. 112).

Stosunek Anglii do sprawy polskiej zależał coraz bardziej od stosunków między Londynem a Moskwą. Po stracie ósmej polskiej załogi w operacjach Dywizjonu 138 (Specjalnego) nad Francją w lipcu 1943 roku mjr dypl. Jaźwiński zanotował w odrębnym dopisku:

„Czy aby nie będą to ofiary zmarnowane. Nad sprawą wsparcia Armii w Kraju ciąży coraz wyraźniej ręka bolszewicka — jej wpływ na decydujące w tej sprawie czynniki brytyjskie” (str. 181).

14 października 1943 Jaźwiński opracował notatkę pt. „Dane o wykonywaniu przez SOE współpracy ze Sztabem NW w zakre-

sie realizacji przerzutu zaopatrzenia dla AK". W końcowych wnioskach opartych na ponad trzyletniej pracy w dziedzinie lotniczego wsparcia AK napisał:

„— Trzyletnia prawie współpraca z SOE pozwala z całą pewnością stwierdzić, że SOE jest: a) bezsilne (brak należytej powagi w stosunku do Komitetu Szefów Sztabów, nie jest poważnie traktowane przez Air Ministry i nie lubiane przez I[ntelligence] S[ervice]) oraz b) jest narzędziem rozgrywek Foreign Office (stąd *gros* zainteresowań w sprawy wewnętrzno-polityczne państw okupowanych, np. u nas rozgrywki między M.S.Wewn. i N[aczelnym] W[odzem] wzgl[ędnie] Sztabem NW tak na szczeblu władz centralnych jak i placówek zagranicznych a także takich organizacji jaką była organizacja Witkowskiego). Stąd przerzut zaopatrzenia dla Armii Krajowej — operacja ściśle wojskowa, jest przedmiotem wpływów wszelkich rozgrywek politycznych.

— Fakt, że SOE zagarnęło w ramy swych kompetencji nawet sprawę wsparcia Powstania, ma swe źródło w fakcie, że dotychczasowe zainteresowania Komitetu Szefów Sztabów Armią Krajową są prawie żadne. Sprawa ta w ręku SOE będzie tylko przegrana dla nas — w SOE brak odpowiednich oficerów, którzyby mogli sprawę tę należycie przedstawić, pomijając nawet inne względy — polityczne.

— Sprawa wsparcia Powstania w Polsce może być wygrana tylko na szczeblu Combined Chiefs of Staff w USA i przy usunięciu pośrednictwa SOE.

— Samoloty dla bieżącego przerzutu mogą być zapewnione tylko w drodze bezpośredniej współpracy Sztabu NW z Air Ministry (Bomber Command) i bezpośredniej współpracy z Dcą 8 Armii Powietrznej USA. Wszelkie pośrednictwo SOE obniży tylko powagę naszych starań i narazi nas na dalsze „kanty” ze strony SOE.

— Współpraca z obecnym składem SOE (tylko w zakresie dostarczania mat[eriału] woj[ennego]) nie wydaje się więcej celowa. Takie fakty, że gen. Gubbins nie dotrzymuje zobowiązań danych Naczelnemu Wodzowi (już w chwili ich dawania — wysłanie 2 Liberatorów), że zca gen. Gubbinsa i oficer łącznikowy SOE (ppłk Perkins) pozwalają sobie na podawanie w wątpliwość listu Szefa Sztabu NW, że wreszcie ppłk Parkins pozwala sobie na szantaż w stosunku do starszego oficera Sztabu NW nie pozwalają liczyć na dalszą wydajną współpracę w żadnych warunkach” (str. 223).

Autor dziennika poświęca dużo miejsca stosunkom personalnym. Widać w nim negatywny stosunek mjr. dypl. Jaźwińskiego do przełożonych czy szefów wydziałów, a specjalnie do kolejnych szefów Oddziału VI (szczególnie ppłk. dypl. Tadeusza Rudnic-



kiego) i gen. Tatara. Wypowiedzi są często bezwzględne, sformułowania skrajne. Jako przykład może służyć odręczny dopisek (których jest dużo, przeważnie datowane i parafowane przez mjr. Jaźwińskiego) na str. 59, gdzie pisząc o wewnętrznych stosunkach w Oddziale VI związanych z odejściem szefa Oddziału VI ppłk. dypl. T. Rudnickiego i roli szefów wydziałów napisał o nich:

„Pokolenie niewoli jest już zupełnie wyczerpane — nic pozytywnego nie stworzy, a wszystko zepsuje. 4.IV.42 J.Ja”.

Podobne uwagi pojawiają się często na kartkach dziennika, zdając się potwierdzać opinię przełożonych, że Jaźwiński był ciężki we współpracy. Nie wnikając w słuszość lub niesłuszość tych uwag, wydaje się, że mjr dypl. Jaźwiński, pozostając tak długo na tym samym stanowisku i będąc całkowicie oddanym sprawie pomocy lotniczej dla AK, zatracił poczucie obiektywnej wagi swego zadania. Trudno oprzeć się wrażeniu, że jego zdaniem wszystko powinno być podporządkowane tej jednej sprawie, która bezwzględnie była bardzo ważna, ale w skali państwowej bynajmniej nie najważniejsza spośród zadań jakie ciążyły na rządzie RP i Sztapie Naczelnego Wodza.

Jednocześnie widać z dziennika, jak wielkie przeszkody trzeba było pokonać wśród własnych przełożonych i wśród Anglików, aby utrzymać tę minimalną pomoc, jaką po dłuższym czasie wywalczone od naszego sojusznika. W okresie, gdy pomoc ta była najbardziej potrzebna, wiosną i latem 1944, jej stan organizacyjny okazał się za mały wobec potrzeb Armii Krajowej. Wysiętek małej garstki lotników polskich, angielskich i południowoafrykańskich, którzy nieśli pomoc Warszawie, był wielki. Równocześnie Sztab Naczelnego Wodza i czynniki rządowe pomimo czteroletnich starań nie potrafiły wymusić na Anglikach zagwarantowania minimalnej ilości potrzebnych samolotów dla przeprowadzenia niezbędnych zrzutów broni i amunicji dla Armii Krajowej, które zapewniłyby przynajmniej konieczną przewagę sił polskich w pierwszej fazie Powstania.

Kim był autor tego niezwykle ciekawego i ważnego źródła, jakim jest dziennik? Jan Jaźwiński, urodzony w 1905 roku, był oficerem o twardym i często upartym charakterze. Ukończył Szkołę Podchorążych Saperów w 1926, po czym służył jako dowódca plutonu 9 pułku saperów. W 1934 skończył dwuletni kurs w Wyższej Szkole Wojennej. Awansowany na kapitana w 1935 roku, otrzymał przydział do DOK VIII (Toruń) jako kierownik referatu. Podczas kryzysu czechosłowackiego w 1938 był przydzie-

lony do Oddziału II Sztabu Głównego. W 1939 był w szefostwie Komunikacji Sztabu Głównego Naczelnego Wodza. Za Kampanię Wrześniową 1939 kpt. dypl. Jaźwiński został odznaczony Krzyżem Walecznych. Przez Rumunię przedostał się do Francji, gdzie do lutego 1940 był dowódcą 1 batalionu saperów, po czym przeszedł na stanowisko referenta w Biurze Rejestracyjnym (badania kłęski 1939) MSWojsk. Po klęsce Francji i ewakuacji do Anglii Jaźwińskiego powołano do Oddziału VI na kierownika Referatu „S” (Specjalnego), „zajmującego się wszystkimi sprawami związanymi z techniką lotów do Kraju”. W 1942 Referat „S” przeorganizowano na Wydział „S”. W styczniu 1944 mjr dypl. Jaźwiński (awans w 1943 roku) objął dowództwo Głównej Bazy Przerzutowej we Włoszech (Baza Nr 11). W czerwcu tegoż roku stworzono wspólne dowództwo, tzw. Bazę Elba, obejmującą wszystkie bazy przerzutowe we Włoszech. Dowódcą Elby mianowano ppłk. M. Dorotycz-Malewicza („Hańczę”), z którym stosunki Jaźwińskiego ułożyły się źle. W lipcu 1944 odebrano mjr. Jaźwińskiemu prawo załatwiania spraw przerzutu bezpośrednio z Anglikami — rzecz, którą robił od czterech lat. Przeszło to teraz do kompetencji Dorotycz-Malewicza, zaufanego generała Tataru. To ostatnie posunięcie jak i odczuwany brak zaufania Oddziału VI i gen. Tataru zadecydowały, że Jaźwiński poprosił o dymisję ze stanowiska dowódcy Bazy Nr 11. Naczelnny Wódz generał Sosnkowski uwzględnił prośbę 16. VIII, przenosząc go do 2-go Korpusu, gdzie wpraw był przydzielony do Ośrodka Wyszkożenia Saperów Centrum Wyszkożenia Armii, a od jesieni 1944 został odkomenderowany do dyspozycji dowódcy saperów 2-go Korpusu na staż w oddziałach. Od stycznia 1945 miał przydział w Oddziale III Sztabu 2-go Korpusu, awansując na podpułkownika po wojnie.

Za pracę w dziedzinie przerzutów do Kraju mjr dypl. Jaźwiński został odznaczony przez Anglików orderem imperium brytyjskiego (OBE). We wniosku napisali m.in.:

„Przez cały okres oficer ten wykazał bezgraniczną energię i entuzjazm mimo wielkich rozczarowań i jego to zasługą jest duża część sukcesów, które osiągnięto”. (SPP — zeszyt personalny ppłk. dypl. Jana Jaźwińskiego).

Polscy przełożeni również uznali wielki wysiłek Jaźwińskiego: „osiągnął duże wyniki” (gen. Kopański) oraz był oficerem ideowym „o dużych zasługach w pracy dotychczasowej” (gen. Sosnkowski). Jednocześnie wskazywali, że był uparty, ambitny i trudny we współpracy.

Kapitan Podoski, następca mjr. dypl. Jaźwińskiego na stanowisku szefa Wydziału „S” Oddziału VI Sztabu NW, we wniosku o odznaczenie poprzednika orderem Polonia Restituta IV klasy przedstawionym szefowi Oddziału VI 19 września 1944 napisał m.in.:

„Mjr Jaźwiński przez okres z górą trzyletni był pionierem wsparcia przerzutu powietrznego dla Armii Krajowej, wykazując w czasie całej swej pracy całkowite oddanie sprawie i znacznej mierze jego zasługą jest, że było możliwym udzielenie Armii Krajowej pomocy materialnej”. (SPP —teczka 2.3.5.19.3).

Podany poniżej wyjątek z dziennika mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego stanowi jego ostatnie zapisy i dotyczy pierwszych trzech tygodni Powstania Warszawskiego. W odróżnieniu od wcześniejszych zapisów mjr Jaźwiński nie robił tu żadnych ręcznych dopisków. Fragment ten przedstawia obraz Powstania tak, jak go widziała z terenu Włoch osoba odpowiedzialna za organizowanie i wysyłanie pomocy w formie zrzutów powietrznych.

Sam ppłk dypl. J. Jaźwiński uznał swój dziennik czynności za ważny tylko dla historii. Na okładce napisał:

„Uwaga: przechować w aktach tajnych operacyjnych wydz. operacyjnego Bazy i następnie przekazać do archiwum (ma wartość tylko historyczną)”. Ręcznie dopisał „Zakończony z dn. 23. VIII. 44 J. Jaźwiński mjr”.

## DZIENNIK CZYNNOŚCI DOWÓDCY BAZY 11 ZA OKRES 1. VIII - 23. VIII. 1944

N[aczelny] W[ódz] nie znalazł chwili aby przybyć do Jutrzenki<sup>1</sup>. Przysłał tylko płk. pil. Brzezinę dla kontroli, czy żądania Jutrzenki co do załóg są uzasadnione<sup>2</sup>. Płk pil. Brzezina nadał nast[ępującą] depezę do gen. Iżyckiego<sup>3</sup>:

„Stwierdziłem następujący stan 1586 Flightu: Obecnie jest 6 załóg. Do dnia 15. VIII dwie załogi ukończą tury. Załogi awizowane na 24 bm. jeszcze nie przybyły. Stan dyonu jest b[ardzo]

1. Jutrzenka — radiostacja foniczna podległa bazie przerzutowej we Włoszech. Potocznie używane na określenie bazy przerzutowej.

2. Płk dypl. pil. S. Brzezina — szef sztabu Inspektoratu PSP.

3. Gen. bryg. pil. Mateusz Iżycki — Inspektor Polskich Sił Powietrznych.

krytyczny, tym bardziej, że najbliższy okres 2-tygodniowy, pod względem zrzutów jest uważany za najważniejszy. Gr. Capt. Rankin<sup>4</sup> twierdzi, że Sterlingi nie są przewidziane do Polskiego Dyonu”.

A więc — czekali na inspekcję i załóg nie ma. Czym robić żądany przez Kraj maksymalny wysiłek.

„485 VV 111 — PALIMY WSZYSTKIE PLACÓWKI NA WSCHODNIM BRZEGU WISŁY. Lawina<sup>5</sup> 1485 — 31. VII. 44”.

Dn. 2. VIII — operacje odwołane — zły met. Operacja 1. VIII — klęska — na załadowanych 15 samolotów wystartowało 9 (pięć pol[skich] i cztery ang[ielskie]) a wykonano tylko trzy ang. (zepsute trzy basty — 3, 2, 2.). Załoga por. Domańskiego — *missing*. Dn. 2. VIII o godz. 16.00 SOPJA<sup>6</sup> otrzymał nast[ępującą] depezę:

„Nr 507-XXX-111. Podjęliśmy walkę o godz. 17.00 dnia 1. VIII o Warszawę. Dajcie pilnie zrzuty amunicji i broni przeciwpancernej na światła Kostek a też na place wprost na miasto. Filtry, Kercelego, Ogród Saski, Aleja Wojska, Puławska, Belwederska. Lawina 1507 — 1. VIII. 44”.

Gr. Capt. Rankin odpowiedział — dziś zły met. Proszę dostarczyć plan opl Warszawy. Jutro poweźmę decyzję. SOPJA wraz z Hańczą<sup>7</sup> udał się do Monopoli, gdzie spowodował wysłanie depezy do Gubbinsa<sup>8</sup> o zgodę na taką operację i drugiej depezy o uzyskanie czterech dywizjonów ciężkich bombowców dla wsparcia Powstania, które może w ślad Warszawy wybuchnąć. Po powrocie przygotowane zostało załadowanie 15 samolotów. Dn. 3. VIII — rano Rankin oświadczył ofic[erowi] łączn[ikowemu], że po namyśle jego decyzja jest — lot nad Warszawę z opl czynną i dla zrzutów — a więc lot na 1.000 stóp nie ma szans. Zbyt wielkie będą straty, a nikły wynik. Rozkazu do tej operacji wydać nie może.

O godz. 14.00 Sopja z płk. Hańczą udał się do Rankina z depezą Lawiny Nr 513:

4. Group Captain (płk) W. Rankin — z komendy lotniska w Brindisi.

5. Lawina — pseudonim gen. dyw. Tadeusza Bór-Komorowskiego, dowódcy AK.

6. Sopja — pseudonim mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego, komendanta Bazy Nr 11.

7. Hańcza — pseudonim ppłk. Mariana Dorotycz-Malewicza, dowódcy Bazy „Elba”.

8. Gen. Colin Gubbins — brytyjski dowódca SOE (Special Operations Executive).

„XXX-111 — Gwałtownie pilnie dziś masowe zrzuć amunicji i broni do Warszawy. ARTYLERII PLOTN NIE MA. Znak świetlny strzała. Zrzucacie też bez znaku. Lawina 1513 — 2. VIII. 44”.

Rankin odpowiedział — zły met., lot niemożliwy. Samoloty nie osiągną celu. Jutro, jeżeli będzie jeden procent szans, to da cały wysiłek. Poza tym szereg depeš tragicznych — uzupełniających — bez wyniku — zła pogoda.

W tak tragicznej chwili Turski<sup>9</sup> przysłał następującą depešę:

”...  
3) Dla mjr. Jaźwińskiego. Tarcia w kierownictwie Elby<sup>10</sup> powodowane przez was muszą natychmiast ustać, gdyż godzą one w dobro sprawy. Subordynacja jest obowiązkiem każdego żołnierza. Doniosłość zadań wobec Kraju wymaga wykazania najwyższego wysiłku i maksimum dobrej woli, koniecznej dla usuwania wszelkich przeszkód, tym bardziej w trudnych warunkach.

Pamiętajcie, że niestosowanie się do tych zasad może przekreślić Wasz dotychczasowy poważny dorobek. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdybym był zmuszony do zrezygnowania z Waszej współpracy i oddania Was do dyspozycji II Korpusu. Turski 6049 — 2. VIII. 44”.

Hańcza podał tę depešę do wiadomości Sopji dn. 3. VIII po południu. Wieczorem dn. 3. VIII Sopja zażądał wysłania następującego meldunku:

„Pan gen. Turski do rąk własnych. Na 6049 melduję: nie powodowałem ani nie powoduję tarć w kierownictwie Elby oraz nie wykraczam przeciw subordynacji. Doniosłość zadań wobec Kraju rozumiem. Swoją najlepszą wolę, wiedzę i maksymalny wysiłek wkładam od czterech lat, mimo szeregu ataków na moją osobę.

Dumny jestem z oceny Dowódcy Armii Krajowej — dep. L.066 i 065 z dn. 5. VI. 44 i ocen poprzednich. W dep. 065 ocena mojej współpracy jest skrajnie inna od donosów, jakie spowodowały dep. 6049. Tam nie ma osobistych nędznych porachunków”.

Stan faktyczny jest następujący: d-ca Elby, w miarę jego uznania, wkracza w całość pracy Bazy aż do szczegółów. Nie utrudniam, a odwrotnie, oddaję do jego dyspozycji wszystko, łącznie z moim doświadczeniem. Od chwili nadejścia rozkazu

---

9. Turski — pseudonim gen. bryg. Stanisława Tatara, zastępcy szefa Sztabu Naczelnego Wodza do Spraw Krajowych.

10. Elba — centralna baza dowodzenia przerzutów na terenie Włoch. Podlegały jej bazy 10, 11 i „Capri”.

Pana Generała L. 5856 tylko d-ca Elby prowadzi wszelką korespondencję i rozmowy na zewnątrz Bazy wraz z Anglikami. Na jego żądanie biorę w nich udział.

Z chwilą gdy zostałem pozbawiony niezbędnych środków do wykonania zadania oraz gdy niewątpliwe stały się dla mnie przejawy ze strony Centrali, czy braku zaufania do mnie czy też ujemnej oceny mojej pracy, złożyłem podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska d-cy Bazy. Zrobiłem to w głębokim przekonaniu, że widocznie moja osoba na tym stanowisku powoduje czy zaniechanie, czy też niechęć dania na czas niezbędnych środków dla akcji Bazy. Dałem już kilkakrotnie wyraz mej pogardy dla posady, dać go musiałem teraz, kiedy upewniłem się, że na szereg moich depezo o środki lotnicze nie dostałem żadnej konkretnej odpowiedzi, a w zamian tylko nieuzasadnione dotyki osobiste.

Składając podanie ani na chwilę nie przerwałem pracy i jestem pewny, że o ile to było w mojej mocy, użyłem środków Bazy celowo.

Melduję, że zarzuty jak dep. 6049 godzą śmiertelnie w mój honor Polaka i żołnierza. Proszę Pana Generała o zarządzenie dochodzenia i oddanie winnych pod sąd. Bowiem w obecnej sytuacji każdy Polak musi odłożyć swe prywatne porachunki osobiste i nie przeszkadzać w akcji, składając nędzne donosy.

Melduję, w poczuciu największej krzywdy, że trwanie nadal szeptanej oceny pracy przez ludzi nie mających pojęcia o jej warunkach, zniszczyć może nawet i moją wolę pracy.

Faktem już tragicznym jest, że załogi zostały spóźnione i poważniejsza pomoc dla walki jest wykluczona.

Przydział do 2-go Korpusu byłby dla mnie zaszczytnym. Proszę Pana Generała o zarządzenie dochodzeń, gdyż zgodzi się Pan Generał, że obciążony takimi zarzutami nie mogę nosić munduru oficera.

Jażwiński, mjr”.

Dn. 3. VIII. 44 nadeszła następująca depeza od Turskiego:

„1) Zrobiony został nacisk w Air Ministry i uzyskano obietnicę wzmoczonej wysyłki zrzutów dzisiejszej nocy. Jeśli dotrzymają obietnicy, to kanałem brytyjskim równocześnie powinny iść do Slessora<sup>11</sup> odpowiednie zarządzenia. Zróbcie ze swej strony maksymalny wysiłek, używając ew[entualnie] Sopy dla nacisku na przyjaciół, by pomóc stolicy w chwili decydującej, jaką jest noc najbliższa. Turski 6271 — 3. VIII. 44”.

---

11. Marszałek lotnictwa John Slessor — dowódca brytyjskich Sił Powietrznych na Morzu Śródziemnym.

UWAGA: niestety ani Turski ani Hańcza nie rozumieją działania aparatu brytyjskiego. Radosno twórcze zarządzenia i stania są tragicznie spóźnione.

Dn. 4. VIII o godz. 10.00 została zarządzona operacja dla Warszawy — 15 samolotów — 7 polskich i 8 angielskich. O godz. 13.30 Slessor odwołał tę operację i zgodził się tylko na operację normalną na 2568 — według planu czuwania.

O godz. 14.00 nadeszła następująca depesza:

„Za wszelką cenę dajcie nam zrzuty amunicji do miasta na trzy punkty: cmentarz żydowski i Okopowa, plac Napoleona i małe getto. Od otrzymania od Was amunicji zależy nasze wytrwanie w walce. Stanowiska artylerii lekkiej OPL wskazać nie możemy — wszystko płynne. Mogą być przy głównych arteriach komunikacyjnych wschód-zachód. Lawina 1539 — 4. VIII. 44”.

Sopja udał się do naszej eskadry i po krótkiej rozmowie zdecydowano na skierowanie trzech LILA<sup>12</sup> na wymienione cele w mieście (poufnie wobec 4429). Potem zgłosiła się jeszcze jedna załoga na HALA<sup>13</sup>.

Do Turskiego została skierowana depesza L. 1187:

„Zarządzona dla Warszawy operacja z 15 samolotów została odwołana przez Slessora o g. 13.30. Skierowane normalne 2130 na 2568. Uwaga: trzy LILA i jeden FALA skierowane na cele jak Lawina 1535. Proszę o ścisłą tajemnicę przed 4429. Jutrzenka jest gotowa do załadowania trzech wypraw dziennych po cztery dyony Liberatorów<sup>14</sup>”.

UWAGA: zauważono, że mimo ciężkiej sytuacji Hańcza stara się tylko, aby skrzętnie wykazywać się do Turskiego o „swych dokonaniach”. Nie mógł przełknąć w depeszy Jutrzenka (a nie — jestem gotowy). Typowy leśny dziadek — i to bez woli, energii i jakiegokolwiek pojęcia o pracy i wycucia czasu.

Nowy objaw niezrozumienia, czy też radosnej twórczości:

„Nr 6352-XXX-222. Z bili wynika, że kierujecie 2262 poza Warszawę. Polecam położyć pełny wysiłek na wsparcie walki w Warszawie. Turski 6352 — 4. VIII. 44”.

---

12. LILA — kryptonim używany na czterosilnikowy bombowiec typu Liberator (amerykański).

13. HALA — kryptonim używany na czterosilnikowy bombowiec typu Halifax (angielski).

14. Liberator był powszechnie uznany za samolot lepszy od Halifaxów tak pod względem zasięgu, jak i tonażu ładunku oraz innych technicznych możliwości.

O godz. 22.00 nadeszła następująca depesza:

„6318 VV 222. Podaję sytuację: interwencje u wszystkich władz spowodowały telegram Churchilla do Wilsona<sup>15</sup> o wykonanie lotów przez MAAF<sup>16</sup>. Próby uruchomienia trasy północnej dotąd bez powodzenia. Tak samo użycie brygady spadochronowej. Zwiększenie pomocy uzależnione od wyników w Moskwie<sup>17</sup>. Perkins w Teheranie<sup>18</sup>. 4429 interweniują w Moskwie o wsparcie dla nas. Aby nam umożliwić dalsze interwencje, informujcie i pilnie jakie rozkazy dotarły do Anglików. Warta<sup>19</sup> 6318 — 4. VIII. 44”.

Na to wszystko — raport Morgana<sup>20</sup> o wyniku rozmów gen. Stawella<sup>21</sup> z marsz. Slessorem w dn. 4. VIII:

*„Air Marshal Slessor refused to allow aircraft of the Special Squadron to go to Warsaw tonight and also turned down SOE proposal for daylight drops on the city. The reason given is reported to be that he is unwilling that Allied aircraft should fly such a distance to a target which can so much more easily be reached by the Russians. He has telegraphed London to this effect. No information has been received by SOE of any decision of Churchill in these matters. It is impossible to go further unless you ensure that orders are given to the Air Ministry to carry out this operation regardless of loss”*<sup>22</sup>”.

Operacja dn. 4. VIII zakończyła się klęską.

„L. dz. 1188 XXX-222. Turski do rąk własnych. W ślad 1178. Wczoraj wystartowało po siedem polskich i brytyjskich. Z tego

---

15. Gen. Sir Henry M. Wilson — brytyjski naczelny dowódca Sił Alianckich na Morzu Śródziemnym.

16. MAAF — *Mediterranean Allied Air Force* (Śródziemne Alianckie Siły Powietrzne).

17. Wówczas był w Moskwie premier RP S. Mikołajczyk, podejmując próbę dojścia do porozumienia polsko-sowieckiego.

18. Major H. B. Perkins — szef Polskiej Sekcji w SOE.

19. Warta — pseudonim ppłk. dypl. Mariana Utnika, szefa Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza.

20. Major Morgan, oficer brytyjskiego dowództwa Bazy Nr 11 (oficer SOE).

21. Generał W. Stawell — przedstawiciel SOE na Włochy.

22. „Marszałek lotnictwa Slessor zabronił samolotom Specjalnego Dywizjonu lotu do Warszawy w dzisiejszą noc i również odmówił propozycji SOE na dzienne zrzuty dla miasta. Powodem jest jakoby, że nie chce, aby alianckie samoloty leciały taką odległość do celu, który może być o wiele łatwiej osiągnięty przez Rosjan. W tym sensie telegrafował do Londynu. Żadnej wiadomości o decyzji Churchilla w tych sprawach w SOE nie otrzymano. Nie sposób zrobić czegoś więcej, chyba, że zapewnisz, że Ministerstwo Lotnictwa otrzyma rozkaz pozwalający na tę operację nie bacząc na straty”.



wykonano trzy polskie na rejon cmentarza żydowskiego oraz dwa polskie na bast[ion] MIRT<sup>22a</sup> i jeden brytyjski na bast[ion] TRAWA<sup>22b</sup>. Z pozostałych — jeden Lila postrzelony w rej. Radom wrócił i przy lądowaniu uszkodzony, cztery brytyjskie zaginęły — prawdopodobnie zestrzelone przez myśliwców, jeden brytyjski zawrócił i przy lądowaniu rozbił się i spalił oraz jeden brytyjski i polski wróciły z ładunkiem — zbłądziły.

Samoloty skierowane do Warszawy nie mogły osiągnąć celów w środku miasta na skutek licznych pożarów i dymu — brak widoczności. OPL w rej. Żoliborz, Cytadela, fort Bema i Marymont — artyleria lekka i ckm (ciężkie karabiny maszynowe — A.S.).

Na dziś przewidziana operacja — tylko trzy polskie — dwa Hala i jeden Lila. Dyon brytyjski zgłosił tylko jeden Hala, ale nie do Polski. Motyw — zbyt jasna noc i duże straty.

Stan brytyjskiego dyonu każe liczyć tylko na naszą eskadrę. Z zapowiedzianych załóg przybyła jedna — kpt. Ladro — ale wyszkolona na Sterlingu. Możliwość przeszkolenia tu w tej chwili żadna. H. godz. 12.15 dn. 5. VIII. 44".

W dwie godziny później została wyjaśniona następująca depesza:

„L. dz. 1189-XXX-222. Gen. Turski. W ślad 1188. Mjr Morgan i od Rankina przekazano następującą decyzję:

*'BAAF<sup>23</sup> have ordered that operations to Poland cease until further notice. The basis of this decision is stated to be RAF policy, and takes no regard for the situation in Poland<sup>24</sup>'.*

Nadeszła również następująca depesza od Lawiny:

„476-VV-222. NW przekazuję depeszę do Premiera i NW. Lawina 1476. — 30. VII. 44.

Z dotychczasowego przebiegu wypadków wynika, że jednostki kierujące AK wraz ze swym aparatem zostają po ujawnieniu się aresztowane przez władze sowieckie. Należy oczekiwać, że ten sam los czeka wszystkie czynniki kierownicze tak cywilne jak i wojskowe. Musimy zrobić wszystko, by ludzi tych ubezpieczyć i nie dopuścić do ich zlikwidowania czy to bezpośrednio przez

---

22<sup>a</sup>. MIRT (bastion) — 15 km na południowy wschód od Kielc.

22<sup>b</sup>. TRAWA (bastion) — 12 km na północny zachód od Pińczowa.

23. BAAF — *Balkan Allied Air Force* (Bałkańskie Alianckie Siły Powietrzne).

24. „BAAF wydał rozkaz, że operacje do Polski mają być wstrzymane do odwołania. Podstawą decyzji ma być polityka RAF i nie bierze pod uwagę sytuacji w Polsce”.

NKWD czy też za pośrednictwem ich posłusznych narzędzi polskich. Jako jeden ze sposobów ubezpieczenia uważamy wzięcie wszystkich aresztowanych przez sowieciarzy na tle politycznym obywateli polskich pod opiekę przez czynniki anglosaskie. Rządy angielski i amerykański winny być poinformowane o istniejącej groźbie eksterminacji przez sowieciarzy czynników kierowniczych naszej konspiracji. Rząd polski ma prawo żądać zapewnienia bezpieczeństwa życia ludzi, którzy do końca walczą dla wspólnego celu i których nie można traktować inaczej jak pełnoprawnych sprzymierzeńców. W związku z powyższym prosimy o natychmiastowe spowodowanie uznania przez Naczelne Dowództwo Sprzymierzone Polskiej Armii Krajowej za część składową armii Sprzymierzonych analogicznie do uznania armii krajowej francuskiej i powzięcie uchwały Rządu uznającej administrację cywilną jako polską część AMGOT-u<sup>25</sup> na czas działań sowieckich. — Sobol<sup>26</sup> Lawina”.

NIESTETY POLACY CHĘTNIE SIĘ ŁUDZĄ. KONIK PROSOWIECKI ZDECHŁ. Szkoła wysiłku.

Z Jutrzenki wykonane zostało do 5. VIII. 44:

Startowało 198 polskich, 200 brytyjskich — razem 398 (plus ok. 200 lotów odwołanych). Wykonane 112 polskich i 72 brytyjskich — razem 184. Spośród niewykonanych przypada — 67 zbłądziło, 21 defekty, 10 oblodzenie, 56 burze i zła widoczność, 12 ZAGINĘŁO, 9 nie czuwała placówka, 27 cofnięte ze startu, 11 różne przyczyny — razem 214.

Dn. 5. VIII nadeszła następująca depecha Lawiny 555-VV-111:

„1) W związku z naszą decentralizacją akcji zrzutów dajcie bezpośrednio okr. Kraków — radiostacja nr 40, Łódź nr 85, Radom nr 52 elementy czuwania międzytercet: dni grup, melodie obie, hasła, sygnał świetlny. Okręgi odwrotnie zgłoszą placówki.

2) Czyście odczytali depezę Kani<sup>27</sup> Ig z planem na międzytercet, przesłaną nam przez Was — odczytajcie tuszem 436. Jest ona kierowana do Was wobec naszej decentralizacji akcji zrzutów.

3) Na 243. Placówki na zrzut pieniędzy w *container*'ach podadzą Wam bezpośrednio Radom i Kraków. Przy zrzucie tym konieczny konwojent.

Lawina 1555 — 4. VIII. 44”.

---

25. AMGOT — *Allied Military Government* (Aliancki Rząd Wojskowy).

26. Sobol — pseudonim Jana Jankowskiego, Delegata Rządu RP w Kraju.

27. Kania — kryptonim Okręgu Kraków.

UWAGA: wylazło stałe — brak przewidywań i brak wycucia czasu u Centrali. Do Centrali nadana została następująca depeza:

„L. dz. 1185 WA RTA XXX-222. W związku z Law[iną] 1555, odnośnie decentralizacji zrzutów, podajcie odwrotnie tusz 436 dla okręgów Kraków, Łódź i Radom oraz przekażcie treść depesz z tych okręgów, jakie zostały do was przekazane. B. pilne, gdyż i tak to już spóźnione. H[ącza] 1185 — 5. VIII”.

### Załogi

Usilne starania Sopji o załogi, prowadzone od kwietnia br., w ostrej już formie, znalazły wynik jedynie w następujących depeszach Centrali:

Nr 5716 (1123) z 27. VII — Podaję terminy Air Min[istry] wysłania następnych załóg. Wyszkolonych na Hala — pięć załóg 29 bm. Trzy załogi 5. VIII. Dwie załogi ze Sterlingami czekają na pogodę. Robię starania, by terminy skrócić. WARTA”.

Przedtem — dn. 18. VII była depeza:

„Nr 5709 (1058) — Uzyskałem obietnicę Air Min[istry] na wysłanie dziesięć załóg od 24. VII do 1. VIII. WARTA”.

Oraz dn. 25. VII:

„Nr 5716 (1113) — Dn. 22. VII odleciały dwie załogi, jako pasażerowie do Afryki, skąd pobiorą samoloty i odlecą do Was (kpt. Ladro i por. Nawalany). Odlot następnych załóg stąd przewidywany w tym tygodniu. WARTA”.

Na to wszystko dn. 5. VIII przybyła tylko załoga kpt. Ladro bez samolotu i przeszkolona na Sterlingu — a więc jeszcze długo nieużyteczna. Dn. 5. VIII było zdolnych do lotu tylko trzy samoloty polskiej eskadry.

Dn. 6. VIII Centrala dalej radosno twórcza:

„Nr 6412-VV-222 z 6. VIII. Na 1188 i 1189. Usiłujemy (chyba w dyskusjach — J.J.) uzyskać tu zmianę decyzji MAAF. Wszelkimi siłami starajcie się podnieść choćby czasowo stan eskadry polskiej (chyba te załogi urodzić — J.J.), wykorzystując załogi wylatane (tu ich już nie ma — J.J.) do chwili nadejścia i doszkolenia załóg (idą od marca — J.J.). — (S.....y — zajmowali się personaliami i to w nędzny sposób, a teraz, kiedy ubiegł szósty dzień walki o Warszawę, usiłują doszkalać załogi — J.J.)”.

A w depeszy 6376-VV-222:

„Na 1178. Odmowa Slessora przyjęta do wiadomości przez K.S.S.<sup>28</sup>. Prawie żadnej nadziei na zmianę decyzji odnośnie Warszawy. Meldujecie stale wyniki 2103 i ilość czynnych załóg polskich. WARTA 6376”.

Dn. 6. VIII wyszła z Bazy następująca depesza:

„L.1196-XXX-222. Przekazuję treść pisma Morgana z dnia dzisiejszego:

1. *I have now received further information regarding the decision of BAAF on future flights to Poland. This decision is based on their calculation that these operations will suffer 50 % losses in flying over the night fighter belt and RADAR belt which has been installed in Hungary to protect Czechoslovakia and the Silesian districts from bombing raids.*

2. *In consequence BAAF are prepared to allow flights to Poland only in the non moon period up to approximately 10 each month.*

(wyraźne — tylko polski flight, licząc po trzy samoloty na jedną wyprawę).

3. *The question whether these will be carried out by 1156 Flight only, or by the whole Wing is at present being decided in London.*

4. *No statement has been made on daylight operations. I suggest therefore that we press for the planning of operations similar to that proposed for Warsaw on other large cities. Is it possible to ask the Field area commanders their views on the reception possibilities in these cases?*

5. *We have already sent a telegram to London suggesting such a course to our H.Q.<sup>29</sup>.*

---

28. KSS — Komitet Szefów Sztabów (brytyjskich).

29. „1. Otrzymałem dalsze informacje o decyzji BAAF odnośnie przysyłanych lotów do Polski. Decyzja ta jest oparta na ich kalkulacji, że te operacje będą miały 50 % strat lecąc na nocnym pasie myśliwskim i pasie radarowym, który założono na Węgrzech, aby ochronić Czechosłowację i rejon Śląska od bombardowania. 2. W rezultacie BAAF jest gotów zezwolić na loty do Polski tylko podczas nocy bezksiężycowych, to jest około 10-go każdego miesiąca. 3. Pytanie, czy mają one być wykonane tylko przez 1586 eskadrę czy przez całe skrzydło, jest obecnie rozważane w Londynie. 4. Żadnej wypowiedzi nie zrobiono odnośnie lotów dziennych. Wobec tego sugeruję, abyśmy naciskali na planowanie podobnych operacji dla Warszawy, dla innych dużych miast. Czy jest możliwe spytać się dowódców w terenie, jakie są możliwości odbioru w takich wypadkach? 5. Już wysłaliśmy telegram do Londynu proponując taką linię postępowania naszemu dowódcy”.

Odnoszę wrażenie, że przyczyną wstrzymania operacji na Polskę są tylko względy polityczne. Liczyć można tylko na naszą eskadrę. ZA WSZELKĄ CENĘ DAJCIE ZAŁOGI. Dążcie do zmiany decyzji co do ograniczenia lotów. UWAZAM ŻE RZECZYWISTY STAN MUSI ZNAĆ LAWINA. H[aińcza] 1196”.

Gen. Turski, nastawiony przez Utnika, wysłał ppłk. int. Tysowskiego — z wielkim nożem, aby udowodnić Sopi rzekome wywoływanie tarć między Bazą i Oddz[iałem] Spec[jalnym].

Ppłk Tysowski w meldunku do gen. Turskiego (przez d-cę Elby) z dn. 6. VIII. 44 stwierdza:

„Zgodnie z rozkazem Pana Generała L. dz. 5675, z dn. 6. VII 44, przeprowadziłem zbadanie wszystkich wątpliwych zagadnień budżetowych i pieniężnych w Bazie Nr 11, które były przedmiotem nieporozumień pomiędzy Bazą a Oddz. Spec. i bezstronnie muszę zameldować Panu Generałowi bardzo duży wysiłek tak d-cy Bazy, jak i organów Wydz[iału] Fin[ansowego], tak w kierunku wyrównania zaległych niedociągnięć, jak i ich zlikwidowania. Czynnikiem utrudniającym współpracę jest bez wątpienia odległość i posiłkowanie się szyfrem. Niekiedy zmiana jednego słowa przy odszyfrowaniu powoduje wątpliwości, względnie uczucia niewczucia się w sytuację i warunki Bazy. Wreszcie niektóre depesze O[ddziału] Spec[jalnego] wykazywały sprzeczności, bądź nie były wyczerpujące, co oczywiście mogło wpływać na dalsze zadrażnienia. Poza tym nie bez znaczenia, i to poważnego, są nerwowe warunki pracy w Bazie, związane z operacjami. Stąd często wynika nerwowa reakcja w świadomości, że są to sprawy niewątpliwie mniejszego znaczenia wobec operacji. Po zbadaniu zleconych mi spraw stwierdziłem, że d-ca Bazy, jak i kier[ownik] Wydz[iału] Fin[ansowego] po przybyciu do Bazy znaleźli się w warunkach bardzo trudnych, gdyż przed ich przybyciem wydano w Bazie szereg zarządzeń kolidujących z przepisami i zarządzeniami, które należało doprowadzić do właściwych norm. Zarządzenia te były wydane w początkowej fazie organizacyjnej Bazy, bardzo trudnej zresztą, gdy nie było organów fachowych, a przepisy oraz zarządzenia nie były znane.

Zmiana stosowanego przed przybyciem organów gospodarczych sposobu wypłat napotkała na gorący sprzeciw skoczków, zasłaniających się bądź decyzją z-cy szefa Oddziału Specjalnego — mjr. Utnika, względnie nawet szefa Sztabu NW.

Wyczyszczenie tych niedociągnięć przez Oddział Spec[jalny] z poprzedniego okresu należałoby jak najszybciej zakończyć w formie zalegalizowania wniosków przeze mnie podanych. [Tu następuje lista 16 wniosków — A.S.].

Tysowski ppłk int. z WSW”.

Dn. 7. VIII nadeszła depeza Lawiny 568-XXX-111:

„Na górny Mokotów, koszary szwoleżerów, Pole Mokotowskie i rej[on] m. Czerniakowa możecie dać zrzuć masowe bez sygnałów. Awizujcie wylot. Lawina 1568 — 7. VIII. 44”.

Sopja wyznaczył w pobliżu Warszawy trzy fikcyjne bastiony na 9 samolotów i udał się dn. 8. VIII na lotnisko celem spowodowania normalnej operacji, o ile pozwoli pogoda. Rozmowę wyprzedził Rankin, który oświadczył, że otrzymał w nocy rozkaz zezwalający polskiej eskadrze na operacje do Warszawy. D-ca polskiej eskadry mógł jednak wyznaczyć tylko trzy samoloty — 1 Lila i 2 Hala. Z przybyłych 7 załóg kpt. Ladro ma być wylaszowany dn. 8. VIII, a świeżo przybyłe 6 załóg muszą wykonać choć po jednym krótkim locie (są bez lotów bojowych). Pogoda nad Jugosławią zła — oblodzenie od 10 tys[ięcy] *feet*. Będą się przebijać. Po zarządzeniu operacji nadeszła depeza z Centrali:

„6501 VV-222. Sinclair<sup>30</sup> cofnął jakoby zakaz lotów dla polskich załóg, o ile zgłoszą się ochotniczo. Podajcie natychmiast, czy otrzymaliście i ile samolotów możecie wysłać. 7. VIII. 44”.

Uwaga: nawet nie wiedzą, co załatwione jest w Londynie. Zgodnie z depezą Lawiny 566-XXX-111:

„Czuwamy dalej. Przyślijcie zrzuć na KONGO<sup>31</sup>. Awizujcie je kodem. Lawina 1566 — 4. VIII. 44”

zapowiedź operacji została wysłana kodem — a nie przez BBC<sup>32</sup> — aby nie stawiać w stan czuwania placówek.

Wieczorem dn. 11. VIII nadeszła depeza Turckiego z podaniem, że Rząd i N[aczelnik] W[ódz] życzą sobie, aby polska eskadra wykonała dn. 11. VIII i dni następnych loty do Warszawy bez względu na pogodę i straty (nr 6655 — L. 1243). W wyniku próby z d-cą eskadry Hańcza nadał nast[ępującą] depezę:

„L. dz. 1243-XXX-222. — Turcki. Dep. nr 6655 odszyfrowana o godz. 19.50. Przekazana d-cy Eskadry godz. 20.20.

Dca Eskadry zarządził alarm dla trzech załóg, jakie były do dyspozycji, a sam udał się do Rankina z prośbą o pozwolenie na start. Rankin po porozumieniu się z AOC<sup>33</sup> w BAAF, podał

30. Sir Archibald Sinclair — brytyjski minister Lotnictwa.

31. Kongo — kryptonim Okręgu Warszawa.

32. BBC — *British Broadcasting Corporation* (radio brytyjskie).

33. AOC — *Air Officer Commanding* (dowódca lotniczy).

następującą decyzję: «*Weather hopeless. Operation impossible tonight and banned by RAF. Prospects good for night 12/13 and RAF promise max. support then*<sup>34</sup>». Uwaga: załogi osiągnęły Warszawę o świcie.

Poza tym Rankin oświadczył d-cy eskadry, że eskadra podlega RAF i tylko przez RAF może otrzymywać rozkazy operacyjne. Celem pełnego wyświetlenia tej sprawy Rankin poprosił mnie i wezwał d-cę eskadry do udania się z nim jutro do BAAF. W związku z jutrzejszą możliwością lotu proszę o spowodowanie, aby Air Ministry dało rozkaz BAAF wysłania załóg bryt[yskich] na cele w Warszawie, bowiem sytuacja w Kampinosie zupełnie niejasna. Decyzja potrzebna na godz. 12.00. — Roch 1243<sup>35</sup>''.

Dn. 12. VIII — ppłk Hańcza spóźnił się i Rankin (czekał pół godz.) wyjechał do BAAF tylko z d-cą eskadry.

Rano zostało zarządzonych 12 samolotów — całość na cele w Warszawie — jak dep[esza] Lawiny 1605. Pogoda poprawia się.

Do dn. 8. VIII przerzucono z Jutrzenki do Kraju:

„496 l.k.m. Spandau, 160 l.k.m. Bren, 280 pistoletów maszynowych Schmeiser, 192 pistoletów maszynowych Marlin, 5424 Ste-nów, 9.000 rewolwerów, 308 PIAT-ów i 4.682 poc[isków], 21 PAK i 3.360 naboji, 1 moździerz i 20 poc[isków], 302 radiostacji AP1, AP2, 15 rdst. BP3, 30 rdst. 46, 329 lornetek, 1.178.700 naboji 7,92, 464.088 naboji 303, 450.000 naboji do rewolwerów, 3.700.000 naboji 9 mm, 18.890 kg. plastiku, 650 kompl[etów] sap[erskich] zapalających<sup>36</sup>”.

Dn. 12. VIII przed startem nadeszła następująca depesza Lawiny 615-XXX-111:

„Jesteśmy w bardzo ciężkiej walce. Dzisiejsze zrzuty na Kra-sińskich zdecydują o położeniu. Lawina 1615 — 12. VIII. 44”.

(L. 1254. Uwaga: na plac ten skierowano 5 pol[skich] sa-molotów. Sopja okazał tę depeszę załogom).

W drugiej depeszy:

„613-XXX-111. Dziś znowu nie było zrzutów mimo pięknej

---

34. Pogoda beznadziejna. Operacja dzisiejszej nocy niemożliwa i zabro-niona przez RAF. Widoki na noc 12/13 są dobre i RAF obiecuje maksimum wsparcia wówczas.

35. Roch — pseudonim ppłk. M. Dorotycz-Malewicz.

36. l.k.m. — lekki karabin maszynowy.

nocy. Jesteśmy rozgoryczeni, wymagamy od Jutrzenki większego wysiłku. Lawina 1613”.

(TRAGICZNE POTWIERDZENIE MOTYWÓW W PODANIU SOPJI O ZWOLNIENIE).

13. VIII. Jaśniejszy promyk dla Bazy. O godz. 12,00 nadeszła wiadomość, że MAAF zarządził lot dla Warszawy 20 Liberatorów z 31 i 178 dyonów stacjonowanych w gr. 205 — lotniska Celone i Amandola pod Foggia. Razem więc z wingiem 334 — 32 samoloty. Hańcza wysłał do Londynu dep. L. 1251. Wczoraj startowało pięć polskich i sześć brytyjskich. Wykonane trzy pol[skie] na Krasieńskich, jeden na st[ację] pomp i trzy bryt[yjskie] na rejon Napoleona. Ogólnie bardzo zła widoczność. Cztery samoloty nie dotarły do Warszawy. Z wykonanych jeden bryt[yjski] postrzelony przez myśliwca na trasie powrotnej. W Warszawie na ogół brak OPL. Dziś przewidywany start jedenastu samolotów wingu spec[jalnego] (334) plus dwadzieścia Liberatorów. Cele zasadnicze Krasieńskich i Napoleona.

Sopja ujął ster kierownictwa i na czas zmobilizował środki do załadowania i odprawienia pomocy. Równocześnie wszczął starania, aby ta pomoc trwała przez cały czas walki o Warszawę (co najmniej). Wyprzedzająco spowodował zarządzenie wysłania do rejonu Foggia 45 lotów (450 *container*'ów) już w nocy z 13 na 14. VIII oraz dalszych 40 lotów pociągiem i 20 samochodami. W ten sposób można było zawiadomić MAAF, że w rej. Foggia — dla 31 i 178 dyonów jest do wyrzucenia dla Warszawy lub w jej rejon 105 lotów (1260 *container*'ów).

Start dn. 13. VIII — z Brindisi 22 Liberatorzy i 4 Halifaxy, z Grottaglia 2 Halifaxy. Odeszło od startu w Brindisi 1 Hala z 148 dyonu i 3 Hala z tegoż dyonu w Grottaglii.

Tuż po starcie Sopja przeprowadził konferencję w Paradise Camp z mjr. Flynn i uzgodniona została realizacja wyprawy do Fogii (170 mil z Latiano).

Dzięki wybitnej pracy komendanta i personelu stacji pakowania odeszły z Latiano trzy eszelony — godz. 1.30 dowództwo i oficer operacyjny na lotniska, z dowództwem radiostacja. Godz. 3.30 1-sza kolumna 16 samochodów, a na nich 22 loty i godz. 4.20 2-ga kolumna 17 samochodów — 23 loty. Całość przybyła na czas do lotnisk w rej. Foggia.

Dn. 14. VIII wynik lotu b[ardzo] średni. Dotarło do Warszawy 26 (samolotów — A.S.). Wykonało na Krasieńskich i Napoleona 12, w tym trzy pol[skie], dwa ze 148 squ[adronu] i siedem z 31 i 178 squ[adronu] — dywizjonu]. Z pozostałych —



trzy Lila bryt[yjskie] *missing*, 13 zrzutów przymusowych (trzy w Kraju i dziesięć na trasie).

Na dz[ień] 14. VIII zarządzony start — 5 pol[skich], 8 ze 148 squ[adronu] i 15 z Foggia. Startowało 5 pol[skich], 6 z 148 dyonu i 15 z Foggi. Operacja ta musiała być przeprowadzona z czterech lotnisk — Brindisi 8, Grottaglia 5, Celone 8 i Amandola 7 samolotów. Organizacja Bazy nagięta została do potrzeb lotniczych — starty z lotnisk macierzystych, aby umożliwić przygotowanie maszyn.

W dniu 14. VIII st[acja] pak[owania] przygotowała dalsze *container'y* — na godz. 9.00 dn. 15. VIII 40 lotów — 480 *container'ów* na pociąg do Foggii i 20 lotów — 240 *container'ów*, na godz. 12.00 dn. 15. VIII na transport samochodowy do Foggii. Ponadto na 12-14 operacji z Brindisi. Niestety tylko mały procent tej pracy trafia do rąk AK w Warszawie.

O godz. 13.00 nadeszła depeza Lawiny:

„628-XXX-111. Kampinos czynny. Kwituję 3 zrzuty w śródmieściu. Jeden samolot zestrzelony w rej. Dworca Głównego. Lawina 1628. — 14. VIII. 44”.

O godz. 12.45:

„627-XXX-111. Npl w północnej części miasta uruchomił od 13. VIII silną OPL. Najsilniejsza w rej. mostu Kierbedzia, Cytadela, Dworzec Gdański, Pawiak, Fort Bema, CIWF<sup>37</sup>. Zrzuty są nam konieczne. Dane z południowej części Warszawy nadeszły później. Loty były wykonane brawurowo. Lawina 1627 — 14. VIII”.

Po starcie samolotów nadeszła następująca depeza Turskiego:

„6775-XXX-222. W związku ze znaną mi sytuacją, polecam kierować wszystkie zrzuty nadal na Warszawę. Upoważniam was do objęcia dzisiaj zrzutami i Kampinosu jedynie w wypadku otrzymania przez was wyraźnego żądania Lawiny”.

Uwaga: Turski — jak zawsze — *ex cathedra* — bez znajomości i chęci wniknięcia w warunki wykonania.

Z Foggii DYB<sup>38</sup> nadesłał po starcie:

„start[owało] 15 — 8 z 178 squ. i 7 z 31 squ. Stan OPL podałem, zapasowe [?] w Kampinosie podałem tylko 31 squ. gdzie udało się przesunąć odprawę o 30 min[ut]. 178 [squ] był już od-

37. Centralny Instytut Wychowania Fizycznego.

38. Ppor. Adam Dyboski, oficer Bazy Nr 11.

prawiony i nie mogłem nic zmienić. Sprawę bombardowania poruszyłem. Oznacza to zmniejszenie ilości samolotów przerzutowych. Zapytano czemu nie było nikogo z 1586 [eskadry]. Transport zgubił 6 wozów. Przyszły z 3 godz. opóźnieniem. DYB 3. — 14. VIII. 44”.

WYNIK OPERACJI NA WARSZAWĘ w nocy z 14 na 15. VIII fatalny.

Z polskiej eskadry 1586 — startowało 2 Lila i 4 Hala. Wykonało — 2 na Kampinos, *missing* 1 Lila (kpt. pil. Szostak i nawig[ator] kpt. Daniel), wróciły 2, z tego jeden rozbity przy lądowaniu. Straty — 1 załoga i 2 samoloty.

Z dyonu 148 startowało 6 Hala. Wykonało 3 na plac[ówkę] Napoleona, *missing* 1, zawróciło po starcie 2.

Z dyonów 31 i 178 startowało 15. Wykonane trzy na Kraśńskich, trzy na Napoleona i dwa dzikie w rej. Wisły most Kierbedzia, 1 wrócił z ład[unkiem] do Bazy. *Missing* 6, z czego widziano trzy spadające nad Warszawą, jeden koło Krakowa i jeden koło Preszowa (Czechy).

Części miasta w ręku niemieckim — duże pożary.

Dn. 15. VIII w Bari (BAAF) — konferencja celem decyzji na dziś.

Decyzja BAAF — godz. 13.00 — dziewięć samolotów tylko na plac[ówki] HAMAK<sup>39</sup>, CHOCHLA<sup>40</sup> i TASAK<sup>41</sup>.

O godz. 15.00 nadeszła depeza z Warszawy:

„1636-XXX-111. Najcięższy rejon walk — Stare Miasto. Dn. 13/14 i 14/15. VIII nie otrzymał ani jednego zrzutu, z powodu silnej OPL. Bez bombardowania rej. mostu Kierbedzia, Cytadeli, dworca Gdańskiego, Pawiaka, Fortu Bema i CIWF zrzuty są niemożliwe. Bombardowanie tych obiektów odciąży nas w walce i umożliwi zrzuty. Lawina 1636 — 15. VIII. 44”.

„1637-XXX-111. Rejony zapasowe polecił zgłosić Rolnikowi<sup>42</sup> i Łani<sup>43</sup>. Żądajcie od nich wprost. W rej. Warszawy HAMAK i CHOCHLA, nowych szukamy. Lawina 1637 — 15. VIII. 44”.

Dn. 15. VIII nadana została do Centrali następująca depeza:

39. Hamak — placówka zrzutowa 15 km na północny zachód od Warszawy.

40. Chochla — placówka zrzutowa w rejonie pod Błoniami.

41. Tasak — placówka zrzutowa 7 km na północny zachód od Grodziska.

42. Rolnik — kryptonim Okręgu Radom-Kielce.

43. Łania — kryptonim Okręgu Łódź.

„1278-XXX-111. Wczoraj startowało dwa, sześć. Cel zasadniczy Krasieńskich i Napoleona oraz zapasowy Kampinos dla dwóch dyonów. Wynik operacji:

1) nasza eskadra — start 2 Lila i 3 Hala. Wykonane 1 Lila i 1 Hala na Kampinos. *Missing* 1 Lila (kpt. Szostak i Daniel). Dwa Hala wróciły — nie dotarły do celu.

2) dyon 148 — start 6 Hala. Wykonane trzy na plac Napoleona. 1 *missing* i 2 zawróciły.

3) dyony 31, 178 z FOGGIA. Start 15 Lila. Wykonane trzy na Krasieńskich i trzy na Napoleona. Poza tym dwa dzikie rzuty w rej. mostu Kierbedzia i Poniatowskiego. 6 *missing* i jedna załoga do szpitala. 1 wrócił z ładunkiem. Razem straty siedem załóg i maszyn.

Widziano trzy samoloty zestrzelone nad Warszawą, jeden nad Krakowem i jeden w rej. Preszow — Czechy<sup>44</sup>”.

Jutrzenka wysłała do Foggii dalsze uzup[elnienie] *container*’ów do stanu stu lotów (1200).

Po konferencji władz RAF i SOE u Slessora, Slessor dał następującą decyzję: LOTY DLA M. WARSZAWY NIEMOŻLIWE DALEJ. RAF TRACI JEDEN SAMOŁOT NA KAŻDY JEDEN ŁADUNEK ZRZUCONY DLA AK. KONTYNUOWAĆ LOTY DO POLSKI ALE TYLKO NA REJONY W POBLIŻU WARSZAWY I ZORGANIZOWAĆ REJONY ZAPASOWE. BOMBARDOWANIE CELÓW W WARSZAWIE NIETYKONALNE W NOCY. ABY BOMBARDOWAĆ W DZIEŃ MAAF NIE MA WE WŁOSZECH SAMOŁOTÓW O ODPOWIEDNIM ZASIĘGU. MOŻE TO ZROBIĆ TYLKO 8 ARMIA LOTNICZA (amerykańska — A.S.) W WIELKIEJ BRYTANII.

Dn. 15. VIII wystartowały — eskadra polska — 1 Lila i 2 Hala na bast[ion] TASAK, (wykonane dwa), 148 dyon — 3 Hala na bast[ion] CHOCHLA (wykonane jeden), z Foggia — 3 Lila na bast[ion] HAMAK (wykonane dwa). Wszystkie samoloty wróciły.

Dn. 16. VIII zarządzony został następujący lot — siedem na HAMAK, pięć na CHOCHLA, cztery na TASAK, dwa na NOTEĆ<sup>45</sup> i jeden na NIDA<sup>46</sup> — razem 19 (10 z Brindisi i 9 z Foggia). Jako zapasowe — plac[ówki] w rej. Piotrków i Kra-

44. W oryginale brak zaznaczenia, że depesza kończy się w tym miejscu. Wynika to z następnego zdania.

45. Noteć — placówka zrzutowa na południowy wschód od Piotrkowa (Okręg Łódź).

46. Nida — placówka zrzutowa na południowy wschód od Piotrkowa (Okręg Łódź).

ków. UWAGA: BRAK BIŁA O GOTOWOŚCI PLAC[ÓWKI] W REJ[ONIE] PIOTRKÓW I KRAKÓW.

Dn. 15. VIII po decyzji Slessora nadana została do Lawiny nast[ępująca] depesza:

„1287-XXX-111. Przyjaciele uznali dalsze loty dla m. Warszawy za niemożliwe. Podajcie poza miastem, w rej. koncentracji od-sieczy, bastiony o dopuszczalnej długości rozrzutu dwa km i o silnym sygnale świetlnym. Dziś dziewięć samol[otów] skierowane na HAMAK i CHOCHLA. Awizujcie czuwanie HAMAKA i CHOCHLI i jutro<sup>47</sup>”.

Decyzja Slessora podana została i do Centrali, dn. 16. VIII, L. [dz.] 1289. Dn. 16. VIII nadeszła dep[esza] Lawiny:

„Wysięk waszego lotnictwa umożliwił nam dalszą walkę. Walcząca Warszawa śle bohaterskim lotnikom słowa podzięk i uznania. Przed poległymi załogami chylimy czoła. Lawina 1640 — 15. VIII. 44”.

W dep[eszy] 1643-XXX-111 Lawina podaje:

„Do miasta zrzuć koniecznie po osi Marszałkowska, w prostokącie Zbawiciela, Twarda, Kredytowa, Nowy Świat. REJON DU-ŻEGO BASTU LAS KABACKI i uruchomienie w ślad. Lawina 1643 — 15. VIII. [44]”.

UWAGA: w związku z tą depeszą i w przewidywaniu, że Las Kabacki może czuwać już od 16. VIII (dep[esza] może być spóźniona) — LAS KABACKI został dany przez Sopję jako zapasowy dla 10 samolotów — 6 polskich i 4 brytyjskich. Sopja prosił również, aby nasze załogi próbowały lotu na Marszałkowską.

W dwie godziny po wydaniu rozkazów do lotu nadeszła depesza Turskiego:

„6801-XXX-111. Nadal obowiązują wytyczne naszej 6775. Żądam lotów na Warszawę. Turski 6801 — 16. VIII. 44”.

Nic tego generała nie uleczy. „Żądam” — ale nie daję środków. „Żądam” — ale nie rozumiem jak to wykonać. Nic nowego — depesza ta jak i kilka poprzednich powiększyła [zbiór] rozkazów nierealnych.

Dn. 17. VIII nadana do Centrali nast[ępująca] depesza:

---

47. W oryginale brak zaznaczenia, że depesza kończy się w tym miejscu. Wynika to z następnego zdania.

„L.1307-XXX-222. Wczoraj start[owało] 18. Wynik:

1) nasza eskadra: start pięć, wykonane dwa na HAMAK, zagięto dwa LILA z kpt. Jencka i HALA z por. Schoeffler, jeden zabłądził — trafił do Włocławka zamiast Warszawy (jedna z ośmiu nowoprzysłanych załóg i to lepsza z nich).

2) 148 dyon — start cztery. Wykonane dwa na Wiersze<sup>48</sup>. Jeden zawrócił i jeden dziki zrzut w rej. Karpat.

3) z Foggia — start dziewięć. Wykonane trzy na Kampinos. Zaginęły cztery. Dwa wróciły z ładunkiem.

Decyzja BAAF na dziś: wstrzymane loty do Kraju z dyonów bryt[tyjskich]. Dla naszej eskadry wolna ręka, ale tylko nie dalej jak rej. bast[ionu] JASTRZĄB<sup>49</sup>. Zarządzone są nasze cztery loty. Dziś konferencja w BAAF celem zdecydowania o dalszej pomocy dyonów bryt[tyjskich] dla Warszawy i Kraju. Nasze żądania — dziennie dziesięć wykonanych lotów dla Warszawy i dziesięć w pobliżu Warszawy. Propozycja wykonania bombardowania na cele w Warszawie Threlfall<sup>50</sup> wysłał do SOE dep. 327 i 328 z 15. VIII. MAAF twierdzi, że może to wykonać tylko amerykańska armia lotnicza w Wielkiej Brytanii. Liczę się, że bez mocnej waszej interwencji akcja zrzutów dyonów bryt[tyjskich] będzie zahamowana. Proszę o pilne skierowanie do naszej eskadry pięciu nowych i doświadczonych załóg. Obecnie mamy tylko dwie załogi wartościowe — reszta b. słaba. Trafia zamiast do Warszawy do Włocławka lub gorzej<sup>51</sup>”.

Dn. 17. VIII nadeszła dep[esza] Lawiny:

„1650-XXX 111. ZAPRZESTANIE BEZPOWROTNE ZAOPATRYWANIA WARSZAWY DOPROWADZIĆ MOŻE DO KATASTROFY”.

W dep[eszy] 1651-XXX-111 Lawina podaje:

„Niezależnie od mego żądania, jak dep. 1650 dziś czuwa HAMAK (702), WIERSZE (705), CHOCHLA (703) oraz na lesie Kabackim KARP (706)<sup>52</sup>, SUM (707)<sup>53</sup>, LIN (708)<sup>54</sup>. Wszystkie bast. 6. Żądamy jeszcze dziś maksimum lotów dla Warszawy. W 17 dniu walki oddziały nasze są wyczerpane<sup>55</sup>”.

48. Wiersze — placówka zrzutowa, Warszawa.

49. Jastrząb — placówka zrzutowa 7 km na południe od Jasła.

50. Ppłk H. Threlfall — brytyjski dowódca Bazy Nr 11 (oficer SOE).

51. W oryginale brak zaznaczenia, że depeza kończy się w tym miejscu.

Wynika to z następnego zdania.

52. Karp — północny skraj placówki Kabaty.

53. Sum — południowy skraj placówki Kabaty.

54. Lin — wschodni skraj placówki Kabaty.

55. W oryginale brak zaznaczenia, że depeza kończy się w tym miejscu.

Wynika to z następnego zdania.

Żądanie Sopji, aby chociaż na las Kabacki skierować 18 samolotów, zostało odrzucone przez BAAF. BAAF zabronił lotu tam i załogom polskim. To da się obejść, ale są tylko DWIE polskie załogi zdolne do lotu na las Kabacki. Pozostałe dwie nie mają lotu bojowego.

Od Turskiego znowu pragnienie. W dep[eszy] 6885-XXX-222:

„Ogólne położenie w Warszawie i konieczność zasilania walki izolowanego śródmieścia zmusza nas do kontynuowania lotów na miasto choćby tylko załogami polskimi. Przypominam depe-sze NW 6534 i 6609”.

(TAK JAK BY TU W JUTRZENCE NIKT NIE CHCIAŁ POMÓC WARSZAWIE — rzeczywiście „genialne” rozkazy — nierealne).

Druga depe-sza Turskiego do Lawiny wskazuje na pewien wyczyn (mocno spóźniony, ale zawsze wyczyn — gdyby doszedł do skutku):

„Chcemy by nasze załogi nadal mimo strat zrzucały na miasto (chodzi tu o dwie załogi, które mają dość doświadczenia — reszta to młokosy bez żadnego lotu operacyjnego — J.J.). Amerykańskie wyprawy dzienne dla Warszawy w sile ok. 50 samolotów ze sprzętem, z lądowaniem następnie w Rosji, w gotowości od kilku dni czekają na przyjęcie przez Rosjan do wiadomości marszruty, co jest konieczne ze względu na OPL rosyjskie.

Anglicy chcą zrzucić swego wyższego oficera dla łączności z Wami<sup>56</sup>. Podajcie odwrotnie gdzie i kiedy.

Długotrwałe wysiłki o rzut oddz[iałów] spadochronowych rozbiły się o sprzeciw Anglików, uznających lot za niewykonalny ze względu na odległość<sup>57</sup>. Turski 749.

Wreszcie depe-sza Warty 6916-VV-222:

„Możecie wysłać do puszczy Kampinoskiej lub Kabackiego lasku skoczków w mundurach i z paczkami uzbrojenia. Zastąpi-

---

56. Nie było to całkiem zgodne z prawdą. Właśnie w sierpniu 1944 A. Eden, brytyjski minister Spraw Zagranicznych, odradzał Churchillowi wysyłanie misji wojskowej do Polski. Misja taka została zrzuczona do Kraju dopiero pod koniec grudnia 1944, prawie rok od pierwszego zwrócenia się premiera Mikołajczyka do Anglików z prośbą o jej wysłanie.

57. Jak wiadomo, głównym powodem był fakt, że 1-sza Samodzielna Brygada Spadochronowa została oddana do dyspozycji Anglików, o czym zresztą nie poinformowano gen. Komorowskiego natychmiast. Nie zmienia to faktu, że przerzut całej brygady ze sprzętem i zapasami był całkowicie nierealny, z czego musiał sobie zdawać sprawę gen. Komorowski.

łoby to symbolicznie rzuty oddz[iałów] spadochronowych”.

(Rzeczywiście symboliczny pracownik ten wódz młodzieży i karierowicz<sup>58</sup>). Stan faktyczny w Jutrzence podaje depesza do Centrali L. 1308A z 18. VIII:

„Turski. Wczoraj start[owały] cztery pol[skie] na Las Kabacki. Wykonany jeden. Dwa zabłądziło i jeden wrócił — defekt. Istotny powód to zbyt niedoświadczone załogi i stare maszyny, które zwrócono po inspekcji.

Oba dyony bryt[yskie] z Foggia zostały definitywnie odwołane od zadań dla Polski. Mat[eriał] woj[enny] na 80 lotów ściągamy z Fogii do Bazy.

Pozostaje więc nasza eskadra i częściowo 148 dyon. Razem nie więcej niż 10 maszyn czynnych. Jakość załóg b. słaba. Można liczyć maksimum na 30 % wykonanych. Obecnie załogi pol[skie] nie nadają się do wykonania dokładnych lotów dla Warszawy — a tego wymaga ostatnie położenie w Warszawie. Ponawiam wnioski o przysłanie do Brindisi polskiego dyonu 300 na Lancaster i pięć do osiem dobrych załóg dla naszej eskadry. Uwaga: dyon 148 ma rozkaz latania poniżej linii Piotrków-Radom-Dęblin. Na dziś trzy pol[skie] na WIERSZE i pięć bryt[yskich] na JASTRZĄB (Kraków) i NIDA i NOTEĆ (Piotrków)”.

Dn. 18. VIII nadeszła dep[esza] Lawiny 1660-XXX-111:

„Dziś czuwają śródmiście i cały Kampinos. Kabaty spalone. Koncentracja npla. 1660”.

A tymczasem nasza rządowa propaganda obiecuje cuda — każdy mówca jest z NIMI całym sercem (w chwili gdy przemawia).

Z podsłuchu „... WARSZAWY Z POSIEWU KRWI BOJOWNIKÓW KONSPIRACJI I ŻOŁNIERZY PAŃSTWO POLSKIE BUDUJE SIĘ — LEGALNY RZĄD DZIAŁA — PREMIER MIKOŁAJCZYK ZAPOWIEDZIAŁ SWÓJ PRZYJAZD DO OSWOBODZONEJ STOLICY — ŻADNA MOC NIE ZDOŁA NARZUCIĆ NAM RZĄDU I USTROJU KTÓREGO NIE ZECHCE NARÓD — PREMIER MIKOŁAJCZYK STWIERDZIŁ, ŻE DO KIEROWANIA NARODEM POL-

---

58. Mjr dypl. M. Utnik był członkiem i jednym z założycieli tajnej organizacji oficerów (przeważnie młodych) w Sztapie Naczelnego Wodza w Londynie, chociaż organizacja sięgała poza teren Londynu i liczyła również szereg wyższych oficerów.

SKIM POWOŁANI SĄ CI, KTÓRZY PRZESZLI PIĘĆ LAT OKUPACJI NIEMIECKIEJ I ZBUDOWALI ARMİĘ I ADMINISTRACJĘ PODZIEMNĄ...”. Trochę na temat rozmów w Moskwie i jak zawsze „rząd działa” — a w rzeczywistości...<sup>59</sup> to zebranie ramoli i przeważnie nieuków skostniałych dosłownie nie robi nic. ....<sup>60</sup> — ale nic mu na pewno nie pomoże otaczająca go klika.

Dn. 19. VIII nadane zostały z Jutrzenki następujące depesze:

„L. 1324(290)-XXX-111. Na 1661 i 1665. Obecnie Jutrzenka może dysponować jedynie ok. cztery samoloty pol[skie] i sześć bryt[yjskich] z tym, że załogi są b[ardzo] słabe. Przyjaciele<sup>61</sup> ze względu na warunki nawigacyjne dla tych załóg i chęć wyminięcia rejonów dozorowanych przez myśliwców npla, zezwalają i dla załóg polskich na loty tylko do linii Piotrków-Dęblin. Mimo zakazu polskie załogi będą latać do Kampinosu i w miarę doszkalać się i do Warszawy ale możecie liczyć na wykonanych ok. dwa zrzuty danej nocy. Przedwczoraj było skierowane na Kabaty cztery pol. Wykonany tylko jeden. Reszta zbłądziła. Wczoraj na skierowanych dwa pol. na Kampinos i pięć bryt. na JASTRZĄB, NIDA i NOTEĆ wykonany jeden niepewny na czerwone światło w rej. Newa<sup>62</sup>”.

„L. 1312A. WARTA-XXX-222. Wczoraj start dwie pol. i pięć bryt. Wykonane prawdopodobnie — ZERO. Jedna pol. zrzuciła na czerwone światło z plac. Newa. Widoczność b[ardzo] słaba a załogi pol. i bryt. wprost ze szkoły — bez doświadczenia. Dziś zapowiedziane cztery pol. i pięć bryt. Anglicy dali zakaz lotu i dla polskich załóg powyżej linii Piotrków-Dęblin. Trzy załogi pol. kierujemy na Kampinos. Zapotrzebowanie Lawiny jak 1665 może być zrealizowane przez wysłanie osiemdziesiąt lotów wykonanych. Obecnie zadanie to dla Jutrzenki jest nierealne. Można, mimo zakazu bryt., wysłać dziennie przeciętnie cztery załogi pol., z tego wykonanych dwie. A więc trzeba by było czterdzieści dni operacyjnych. Skierujcie na Kampinos wasze wyprawy amerykańskie — jak wasza 749. Uwaga: dla lotników dziennych użyjcie spadochrony z opóźnieniem. Inaczej celność nieobliczalna”.

A WIĘC FINITA TRAGIKOMEDIA Z SYMBOLAMI I SKAKANIEM ZAŁÓG (TRZECH!). ZBRODNIA OKŁAMY-

59. W tym miejscu mocno wykreślono jakieś słowo, nie do odczytania.

60. W tym miejscu mocno wykreślono cały ustęp (ok. 5 słów), nie do odczytania.

61. Przyjaciele — kryptonim dla Anglików.

62. Newa — placówka 19 km na południowy wschód od Piotrkowa (Okreęg Łódź).



WANIA KRAJU I ZANIECHANIA WYSIŁKU ABY NA CZAS  
DAĆ POMOC DOPEŁNIŁA SIĘ Z CAŁĄ STRASZLIWOŚCIĄ.

O godz. 17.20 dn. 19. VIII operacja do Kraju (cztery pol[skie] i sześć bryt[yskich] odwołane ze względu na pogodę.

Dn. 20. VIII decyzja BAAF — 148 dyon wyłącznie dla zadań na Włochy. Załogi polskie na ochotnika mogą startować na Warszawę. Zarządzony start 1 Lila i 4 Hala na Warszawę.

Na depezę Hańczy, o chęci skierowania symbolicznych skoczków, Lawina odpowiedział:

„1668-XXX-111 z 19. VIII. — Pieniądzy i skoczków nie przysyłajcie. Dajcie w zamian broń i amunicję. Dziś czujemy jak wczoraj”.

Pod słuchana nast[ępująca] depeza:

„K[omendant] O[kręgu] Radom do K.S.A.K.<sup>63</sup> dn. 16. VIII, nr 35-XXX-999. Nakazałem koncentrację i marsz oddziałów okręgu do bitwy o Warszawę. Liczę na siły 4.000-5.000 uzbrojonych, które powinny osiągnąć linię Pilicy między Nowym Miastem a Białobrzegami w dn. 21. VIII rano. Mieczysław<sup>64</sup>”. (Czy aby na czas — J.J.).

Dn. 20. VIII dep[esza] Lawiny 1674-XXX-111:

„Od 16-17 [VIII] nie było zrzutów ani NA ani POD miastem. Nie motywujecie już dlaczego. PODZIWIAMY WASZĄ OBOJĘTNOŚĆ i angielską flegmę. Dziś czujemy jak wczoraj. Na HAMAK dajcie 3 AP4<sup>65</sup>. Przysłana rozbita przy zrzucie. Lawina 1674 — 20. VIII. 44”.

Pod słuch:

„1-XXX-999 — dn. 19. VIII. Duże nasilenie wojska w naszym terenie. Wielkie trudności koncentracji i marszu. Przewiduję duże trudności w marszu na płnc Pilicy — brak broni p[rzeciw]-panc[ernej]. Małe szanse dotarcia do Warszawy. Czy mam ogałacać teren z ludzi i broni i maszerować, czy zadanie to w tej sytuacji mnie nie dotyczy. Czy wysłać drobne oddziały? Odpowiedź alarmowa na nr 46 i 53. Mieczysław”. (Niestety i tam spóźnione — J.J.).

63. KSAK — powinno być KGAK (Komenda Główna Armii Krajowej).

64. Mieczysław — pseudonim płk. Jana Zientarskiego, dowódcy Okręgu Radom-Kielce.

65. AP4 — typ radiostacji.

Startowały 1 Lila — U, i 3 Hala — G, A i B. Cel zasadniczy — Warszawa, zapasowy — CHOCHLA lub WIERSZE. Komunikat ang[ielski] z 20. VIII (wyciągi):

*„American forces are closing in on PARIS, and are reported to be thrusting north and south of the city. Pilots of our aircraft flying over the city report big fires and explosions, which may mean that the Germans are preparing to get out. In the south of France, German opposition continues to be relatively light, and it is reported this morning that allied troops have reached a point 50 miles inland from the coast.*

*The Polish troops inside WARSAW are reported to be using their own radio, but reception so far in London has been difficult. British heavy bombers from Italy have been making a round trip of 1.750 miles to supply Polish troops fighting in WARSAW. 21 of our aircraft have been lost<sup>66</sup>”.*

Dn. 21. VIII startowało do Warszawy 3 Hala i na Hamak 1 Hala. Tegoż dnia nadeszła dep[esza] Turskiego nr 7064-VV-222, 21. VIII:

„Celem powiększenia możliwości przerzutowych: a) skierowanie do Was ostatnio 6 załóg, z których 4 z nawigatorami po pierwszej turze operacyjnej; b) wystąpiono o powiększenie etatu 1586 [flight] do pełnego dyonu, o przeniesienie dyonu 300, skierowanie do Was wszystkich szkolnych polskich załóg czterosilnikowych, o powrotny przydział do 1586 tych załóg, które ukończyły tam pierwszą turę operacyjną, wreszcie o zapewnienie należytego dopływu do was samolotów. Turski 7064 — 20. VIII. 44”.

**A WIĘC TO O CO PROSIŁ SOPJA, ALE Z TRZYMIEŚIĘCZNYM OPÓŹNIENIEM. TO NIE JEST DOPUSZCZALNE — WARSZAWA JEST W 21 DNIU WALKI NIE W 1-SZYM.**

Dn. 22. VIII startowało na Kampinos 2 Hala. (PEŁNY WYSIŁEK 1586). Dn. 22. VIII wieczorem nadeszła nast[ępująca] depesza Lawiny:

---

66. Wojska amerykańskie zbliżają się do Paryża i jest podawane, że nacierają na północ i południe od miasta. Piloci naszych samolotów, którzy latają nad miastem, meldują o dużych pożarach i wybuchach, co może oznaczać, że Niemcy przygotowują się do wycofania. W południowej Francji opór niemiecki jest wciąż względnie słaby i dzisiaj rano meldowano, że żołnierze aliancy dotarli do punktu 50 mil w głąb kraju od morza.

Meldowano, że polscy żołnierze w Warszawie używają własnego radia, ale dotychczas odbiór w Londynie jest trudny. Brytyjskie ciężkie bombowce wykonują podróż 1.750 mil z Włoch, aby zaopatrzyć polskich żołnierzy walczących w Warszawie. Straciliśmy 21 samolotów.

„1688-XXX-111. Położenie na Starym Mieście groźne. Uratować je mogą natychmiastowe większe rzuty na KAMPINOS, skąd zaopatrujemy Stare Miasto i Zoliborz. Lawina 1688 — 22. VIII [44], godz. 15.00”.

Sopja polecił przedstawić tę depezę Rankinowi, aby uzyskać pomoc 148 Dyonu przy pomocy Rankina.

Dn. 23. VIII wynik operacji — wykonany JEDEN na 70<sup>67</sup>. Drugi zawrócił. Na dziś z polskiej eskadry — DWA. Ok. godz. 12.00 Rankin poda, czy jest zgoda na 6 (samolotów — A.S.) z dyonu 148. Przybyło trzy młode załogi. Ale brak samolotów. Na skutek zaniedbania w przysłaniu załóg oddawaliśmy samoloty — teraz w 23 dniu walki w Warszawie Hańcza konferuje bezskutecznie o przydział samolotów.



Na tym kończy się maszynopis dziennika czynności mjr. Jaźwińskiego. Już własnoręcznie dopisał ostatni zapis:

„Dnia 23. VIII. 44 r. ppłk Hańcza — d-ca Elby — przesłał do wiadomości Sopji rozkaz Nacz[elnego] Wodza za nr. O[ddziału] Spec[jalnego] L. 6396 z 16. VIII. 44 o zwolnieniu Sopji ze stanowiska d-cy Bazy Nr 11, które to stanowisko obejmie ppłk Hańcza.  
23. VIII. 44 — J. Jaźwiński mjr”.

*Andrzej SUCHCITZ*

---

67. 702 — Hamak, Okręg Warszawa.

# POLEMIKI O PREHISTORII

Zbigniew GOŁĄB

## LIST OTWARTY

List otwarty do Redakcji *Kultury* w sprawie artykułu Jerzego Horzelskiego „Przygodne uwagi o mowie. O Wandach, Krakach i Lachach”, *Kultura* Nr 7/478, Paryż 1987, str. 172-183.

Czytając cierpliwie rozważania p. Jerzego Horzelskiego na temat prehistorii Słowian i Polaków zamieszczane w *Kulturze*, już od pewnego czasu miałem zamiar zabrać głos w tej sprawie. Ostatni jednak artykuł, wymieniony w tytule tego listu, dopełnił miary mej cierpliwości i pozwalałam sobie wypowiedzieć szereg uwag krytycznych, gdyż uważam, że tak poważne pismo jak *Kultura* w dziale „Kronika kulturalna” powinno informować czytelników rzetelnie o obecnym stanie naszej wiedzy prehistorycznej i językoznawczej, a nie tolerować fantazji, dopuszczalnych może jeszcze na początku minionego wieku. Głos zabiorę przede wszystkim jako językoznawca sławista, który od wielu lat zajmuje się problemem pochodzenia Słowian. Naprzód jednak kilka uwag metodologicznych. Ograniczam się do ostatniego artykułu.

Dwie są gałęzie nauki, przy pomocy których można naświetlić prehistorię jakiejś grupy etniczno-językowej: prehistoria (lub prahistoria, jak mówią dziś w Kraju) i językoznawstwo porównawczo-historyczne. Pierwsza jest w stanie na podstawie wykopisk przedstawić nam zrekonstruowaną kulturę materialną da-

nego rejonu czy ludu przedhistorycznego, hipotetyzując do pewnego stopnia na temat jego struktury społecznej, wierzeń i praktyk religijnych. Druga, o wiele skuteczniejsza w tym zakresie, ustala stosunki pokrewieństwa językowego pomiędzy poszczególnymi grupami etniczno-językowymi, czyli rzuca światło na ich pochodzenie, rekonstruuje wspólne słownictwo danej rodziny językowej, co pozwala do pewnego stopnia odtworzyć obraz ustroju społecznego, religii i ekonomii; w końcu, etymologizując nazwy topograficzne, a zwłaszcza hydrograficzne, danego rejonu, jest w stanie orzekać o jego pierwotnym czy prastarym charakterze etniczno-językowym. Jak z tego widać, decydujący głos w naszej problematyce ma językoznawstwo.

Zapytajmy się, jak z tego punktu widzenia przedstawia się artykuł pana Horzelskiego. Otóż trzeba powiedzieć szczerze i prosto: beznadziejnie.

Po pierwsze jego hipoteza (oczywiście przedstawiona jako rzecz pewna) o przedhistorycznej wspólnocie słowiańsko-celtyckiej jest urojeniem i spuścizną przednaukowych spekulacji wieku dziewiętnastego (por. Jan Czekanowski: *Wstęp do historii Słowian*, wyd. II, 1957, str. 291-295). Lingwistycznie nic jej nie popierało poza pięcioma wyrazami słowiańskimi podejrzanymi niegdyś o pochodzenie celtyckie (np. *stuga*), ale dziś odrzucanymi. Podobnie niektóre nazwy rzeczne na terenie Polski, dawniej podejrzwane o pochodzenie celtyckie (np. *Nida*), dziś są raczej interpretowane jako „staroeuropejskie”, tj. reprezentujące najdawniejszą warstwę nazw wodnych indoeuropejskich, przyniesioną na te tereny przez pierwsze grupy ludności praindoeuropejskiej w zamierzchłej starożytności, kiedy jeszcze nie było zróżnicowania językowego na znane z wczesnohistorycznych czasów grupy Celtów, Germanów, Bałtów, Słowian itd. Zaznaczam, że w tym zakresie mamy imponujące prace uczonych polskich i innych słowiańskich i niesłowiańskich, w których można te rzeczy sprawdzić.

Szczerze mówiąc ogarnęło mnie wprost przerażenie, że pod koniec dwudziestego wieku, kiedy wiedza etymologiczna w zakresie języków indoeuropejskich i słowiańskich stanęła na bardzo wysokim poziomie, kiedy rozporządzamy solidnymi słownikami etymologicznymi i studiami monograficznymi — pan Jerzy Horzelski beztrąsko sobie roi etymologie w typie słynnego ks. Wojciecha Dębołęckiego z pierwszej połowy XVII wieku, nie licząc się zupełnie ze stanem nauki.

Żeby nie być gołosłownym, zatrzymam się nad wybranymi przykładami.

Zacnę od etymologii *Wawelu*, bo jest to niemal wyraz — symbol. To, co o tej nazwie pisze Horzelski, zakrawa na językoznawczy dowcip. Przecież wystarczyłoby zaglądnąć do słownika etymologicznego Brücknera, żeby się po pierwsze przekonać, jaka była pierwotna oryginalna forma tej nazwy i znaleźć próbę ety-

mologii językoznawczo uzasadnionej, nie mówiąc już o monograficznych artykułach Kazimierza Nitscha i Witolda Taszyckiego. Te fakty nie istnieją dla pana Horzelskiego. Nic nie znaczy dla niego, że jeszcze w pierwszej połowie XVII wieku krakowianin Sebastian Petrycy używa pierwotnej formy *Wąwel* (gen. byłby *Wąwla*, loc. *na Wąwlu*), która jest decydująca dla etymologii, ale beztrzesko i naiwnie kojarzy sobie *Wawel* poprzez cerkiewno-słowiańskie *Babel* (*sic!*) z babilońską wieżą *Babel* (wszystko rzekomo od indoeurop. pierwiastka *bhel* — „wzgórze”, który nie istnieje). Są to, łagodnie mówiąc, igraszki albo żarty etymologiczne. *Wąwel* (*Wawel* w pisowni dokumentów łacińskich zwykle nie znaczących nosówki *q*) jest oczywistym złożeniem prefiksu *wą-* „wewnątrz” jak *wą-dół*, *wą-wóz*, *wą-tek* itp. z członem drugim *-wel* reprezentującym rzeczownik pierwiastkowy zawierający ten sam pierwiastek co stpol. *wał* „fala”, *welna* „fala” i staro-cerk. słów. czasownik *vûlati sę* „huścić się na talach”, *fluctibus agitari*. Znaczenie zatem złożenia *wą-wel* byłoby, jeśli się zgodzimy, że czasownik *vûlati* znaczył zasadniczo „falować, wypuklać się i kłęsnąć” — „wkłęśnięcie”, w wypadku skały wawelskiej „skała z charakterystycznym wkłęśnięciem” (rzeczywiście od strony Wisły przy wejściu do Smocznej Jamy jest wyraźne wkłęśnięcie). Warto dodać, że na terenie Polski istnieją nazwy podobne, przede wszystkim *Wąwelno* i *Wąwelnica*. Tyle o Wawelu.

Z Wawelem związana jest Wanda. W wielkopolskiej wersji legendy o niej (ale nie u Kadłubka) jest mowa o jej śmierci w rzece, w Wiśle. Sądzę, że to słusznie zasugerowało skojarzenie jej imienia z litewską nazwą wody *vanduo*, której *Wanda*, utrwalona w formie i pisowni staropolskiej, dokładnie odpowiada (lit. *vanduo* — prasłow. *voda* — stpol. *wanda*). Byłby to derywat od praindoeurop. nazwy wody rekonstruowanej *uodôr//uodôn*, por. m.in. ang. *water*, goc. *watô*, gen. *watins*, i dalej łac. *unda*, z tym że w bałtyckim, a może i dialektycznie w prasłowiańskim (przecież te dwa dialekty indoeuropejskie są ze sobą bardzo blisko spokrewnione) mamy antycypację spółgłoski nosowej z sufiksu, a więc *uondô/n*). W dalsze szczegóły słowotwórcze nie wchodzić. W każdym razie imię *Wanda* znaczyłoby „wodna” i według mnie mogło być pierwotnie imieniem (własnym?) jakiejś bogini wodnej czczonej wśród Wiślan. Fantazje Horzelskiego, według której *Wan-da* to złożenie indoeur. \**Wan-* (*sic!*) „jasny, biały” z *-da*, żeńskim odpowiednikiem członu *-dan* w imieniu *Bog-dan*, nie zasługuje nawet na dyskusję.

Trzeci i ostatni przykład to imię *Lech*, znów niemal symbol narodowy. Tu już autor jest bliższy prawdy, choć wykazuje kompletny brak zrozumienia dla mechanizmu słowotwórczego, na jakim oparte są słowiańskie imiona osobowe. Mianowicie, imię *Lech* nie jest „skrótem dwóch różnych przymiotników” (jak pisze autor): *lestny* „piękny” i *leścny* „podstępny”. Nie wiem, na jakiej podstawie Horzelski rozróżnia takie dwa przymiotniki i z jakiego

języka słowiańskiego je cytuje. Otóż w języku staro-cerk.-słow. mamy podstawowy rzeczownik *lišti* „oszustwo, chytrość”, łac. *fraus, dolus* i szereg jego derywatywów, między innymi przymiotnik *lištinŭ* „podstępny, chytry”. Istnieje więc tylko jeden przymiotnik! Jediną regularną formą, którą mógł mieć stpol. odpowiednik tego przymiotnika byłoby *les/t/ny*. Forma *leščny* jest w polskim niemożliwa. Imię jednak *Lech* nie pochodzi od tego przymiotnika. Jest ono niewątpliwie typowym przedhistorycznym spieszczeniem według wzoru *Stanisław — Stanko/Stanek — Stach*, a więc najprawdopodobniej *Lścistaw (Lĭstislavŭ) — Lestko/Lestek — Lech*.

Na tym zakończyłbym swoje uwagi etymologiczne. Nie mogę jednak nie wspomnieć jeszcze przynajmniej jednej rzeczy, fatalnego pomieszania faktów historycznych dotyczących św. Cyryla (w świeckim życiu Konstantyna) i Metodego, i ich roli w utworzeniu alfabetów starsłowiańskich. Przecież to można sprawdzić na pierwszych stronach każdego uniwersyteckiego podręcznika języka staro-cerkiewno-słowiańskiego.

Z poważaniem

Zbigniew GOŁĄB  
profesor językoznawstwa słowiańskiego  
The University of Chicago

---

J. P. HORZELSKI

## ODPOWIEDŹ NA LIST OTWARTY

Szanowny Panie Redaktorze,

List prof. Gołęba w pierwszym rzędzie wywołał u mnie zdziwienie. Pisze on bardzo kosztownie o moich „rojeniach” z zakresu prehistorii i „fantazjach” etymologicznych i zarzuca brak wskazówek referencyjnych, choć na takie przypisy oczywiście nie byłoby miejsca w *Kulturze*, a prof. Gołąb jako niewątpliwie obeznany z tematem jaki poruszam w moim eseju mógł chyba bez trudu zauważyć, że w sprawie migracji plemion pra-słowiańskich (i pra-celtyckich) opieram się głównie na danych z prac M. Gambutas (1956 i częściowo 1971) i F. Dvornika (1956), którzy oboje zajmują stanowiska profesorskie na uniwersytetach amerykańskich, a więc są niejako „sąsiadami” prof. Gołęba, niewątpliwie doskonale z ich pracami zaznajomionego. Poza tym w spra-

wie migracji pra-Celtów korzystałem z pracy H. Huberta (1934) uzupełnionej po śmierci autora przez pp. M. Maur, R. Lautier i J. Marx.

Opisy wydarzeń w moim eseju nie są „przedstawione jako rzecz pewna”, ale wyraźnie podkreślam, że jest to próba zestawienia wydarzeń zachowanych w pamięci plemiennej jako podania ze znanymi skądinąd (tj. z archeologii, antropologii, relacji starożytnych autorów itd.) stwierdzeniami uznawanymi ogólnie za rzetelne opisy faktów.

Prof. Gołąb przypuszcza, że korzystałem, czy też jestem pod wpływem cerkiewno-słowiańskiej kroniki Nestora. Tak nie jest. Kronika ta, jak i jej język, odnosi się prawie wyłącznie do wschodnich plemion słowiańskich, zaś mój esej dotyczy w istocie plemion zachodniosłowiańskich, tj. Prawiślan i Chorwatów. Tylko przelotnie w zakończeniu piszę o Wenetach, Lechitach i Polanach i w jednym ustępie wspominam o Nestorze. Język cerkiewno-słowiański naturalnie znam, a choć egzamin z jego znajomości wraz ze znajomością gramatyki, frazeologii i obu systemów pisma (głagolica i cyrylica) zdawałem u prof. Słońskiego niemal dokładnie (co do miesiąca) 58 lat temu, to wiadomości wtedy zebrane bynajmniej nie są jeszcze przestarzałe i tylko w szczegółach uzupełniały je dane z nowszych prac np. R. Jacobsona, J. Kuryłowicza, F. H. H. Kortladta, H. G. Lunta, czy H. Goldblatta (*nota bene* dwaj ostatni również „sąsiedzi” prof. Gołąba, jeden z Harvard, drugi z Yale).

Wśród wybranych przykładów „beznadziejnej” etymologii prof. Gołąb kwestionuje wywód nazwy Wawel. To prawda, że w okresie „szału” polszczenia języka w XVII wieku Patrycy z Pilzna (profesor Akademii Krakowskiej) wprowadził pisownię *Wąwel* (powtórzoną później przez W. Potockiego i sławetnego Wespazjana Kochowskiego w ich utworach wierszowanych) uważając, że takie zbliżenie owego wyrazu do rzeczowników „wąwóz” i „wądół” uczyni go bardziej polskim niż cudzoziemsko brzmiący wyraz „wawel”. Ale pamiętamy też, że upodobania Patrycego skłaniały go do usiłowań wprowadzenia mnóstwa „spolszczonych” wyrazów, jak np. małochwyta, lapożonny, wszystkożry, dwójmorski, winomiot i wiele innych, między którymi zaplątał się także i Wąwel.

Nazwę Wawelu zapisywali historycy greccy (np. Ptolemeusz) w formie Babel, ale wielu jego współczesnych wymawiało ten wyraz Wawel. Gdyby ówczesnie nazwa ta oryginalnie brzmiała Wąwel, to Grecy zapisaliby ją jak „Bonbel”. Ta rozbieżność pisowni z wymową była reliktem dawnego stanu w dialektach indoeuropejskich, gdzie fonemy B i W nie były różnicowane, tj. miały wspólną wymowę. Stąd przy dalszym rozwoju języka pozostały przez pewien okres wymienne, jak np. w sanskrycie. (Takich wymiennych fonemów, różniczkowanych w rozmaitych okresach rozwoju języka znamy więcej, jak np. starsze pary L-R



i M-N). Chaldejski Babilon wymawiano również Wawilon, tak samo jak egipski Babel — Wawel. Wyraz ten wywodzi się od IE *bhel-*, *bher-*, mimo twierdzenia, że taki morfem nie istnieje. W pewnym sensie żaden z wyrazów pra-indoeuropejskich nie „istnieje”, bo nigdy i nigdzie nie były one zapisane. Są one rekonstruowane drogą mozolnych analiz leksemów i fonetyk języków pochodzenia indoeuropejskiego. Autorzy i materiały tych analiz są zbyt liczne, aby je wycisnąć w tym miejscu. Do moich esejów korzystałem m.in. z prac Mario Pei, E. Benveniste, A. Meillet, R. Anttila, J. Rosenman.

Prof. Gołąb ma również pretensję o „mój” wywód wyrazu Lech, o którym pisze, że jest to „niemal symbol narodowy”. Zamiast dłuższych wyjaśnień proponuję, aby prof. Gołąb zajrzał do słownika etymologicznego F. Sławskiego (1970) tom IV, str. 17-18 i 171 (hasła Lach, Lech i leśny, leśny), a może także do Słownika Staropolskiego (PAU 1963) tom IV, str. 23. Oba te dzieła uśmiechają się do mnie porozumiewawczo, stojąc na półce obok mojego biurka, gdy piszę te słowa.

Dodam jeszcze sprawę imienia Wanda, które Brückner uważa za wymyślone przez Kadłubka.

Prof. Gołąb proponuje wywód od litewskiego *vanduo* — woda. Ale dlaczego od litewskiego, a nie od sanskrytu *udan*, *udanya*, albo wprost od IE *\*ued-*? Choć taki wywód wymagałby niemałej ekwilibrystyki etymologicznej, to jednak mógłby być bardziej uzasadniony, bowiem zróżnicowanie (językowe) wspólnoty słowiańsko-bałtyckiej nastąpiło najwcześniej w VII wieku po Chr., to jest chyba o tysiącletnie po okresie Wandy. Nie mówiąc już o tym, że plemiona słowiańskie wyodrębnione ze wspólnoty bałtycko-słowiańskiej należą do plemion pra- czy proto-polskich północnych i wschodnich, podczas gdy Wanda należy do południowo zachodnich proto-Wiślan.

U nas imię Wanda uważane jest za rdzennie polskie, a równocześnie u Celtów za rdzennie celtyckie. Do dziś imię to jest spotykane w Walii (i innych krajach celtyckich) nie mniej chyba często niż w Polsce. Celtowie wywodzą to imię od morfemu *Gwen*, IE *\*ven-*, *van-* (biały, jasny). W pra-indoeuropejskim pantheonie *Vanda-na* to imię bogini (jednej z licznych postaci Wielkiej Białej Bogini) działającej w stałej asyście dwóch rycerzybliźniaków, synów boga Słońca, z których każdy nosi to samo imię *Aśvin*.

Na zakończenie chcę dodać, że język pra-celtycki i współczesne mu dialekty proto-słowiańskie były niewątpliwie zbliżone dźwiękowo i znaczeniowo nie mniej niż dziś są np. języki polski i słowacki, albo walijski i bretoński. Użytkownicy tych języków, mówiąc każdy swoim, mogą się bez większego trudu porozumieć w szerokim zakresie tematów. Dialekty proto-słowiańskie i pra-celtyckie były na terenie i w okresie wydarzeń zachowanych

w podaniach o Wandzie i Kraku dopiero w początkowym stadium różniczkowania z jakiegoś hipotetycznego języka pra-słowiańsko-celtyckiego. To zagadnienie może doczeka się wyjaśnienia. O ile wiem, wstępne prace są już tu i ówdzie prowadzone dla przygotowania procesu rekonstruowania morfemów i gramatyki tego języka taką samą metodą, jaką rekonstruowany był język pra-indoeuropejski.

*J. P. HORZELSKI*

## DOKUMENTY

### JAK MONTOWANO RZĄD JEDNOŚCI NARODOWEJ W MOSKWIE W 1945 ROKU

POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA

Komitet Centralny

Tel. 21-04

ODPIS

WYDZIAŁ: ZAKŁAD HISTORII PARTII

L. dz. K. Wsp/53/295/62

Warszawa, dnia 16 października 1962 r.  
ul. Nowy Świat 6/12

Towarzysz Antoni Kołodziej

Szanowny Towarzyszu!

Zakład Historii Partii przy KC PZPR uprzejmie prosi o przybycie na spotkanie b. członków organizacji „Jedność i Czyn” w Londynie. Celem spotkania jest zebranie wspomnień o działalności organizacji „Jedność i Czyn”.

Spotkanie odbędzie się 29 października 1962 r. (poniedziałek) o godz. 9.30 w gmachu Zakładu przy ul. Górnośląskiej 18/20 pok. 183.

Wykaz zagadnień proponowanych do omówienia na spotkaniu w załączeniu.

Jednocześnie informujemy, że w Czytelni Zakładu Historii Partii można zapoznać się z materiałami dotyczącymi powyższej problematyki.

Zastępca Dyrektora  
Zakładu Historii Partii przy KC PZPR  
Józef KOWAŁSKI

WYKAZ ZAGADNIENŃ PROPONOWANYCH DO OMÓWIENIA  
NA SPOTKANIU B. CZŁONKÓW ORGANIZACJI „JEDNOŚĆ I CZYN”

1. Powstanie organizacji „Jedność i Czyn”. Ludzie, poglądy, program. Stosunki z komunistami angielskimi i Kominternem w okresie do napaści Niemiec na ZSRR i w czasie wojny radziecko-niemieckiej.
2. Oddziaływanie organizacji „Jedność i Czyn” na inne organizacje: Dąbrowszczacy, Związek Marynarzy, Polska Rada Jedności Demokratycznej, Polski Związek Postępowy, Zjednoczenie Polskie, Komitet Słowiański, wojsko (charakterystyki tych organizacji).
3. Kontakty z KPP w ZSRR, postępową emigracją w USA i Francji oraz na Bliskim Wschodzie. Kontakty z krajem, czy były więzi z PPR, jak reagowano na powstanie KRN.
4. Działalność „Jedności i Czynu” po powstaniu PKWN. Sprawa powrotu do kraju Polaków i floty.

RELACJA ANTONIEGO KOŁODZIEJA  
NAGRANA W ZHP W DN. 15. IX. 1961 R.

W 1943 roku nastąpiło zerwanie stosunków rządu londyńskiego ze Związkiem Radzieckim. Reakcja, która uplasowała się w rządzie londyńskim czyniła wszystko, aby do zerwania stosunków doprowadzić, wbrew temu co zakładał gen. Sikorski jako premier rządu emigracyjnego.

Okres ten zbiegł się z początkiem zwycięskiej ofensywy Armii Czerwonej na froncie wschodnim, co zapoczątkowało rozbięcie wojsk hitlerowskich.

Sam fakt zerwania stosunków polsko-radzieckich przez rząd londyński oraz wyraźne wykrystalizowanie się sił reakcyjnych w ówczesnych ośrodkach decydujących na terenie Wielkiej Brytanii, a w szczególności w Londynie, wywołał niewątpliwie pewien przymus nad potrzebą zastanowienia się przez niektórych członków rządu emigracyjnego, z ramienia Komitetu Zagranicznego PPS, mianowicie towarzysza ministra Stańczyka i ministra Grosfelda.

Była to grupa ludzi, która w naszym pojęciu, według oceny w naszych kołach PPR-owskich na terenie Wielkiej Brytanii, robiła nam pewne nadzieje, że będzie można z nimi rozmawiać i spróbować stworzyć jednolity front na terenie brytyjskim.

Do grupy tej należał również znany działacz społeczny i polityczny z przedwojennego terenu Lwowa, Jan Szczyrek.

Po uchwałach egzekutywy Polskiej Partii Robotniczej w Londynie aby spróbować nawiązać kontakt z tą grupą, wydelegowano mnie abym przeprowadził rozmowy z tą grupą, co bez trudu

udało mi się. Nawiązałem tego rodzaju rozmowy z tow. Stańczykiem, Grosfeldem i Janem Szczyrkiem. Rozmowy te miały miejsce i w prywatnych mieszkaniach, i na terenie klubów istniejących w polskich ośrodkach.

Muszę powiedzieć, że u Grosfelda i Stańczyka odczuwało się chęć odgroźnienia się od polityki uprawianej przez reakcyjny rząd emigracyjny. Czuło się u nich również pewne wahania. Były to wahania tego rodzaju czy można będzie znaleźć dla nich wspólny język z nowymi siłami postępowymi i rewolucyjnymi w kraju, które już w dużym stopniu okrzepły, a które były reprezentowane na terenie brytyjskim przez kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej. W kraju były one reprezentowane przez stronnictwa polityczne, które wyraźnie określały swój stosunek do programu PKWN.

Nasze próby stworzenia porozumienia z grupą tych towarzyszy — Grosfeldem, Stańczykiem i Szczyrkiem, jak podkreślaliśmy opierały się na platformie PKWN. Towarzysze ci jednak nie zajęli stanowiska, były u nich wahania, o których już wspominałem.

Polska Partia Robotnicza na terenie brytyjskim miała już poza sobą etap przełamania monopolu emigracji londyńskiej z okresu wojny na reprezentowanie tzw. opinii polskiej.

W latach 1940-1941 ośrodki rządu londyńskiego mocno podkreślały i akcentowały, że społeczeństwo polskie na emigracji, ludność cywilna, wojsko, marynarka handlowa jest jednolite i zdecydowanie opowiada się za programem rządu londyńskiego i rzeczywiście miało to miejsce. Grupa towarzyszy skoncentrowana wokół organizacji „Jedność i Czyn”, która w późniejszym okresie po porozumieniu się z kierownictwem PPR w kraju przekształciła się w PPR na terenie brytyjskim. W początkowym okresie, tak długo jak rząd Sikorskiego dość wyraźnie znamionował o ścisły sojusz z ZSRR — odnosiła się z aprobatą do tej linii, kiedy nastąpiło zerwanie, postanowiłem wyjść z jakimś własnym programem — celem przełamania rzekomo jednolitego frontu opinii publicznej, popierającej najprzeróżniejsze ekscesy polityczne Sosnkowskiego, Raczkiewicza, Kwapińskiego i innych członków rządu londyńskiego.

W tej sytuacji kierownictwo, egzekutywa PPR na terenie Wielkiej Brytanii postanowiła powołać organizację polityczną. Organizację taką powołaliśmy do życia i nadaliśmy jej nazwę „Zjednoczenie Polskie”. Początkowo w skład „Zjednoczenia Polskiego” wchodziło szereg przedstawicieli reprezentujących różne organizacje postępowe na terenie brytyjskim.

Mieliśmy oparcie w organizacji Związek Dąbrowszczaków,

który liczył ok. 100 członków — część była w armii, a część pracowała w przemyśle brytyjskim.

Mieliśmy również oparcie w Związku Marynarzy, który delikatnie mówiąc został przejęty spod wpływów kierownictwa Komitetu Zagranicznego PPS w Londynie. Tutaj nasze siły PPR-owskie były zdecydowanie silne, mocne i o ogromnym autorytecie i dużych wpływach na tej stosunkowo szerokiej bazie uczciwie pracującej grupy cywilnej na terenie brytyjskim.

Były tam i inne organizacje, jak Komitet Słowiański. Na ich bazie powstało Zjednoczenie Polskie, które miało na celu propagowanie programów, które w owym czasie docierały do nas, a które reprezentowane były przez Związek Patriotów Polskich w ZSRR, a w kraju przez PPR oraz współpracujące z nim stronnictwa polityczne.

Organizacja Zjednoczenie Polskie z biegiem czasu rozrosła się do stosunkowo poważnych rozmiarów mimo wręcz niesprzyjających okoliczności. Władze brytyjskie nie sprzyjały powstawaniu organizacji politycznych o wyraźnym postępowym obliczu politycznym. Emigracyjny rząd polski czynił również wszystko, aby w początkowym okresie w ogóle obchodzić milczeniem to wydarzenie, a w okresie późniejszym uciekał się do najbrudniejszych oszczerstw i szkalowania. Mimo tych wszystkich trudności Zjednoczenie Polskie pod koniec wojny liczyło ok. 1.000 członków.

Zjednoczenie to zajęło się docieraniem do ośrodków brytyjskich, do informowania opinii brytyjskiej poprzez wykorzystywanie naszych możliwości, jakie mieliśmy w niektórych czasopismach brytyjskich *Renolds News*, *Manchester Guardian*, *New Statesman*. Oczywiście z reguły *Daily Worker* chętnie zamieszczał nasze informacje. Informowały one opinię publiczną w Wielkiej Brytanii, że nie wszystko jest tak dobrze, jak mówią panowie Sosnkowscy czy Raczkiewicz i że istnieje dość liczna grupa Polaków na terenie brytyjskim, którzy inaczej myślą.

Stan taki zastał nas w końcu 1944 roku, kiedy to ofensywa zwycięskiej Armii Radzieckiej w sposób zdecydowany rozprawiała się z hordami hitlerowskimi na froncie.

W tym okresie odbyła się konferencja w Jałcie, na której uzgodniono sprawę powołania Rządu Jedności Narodowej w Polsce. Wybrać ten rząd mieli przedstawiciele reprezentujący opinię publiczną w kraju, a także na emigracji.

Ze względów politycznych, mając na uwadze najprzeróżniejsze skłócenie pojęć, jakie nurtowały społeczeństwo polskie na terenie brytyjskim, chcieliśmy wykazać szerokiej rzeszy emigracyjnej, jakie stanowisko zajmuje PPR, jak ma widzieć rozwój sytuacji.

Na egzekutywie kierownictwa PPR na terenie brytyjskim, w pierwszych dniach stycznia 1945 roku zapadła uchwała, aby Zarząd Polskiego Związku Marynarzy w Londynie podjął uchwałę o uznaniu Rządu Tymczasowego w kraju. (Byłem przez okres 4-ch lat sekretarzem tego związku i członkiem egzekutywy PPR na teren Wielkiej Brytanii). Przez cały czas wojny związek nasz był afiliowanym przez International Transport Federation — znaną Międzynarodówką Amsterdamską. W okresie przedwojennym również byliśmy afiliowani przy tej Międzynarodówce, gdyż tak długo jak sekretarzem generalnym był Ideofimen, chociaż na zewnątrz reprezentowała tendencje lewicowe. Mówi o tym i ten fakt, że w 1919 roku Ideofimen wydał odezwę wzywającą do-kerów wszystkich państw europejskich do sabotowania wysyłania statków z amunicją przeciwko ZSRR.

Niestety kierownictwo International Transport Federation w czasie drugiej wojny światowej było opanowane przez elementy skrajnie prawicowe w ruchu robotniczym na terenie międzynarodowym. Generalnym sekretarzem Federacji był słynny Oldenbruck, którego ostatnio sami musieli usunąć.

Jak powiedziałem, zapadła uchwała egzekutywy PPR o potrzebie uznania Rządu Tymczasowego w kraju. 17 stycznia 1945 roku na posiedzeniu Związku Marynarzy Polskich zreferowałem sytuację. Jednogłośnie postanowiliśmy na tym posiedzeniu uznać Rząd Tymczasowy w Polsce.

Na dużym wiecu zorganizowanym w Kingswayhall, gdzie zebrała się duża część postępowych Polaków z terenu Londynu oraz Anglicy — zakomunikowaliśmy o naszej decyzji. Wywołała ona ogromny entuzjizm sali. Niezależnie od tego poszły komunikaty do BBGC i do agencji prasowych. Rzecz jasna wywołało to ogromne wrażenie w kołach i ośrodkach rządu emigracyjnego w Wielkiej Brytanii.

Następnie miały miejsce inne wydarzenia. Mianowicie od dłuższego czasu była silnie akcentowana i forsowana koncepcja powołania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Na marginesie tej wielkiej koncepcji powstała również koncepcja powołania do życia Światowej Federacji Związków Zawodowych. Na konferencję tę przysłano mi mandat z kraju, abym reprezentował polski ruch zawodowy na terenach wyzwolonych, a także ruch zawodowy z terenu emigracyjnego.

Kombinacje rządu londyńskiego i ośrodka Komitetu Zagranicznego PPS w porozumieniu z International Transport Federation oraz Trade Unionami brytyjskimi doprowadziły do wręczenia mandatu Stańczykowi, który stwierdzał, że jest on jedynym re-

prezentantem polskiego ruchu zawodowego w czasie wojny i jest upoważniony do brania udziału w tych konferencjach.

Mając w rękach mandat z kraju, nie mogłem zgodzić się z takim postawieniem sprawy. Moje osobiste rozmowy ze Stańczykiem nie zostały uwieńczone żadnym powodzeniem, gdyż on również nie chciał zrezygnować z mandatu.

Nawiązałem kontakt z tow. Toledano i towarzyszymi radzieckimi. Nawiązałem również kontakt z sekretarzem silnego związku postępowego strażaków w Wielkiej Brytanii, Faibrigera (był to silny i duży związek, którego przewodniczącym był Guray). W wyniku nawiązanych kontaktów doprowadziliśmy do tego, że Stańczyk zrzekł się mandatu i został pozbawiony prawa głosu. Mandatu jednak nie przyznano i mnie i dlatego zostaliśmy zaproszeni w charakterze obserwatorów.

Po uznaniu Rządu Tymczasowego w kraju przez Związek Marynarzy byliśmy pod silnym i zaciepłym ostrzałem i atakami ze strony wszystkich ośrodków rządu londyńskiego.

Na I Światowym Kongresie Związków Zawodowych zapadły decyzje, że po zakończeniu wojny ruch zawodowy zostanie zorganizowany w skali światowej. Dobiegały końca sprawy zorganizowania Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wiadomo jest, że Mołotow przez kilka dobrych tygodni był w San Francisco i wraz ze swymi doradcami brał udział w pracach nad wykrystalizowaniem się ostatecznych postaw organizacyjnych dla przyszłej wielkiej organizacji międzynarodowej, jaką miała być Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Dzięki temu, że docierały do nas do Londynu pewne wiadomości, kierownictwu partii było wiadomym, że Mołotow stacza usilne boje, aby zrealizować uchwałę jałtańską.

Rozmowy i walki te trwały ok. 3 miesiące. Wiem o nich również i z publikacji, niezależnie od rozmów jakie miałem z tow. Litauerem w Londynie. Najlepiej poinformowanym tygodnikiem o różnych faktach i plotkach z terenu polityki zagranicznej był *Times* i z niego dowiedziałem się, że Mołotow żąda kategorycznie, abym obok Stańczyka i Mikołajczyka wziął udział w konsultacjach moskiewskich. Na tym jednak wszystko jak gdyby skończyło się.

Chyba 14 czerwca zadzwonił do mnie do Związku Marynarzy Litauer i powiedział, abym się przygotował, gdyż kończy się ostatnia faza rozmów na temat zaproszenia mnie do udziału w tych konsultacjach. Powiedział mi wówczas: „Panie Kołodziej, kiedy będzie pan jechał, a pojedzie pan na pewno, proszę mnie wziąć do siebie jako sekretarza. Jeżeli Mikołajczyk wziął hrabiego



Drohojewskiego, to towarzysz Kołodziej może sobie wziąć dziennikarza — liberała Litaeura. Ja jeszcze do pana zadzwonię”.

Upłynęły dwa dni, Litauer w piątek zadzwonił do mego biura i powiada: „Nic z tego, obaj nie pojedziemy, gdyż coś tam inaczej wychodzi”. W sobotę po przyjściu do domu z pracy, gospodyni — Angielka — powiedziała, że było u mnie dwóch panów, którzy wyglądali na jakichś oficjalnych przedstawicieli instytucji. — Nie chcieli ze mną rozmawiać, powiedziałam im, że przyjdiesz za godzinę, więc niedługo należy się ich tu spodziewać.

Po upływie jakiejś godziny rzeczywiście zjawiło się u mnie dwóch panów. Po stwierdzeniu mojej tożsamości wręczyli mi kopertę z zaleceniem, abym ją otworzył w ich obecności, przeczytał pismo i ustosunkował się do niego.

W piśmie tym mówiło się, że na polecenie premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla, zgodnie z decyzją Wielkiej Trójki, komunikuje się mi, że zostałem zaproszony do Moskwy dla wzięcia udziału w konsultacjach nad powołaniem Rządu Jedności Narodowej. Zapytywano mnie, czy przyjmuję zaproszenie i gdzie się jechać do Moskwy.

Rzecz jasna, że byłem przygotowany na tego rodzaju zaproszenie i zgodziłem się na wyjazd. W związku z tym od razu zaproponowano, abym pojechał z nimi do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Zdziwiłem się, że wszystko dzieje się tak szybko. Była to sobota, godzina 14.00 lub 15.00, a już w poniedziałek o godzinie 5-tej miałem wylecieć samolotem do Moskwy. Ale nie było czasu na zwlekanie z wyjazdem, gdyż rozmowy zaczęły się już chyba 16 czerwca.

Po przyjeździe do Ministerstwa Spraw Zagranicznych rozmawiałem na ten temat z jakimś dyrektorem do spraw środkowo-europejskich. Rozmowa nie była długa. Chodziło o wyrażenie przeze mnie zgody. Zgodziłem się. Powiedziano, abym był gotowy do odlotu samolotem w poniedziałek rano.

Przypominam sobie, że zapytałem, co będzie z paszportem i wizą, gdyż w końcu opuszczam wasz kraj. Odpowiedziano mi, że tego nie potrzeba i do Moskwy rzeczywiście wyjechałem bez żadnego dokumentu.

W poniedziałek rano załadowano mnie do wojskowego samolotu i razem z pięcioma Brytyjczykami, udającymi się do ambasady Wielkiej Brytanii w Moskwie, wylecieliśmy.

Do Moskwy przyleciałem 18 czerwca. Na lotnisku we Wnurowie byłem witany przez naszego przedstawiciela, tow. Matwina — I sekretarza ambasady. Witali mnie również wiceministrowie

Spraw Zagranicznych ZSRR, Litwinow i Majski. Obecni również byli reporterzy.

Po powitaniu, ponieważ byłem zmęczony lotem, tow. Matwin powiedział, że odwiezie mnie do mego locum, które dla mnie przygotowano w hotelu „National” w Moskwie.

Tow. Matwin powiedział mi, że decyzją kierownictwa partii i przedstawicieli rządu w kraju on został oddelegowany dla utrzymania ze mną kontaktów. Było to podyktowane tym, że nie znałem osobiście towarzyszy z kraju, którzy wtedy byli w Moskwie. Znałem ich tylko z nazwisk i z działalności w okresie przedwojennym.

Dość późnym wieczorem przyszedł do mnie towarzysz Matwin. Powiedział, abym na godzinę 22-gą był gotów do wyjścia, gdyż zaprosił mnie na rozmowę tow. Modzelewski.

O godz. 22-giej lub 23-ciej przybyłem do polskiej ambasady. Spotkałem się z Zygmuntem Modzelewskim, któremu towarzyszyła żona. Oficjalne formy rozmowy zostały szybko przełamane i przeszliśmy na język towarzyszy.

Dałem tow. Modzelewskiemu charakterystykę sytuacji politycznej wśród emigracji brytyjskiej, jak wygląda sytuacja w naszej partii i jak wyglądają poszczególne sprawy.

W trakcie naszej rozmowy tow. Modzelewski odebrał telefon. Słyszałem, jak mówił: „Tak, tak, jest u mnie tow. Kołodziej. Rozmawiałem z nim, nasz chłop...”. Bardzo mnie ucieszyło, że pierwsza ocena mojej osoby w Moskwie wypadła zadowolająco (nie wspominam tutaj tego dla schlebienia sobie samemu).

Tow. Modzelewski przekazał mi wiadomość, że dnia następnego w porze obiadowej jestem zaproszony przez tow. Bieruta i kierownictwo pozostałych konsultantów.

Następnego dnia — 19 czerwca — o wskazanej porze pojechałem do ich siedziby. Tam zetknąłem się z tow. Bierutem, tow. Gomułą, tow. Osóbką-Morawskim, tow. Władysławem Kowalskim i pozostałymi konsultantami.

W czasie spożywania skromnego obiadu pod przewodnictwem tow. Bieruta trwała nieoficjalna wymiana poglądów, rozmowy przygotowawcze dla kontynuowania rozmów nad powołaniem Rządu Jedności Narodowej. Z rozmów tych zorientowałem się, że istnieją duże opory ze strony Mikołajczyka i ze strony ciągle wahającego się Stańczyka.

Inne stanowisko natomiast zajmowali Kiernik i Władysław Kowalski. Odniosłem takie wrażenie, i tak rzeczywiście było, że sprzyjali oni koncepcji powołania Rządu Jedności Narodowej w oparciu o platformę PKWN-u i w tym samym kierunku, jaki był

reprezentowany przez tow. Bieruta, tow. Gomułkę i pozostałych naszych przedstawicieli.

Po tych nieoficjalnych rozmowach dowiedzieliśmy się, że jesteśmy znów zaproszeni do ambasady Wielkiej Brytanii w Moskwie dla przeprowadzenia rozmów we własnym gronie w celu wyszukania dróg dla rozwiązania problemu.

Po obiedzie wszyscy konsultanci przybyli do ambasady brytyjskiej. Przybyli również i przedstawiciele Rządu Tymczasowego, którzy wchodzili w skład konsultantów, tzn. tow. Bierut, Gomułka, Osóbka-Morawski, Szwalbe, Żuławski, Stańczyk, Kiernik, Mikołajczyk, Kowalski, Kutrzeba, Krzyżanowski, Kołodziej-ski i ja. Jednym słowem byli wszyscy ci, którzy zostali powołani przez Wielką Trójkę dla omówienia sprawy stworzenia rządu. Był też — jako przedstawiciel „Czytelnika” i PAP-u — Jerzy Borejsza, który protokołował i dawał komunikaty i sprawozdania z przebiegu obrad. Na spotkaniu nie było natomiast Modzelewskiego.

WŁ. GÓRA: — Zdaje się, że w jakimś posiedzeniu brał udział Bańczyk.

A. KOŁODZIEJ: — Tak, Bańczyk też był, ale dokładnie tego nie pamiętam. Zdaje się, że były takie założenia, aby było 5 konsultantów z PPR, 5-ciu z PPS, 4-ech z SL i grupa tych jak gdyby niezależnych, bezpartyjnych — paru naukowców. O mnie wszyscy wiedzieli, że jestem PPR-owcem i komunistą, ale oficjalnie byłem przedstawicielem Związku Marynarzy i Zjednoczenia Polskiego na terytorium brytyjskim.

Rozmowy w ambasadzie brytyjskiej sprzyjały zajęciu konstruktywnego stanowiska. Zabiegi obecnego tam Harrimana, ówczesnego ambasadora USA w Moskwie, który reprezentował Roosevelta jak również ambasadora Wielkiej Brytanii Kerra, reprezentującego Churchilla — szły w kierunku zlikwidowania oporów Mikołajczyka i powołania Rządu Jedności Narodowej.

W pewnym momencie podszedł do mnie I sekretarz ambasady Wielkiej Brytanii w Moskwie Roberts. Rozmawiał ze mną po angielsku i mówił, że przy podejmowaniu decyzji o rządzie należy być ostrożnym i żeby nie pójść za daleko na platformę koncepcji politycznej Związku Radzieckiego. ZSRR to wielki kraj, który przeszedł wielkie męczeństwo. Jesteś marynarzem — mówił Roberts — jeździłeś po świecie, widziałeś jak wygląda stopa życiowa w Anglii i tutaj. Opowiadał mi różne takie historyjki, a potem zapytał, jakie stanowisko zajmę w ostatecznych rozmowach. — Właściwie nie powinieneś o to pytać, gdyż nie jest to

twoja sprawa — odparłem — ale jeżeli już chcesz wiedzieć, to pamiętaj, że będę za tym, żeby powołać rząd rewolucyjny i postępowy, który nareszcie wyzwoli nasz naród. Na tym skończyła się nasza znajomość z Robertsem.

Następnego dnia odbyła się narada konsultantów w ambasadzie polskiej. Przewodniczył jak zwykle tow. Bierut. W swoim zagajeniu tow. Bierut oświadczył nam, że Mikołajczyk usiłuje przypisać sobie, iż reprezentuje cały ruch ludowy w Polsce. Jest to w wysokim stopniu wątpliwe. Mikołajczyk domaga się w wypadku powołania Rządu Jedności Narodowej stanowiska premiera. Wysuwa on jeszcze cały szereg postulatów. Nie możemy zrozumieć pana Mikołajczyka i jego dążeń i nie możemy się zgodzić na jego koncepcję. Sprawa wygląda tak, czy pan Mikołajczyk się zgodzi czy też nie, Rząd Jedności Narodowej i tak będzie powołany. Argument Mikołajczyka, że jeżeli nie będzie go w rządzie, mocarstwa zachodnie na uznają Rządu Jedności Narodowej — nie jest poważny. Wcześniej czy później rząd reprezentujący opinię narodu polskiego będzie uznany.

Po zagajeniu tow. Bieruta wszyscy konsultanci, którzy pragnęli zakończenia konsultacji i rozmów, powołania Rządu Jedności Narodowej przeżyli pewnego rodzaju przygnębienie. Nie było przyjemne usłyszeć, że Mikołajczyk, który nie reprezentował mas ludowych w Polsce, wystawiał sobie taką legitymację polityczną. Nastawiało to niechętnie do niego nawet konsultantów-naukowców. Siedziałem po prawej ręce tow. Szwalbego, który w pewnym momencie zwrócił się do mnie: „Tow. Kołodziej, zabierzcie głos, widzicie co tutaj się dzieje. Jeżeli dzisiaj nie dojdziemy do porozumienia, konsultacje zostaną zerwane i rozmowy będziemy musieli rozłożyć na nieokreślony okres”.

Zwróciłem się do tow. Bieruta i poprosiłem go o głos. Mówiłem dosyć krótko, wzywałem do powołania Rządu Jedności Narodowej. Mówiłem, że na to wydarzenie czeka nie tylko zagranica, jak to nam wskazywał p. Mikołajczyk, ale przede wszystkim czeka kraj, który po zakończeniu działań wojennych pragnie zabrać się do porządkowania swoich własnych spraw. Stanowisko p. Mikołajczyka nie może przesłaniać nam potrzeby tej konieczności. Oświadczyłem, że w takim szerokim gronie (było chyba 18 konsultantów) trudno jest wypośrodkować jakąś koncepcję, która by nas wszystkich urządziła i zadowalała i dlatego zaproponowałem powołać komisję składającą się z 3 osób, której łatwiej będzie opracować jakieś propozycje i przedłożyć forum konsultantów. Świadomie zaproponowałem na członków tej komisji tow. Wiesława, tow. Kiernika i Szwalbego.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że mogę wysunąć jako

przedstawiciela PPR-u tow. Gomułkę, tym bardziej, że tow. Bierut w tym czasie, jak było wiadomo, był bezpartyjny. Wysuwając Kiernika chodziło mi o to, żeby wyeliminować z komisji Mikołajczyka, który będąc w niej mógłby przeprowadzać swoje koncepcje albo stałby na nieprzejednanym stanowisku. Kiernik natomiast przez cały okres okupacji przebywał w kraju i dlatego wydawało mi się, że sprzyja tendencjom ugodowym i czegoś się nauczył. W swoich latach młodzieńczych przebywając w Pabianicach przy okazji różnych strajków itp. słyszałem to nazwisko. Jednym słowem nazwisko Kiernika nie było mi tak obce, jak z okresu przedwojennego nazwisko Mikołajczyka. Ponieważ wyczuwało się na wdech niektóre mniejszej lub większej wagi grymasy Osóbki-Morawskiego, pomyślałem sobie, że lepiej zaproponować do komisji Szwalbego.

Znamiennym było to, że myśl moją podchwycił Osóbka-Morawski, który wysunął pewne propozycje. Komisja w wyżej wymienionym składzie została powołana. Przerwaliśmy nasze obrady, a komisja zasiadła do opracowania jakiegoś projektu znalezienia wyjścia z impasu.

Po obiedzie zostałem zaproszony oficjalnie przez tow. Mołotowa celem formalnego i kurtuazyjnego przedstawienia się. Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR pojechałem sam. Tam, w obecności ówczesnego wiceministra Spraw Zagranicznych Wyszynskiego, tow. Mołotow przeprowadził ze mną rozmowę. Rozmowa miała charakter dyplomatyczno-kurtuazyjny. Mołotow wypytywał mnie co słychać w Anglii, co u marynarzy itp. i na tym się właściwie skończyła rozmowa. Poszły odpowiednie notatki do prasy.

Wieczorem wszyscy konsultanci zostali zaproszeni do Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR celem przeprowadzenia dalszych rozmów w bardziej ciepłej atmosferze, bez oficjalnego protokołu.

Przyjechaliśmy do radzieckiego MSZ. Ze strony amerykańskiej obecny był ambasador Harriman. Strona brytyjska była również przez kogoś reprezentowana, nie przypominam sobie, czy był Kerr.

Nie było w MSZ-cie naszej komisji odnośnie której wiedzieliśmy, że jeszcze ciągle pracuje nad ostatecznymi wnioskami. Jednak z informacji, które docierały z terenu prac komisji do Mołotowa i Harrimana było wiadomo, że w komisji dogadują się.

Następnego dnia z rana dowiedzieliśmy się, że ostateczny komunikat i porozumienie w tej sprawie zostało wypośredkowane, uzgodnione i zakomunikowane przedstawicielom Wielkiej Trójki.

Zakomunikowano nam treść komunikatu, który został uzgodniony w formie propozycji dla nas, jeżeli chodzi o końcowe stanowisko konsultantów. Został nam również przedstawiony proponowany skład rządu: Osóbka-Morawski — premier, Gomułka i Mikołajczyk — wicepremierzy, Stańczyk — minister pracy i opieki społecznej. Proponowano zaprosić Grabskiego jako wiceprezydenta, a wszystkich konsultantów narady wprowadzić na członków Krajowej Rady Narodowej. Odnośnie składu rządu nie było sprzeciwu, wszyscy bez jakichś wyraźnych oporów wyszli naprzeciwko tym propozycjom.

WŁ. GÓRA: — Czy decyzje komisji stały się prawomocne bez zatwierdzenia porozumienia przez Was?

A. KOŁODZIEJ: — Przeoczyłem ten moment. Komisja miała przygotować projekt i projekt taki przygotowała. Rano zebraliśmy się w ambasadzie polskiej. Tak zakomunikowano nam, że uzgodniona została sprawa porozumienia, komunikatu i deklaracji. O naszym zaakceptowaniu propozycji komisji dowiedzieli się Mołotow, Harriman i Kerr, którym wiadomość ta została specjalnie przekazana.

Po jakimś czasie zostaliśmy zawiadomieni, że wszyscy konsultanci zaproszeni są do ambasady Stanów Zjednoczonych w Moskwie. W ambasadzie Harriman uroczyście i urzędowo oświadczył nam, że zaprosił nas do siebie na osobiste polecenie prezydenta Stanów Zjednoczonych, jest zobowiązany na oficjalne przyjęcie do wiadomości faktu powstania Rządu Jedności Narodowej. Zalecono mu mianowicie przeprowadzenie rozmów z poszczególnymi konsultantami celem wyrażenia opinii. Wszyscy zasiedliśmy wokół jakiegoś ogromnego stołu i ambasador kolejno pytał poszczególnych konsultantów odnośnie ich opinii w związku z powołaniem Rządu Jedności Narodowej. Zapytywał on także poszczególnych konsultantów odnośnie perspektyw na najbliższą przyszłość.

Na ogół wszystkie wypowiedzi konsultantów były pokrywające się w sensie akcentu zadowolenia z faktu, że powołano Rząd Jedności Narodowej, który zajmie się uporządkowaniem i ukształtowaniem sytuacji w kraju.

Mikołajczyk, tak jak przy każdej innej okazji, podkreślał, że Rząd Jedności Narodowej powinien być demokratycznym, że powinna być zachowana wolność prasy oraz wymiana poglądów.

Po opuszczeniu ambasady Stanów Zjednoczonych rozeszliśmy się. Tow. Borejsza zwrócił się do mnie mówiąc, że dobrze byłoby, gdybym porozmawiał z konsultantami z grupy niezależnych, re-

prezentowanych przez prof. Kutrzebę, Krzyżanowskiego a także Żuławskiego.

Po przyjeździe do hotelu „National”, w którym mieszkaliśmy, udałem się do pokoju prof. Kutrzeby, ażeby bliżej się z nim zapoznać i porozmawiać.

Może to jest nieistotne, ale starszek zaczął trochę narzekać na skrępowanie cenzury, na to, że jacyś ludzie nieznanymi w dziennikarstwie polskim zabrali się do urabiania opinii publicznej. W Krakowie zjawiał się „jakiś” Putrament, który mu nie daje żyć. Nie może on otrzymać papieru dla *Słowa Powszechnego* itp.

Później pytał, jakie są nastroje wśród emigracji polskiej na terenie brytyjskim. Informowałem go tak, jak rzecz wyglądała. Mówiłem, że ośrodki rządu londyńskiego nie reprezentują całości opinii publicznej, że istnieje silny ruch zorganizowany lewicowych elementów na terenie Wielkiej Brytanii. Opowiada się on za koniecznością przemian społecznych i politycznych w kraju. Widziałem, że odniósł on z rozmowy ze mną wrażenie nie bardzo zadowolające, gdyż reprezentowałem inną opinię od tej, której on się spodziewał.

Rozmawiałem później z tow. Żuławskim. Jak zwykle, tak i w owym czasie, reprezentował on prywatnie swój nieprzejednany stosunek, mówiąc delikatnie, swojej niechęci do Związku Radzieckiego i do koncepcji reprezentowanych przez Komunistyczną Partię Związku Radzieckiego i kierownictwo tej partii. Pamiętam taki obrazek. Okno pokoju Żuławskiego wychodziło na potężne zabudowania Kremla. W pewnej chwili Żuławski powiada: „Tow. Kołodziej — jesteście młody, pochodzicie z Pabianic. Mam tam przyjaciela — na pewno go znacie — Antosia Szczerkowskiego, b. pośła. Spójrzcie na mury Kremla, tutaj jest ostoja najbardziej wrogiego ośrodka dla klasy robotniczej na całym świecie, dla międzynarodowego ruchu robotniczego”. (Nawiasem mówiąc, znałem pośła Szczerkowskiego. Kiedyś w dawnych latach pracował on w fabryce z moim ojcem. Kiedy nie był jeszcze tak strasznie wielkim pośłem z ramienia PPS, a bardziej skromnym, przychodził do mego ojca. Znałem go z wieców, chociaż byłem wtedy młodym chłopcem, ale tak jak wszyscy w takim ośrodku jak Pabianice, od młodych lat byłem zainteresowany we wszystkich wydarzeniach politycznych, a tym bardziej w takich akcjach jak wiece, strajki itp.).

Zacząłem dyskutować z Żuławskim. Powiedziałem mu, że na pewno się myli. Mówił mi, że jestem młody i na pewno się jeszcze przekonam, kto ma rację. Trudno mi było rozmawiać z tego rodzaju człowiekiem. Wszelkie moje usiłowania, aby go przekonać w kierunku zrewidowania jego poglądów, nie dały żąd-

nych rezultatów. Zresztą nie mogłem nawet oczekiwać zmian w jego rozumowaniu lub jego mentalności.

Wieczorem, tego samego dnia, zostaliśmy zaproszeni na przyjęcie do ambasady USA w Moskwie. Wydawał je ambasador Harriman dla uczestników narady moskiewskiej.

Tak się złożyło, że razem z towarzyszami Bierutem, Wiesławem i Szwalbem spóźniłem się na to przyjęcie. Jedna część konsultantów przysłała wcześniej, a myśmy przyjechali później, gdyż trochę błędziliśmy, nie wiedzieliśmy dokąd jechać itp.

Do ambasady amerykańskiej wchodziłem razem z tow. Szwalbe. Pytał mnie on o swego syna, którego wojna zastała w Londynie na studiach, a którego poznałem pod koniec wojny w naszych klubach. Mówiłem ojcu o trudnościach, z jakimi się styka w Anglii jego syn — Jurek. Na uczelni i w kołach studenckich emigracji wyraźnie się określał politycznie za krajem i przemianami. Zajmował on stanowisko nie kryjąc się z nim. Wysyłał w porozumieniu z nami listy do prasy brytyjskiej.

Przechodząc przez dużą salę recepcyjną w ambasadzie amerykańskiej zauważyłem, że z boku stał tow. Mołotow i rozmawiał z Wyszyńskim. Obok stał tłumacz. W trakcie naszej rozmowy o synie Szwalbego zauważyłem, że w naszą stronę skierował swoje kroki tłumacz tow. Mołotowa. Podeszedł on do nas i po rosyjsku powiedział, że tow. Mołotow oraz Wyszyński chcą ze mną jeszcze raz porozmawiać.

Zwróciłem się do tow. Szwalbego: — Chodźcie razem ze mną, moja znajomość języka rosyjskiego jest tak mizerna, że nie chcę go kaleczyć, gdyż byłoby to przykre dla mnie, a także dla moich rozmówców. — Tow. Szwalbe odpowiedział: — Idźcie sami, jakoś sobie dacie radę.

Do Mołotowa i Wyszyńskiego podeszedłem sam. Na szczęście był tłumacz, który znał język angielski, w którym mi było łatwiej się porozumiewać niż językiem rosyjskim. Mołotow zapytał mnie, jak wygląda sytuacja w polskich ośrodkach emigracyjnych na terenie brytyjskim, sytuacja w Związku Marynarzy Polskich itp. W tym momencie podeszedł do nas ambasador Harriman i z czującym uśmiechem, na jaki go było stać, zapytał czy może posłuchać o czym rozmawia wysoki komisarz Spraw Zagranicznych Związku Radzieckiego z konsultantem na konferencję moskiewską p. Kołodziejem. Mołotow odpowiedział: *pożatujsta*.

W pewnym momencie Harriman zwrócił się do mnie: to ty jesteś sekretarzem Związku Marynarzy Polskich na terenie marynarki handlowej? Ile członków liczy twój związek? Odpowiedziałem, że 2.000 członków. Tak było zresztą istotnie, gdyż



były właściwie dwa związki: oficerowie mieli swój związek, a marynarze swój. Flota handlowa nie była tak liczna jak obecnie, było tylko kilkadziesiąt statków. Po moim wyjaśnieniu Harriman oświadczył, że reprezentuję nieduży związek. Usłyszałem wówczas, jak Mołotow zwrócił się do swego tłumacza: powiedz Harrimanowi, że 1.000 *mariałow* znaczy więcej niż 10 tysięcy takich jak on chciał.

Harrimanowi widocznie chodziło o to, ażeby wykazać, że reprezentowany przeze mnie związek nie ma wielkiej wagi. Mołotow i kierownictwo KPZR konsekwentnie żądało, abym obok Mikołajczyka i Stańczyka reprezentował emigrację polską w Wielkiej Brytanii. Harriman jednak w trakcie wspomnianej rozmowy został „przetasowany” przez Mołotowa i myślę, że ambasador amerykański to zrozumiał.

Później Mołotow przeprosił zebranych i razem z Wyszyńskim wyszedł. My nadal kontynuowaliśmy rozmowy. W pewnej chwili podszedł do mnie jakiś pracownik ambasady brytyjskiej i zawiadomił mnie, że chce ze mną rozmawiać ambasador Kerr.

Podszedłem do Kerra. Zapytał mnie, co myślę w związku z powstaniem Rządu Jedności Narodowej. Na pewno masz inne zdanie na ten temat niż inni — masz inne wyrobienie polityczne, bo jako marynarz zjeździłeś cały świat. Masz na pewno bardziej realne spojrzenie na tę sprawę niż inni. Odpowiedziałem, że cieszę się faktem powstania Rządu Jedności Narodowej. Powstanie rządu wzmocni siły postępowe w kraju. Na pewno i całe społeczeństwo odetchnie z ulgą, kiedy dowie się, że sprawa ta została pozytywnie załatwiona. Liczymy, że Wielka Brytania będzie sprzyjała nowej władzy w kraju.

Ambasador brytyjski odparł: na dużą pomoc z naszej strony nie liczcie. Wiecie dobrze, że i my jesteśmy wycieńczeni tą wojną, ale na pewno będziemy ustosunkowani do was życzliwie.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że jesteśmy zaproszeni na przyjęcie do Stalina. Zaproszenie otrzymali członkowie rządu, konsultanci i przedstawiciele części korpusu dyplomatycznego. Przyjęcie zostało wydane na cześć utworzonego rządu polskiego, a także w związku z mającą się odbyć następnego dnia paradą zwycięstwa w Moskwie.

Wieczorem przybyliśmy na Kreml. Wtedy to miałem okazję pierwszy raz zetknąć się bezpośrednio z Józefem Stalinem, który osobiście powitał każdego konsultanta. Na przyjęciu byli obecni wszyscy marszałkowie Związku Radzieckiego. Tam poznałem marszałka Rokossowskiego i generała Świerczewskiego. Nie pamiętam, żeby oprócz Harrimana i Kerra byli jeszcze jacyś przedstawiciele Zachodu.

Usiedliśmy do dużego stołu. Rozpoczęła się rozmowa, w trakcie której zabierali głos poszczególni konsultanci. M.in. zabrał głos Mikołajczyk, który akcentował jak w czasie konsultacji, że do Moskwy przyjechał z własnej woli, bez przymusu, cechuje go szczerą chęć sprzyjania powstaniu Rządu Jedności Narodowej. Rząd ten winien być demokratyczny. Wszystkie kierunki polityczne winny mieć zagwarantowaną swobodę rozwoju kraju. Rząd winien działać w oparciu o szczerą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, chociaż w przeszłości stosunki między naszymi narodami układały się różnie.

Stalin, który wówczas odpowiadał wszystkim występującym konsultantom, odpowiedział Mikołajczykowi: — Panie Mikołajczyk, podkreślał pan, że na rozmowy do Moskwy przyjechał pan z własnej i nieprzymuszonej woli. Nie wątpimy w to, chociaż może i gdzieś był ten przymus, który skierował pana do Moskwy. To co było w przeszłości między naszymi narodami nie można utożsamiać z obecną sytuacją. Inne siły reprezentowały politykę Rosji carskiej i inne siły reprezentowały politykę Polski.

Żuławski, który siedział koło mnie poprosił o udzielenie mu głosu. Żuławski tego wieczoru wystąpił bardzo brzydtko i jego wystąpienie mocno utkwilo w mej pamięci. Powiedział on: — Towarzyszu Stalin, ja również reprezentuję pogląd, aby nareszcie między naszymi narodami i krajami zapanowała przyjaźń. Powinniśmy zapomnieć o tych czasach, które nas dzieliły. Ale jednak między narodem polskim a narodem rosyjskim w historii jest wylane morze krwi. — Mówił to wszystko drżącym głosem i bardzo patetycznie.

W trakcie jego wystąpienia Stalin kiwał głową, a gdy tylko skończył, powiedział: — Towarzysz Żuławski. Wy znacie nas i my znamy was, jeżeli nawet nie bezpośrednio, to i tak jesteśmy dobrze o sobie poinformowani. Pozwoliliście sobie na takiego rodzaju sformułowanie, że między narodem rosyjskim i polskim w przeszłości zostało rozlane morze krwi. Musicie pamiętać, że ta krew została przelana dzięki bojarstwu, rządcom carskiej Rosji, a także dzięki arystokracji i szlachectwu Polski. Krew ta nie została przelana z tytułu nienawiści do siebie naszych narodów. Nienawiść taka nigdy nie istniała. Była to tylko nienawiść pomiędzy grupami rządzącymi naszymi krajami.

Widziałem, że to co mówił Stalin bardzo się nie podobało tow. Żuławskiemu. W tak to spokojny sposób Stalin ustawił Żuławskiego na prawidłowy kierunek rozumowania w tych zagadnieniach.

Później przemawiali Bierut, Gomułka, Stańczyk. W pewnym momencie zbliżył się do mnie pracownik radzieckiego MSZ, mło-

dy człowiek, Polak, który od początku mego pobytu w Moskwie opiekował się mną. Podszedłszy do tej części stołu, gdzie siedział obok mnie Aleksander Zawadzki, Wanda Wasilewska i Jerzy Borejsza, po cichu powiedział, że Mołotow prosi, abym i ja zabrał głos.

Zabrałem głos. Dokładnie nie pamiętam treści swego wystąpienia, ale akcentowałem ten moment, że powstanie Rządu Jedności Narodowej jest ukoronowaniem dążeń postępowych elementów w kraju. Rząd ten gwarantuje narodowi polskiemu wyjście w rozwiązaniu nabrzmiałych problemów, w zrealizowaniu Manifestu Lipcowego, wyzwolenie całego społeczeństwa z przestarzałych form rządzenia, wytyczenia prawidłowych kierunków rozwojowych w perspektywie.

Po wyświetleniu filmu pokazującego zdobycie Berlina przyjęcie skończyło się.

Następnego dnia odbyła się parada zwycięstwa, na którą zaproszono uczestników narady i korpus dyplomatyczny. Przez cztery godziny obserwowaliśmy wspólną paradę poszczególnych formacji Armii Radzieckiej.

27 czerwca 1945 roku wszyscy dwoma samolotami przylecieliśmy do Warszawy. Po paru tygodniach, kiedy uzyskałem wizę, przyjechałem do Londynu. Stamtąd przyjeżdżałem do Warszawy na I Kongres związków zawodowych i na zjazd PPR w grudniu 1945 roku. Reprezentowałem wówczas kierownictwo partii z terenu brytyjskiego. W 1946 roku, po zlikwidowaniu spraw, kiedy flota sukcesyjnie powracała do kraju, powróciłem na stałe do kraju.



WŁ. GÓRA: — Jak mi wiadomo, jako trzeci konsultant do Moskwy miał jechać początkowo Julian Żakowski. Jak się stało, że on nie pojechał?

A. KOŁODZIEJ: — O ile wiem, Żakowski, architekt Żakowski, początkowo się wahał, a później odmówił wyjazdu. Wobec tego pojechałem ja. Prywatnie śmiem się domyślać, że Żakowskiemu odradzono wyjazd, żebym ja mógł jechać.

WŁ. GÓRA: — Do Rządu Jedności Narodowej z terenu Wielkiej Brytanii miał wejść m.in. Mieczysław Thugutt. Jak się stało, że nie wszedł on w skład rządu?

A. KOŁODZIEJ: — Wiem, że Thugutt na konferencji został zatwierdzony jako członek rządu. Dlaczego nie wszedł do rządu, nie wiem.

WŁ. GÓRA: — Mikołajczyk domagał się wszystkich pertraktacji, żeby zalegalizować endecję. Na konferencji mówił on, że trzeba stworzyć i zalegalizować endecję w kraju, gdyż jest to również partia demokratyczna.

A. KOŁODZIEJ: — Nie przypominam sobie tego rodzaju akcentów Mikołajczyka, jeżeli chodzi o endecję. Pamiętam takie akcenty odnoszące się do Stronnictwa Pracy.

Nie brałem od samego początku udziału w obradach i dlatego mogę nie wiedzieć o tej sprawie. Natomiast przypominam sobie, że Mikołajczyk wyraźnie żądał, aby do rządu weszło Stronnictwo Pracy i wysuwał kandydaturę Popiela.

WŁ. GÓRA: — Kiedy nastąpiło przekształcenie się organizacji „Jedność i Czyn” w PPR?

A. KOŁODZIEJ: — Przekształcenie organizacji politycznej „Jedność i Czyn” w Polską Partię Robotniczą na terenie brytyjskim nastąpiło na skutek naszych własnych decyzji w drugiej połowie 1943 roku. Na zewnątrz nadal oficjalnie nazywaliśmy się „Jedność i Czyn”. Wydawaliśmy szereg publikacji, periodyków.

Początkowo wydaliśmy kilka numerów *Jedności i Czynu*. Władze brytyjskie trochę nam przeszkadzały, mieliśmy kłopoty z papierem, drukarnią, nie mogło być mowy o ciągłości w wydawaniu tego samego pisma. Następne periodyki ukazywały się każdy z inną nazwą.

W końcu drugiej połowy 1943 roku, za pośrednictwem dostępnych nam kanałów, nawiązaliśmy jednostronny kontakt z krajem. Informowaliśmy kraj o tym co się dzieje u nas, przesyłaliśmy swoje sprawozdania. Zdaje się, że wysłaliśmy 3 sprawozdania za pośrednictwem Czechów i ambasady ZSRR. Kiedy w 1944 roku ambasadorem PKWN w Paryżu został tow. Jędrzychowski, przesłaliśmy bezpośrednio do niego sprawozdania z naszej działalności.

Na początku grudnia 1945 roku na zjazd PPR do kraju przyjechali po mnie towarzysze Heller i Lapter jako delegaci z terenu brytyjskiego. Po zjeździe zostaliśmy zaproszeni przez tow. Zambrowskiego i Ochaba do KC. Tam złożyliśmy ustne sprawozdanie i poinformowaliśmy towarzyszy o całości naszej działalności. Towarzysze oświadczyli nam, że decyzją kierownictwa partyjnego w kraju organizacja „Jedność i Czyn” jest traktowana od początku jako organizacja PPR.

WŁ. GÓRA: — Może kilka słów o lewicowej grupie londyńskiej PPS i o tym, jak doszło do wykrystalizowania się tego nowego

kierunku. W tym czasie byli tam Beluch-Beloński, Hochfeld, Grosfeld.

A. KOŁODZIEJ: — Jak już wspomniałem, w 1944 roku nastąpiła próba odgródnienia się tych towarzyszy od oficjalnej linii, jaką reprezentował Komitet Zagraniczny PPS przez Arciszewskiego, Kwapińskiego, Ciołkosza, Pragiera i pozostałych.

Od tej linii, co prawda z pewnym wahaniem, o którym wiem z prywatnych rozmów, zaczęli odgradzać się Stańczyk, Grosfeld, Szczyrek i Julian Hochfeld. (Ostatni nie był mi osobiście znany, wiedziałem tylko, że działał w organizacji PPS na terenie brytyjskim i zajmuje się pracami naukowymi).

Odgródnienie nastąpiło w związku z niezgadaniem się z wyraźnie reakcyjną i antyradziecką polityką, jaką reprezentowali Raczkiewicz, Sosnkowski i większość zagranicznego kierownictwa PPS na terenie Anglii.



Kilka słów o sylwetce Edwarda Puacza. Na początku wojny w Domu Polskim na Kendeltown przy Towarzystwie Demokratycznym składającym się ze starych emigrantów z Polski uplasował się jakiś bliżej nie znany mi dziennikarz polski o nazwisku Puacz, który zaczął tam organizować jakiś ruch polityczny.

Wydał on 3 lub 4 broszury, w których nie występował przeciwko Sikorskiemu, ale poprawiał go i jakby udzielał mu rad, przypisywał sobie rozsądek polityczny, podpowiadał różne koncepcje polityczne i taktyczne. Zajmował niechętnie stanowisko względem kół emigracji sanacyjnej. Właściwie to nawet nie było wiadomo, o co temu człowiekowi chodzi.

Będąc jeszcze w „Jedności i Czynie”, a później w PPR, kilka razy próbowaliśmy nawiązać z nim kontakt. Próbowaliśmy wdać się z nim w rozmowy, chcąc dowiedzieć się, czy nie udałoby się stworzyć jakąś wspólną platformę i pójść na współpracę.

W tym celu, chyba w 1943 roku, został zorganizowany wspólny wiec, na którym przemawiał Puacz i z naszego upoważnienia tow. Katz-Suchy. O wiecu tym poinformowaliśmy naszych sympatyków, marynarzy i wszystkich tych, do których zdołaliśmy dotrzeć. Byłem obecny na tym wiecu.

Szybko jednak przekonaliśmy się, że pan Puacz był człowiekiem o zupełnie niewyraźnym obliczu politycznym. W dodatku jego prywatne życie nie pozwalało wejść w jakąś bliższą komitwę z nim i współpracować politycznie. Z jednej strony niby był działaczem politycznym, a z drugiej strony pociągał go hazard, karty, wyścigi psów, kochanki itp.

Trzeba tu dla sprawiedliwości dodać, że Puacz był na tyle mądry i widział, że ze swymi poglądami na życie nie będzie pasował do nas. Dlatego też bez entuzjazmu podchodził do naszych prób nawiązania z nim kontaktu. (Puacz obecnie jest w kraju. Kilka tygodni temu spotkałem go przypadkowo w Gdyni na ulicy. Pracuje w Centralnym Zarządzie Uzdrowisk u Osóbki-Morawskiego, w dziale prasowym).

Osobiście zapoznałem się z nim w Londynie w Klubie Demokratycznym, gdzie jadaliliśmy obiady. Wiedział on, kim jestem i co robię. Z naszej strony zawsze była pewna rezerwa w stosunku do jego osoby.

WŁ. GÓRA: — Czy na terenie Wielkiej Brytanii stykaliście się z Retingerem?

A. KOŁODZIEJ: — Rozmawiałem z nim osobiście po jego powrocie z kraju, kiedy to po powstaniu warszawskim przywiózł do Londynu Arciszewskiego. Miał on wtedy połamane nogi, był kaleką.

Retinger był obecny na I Kongresie Światowej Federacji Związków Zawodowych. Rozmawiałem z nim w sprawie wprowadzenia mnie na forum obrad kongresu w charakterze delegata. Retinger powiedział mi, że zorientuje się, czy będzie mógł mi pomóc i ewentualnie powiadomi mnie przez redaktora naczelnego *News States Station*. Nic jednak z tego nie wyszło, ukoronowaniem naszych rozmów było to, że Stańczyk został pozbawiony mandatu, a mnie go nie przyznano.

Chodziły słuchy, że Retinger to zaufany człowiek brytyjskiego MSZ i jego polityki. Tak zresztą go traktowaliśmy i specjalnie nie kontaktowaliśmy się z nim. Retinger był w dobrych stosunkach z Sikorskim, o czym dokładnie wiedzieliśmy. Chyba on przywiózł Sikorskiego z Francji i ułatwił mu kontakt z Churchilllem.

Pod koniec wojny zjawił się na terenie brytyjskim Deutscher, który usiłował nawiązać z nami kontakt.

Przypominam sobie, że kiedyś na ulicy zaczepił mnie jakiś gość, który przedstawił się jako Deutscher. (O jego działalności sprzed wojny coś niecoś już wtedy słyszałem). Zaczął mnie opowiadać różne madrygały o Związku Radzieckim itp. Powiedziałem mu, że szkoda jego czasu i nie mamy o czym rozmawiać. Na tym rozeszliśmy się.

WŁ. GÓRA: — Jak doszło do mianowania przedstawiciela PKWN Wilanowskiego w Londynie?

A. KOŁODZIEJ: — Jeżeli nie myli mnie pamięć, w końcu dru-

giej połowy 1944 roku zostaliśmy powiadomieni przez kanały, za pośrednictwem których utrzymywaliśmy kontakt z krajem, że zaszła konieczność wytypowania przedstawiciela PKWN na teren brytyjski.

Sprawa ta stanęła na naszej egzekutywie. W pierwszym momencie doszliśmy do wniosku, żeby przedstawicielem był reprezentant z terenu marynarki handlowej. Do wniosku tego doszliśmy dlatego, że była to największa grupa Polaków pracująca w czasie wojny uczciwie na kawałek chleba i biorąca bezpośredni udział na morzach toczącej się wojny.

Tow. Heller proponował, abym ja zostałem przedstawicielem PKWN. W odpowiedzi na tę propozycję odpowiedziałem, że jeżeli nie chcemy stracić swoich wpływów na terenie marynarki handlowej, nie powinniśmy powierzyć mi tej funkcji. Świadomość polityczna naszych załóg w pewnym stopniu wzrosła w porównaniu z okresem przedwojennym. Stało się tak dlatego, że w czasie wojny dawne poglądy wykrystalizowały się, a także dzięki naszej partyjno-politycznej działalności na statkach. Bez zrozumiałstwa z mojej strony mogę powiedzieć, że byłem dość potężną, silną i popularną jednostką na terenie floty handlowej. Zabranie mnie z tego odcinka pracy było na pewno rzeczą niewskazaną. Wywołałoby to pewien wstrząs u załóg, które obdarzały mnie zaufaniem bez reszty.

Na przedstawiciela PKWN zaproponowałem tow. Teodora Skibę, który w tym czasie był dobrym towarzyszem i rokował nadzieje, że nadal pozostanie takim. Był on wiceprzewodniczącym naszego związku i miał już pewną wyrobioną pozycję.

Po dyskusji kandydatura Skiby została przez nas zatwierdzona. Skiba wówczas pracował na „Stalowej Woli” i pływał do Ameryki Północnej.

Swoją decyzję przekazaliśmy do kraju. Została ona zatwierdzona, ale kiedy Skiba wrócił do Anglii, odmówił z przyczyn tylko jemu znanych przyjęcia tej funkcji. Widocznie nie chciał angażować się w te sprawy.

Byliśmy wówczas w bardzo niewygodnej sytuacji i rozglądaliśmy się za kimś innym. Doradcą prawnym naszego związku był w tym czasie Stefan Wilanowski. Razem z tow. Dorą Birnbach, która była sekretarką techniczną i członkiem egzekutywy PPR wysunęliśmy jego kandydaturę. Po „obejrzeniu” bowiem Wilanowskiego od stóp do głowy doszliśmy do wniosku, że jest to człowiek, z którym będzie można rozmawiać i razem kontynuować linię polityczną PKWN.

Po niedługim czasie okazało się jednak, że zamiast spotkać się z jakąś współpracą i zrozumieniem naszych założeń politycz-

nych i taktycznych, Wilanowski zaczął uprawiać swoją indywidualną politykę. Oddziaływanie Wilanowskiego miało niewielkie rozmiary, ale on sam zaczął traktować siebie jako męża opatrnościowego dla Polski. Stawiał duże finansowe wymagania. W związku z tym wszystkim postanowiliśmy zamienić Wilanowskiego kimś innym.

W tym czasie przewodniczącym Zjednoczenia Polskiego został inż. Henryk Łukasik. Rokował on nadzieje i stawał się coraz to bardziej człowiekiem o krystalizujących się poglądach demokratycznych. Szedł on na szczerą współpracę z nami. Wysunęliśmy jego kandydaturę i w 1945 roku został następnym przedstawicielem PKWN-u. Pozostał on nim chyba do końca.

WŁ. GÓRA: — Czy przedstawicielstwo PKWN w Londynie było formalnym i oficjalnym przedstawicielstwem? Jaki był do niego stosunek rządu Wielkiej Brytanii?

A. KOŁODZIEJ: — Przedstawicielstwo było o tyle formalne, że czynniki oficjalne rządu brytyjskiego udzieliły zgody na powołanie do życia tego rodzaju przedstawicielstwa. Ponieważ jednak w tym czasie był uznawany rząd emigracyjny, rząd Wielkiej Brytanii nie utrzymywał z przedstawicielstwem PKWN oficjalnych kontaktów.

WŁ. GÓRA: — Czy utrzymywano nieoficjalne kontakty?

A. KOŁODZIEJ: — Jak mi wiadomo, ze strony brytyjskiej nieoficjalnych kontaktów nie było. Być może Wilanowski poza nami usiłował utrzymywać jakieś kontakty, ale ja o tym nic nie wiem. Anglicy specjalnie nie przeszkadzali w działalności przedstawicielstwa, ale też specjalnie nie angażowali się w nieoficjalne kontakty.

Natomiast jeżeli chodzi o ambasadę ZSRR czy też przedstawicielstwa Ministerstwa Spraw Zagranicznych rządu czeskiego, jugosłowiańskiego — utrzymywałem oficjalne kontakty.

Przy wejściu do lokalu przedstawicielstwa PKWN w Londynie wisiła tablica informująca, że to jest przedstawicielstwo polskie w Wielkiej Brytanii.

(Antoni KOŁODZIEJ)  
podpis nieczytelny

Stwierdzam zgodność niniejszego tekstu z zapisem na taśmie magnetofonowej.

Zakład Historii Partii przy KC PZPR (pieczętka)

3. III. 1962 r.

Wykonano w 5 egzemplarzach.



POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA

Komitet Centralny

Tel. 21-04

ODPIS

WYDZIAŁ CENTRALNE ARCHIWUM

L. dz. 50/74/75

Warszawa, dnia 9 czerwca 1975 r.  
ul. Nowy Świat 6/12

Tow. Antoni Kołodziej  
Gdynia — 81-356  
ul. Starowiejska 14/12

Szanowny Towarzyszu!

Centralne Archiwum KC PZPR przesyła w załączeniu 2 egzemplarze Waszej relacji o powstaniu Rządu Jedności Narodowej z prośbą o wniesienie ewent. poprawek oraz uzupełnień.

Po przejrzaniu i podpisaniu relacji prosimy o zwrot drugiego egzemplarza na adres Centralnego Archiwum Warszawa — Sejm, ul. Górnośląska 18, Sektor Gromadzenia Wspomnień i Relacji.

Zaznaczamy, że przywiązujemy dużą wagę do autoryzowania relacji, gdyż bez podpisu autora nie stanowi ona dokumentu historycznego.

Nie nadesłanie autoryzowanej relacji w terminie dwumiesięcznym od dnia jej otrzymania będzie przez nas traktowane jako akceptacja przekazanego Wam tekstu i wyrażenie zgody na jego udostępnienie zgodnie z obowiązującymi zasadami.

Kierownik  
Centralnego Archiwum KC PZPR  
*Prof. dr. Janusz DURKO*

Antoni Kołodziej  
ul. Starowiejska 14/12  
81-356 Gdynia.

ODPIS

Gdynia, 8 sierpnia 1975 r.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza  
Komitet Centralny,  
Centralne Archiwum.  
W a r s z a w a.

W załączeniu zwracam przesłaną mi relację nagraną ze mną w C.A.-K.C.-PZPR 29. X. 1974 r. dotyczącą okoliczności powstania Rządu Jedności Narodowej.

Do tekstu przesłanej mi relacji naniosłem parę drobnych uzupełnień oraz sprostowań, które moim zdaniem należałoby uwzględnić.

Łącząc wyrazy szacunku pozostaje

*A. KOŁODZIEJ*

## UZUPEŁNIENIE RELACJI ANTONIEGO KOŁODZIEJA NAGRANEJ W CA KC PZPR 29. X. 1974 R.

Tow. Marszałek Szwalbe mówiąc o Zygmuncie Żuławskim stwierdził, iż był on za szczerym dogadaniem się w Moskwie. Ja mam osobiście inne odczucia. Pamiętam Jego przemówienie jakie wygłosił na przyjęciu, które odbyło się po naszych rozmowach u Stalina, oraz rozmowy jakie miałem z Nim osobiście w Moskwie. Na drugi dzień po moim przyjeździe Żuławski poprosił mnie do siebie w hotelu National gdzie wcześniej zamieszkał. Zwrócił się do mnie w ten sposób: — Tow. Kołodziej, jesteście młodym działaczem, pamiętajcie o tym, że jesteście wychowankiem Szczerkowskiego z rodzimych Pabianic. — Przypominano mi to również i w Londynie, m.in. Stańczyk, Kwapiński. Z rozmowy jaką wówczas prowadziliśmy absolutnie nie wyczułem z Jego strony jakiegokolwiek chęci dogadania się. Natomiast to co mi mówił, to mówił wręcz w podnieceniu, zapieczeniu i z nienawiścią. No patrzcie, tu jest ten Kreml, za jego murami siedzi dyktatura na cały międzynarodowy ruch robotniczy. Tu knuje się wszystko. Wy przyjechaliście z zachodu i macie obycie z demokracją, jak jestem jej wyznawcą. Powiedziałem mu wówczas, że jestem młodym działaczem (miałem 35 lat) i że daleko mi do jego doświadczenia jako sekretarza generalnego Komisji Centralnej. Ale na zachodzie nie jest tak dobrze jak mu się wydaje. Moje obycie z tamtą demokracją nauczyło mnie wiele. Nie jeden raz musieliśmy okoniem stawać, aby coś osiągnąć w pracy Związku Marynarzy.

Powracam do przemówienia Z. Żuławskiego w czasie przyjęcia na Kremlu. Koło mnie z prawej strony siedziała Wanda Wasilewska, z lewej zaś Aleksander Zawadzki, następnie Z. Żuławski, zaś B. Bierut, St. Szwalbe przy Stalinie. Obserwowałem Żuławskiego, który przez cały czas coś notował, a zwłaszcza w czasie przemówienia Stalina. W swoim przemówieniu Stalin m.in. powiedział, że wyraża zadowolenie z faktu, iż Polacy doszli do porozumienia. Związek Radziecki liczy na to, że Polska będzie silną, demokratyczną, i że narody nasze wreszcie będą żyły w przyjaźni.

Po przemówieniu Stalina poprosił o głos Żuławski — ręce mu drżały z podniecenia. Zwracając się do Stalina powiedział: — Wy tu mówicie, tow. Stalin, o tym, że Polska będzie wolna, demokratyczna i że naród polski i naród rosyjski będą żyć w przyjaźni. Jakże możemy się liczyć na to, kiedy między narodem polskim i rosyjskim przez całe wieki zostało przelane morze krwi.

— Stalin w trakcie przemówienia Żuławskiego bawił się kieliszkiem z czerwonym winem, palił papierosa i uśmiechał się. Jak Żuławski skończył, zaraz zabrał głos i powiedział: — To prawda, że było przelane morze krwi między naszymi narodami, ale przełała ją szlachta polska i bojarowie rosyjscy. — W ten sposób skwitował Stalin przemówienie Żuławskiego. Chciałbym jednak z całą mocą podkreślić, iż doceniam fakt udziału Żuławskiego w rozmowach w Moskwie.

Jeżeli chodzi o sprawy związane z tworzeniem rządu to ja do Moskwy przyleciałem nieco spóźniony. Pierwszy przyleciał Stanisław Mikołajczyk i Jan Stańczyk (16 czerwca). Ja zaproszenie otrzymałem 16-go, a 19-go przyleciałem do Moskwy. O ile się nie mylę, 21-go odbyła się zasadnicza konferencja konsultacyjna w polskiej ambasadzie, gdzie powołaliśmy komisję. W konferencji uczestniczyli: Gomułka, Bierut (który przewodniczył), Szwalbe, Osóbka-Morawski, Stańczyk, Mikołajczyk, Kiernik, Żuławski, Krzyżanowski, Kołodziejcki, Kutrzeba i in. Był obecny Modzelewski oraz Borejsza, który był protokolantem. Tow. Szwalbe siedział obok mnie. Po zagajeniu Bieruta złożył oświadczenie Mikołajczyk podkreślając rolę ludowców bez których nie można obejść się przy tworzeniu rządu, co sprowadzało się do tego, że powinien być premierem. Następnie przemówienia wygłosili prawie wszyscy uczestnicy, pamiętam m.in. przemówienie Kołodziejckiego, w którym akcentował konieczność porozumienia się za wszelką cenę. Zapanowała jednak ciężka atmosfera po przemówieniu Mikołajczyka, co nie rokowało szybkiego porozumienia. Wszyscy się już wypowiedzieli i wszyscy byli podenerwowani. W tym momencie zwrócił się do mnie tow. Szwalbe: — Tow. Kołodziej zabierzcie głos, widzicie co się tu dzieje, my tu się nie dogadamy.

Po szybkim namyśle zabrałem głos, w którym podkreśliłem wagę porozumienia dla sprawy niepodległości Polski oraz zaproponowałem aby powołać Komisję pięcio- lub trzyosobową, której łatwiej będzie dopracować się wspólnej platformy porozumienia. Powołałem się przy tym na moje doświadczenia w pracy w Związku Marynarzy, że jak były sporne i trudne problemy do załatwienia w szerszym gronie na posiedzeniach okresowych itp., wyłanialiśmy wówczas komisję, która sprawy doprowadzała do pozytywnych rezultatów. Zaproponowałem w skład Komisji tow. tow. Gomułkę, Szwalbego, Kiernika. Wniosek mój został przyjęty. W pracach tej komisji poważną rolę odegrał tow. Szwalbe.

Po naszych rozmowach byliśmy zaproszeni do ambasadora Kerna. Jechałem na to przyjęcie razem z tow. tow. Gomułką,

Bierutem, Szwalbe i trochę spóźniliśmy się. Na salę wchodziłem z tow. Szwalbe, z którym rozmawialiśmy o jego synie Jerzym w Londynie. Zaraz podszedł do nas Pawłowa — tłumacz Mołotowa i powiedział, iż komisarz Mołotow chciałby porozmawiać z Kołodziejem. Prosiłem tow. Szwalbego aby podszedł razem ze mną do Mołotowa i pomógł mi w rozmowie bo nie znałem języka rosyjskiego. Na to mi tow. Szwalbe odpowiedział: — Idźcie sami, dacie sobie radę, jest tłumacz, to wam pomoże. — Podszedłem do Mołotowa, który stał razem z Wyszyńskim. Tylko zaczęliśmy rozmowę zaraz zjawił się Harriman, który z pewną dozą uszczypliwości powiedział, że bardzo chciałby posłuchać rozmowy Kołodzieja z Mołotowem. Następnie zwrócił się do mnie bezpośrednio i zapytał mnie czy jestem sekretarzem Związku Zawodowego Marynarzy Polskich w Anglii, i ile liczy członków ten związek. Odpowiedziałem mu, że jestem sekretarzem i że liczba członków naszego związku wynosi około 2 tysiące osób. Na co mi Harriman odpowiedział, że to niewiele. W tym momencie Mołotow włączył się do rozmowy i zwracając się do tłumacza — powiedział: — Powiedz mu, że jeden tysiąc marynarzy więcej znaczy niż tysiące takich jak on.

Jeżeli chodzi o mój udział w rozmowach w Moskwie to sprawa miała następujący przebieg.

Po ogłoszeniu uchwał jałtańskich, odbyliśmy posiedzenie egzekutywy PPR w Londynie. Ówczesny sekretarz Rudolf Heller omawiając te sprawy stwierdził, iż wobec tego, że będą zaproszeni przedstawiciele Polaków z Zachodu trzeba będzie ustosunkować się do tego, i że jeżeli chodzi o naszą organizację to pojechać może tylko Kołodziej. Zaproponował również aby wysłać w tej sprawie list do władz partyjnych w kraju. Egzekutywa (tj. J. Katz-Suchy, Lapter, Dora Birnbach i ja) przyjęła propozycję. List został opracowany i wysłany do kraju. Jaką drogą dotarł nie umiem powiedzieć. W liście zawarta była propozycja, aby przy zapraszaniu konsultantów z polskich organizacji demokratycznych z Zachodu wzięta była pod uwagę moja kandydatura.

Rozmawiałem na ten temat później z tow. Kliszko, który powiedział mi, że list dotarł do Kraju i że kierownictwo partii wiedziało o mojej kandydaturze. Stwierdził, iż organizacja „Jedność i Czyn” była jedyną znaczącą się grupą demokratyczną na zachodzie w Anglii, która uznała Rząd Tymczasowy w kraju.

Po jakimś czasie od wysłania listu do Kraju w piśmie angielskim przeczytałem informację, że Mołotow w San Francisco toczy boje z Edenem o zaproszenie na konsultanta obok Mikołajczyka i Stańczyka — Kołodzieja, sekretarza Związku Marynarzy.

Był to sygnał dla mnie, że list dotarł do kraju. Szerzej o tych sprawach mówiłem w relacji jaką złożyłem w 1961 roku, a która znajduje się w Centralnym Archiwum KC PZPR.

(*Antoni KOŁODZIEJ*)

Stwierdzam zgodność niniejszego tekstu z zapisem na taśmie magnetofonowej

*Maria WILUKOWA*

Wykonano w 4 egzemplarzach.

---

RELACJA STANISŁAWA SZWALBEGO  
NAGRANA W CA KC PZPR 29. X. 1974 R.

Byłem jednym z tych, którzy uważali, że trzeba dojść do porozumienia z tzw. londyńczykami dlatego, że byłem zdania i jestem, że my jako lewica PPR i RPPS stanowiliśmy wówczas mniejszość w naszym kraju. Wobec tego od razu jak zaczęły się rozmowy na wysokich szczeblach międzynarodowych na temat tworzenia jakiegoś zjednoczonego rządu polskiego byłem tym, który uważał, że trzeba doprowadzić do porozumienia. Przy tym moje stanowisko było zgodne ze stanowiskiem tow. Bieruta, z którym kontaktowałem się najczęściej. Uważaliśmy, że powinno włączyć się do tego porozumienia możliwie szeroki wachlarz naszego społeczeństwa, oprócz wyraźnych sanatorów i endeków. Jak później się przekonałem to stanowisko było zgodne ze stanowiskiem Stalina.

Bo wbrew temu co się teraz mówi i pisze Stalin uważał, że w Polsce bardzo małe wpływy posiada lewica. Kiedy po przyjeździe do Moskwy zapytałem Stalina komu należy przypisać fakt, iż premierem został Edward Osóbka-Morawski. Jak wiadomo E. Morawski to mój współpracownik w WSM-ie. Ceniąc jego zalety jak uczciwość, bezinteresowność, nie ulega wątpliwości, że w płaszczyźnie wykształcenia i doświadczenia w ruchu nie była to czołowa osobistość, najbardziej predysponowana na premiera. Stalin na to tak mi odpowiedział. Po pierwsze „oni” się guzdrali nim do nas przyjechali. Rzeczywiście tak było, że delegacja z kraju przez dwa miesiące przedzierając się przez front nim dotarła do Moskwy w maju 1944 roku. Jak zauważyliście w tej delegacji nie było w ogóle czołowych przedstawicieli na-

szych partii. Nie było Bieruta, Gomułki nie było i mnie. Byłem wówczas przewodniczącym Rady Naczelnej RPPS. Stalin powiedział: — jechali dwa miesiąca a „nasze” wojska doszły już do Bugu. Była więc to ostatnia chwila, aby stworzyć polską reprezentację. Poprosiłem wówczas Wandę Wasilewską i powiedziałem jej, że premierem powinien być PPS-owiec, młody, nie obciążony różnymi grzechami i garbami. Wanda po dwóch dniach przyszła i powiedziała, jeden jest taki: Osóbka. Zresztą muszę tu powiedzieć, że w Moskwie zaszło nieporozumienie dlatego, że ona się pomyliła co do innego działacza PPS, który przybył do Moskwy z delegacją. Morawski to był pseudonim Jana Hanemana i stąd Stalin powiedział później do mnie dowcipnie to „Oszybka” Morawski, tzn. błąd. Uważał, że dlatego powinien być przedstawiciel PPS — bo lewica PPS ma wprawdzie małe wpływy, a PPR prawie żadne. Takie było zdanie Stalina. W ramach wielkiej swojej polityki uważał, że bardzo daleko w sprawie Polski nie można pójść. Sprawa 17 republiki to byłaby karkołomna polityka, na którą nie chciał w ogóle iść. Chociaż były takie głosy ze strony naszych dogmatyków. Stalin był za rozsądny i stąd koncepcja PKWN i kandydatura Osóbki-Morawskiego. Poczucie, że siłę można mieć, ale samą siłą nie można trwać i kierować, sprawiło, iż na porządku dnia stanęła sprawa szerszego porozumienia politycznego. Zarówno my w RPPS-ie jak i część osób w PPR byliśmy zdania, że trzeba próbować dojść do porozumienia. W świetle stanowiska międzynarodowego to było absolutnie niezbędne m.in. dlatego, że inaczej Zachód nie uznałby rządu polskiego, a rząd taki, który by nie był uznany w skali światowej nie mógłby istnieć. Miał też rację Stalin, gdy powiedział, że „dopóki Warszawa nie będzie stolicą, dopóty nie będzie Polski”.

Wiedząc o tym, że mamy mieć dalsze pertraktacje, zaczęliśmy szukać kontrahentów w kraju i poza krajem. Ja byłem najbardziej predestynowany do tego, dlatego, że miałem — jak mi się wydaje — szacunek u wielu ludzi. Nie tylko u tych, co byli w partii na lewicy, ale byłem jednym z tych nielicznych, który w czasie okupacji miał kontakty z Zygmuntem Żuławskim, który mieszkał w Myślenicach pod Krakowem. Uważałem, że Żuławski, który nie był w WRN, a ma wielki mir wśród członków PPS, powinien być włączony do przyszłego porozumienia. Bierut też się orientował co reprezentuje Żuławski znając go z okresu międzywojennego z działalności spółdzielczej i w ruchu zawodowym. Wydawaliśmy wspólne pismo *Robotniczy Przegląd Gospodarczy*. Bierut uważał, że wszystko trzeba zrobić aby Żuławskiego włączyć do rozmów. Jak już mówiłem, byłem jednym z nie-

licznych, którzy podtrzymywali kontakty w okresie okupacji z Wincentym Witosem. Poznałem go jak rozpoczynałem moją pracę zawodową. Pracowałem wówczas w ministerstwie aprowizacji, które zostało później zlikwidowane — zresztą wbrew opiniom lewicy. Jan Hempel w swojej broszurze o spółdzielczości robotniczej dobrze ocenił moją pracę i stwierdził, że referat aprowizacji robotniczej dzielnie bronił interesów klasy robotniczej. Premierem wówczas był Witos. Znając moje poglądy wiedział, że jestem realnym kontrahentem. Z mego punktu widzenia Żuławski i Witos byli niezbędnymi partnerami. Dalej uważałem, że dobrze by było, aby ktoś reprezentował środowisko profesorskie, m.in. prof. Krzyżanowski z Krakowa. To były te główne postacie, które moim zdaniem powinny uczestniczyć w rozmowach, to było uzgodnione z Bierutem. W tym względzie Gomułka za mało był zorientowany w tych sprawach i nie odgrywał roli w tym „dobrze”. Jednocześnie szło o to, aby była również reprezentacja z emigracji. Wiedząc, iż nie wszyscy Polacy na emigracji są zwolennikami tzw. Londynu uznaliśmy, że trzeba znaleźć kogoś z lewicy, a był tam właśnie tow. Kołodziej. Była to druga kandydatura. Pierwszym kandydatem był działacz WSM-u, były członek zarządu, inż. Juliusz Zakowski. On już miał wszystko przygotowane do wyjazdu. Jak mi później tłumaczył, wywierano na niego naciski. M.in. przyjeżdżał do niego Kwapiński, który mówił mu, że jak wyjedzie, to osłabi pozycję rządu londyńskiego. Mimo to, że wiedzieli o tym, iż on nie posiada partyjnych nastawień, ale wyjeżdżając złamie front i osłabi ich pozycje. Tak się tłumaczył, że pod naciskiem nie wyjechał. W tym momencie, jak to się organizowało, nie wiedział, że ja i Tołwińska odgrywamy jakąś w tym rolę.

W ten sposób, po wycofaniu się Zakowskiego, historyczną postacią został tow. Kołodziej. Wiedzieliśmy, że był on związany z lewicą w Gdyni w okresie międzywojennym i że nas nie zawiedzie.

W PPR były podzielone zdania. Jeżeli chodzi o Bieruta, to on był bardziej realny i uważał, że trzeba dojść do porozumienia. Gomułka był mniej realny wbrew temu, co mu zarzucali, że był prawicowcem i miał odchylenie. Myślę, że Bierut miał lepszą orientację w środowiskach niekomunistycznych. Jako spółdzielca stykał się z różnymi środowiskami. Jego nie „peszyło to, aby rozmawiać z bardzo szerokim wachlarzem”.

Jeżeli chodzi o Witosa, to — kiedy nastąpiło moje spotkanie z nim — był bardzo chory. Zapytałem się go, jak zapatruje się i ustosunkowuje się do całej sprawy. Odpowiedział mi, że „nie

pała miłością do bolszewików”, ale jest realnym człowiekiem i uważa, że „oni” są faktyczną siłą i trzeba z nimi dogadać się.

Zorientowałem się, że był bardzo negatywnie nastawiony do zachodnich aliantów. W okresie Monachium przebywał w Czechosłowacji i pozostawał w bliskim kontakcie z rządem czechosłowackim i dlatego nie wierzył Zachodowi, który zdradził Czechosłowację. Mikołajczyk zaś nie wierzył w to, żeby Anglia i Francja zgodziły się, aby komuniści rządili w Polsce. On naprawdę wierzył w to, że będzie wojna o Polskę. Jak widać z tego, co mówiłem, Witos był przygotowany do jakiejś ugody. Dlatego muszę stwierdzić, iż bardzo pozytywną rolę w naszych pertraktacjach w Moskwie odegrał Kiernik Władysław, który reprezentował Witosą. Zresztą on sam też był realistą. Dobrze opisał sprawę Drohojowski w swoich wspomnieniach — był sekretarz w gabinecie Mikołajczyka, następnie ambasador w Meksyku. Bardzo rzetelnie opisał wiele spraw z tych pertraktacji, lepiej niż to, co zawarte zostało w oficjalnym protokole i w tym co opisał prof. Kowalski.

Po przyjeździe do Moskwy odbyliśmy rozmowy. Ja, Bierut i Osóbka. Byliśmy zorientowani, że będzie zasięgnięta opinia Polaków demokratów w kraju i na emigracji — bez sanacji i decyzji. Oczywiście popełniliśmy błędy odtrącając wielu ludzi. To czego nie mogę sobie darować, to utracenie wiciowców. Kiernik był za ugodą oraz Stańczyk, z którym rozmawiałem oddzielnie w Moskwie. Była taka pogłoska o nim, że przywiózł do Moskwy dużo bagaży, co miało świadczyć o tym, że nie chce wrócić do Londynu.

W czasie naszych pertraktacji, wbrew temu co pisze się w protokole z narad, bardzo małą rolę odegrał Gomułka. U Stalina najważniejszy był „szczyt”, następnie szczebel, ministrowie spraw zagranicznych USA, Wielkiej Brytanii i ZSSR, ambasadorzy tych krajów, a dopiero później nasza komisja trzech, tj. Gomułka, Kiernik i ja. Faktycznie, tak naprawdę mówiąc, nie wiem czy to taka wielka zasługa historyczna, zorganizowanie Rządu Jedności, bo różnie do tego można podejść, ale tym akuszerem to byłem ja.

Gdyby nie moje pośrednictwo i łągodzenie — przy porywczoci Gomułki — to rozmowy byłyby bardzo utrudnione. Oczywiście dzisiaj wielu szczegółów już nie pamiętam, m.in. tow. Kołodziej w czasie naszej rozmowy przypomniał, że w czasie pertraktacji w Moskwie, siedziałem koło niego — ja tego faktu nie pamiętam. Było faktem, że wiele spraw załatwiano się przez Bieruta i przy pomocy oddzielnych rozmów z tow. z PPR. Wielu



ludzi z PPR w Moskwie miało takie nastawienie, że kto przyjechał z Londynu był zarazony. Muszę powiedzieć, że H. Minc był wybitnym umysłem i w Moskwie to stwierdziłem w wielu rozmowach, jak i później w kraju. Gdyby były inne warunki w PPR, gdyby nie było tak, że w każdej sprawie były jednoosobowe decyzje, może z nim byłaby inna sytuacja. W polityce ekonomicznej było tak, że w PPR nie miał nikt nic do powiedzenia poza Mincem. Nawet Bierut w pewnych sprawach, o których ja wiedziałem, był innego zdania. Jak wiecie, Bierut był przeciwny likwidacji spółdzielczości, a Minc prowadził politykę likwidacyjną (bitwa o handel, przedsiębiorstwa państwowe itp.).

W czasie naszych dyskusji w Moskwie kłopoty były wielkie — bo przecież nie szło tylko o podział tek ministerialnych — a cała dyskusja szła o interpretację, czy to ma być nowy rząd, czy to ma być reorganizacja czy uzupełnienie istniejącego w Warszawie? Ale faktycznie było tak, że myśmy dokooptowali do rządu. Oni — Londyn — dostali wicepremiera, ministra administracji, ministra rolnictwa i łączności. Liczyli jeszcze na Thugutta juniora, który odmówił i nie przyjechał — także pod naciskiem londyńskim.

Jak już o tym mówiłem, z ludowcami nie umieliśmy dobrze współdziałać. Straciliśmy bardzo dużą ilość radykalnych ludowców, którzy odgrywali bardzo poważną rolę w okresie międzywojennym. Ale to już był taki okres początkujących błędów i wypaczeń.

Jeżeli chodzi o program działalności, to się godził Mikołajczyk z nim, bo przecież program PKWN był bardzo umiarkowany. Program PKWN był umiarkowany, bo też był i Stalin wówczas „umiarkowany”. Wszystkie z nim rozmowy i jego porady szły w tym kierunku, aby nie spieszyć się, nie odstraszać ludzi, że warunki muszą dojrzeć w Polsce itd. Oczywiście on rewolucję rozkładał na etapy i pod tym względem był ostrożny. Program był więc do przyjęcia dla wszystkich. Uważam, że nie było tutaj wielkiej chęci do porozumienia ze strony Mikołajczyka, była to konieczna ugoda z musu. Po przyjeździe do Warszawy widać było to po jego powitaniu. Witano go jak zwycięzcę. Bo jednak londyńczycy musieli się zgodzić na te warunki jakie zostały im zaproponowane. Mogli tylko zawrócić i czekać na wojnę, na którą by się nie doczekali.

Później w kraju odegrał tow. Zambrowski bardzo niedobłą rolę, jeżeli chodzi o wszelkie próby porozumienia, paraliżował swoim stanowiskiem jakiegokolwiek wysiłki — tak było m.in. przed wyborami, gdy sprawa szła o procenty, oni chcieli 35 % a dawano im mniej. Ale to są inne sprawy, a na ocenę ich nie jest pora.

Jak prowadziliśmy rozmowy, to najwięcej uwagi poświęcało się praktycznej działalności — mniej programowi.

Po rozmowach Gomułka i ja złożyliśmy sprawozdanie naszym grupom, tj. PPR i RPPS. Były kontakty z Żuławskim i Stańczykiem, którzy nie reprezentowali formalnie naszych krajowych organizacji, ale na których głos liczyliśmy w kraju.

Były też głosy, że my jako PPS nie zabezpieczyliśmy dobrze naszych partyjnych interesów w tej nowej koalicji. PPR i PPS miały wspólne obrachunki, ale jak wiadomo były też problemy wewnątrz każdej partii.

Towarzysze z PPR byli jeszcze oddzielnie przyjmowani przez kierownictwo KPZR. Nawet były oddzielne nocne rozmowy „rodaków” ze Stalinem, co przed nami nie mogło się ukryć. Ale jego stanowisko było oczywiście takie, że trzeba dojść do porozumienia, i w tym kierunku wpływał na towarzyszy z PPR.

PYTANIE: — Czy były prowadzone rozmowy między grupami PPR a RPPS i czy były jakieś różnice zdań w szczegółowych sprawach?

Były różnice zdań, bo jeżeli idzie o RPPS, którą reprezentowałem, to była bardziej ugodowa i dążyła do porozumienia w płaszczyźnie krajowej i międzynarodowej. W PPR były większe opory i inna ocena sytuacji w kraju. Myśmy uważali, że jesteśmy małą grupą i że nie mamy za sobą większości narodu. PPR uważała nie tyle, że mają większość, ale że są silni i że mogą narzucić tamtej stronie więcej niż to może uczynić PPS. M.in. ja reprezentowałem pogląd, że należy koniecznie dojść do porozumienia z Czechosłowacją. Towarzysze z PPR uważali, że można Czechosłowacji pokazać pięść i pokazywali. Nawet Żymierski zmobilizował przeciw niej część armii.

Ja miałem informację, że Stalin zawarł cichą ugodę z Czechosłowacją, że otrzyma granicę sprzed okresu monarchijskiego.

PYTANIE: — Jakie stanowisko zajmował Z. Żuławski?

Żuławski zajmował stanowisko, że należy dojść do porozumienia. Podkreślał tylko, że on jest zwolennikiem integralnej demokracji i że on będzie domagał się szybkich i rzetelnych wyborów.

Kiedyś rozmawiałem z nim, niedługo po przykrych wypadkach kieleckich, i powiedziałem mu, co by było jeżeli w Polsce w wyniku wyborów władzę sprawowałaby większość kielecka. On na to odpowiedział, że trudno jeżeli w Polsce jest większość ludności

za hitlerowcami (endekami), to Polska musi przejść przez okres hitleryzmu, że nie widzi innej szkoły wychowawczej. Żuławski był bardzo później rozczarowany, bo deklarowanego szybkiego przeprowadzenia wyborów nie zrealizowano. Dla niego kartka wyborcza była decydująca. On naprawdę wierzył, że jeżeli będzie w sejmie, to będzie walczył o tę „prawdziwą demokrację”.

W czasie mego pobytu w Moskwie, w rozmowie ze mną, Stalin dał wyraz temu, że jest bardzo przychylnie nastawiony do Roosevelta a przeciwny Churchillowi. Powiedział mi, że rozmawiał z Rooseveltem i deklarował mu, że chce silnej demokratycznej Polski. Roosevelt po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych powtórzył to stanowisko i stwierdził, że są zgodni ze Stalinem. Dalej Stalin dodał, iż nie ukrywał, że dla niego najwyższą formą demokracji jest dyktatura proletariatu. Z tego widać tę różnicę podejścia do tych spraw.

(Stanisław SZWALBE)

Stwierdzam zgodność niniejszego tekstu z zapisem na taśmie magnetofonowej..

(podpis nieczytelny)

Wykonano w 4 egzemplarzach.

---

## ROZMOWA PREZESA STANISŁAWA MIKOŁAJCZYKA Z GENERAŁEM WŁ. ANDERSEM W DNIU 24 LUTEGO 1945 ROKU<sup>1</sup>

Rozmowę z gen. Andersem poprzedziła kilkakrotna interwencja dr. Retingera, który namawiał, aby koniecznie przyjąć gen. Andersa. Prezes Mikołajczyk powiedział dr. Retingerowi, że nie widzi potrzeby tej rozmowy, albowiem obawia się, że poglądów swych z gen. Andersem nie uzgodni, wobec czego rozmowa będzie bezprzedmiotowa.

Z dwóch innych stron równocześnie zabiegano o spotkanie z gen. Andersem. Obaj pośrednicy stawiali to jako potrzebę polityczną. Obydwóm prezes Mikołajczyk odpowiedział, że nie widzi żadnej potrzeby rozmawiania na tematy polityczne z gen. Andersem, jako wojskowym.

W końcu prezes Mikołajczyk zgodził się przyjąć gen. Andersa

---

1. Notatka Stanisława Mikołajczyka z rozmowy z gen. Andersem z dnia 25 lutego 1945 (ze zbioru Stanisława Mikołajczyka w Instytucie Hoovera, Stanford University, California.

za cztery dni i rozmowa doszła do skutku w sobotę dnia 24 lutego 1945 r. o godz. 4-tej po południu.

*Gen. Anders:* po przybyciu z miejsca zagał rozmowę oświadczeniem, że przybył prosić prezesa Mikołajczyka, by nie wyjeżdżał na konferencję do Moskwy. Ktokolwiek inny pojedzie — to się nie liczy, jednakowoż wyjazd Pański — Panie Prezesie — Polsce nie pomoże, a rządowi na emigracji zaszkodzi. Rosja ma swoje cele imperialistyczne zawojowania całego świata i ich się nie wyrzeknie. Na nieszczęście nie rozumieją tego Anglicy i nie rozumie tego Churchill. Wobec tego do wojny obecnie nie przyjdzie. Jednak wojna ta jest nieunikniona, nawet gdyby Anglicy i Amerykanie jej nie chcieli. Dlatego nie tylko nie należy wracać do Polski, ale trzeba będzie przygotować przyjęcie dla dwóch milionów Polaków z Niemiec i kilku milionów Polaków z Polski, którzy będą uciekali za granicę. W krótkim czasie Sowiety pokażą swój cel i wtedy musi dojść do starcia z całym światem, czy to się będzie Anglii podobało, czy nie. Żle się stało, że prezydent i rząd w Londynie nie przyjęli mojej — mówi gen. Anders — sugestii i nie zgodzili się na moją propozycję wycofania Armii Polskiej z frontu. Byłby to godny i jedyny protest realny przeciw Konferencji Krymskiej. Będę się starał jeszcze przekonać prezydenta i rząd. Sam nie wiem, co mam robić. Churchill nie zgadza się z moim poglądem, a ja wiem, że tak będzie, że w krótkim czasie musi dojść do starcia. Będę w przyszłą środę u Churchilla i wyraźnie będę chciał z nim przedyskutować przyszłość naszej Armii na obczyźnie i sposób jej zatrzymania i utrzymania. Moje dalsze postępowanie uzależniam od tego, czy otrzymam od Churchilla dostateczne zapewnienia.

*P. Mikołajczyk:* ze swej strony uważa rozumowanie gen. Andersa za błędne i fałszywe. Nie wolno nastawiać naszego wojska na to, że nigdy nie wróci do Kraju, że musi utrzymywać się za granicą, a więc tym samym walczyć dla obcych na obcym terytorium po zakończeniu wojny w Europie. Przewiduję, że to będzie najtragiczniejszy moment, o którym jeszcze w zeszłym roku mówiłem na Radzie Narodowej, twierdząc wówczas:

„dzisiaj, być może, żołnierz podniecony agitacją 'zdrajca' strzelałby do mnie; kiedy się wojna w Europie skończy i kiedy mu będą kazali iść na inne fronty, a nie wracać do Kraju — będzie strzelał swych oficerów...”.

Dlatego więc polityka wojska powinna iść pod hasłem „wszyscy wracamy do Kraju” i walka powinna iść w tym kierunku, by ich powrót, ich bezpieczeństwo i możliwość życia w Polsce w wolności były zabezpieczone. Moja polityka idzie w tym kierunku. Czy się to uda — czas pokaże. Natomiast politykę, idącą w tym kierunku, że nie wolno nam wracać do Kraju, albo wolno wracać tylko tym, którzy będą tego chcieli, a całość powinna zostać,

walczyć na innych frontach pozaeuropejskich i czekać na moment, aż świat cały pójdzie przeciwko Rosji — taką politykę uważam za szkodliwą i niepatriotyczną.

*Gen. Anders:* żegnając się, jeszcze raz zapewnia prezesa Mikołajczyka, że uważa iż prezes Mikołajczyk działa z pobudek patriotycznych, że nigdy nie zgadzał się z tymi, którzy to nazywali „zdradą”, tym niemniej jednak jest pewny, że wbrew woli Anglii i Ameryki w krótkim czasie stanie się wiadome, do czego Rosja dąży i chcąc nie chcąc, świat cały pójdzie przeciwko Rosji.

---

## ROZMOWA Z MIKOŁAJCZYKIEM<sup>2</sup>

Największą obawę prezydenta Rzeczypospolitej i rządu polskiego budziły posunięcia byłego premiera Mikołajczyka. Mimo oświadczenia, w chwili utworzenia rządu pod przewodnictwem Arciszewskiego, że on i Stronnictwo Ludowe, nie wchodząc w skład rządu, będą jednak udzielały poparcia jego działaniom na rzecz obrony praw Polski, było widoczne, że Mikołajczyk zmierza do stworzenia osobnego toru dla swej polityki i że da się użyć do wzięcia udziału w nieprawym tworzeniu rządu w Polsce. Byłem zdania, że udział Mikołajczyka nie wpłynie dodatnio na rozwój wypadków w Polsce, ułatwi natomiast zadanie Rosji przez stworzenie fałszywych pozorów współpracy polskiej.

24 lutego 1945 na zlecenie prezydenta odwiedziłem Mikołajczyka w jego mieszkaniu prywatnym. Odbyła się tam następująca rozmowa.

**ANDERS:** — Przyjechałem, by pomówić z panem i odwieść go od zamiaru wyjazdu do Polski. Pragnę powiedzieć panu, że popełnia pan nie tylko wielki błąd, ale że wyrządza pan wielką krzywdę sprawie polskiej. Rozumiem dobrze trudne położenie, w jakim się pan znajduje. Wiem, że był pan pod naciskiem naszych sprzymierzeńców, a w szczególności Churchilla. Zdaję sobie sprawę także z obecnych trudności Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w stosunkach z Rosją sowiecką. Moim zdaniem, powrót pana do Polski i udział w rządzie nic nie zmieni. Ma pan za duże nazwisko, by dawać swą zgodę na nowy rozbiór Polski. Obecne i przyszłe pokolenia będą pana za to przeklinały. Opinia świata będzie wprowadzona w błąd, choćby przez propagandę sowiecką, że wszystko co się dzieje, dzieje się za zgodą Polaków. Zwiedzie pan także społeczeństwo w Kraju, które na

---

2. Sprawozdanie gen. Andersa z tej samej rozmowy znajduje się w jego pamiętnikach, *Bez ostatniego rozdziału* (Wyd. V, Londyn, 1979), str. 316-318.

pewno liczy na pana jako na przedstawiciela Polski za granicą, przekonane, że ma pan pomoc i poparcie sojuszników. Rozumie pan, że tej pomocy sojusznicy nie mogą obecnie udzielić. Według z góry już ułożonych planów będzie przeprowadzana sowietyzacja Kraju. Na bieg wewnętrzny spraw w Polsce nie będzie pan miał żadnego wpływu, przeciwnie, stopniowo będą pana likwidowali. Postanowienia Jałty są zbrodnią popełnioną na narodzie polskim. I do tej zbrodni my Polacy, a także i pan, ręki przykładać nie możemy.

MIKOŁAJCZYK: — Myli się pan, generale, bo jestem głęboko przekonany, że przyczynię się do tego, że Polska zachowa niepodległość. Mam obiecaną pomoc prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla. Uważam, że Rosja sowiecka musi się z tym liczyć. Za ziemie na wschodzie mamy otrzymać odszkodowanie w postaci staropolskich ziem aż po Odrę. Uważam, że Stalinowi zależy na tym, aby Polska była silna, o czym sam niejednokrotnie mówił. Mam głębokie przeświadczenie, że wybory udowodnią, jak duże poparcie znajdę w Polsce. Po ich przeprowadzeniu zostanie utworzony rząd demokratyczny.

ANDERS: — Mówiłem panu, że nie wierzę w pomoc Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, zwłaszcza po ostatnich postanowieniach Jałty. Przez oddanie Lwowa i Wilna tracimy ziemie polskie, za które przelaliśmy tyle krwi. Zostajemy całkowicie odcięci od Rumunii i Węgier. Będziemy zdani na łaskę i niełaskę Rosji sowieckiej. Pan przecież nie zna Rosji. Nie zna pan nawet ich języka ani umysłowości. Zawsze wybiorą Bieruta jako swojego starego i wypróbowanego agenta, nigdy pana. Już w roku 1941 Stalin wielokrotnie mówił, że chce Polski silnej i niepodległej. Czy Polska może być silna bez Lwowa i zagłębia naftowego? Jak może być silna, jeżeli Rosja zabiera nam Wilno, usadawia się na Litwie i, jak słychać, w Prusach Wschodnich? A co do niepodległości, to przecież miał pan do czynienia z ludźmi komitetu lubelskiego i rozumie pan dobrze, że nie chodzi im o dobro Polski, lecz że będą wykonywali jedynie rozkazy z Moskwy.

MIKOŁAJCZYK: — Nie mogę się zgodzić z panem, bo z Rosją sowiecką musimy być w zgodzie. Rosja na długie lata będzie rządziła w Europie wschodniej. Rosja sama ma wiele trudności i dlatego będzie jej zależało, by mieć prawdziwie przyjazny sobie naród polski. Tę przyjaźń możemy dać Rosji tylko my, a nie Bierut z Komitetem. Rosja przekona się po wyborach, kto ma prawdziwe wpływy w Polsce.

ANDERS: — Łudzi się pan co do wyborów. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że dostałby pan poparcie nie tylko ludzi swego stronnictwa, ale i wszystkich rzetelnych Polaków, choćby dlatego, by ukazać ich prawdziwy stosunek do Rosji sowieckiej.

Właśnie wskutek tego przekonany jestem, że wybory będą tak samo sfałszowane, jak były ongi na naszych ziemiach wschodnich w roku 1939. Narazi pan tylko ludzi w Kraju. Niech pan nie zapomina, że komunizm chce panować nad światem. Dlatego komuniści nie pozwolą nigdy na najmniejsze usamodzielnienie się Polski. Obawiam się, że w trzy miesiące po sfałszowanych wyborach może pan znaleźć się w kryminale, a może nawet w mojej byłej celi na Łubiance, jako zdrajca narodu i szpieg. Gorzej, jestem pewien, że pan się wtedy do tego przyzna. (Nastąpiła przerwa w rozmowie. Widziałem, że słowa moje nie odnoszą skutku. Wstałem i dodałem): Żałuję bardzo, że nie umiałem pana przekonać, ale to wszystko, co chciałem panu powiedzieć.

Było to moje ostatnie spotkanie z byłym premierem Mikołajczykiem przed jego późniejszym wyjazdem przez Moskwę do Polski.

---

## DOKUMENTY Z PUBLIC RECORD OFFICE

(Wybrała i przetłumaczyła J.J.)

### TELEGRAM Z RZYMU DO FOREIGN OFFICE

PRO. FO 371/56463/878

Sir. N. Charles<sup>1</sup>

Nr 94

18 stycznia 1946

Kopia do: Biura Resmed Caserta<sup>2</sup>

Warszawa

**WAŻNE**

Warszawa telegram nr 40 do Was

Hopkinson<sup>3</sup> donosi co następuje.

**ŚCIŚLE TAJNE**

#### 1. Stworzenie Polskiego Biura Opieki Społecznej<sup>4</sup> w tutejszej

---

1. Sir Noel Charles był ambasadorem brytyjskim w Rzymie.

2. Resmed's Office Caserta był Biurem Ministra i Doradcy Politycznego przy dowództwie brytyjskim w rejonie śródziemnomorskim.

3. Henry Hopkinson był Deputy High Commissioner w ambasadzie w Rzymie.

4. Polskie Biuro Opieki Społecznej przy ambasadzie brytyjskiej w Rzymie.

ambasadzie przyczyniło się do nawiązania bardzo bliskich kontaktów między niektórymi członkami personelu a gen. Andersem i Drugim Korpusem Polskim i pozwoliło im dowiedzieć się wiele o tym co się dzieje wśród polskich żołnierzy we Włoszech. Sir N. Charles również spotyka się regularnie z gen. Andersem i prof. Kotem i próbował utrzymać dobre stosunki między nimi. Gen. Anders często wyrażał swoje zaufanie do Sir N. Charlesa i obecnie, przez polskiego oficera łącznikowego, z którym ambasada utrzymuje kontakt, złożył wstępną propozycję skorzystania z pośrednictwa ambasadora w celu rozwiązania bieżących problemów. Krótko mówiąc, uważam że za pośrednictwem Sir N. Charlesa gen. Anders chciałby nawiązać kontakt z panem Mikołajczykiem. Jak wynika z telegramu nr 335 z Warszawy z dn. 26 grudnia 1945<sup>6</sup>, rząd polski jest przekonany, że taka łączność może już istnieć i ma nadzieję obciążyć tym Mikołajczyka. Jednakże zapewniono mnie, że taki kontakt nie istnieje.

2. Gen. Anders jest w kołach polskich uważany za probrytyjskiego, nawet za zbyt [probrytyjskiego]. Przed wojną nie mieszał się do polityki i nie należał do ugrupowania piłsudczyków. Jest on przede wszystkim żołnierzem, o bardzo wysokim poczuciu obowiązku i honoru. Jednakże ma wokół siebie kilku oficerów z frakcji piłsudczykowskiej, którzy wykorzystują jakiegokolwiek oznaki brytyjskiego nastawienia wobec Polskich Sił Zbrojnych, by skłonić generała do przyjęcia reakcyjnej, nacjonalistycznej polityki. Tylko lojalność generała wobec nas i jego osobisty autorytet wśród wojska zapobiegają rozszerzaniu się tych antybrytyjskich tendencji w Korpusie. W czasie tworzenia Polskiego Rządu Tymczasowego ci reakcyjni oficerowie od razu napiętnowali p. Mikołajczyka jako zdrajcę z powodu jego wstąpienia do tego rządu i, wydaje się, że gen. Anders przez jakiś czas podzielał ten pogląd. W każdym razie był jeszcze pod znacznym wpływem opinii tej reakcyjnej kliki, że wojna między Rosją i demokracjami zachodnimi była nieunikniona i w rzeczywistości stanowiła jedyną nadzieję dla Polski. Teraz gen. Anders jest przeświadczony, możliwe, że w wyniku ostatnich rozmów z Sir Charlesem, że to nie jest tak i że ratunku dla Polski trzeba szukać gdzie indziej. Obecnie jest przekonany, że p. Mikołajczyk jest jedyną czołową osobistością wciąż pozostającą w Polsce, która naprawdę walczy z komunistami.

3. Wszystkie informacje przywiezione do Włoch przez nieustannie napływających uchodźców z Polski stwarzają wrażenie, że p. Mikołajczyk może liczyć na rosnące poparcie w Polsce. Jak się twierdzi, w wolnych wyborach otrzymałby on 90% głosów dla swego stronnictwa [tzn. PSL — autor]. Zauważyłem, że korespondent *Times'a* w swych artykułach ocenił tę liczbę na

---

5. Telegram nr 335 nie znajduje się w dostępnych zbiorach brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.



co najmniej 60%. W tej sytuacji generał, który jedynie chciałby służyć jak najlepiej interesom Polski uważa, że powinien popierać Mikołajczyka wszelkimi dostępnymi mu środkami. Nie wiem, jak daleko jest gotowy się posunąć, ale wnoszę, że w tej chwili chodzi mu tylko o to, ażeby nawiązać kontakt z Mikołajczykiem, aby dowiedzieć się, co ma mu do zaproponowania. Jednakże generał nie chce sprawiać wrażenia, że inicjatywa wyszła od niego z powodów wewnętrznoadministracyjnych, a także ponieważ w tej chwili nie bardzo wie, co jest pożądane. Nie życzy sobie także, aby oficjalnie podano, że kiedykolwiek zgłosił taką propozycję. Jeżeli uważa Pan, że tę sprawę warto poprzeć, może poleciłby Pan Sir N. Charlesowi po jego powrocie rozmowę z generałem i zaproponowanie ostatecznej linii postępowania. Oczywiście tymczasem żadne opinie nie zostały przedstawione przez członków personelu ambasady żadnemu oficerowi polskiemu.

4. Chciałbym podkreślić, iż gdyby gen. Anders został zwolniony z dowództwa, a Korpus podzielony, jak sugeruje się w liście Pańskiego wydziału do War Office nr 16765/123/55 z dn. 6 stycznia (1946), dowodzenie jego składowymi częściami pozostałoby wyłącznie w rękach tej właśnie grupy starszych oficerów o wojowniczym nastawieniu, których wpływ na generała był źródłem jego niezłomności w przeszłości. Ci oficerowie bądź straciliby wtedy kontrolę nad swymi jednostkami z wynikającym z tego buntem i zamieszkami, bądź udałoby się im podporządkować je swej polityce. Żadna z tych możliwości nie leżałaby w interesie polityki brytyjskiej we Włoszech. Z drugiej strony, jeśli w świetle jakichkolwiek rokowań z p. Mikołajczykiem gen. Anders zadecyduje, że najkorzystniejszy byłby powrót jego żołnierzy do Polski, mógłby on być gotów do wydania rozkazu dziennego, który — gdyby nawet faktycznie nie zachęcał do repatriacji — nie byłby jej przeciwstawiony. Taki rozkaz osiągnąłby więcej z punktu widzenia przywiązania żołnierzy do generała niż wszystkie propagandowe wysiłki rządu polskiego, a także umocniłby powody brytyjskie do utrzymania generała jako dowódcy.

5. Oczywiście nie znam wszystkich szczegółów polskiej sytuacji, ale w pełni doceniam trudności związane z podejściem gen. Andersa. Zdaję sobie także sprawę z tego, że ten nowy obrót sprawy (który przekazuję Panu ze wszystkimi zastrzeżeniami) może być najwyższej doniosłości, jeśli jego wynikiem będzie repatriacja znacznej większości żołnierzy polskich we Włoszech, to z pewnością ulży to naszym problemom tu na miejscu.

6. Chciałbym podkreślić, że ze względu na bardzo wstępny charakter propozycji generała, sprawa ta powinna być traktowana na razie z zachowaniem pełnej dyskrecji.

## TELEGRAM Z FOREIGN OFFICE DO RZYMU

PRO. FO 371/56463/878

Nr 94

22 stycznia 1946

Kopia do: Biura Resmed Caserta nr 113

Warszawa nr 150

**WAŻNE**

**ŚCIŚLE TAJNE**

Na Wasz telegram nr 94 (z 18 stycznia: dot. gen. Andersa).

Dla Hopkinsona.

1. Cała polityka odnośnie Polskich Sił Zbrojnych zostanie przedstawiona Gabinetowi (do rozwiązania). Tymczasem nie powinien Pan dawać gen. Andersowi jakiegokolwiek (powtarzam żadnej) zachęty odnośnie jego propozycji nawiązania kontaktu z p. Mikołajczykiem.

2. Co do poglądów ambasadora Jego Królewskiej Mości w Warszawie, to mam bardzo poważne wątpliwości, czy p. Mikołajczyk byłby gotów lub skłonny do podjęcia tak wielkiego ryzyka związanego z nawiązaniem kontaktu (z gen. Andersem). Byłoby bardzo niefortunnie, gdyby generał Anders uczynił jakikolwiek publiczny gest sympatii w stosunku do p. Mikołajczyka, którego politykę popiera rząd Jego Królewskiej Mości. Kardynalnym punktem tej polityki są dobre stosunki z Rosją i powiązanie z gen. Andersem byłoby zdecydowanie na rękę jego komunistycznym przeciwnikom i prawdopodobnie skłoniłoby rząd sowiecki do zrobienia wszystkiego co tylko jest w jego mocy ażeby zapobiec sukcesowi Mikołajczyka w wyborach.

---

## TELEGRAM Z WARSZAWY DO FOREIGN OFFICE

PRO. FO 371/56463/1221

Mr. Cavendish Bentinck<sup>1</sup>

Nr 155

25 stycznia 1946

Kopia do: Rzymu

• Biura Resmed Caserta

**WAŻNE**

**ŚCIŚLE TAJNE**

Dot. telegramu nr 94 z Rzymu i waszych telegramów 150 i 151<sup>2</sup>.

1. Mr. Cavendish Bentinck był ambasadorem brytyjskim w Warszawie od sierpnia 1945 do lutego 1947 r.

2. Telegramy: Rome telegram nr 94 zob. dokument FO 371/56463/878; telegram nr 150 jest kopią tego telegramu do Warszawy; telegram nr 151 jest telegramem z Foreign Office do ambasady w Warszawie, zwracającym uwagę na telegram nr 94.

1. W swym wystąpieniu na ostatnim Kongresie Polskiego Stronnictwa Ludowego p. Mikołajczyk wystąpił bardzo ostro przeciwko gen. Andersowi<sup>3</sup>. Stwierdził, że zarówno on jak i gen. Sikorski byli przeciwni pogarszaniu stosunków ze Związkiem Sowieckim przez armię gen. Andersa i odciął się zdecydowanie i ostatecznie od gen. Andersa.

2. Wczoraj wieczorem w trakcie rozmowy z p. Kiernikiem, ministrem Administracji Publicznej i zastępcą Mikołajczyka w Polskim Stronnictwie Ludowym, wspomniałem opinię p. Mikołajczyka w stosunku do gen. Andersa, zawartą w niedawnym wystąpieniu i powiedziałem, że wydaje mi się, iż p. Mikołajczyk chciał pokazać rządowi sowieckiemu, że jest i był przeciwny antysowieckim działaniom generała. P. Kiernik odpowiedział, że jest to słuszne przypuszczenie i równocześnie stwierdził wyraźnie, że p. Mikołajczyk nie chciałby mieć nic wspólnego z generałem Andersem, który — jak uważa — splamił się podobnie jak generał Sosnkowski i poprzedni członkowie frakcji piłsudczykowskiej, chociaż zgodził się z faktem, że w przeszłości gen. Anders nie mieszał się do polityki.

3. Jest godne pożałowania, że w przeszłości gen. Anders pozwolił polskiej prasie we Włoszech dać upust gwałtownym atakom na p. Mikołajczyka i nie jestem zaskoczony, że ten ostatni w końcu odpowiedział ( na te ataki). Obawiam się, że zbyt późno gen. Anders zdał sobie sprawę z tego, że Mikołajczyk nie jest zdrajcą z powodu swego wejścia do Polskiego Rządu Tymczasowego.

4. Zgadzam się z poglądami wyrażonymi w Pańskim telegramie nr 150 i uważam, że byłoby niestosowne, gdyby gen. Anders dał jakiegokolwiek publiczne wyrazy sympatii wobec p. Mikołajczyka. Odradzałbym wszelkie nasze próby pośredniczenia pomiędzy gen. Andersem i p. Mikołajczykiem.

---

3. Mikołajczyk w swoim przemówieniu na Kongresie PSL w styczniu 1946 powiedział na temat gen. Andersa: „... uważamy gen. Andersa za moralnego sprawcę śmierci gen. Sikorskiego”.

## OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA (opracował)

### FRANCUZI O STANISŁAWIE KOCIE, AMBASADORZE PRL W RZYMIE

W wyniku umowy Sikorski - Majski z 30 lipca 1941, prof. Kot został mianowany ambasadorem rządu polskiego w ZSSR. Jesienią 1942 roku prof. Kot opuszcza Kujbyszew, gdzie mieściła się wówczas siedziba ambasady polskiej, podobnie jak i innych placówek dyplomatycznych. Po kilkumiesięcznym pobycie na Bliskim i Środkowym Wschodzie powrócił do Wielkiej Brytanii. Przed powrotem pisał z Kairu do gen. Sikorskiego w liście z 26 lutego 1943: „Bardzo się stęskniłem za Tobą. Wyobrażam sobie, że masz bez końca pracy i przykrości. Środowisko londyńskie, do którego jadę, wydaje mi się jedną z kar czyśćca, to znaczy przejście przez nie zmniejszy sumę cierpień w życiu pozagrobowym<sup>1</sup>”.

W 1945 roku prof. Kot jedzie do Polski, gdzie otrzymuje nominację na ambasadora PRL w Rzymie. Pobyt w stolicy Włoch, sąsiedztwie Watykanu — z możliwością otrzymania błogosławieństwa Papieża i absolucji, otwierał przed Stanisławem Kotem nową perspektywę w jego ziemskiej wędrówce ku wiecznemu zbawieniu...



---

1. *Vide*: Instytut gen. Sikorskiego w Londynie, *Dziennik czynności Naczelnego Wodza*, luty 1943, Załączniki, Część pierwsza, str. 157.

Nieliczne są dotychczas relacje o działalności amb. Kota we Włoszech. Fragmenty, natury bardzo osobistej, zawierają „Wspomnienia” Władysława Minkiewicza w numerze 81 *Zeszytów Historycznych*. Pewnym przyczynkiem są raporty dyplomatów francuskich, jakie znajdują się w archiwach francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu, z których cytuję ustępy dotyczące amb. Kota<sup>2</sup>.

W raporcie z Rzymu z 2 listopada 1945 Georges Balay<sup>3</sup> pisał: „Do Rzymu przyjechał p. Kot, przedstawiciel rządu warszawskiego. Profesor uniwersytetu, nowy ambasador jest, o czym wiadomo w departamencie, jednym z tych mężów stanu, którzy opuścili emigracyjny rząd w Londynie i dołączyli do Warszawy. Głównym celem misji p. Kota jest zjednanie władzom z Warszawy żołnierzy polskich, którzy znajdują się obecnie we Włoszech. Ambasador nie robi sobie iluzji co do trudności, z jakimi spotka się jego misja. Przedstawiciele z Warszawy nie mogą sami występować przy pobieraniu decyzji przez żołnierzy i jedynie oficerowie z 2-go Korpusu są obarczeni przyjmowaniem zgłoszeń chętnych do powrotu do Polski, którzy muszą wówczas podpisać deklarację. Formularze tej deklaracji mają zawierać tego rodzaju wzmiankę: „szkodliwy dla prawdziwych interesów narodu polskiego” (*nuisible aux véritables intérêts de la nation polonaise*). Można się domyślić w jakim duchu przeprowadzane są badania oraz presje, którym poddani są kandydaci na repatriację”.

„Chociaż gen. Anders — mówił mi p. Kot — jest skłonny wyolbrzymiać stan swojej armii, podobnie jak i wierność swoich żołnierzy, p. Kot nie ukrywa, że wielu z tych żołnierzy wzdyga się przed powrotem do Polski, często zresztą z przyczyn zupełnie innych niż te, na które lubi powoływać się dowódca 2-go Korpusu. Niektórzy z tych wojskowych nie zawahaliby się, żeby poczynić starania o powrót do Polski, gdyby mieli zapewnioną możliwość służenia swojej ojczyźnie w tych samych formacjach i z tymi samymi kadrami; dotyczy to szczególnie lotników i marynarzy”.



Miesiąc później G. Balay pisał w raporcie z 3 grudnia: „Pierwszy kontyngent około tysiąca wojskowych polskich, którzy wybrali repatriację wyjechał właśnie z Włoch. P. Kot, ambasador Polski, skorzystał z tej okazji, żeby zorganizować manifestację przy ich wyjeździe na stacji w Rzymie... Toczy się ostatnio polemika, która odbiła się echem w prasie — między sztabem Andersa i ambasadą polską. Ta ostatnia oskarża generała, że

2. *Vide*: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Z Europe 1944-1949, Pologne, Dossiers 29-30.

3. *Minister plénomocny, Chargé de la Délégation française au Conseil consultatif pour les Affaires italiennes.*

powstrzymuje wszelkimi środkami powrót tych ludzi do Polski i chce utrzymać nietkniętą, pod swoimi rozkazami, tę wielką jednostkę, aby igrać z rządem warszawskim. Ze swej strony gen. Anders oświadczył redaktorowi dyplomatycznemu z *International News*, że ambasada polska w Rzymie, przy pomocy tysięcy ulotek rozdawanych w jednostkach wojskowych, podburza ludzi z 2-go Korpusu do dezercji i rewolty.



W następnym raporcie, z 12 stycznia 1946, G. Balay wspomina o gwałtownych polemikach w prasie włoskiej, oraz o różnych wypadkach i rozdrażnieniu ludności w związku z pobytam wojska polskiego we Włoszech, po czym pisze:

„Wzburzenie to kontrastuje ze spokojem ambasadora polskiego p. Kota, którego widzi się coraz częściej w środowisku rzymskim, z niewzruszonym wyrazem twarzy i stereotypowym uśmiechem wschodnim. P. Kot jest optymistą, powtórzył mi to ponownie. W rzeczywistości, powiedział mi, że nie tylko 14.000 Polaków z obozów w Bagnoli i Benevento zostało repatriowanych, ale jeszcze około 20 żołnierzy generała Andersa przyjeżdża każdego dnia do tych obozów. A żołnierze ci, wbrew temu co pretendują emigranci, należą często do elitarnych oddziałów. Istotnie, wczoraj zauważyłem w ambasadzie polskiej całą grupę podoficerów noszących szczytny emblemat VIII-ej Armii”.

„Pan Kot sądzi, że rokowania między Londynem i Warszawą są dość zaawansowane. On myśli, iż w ciągu mniej więcej dwu miesięcy sprawa ma być załatwiona. Wojsko polskie powróciłoby do Polski z bronią i ekwipunkiem. Wojskowi, którzy odmówiliby repatriacji zostaliby zdani na własny los w sytuacji podobnej do tej, w jakiej znaleźli się biali Rosjanie. Gen. Anders wie o tych pertraktacjach i użyłby wszelkiego rodzaju środków, żeby osiągnąć swój cel”.

„Od pewnego czasu Anders miał zwyczaj wysyłać każdego tygodnia samochody do Niemiec, aby zabrać znajdujących się tam polskich żołnierzy, szczęśliwych że mogą opuścić obozy, przywieźć ich do Włoch i wcielić do swojej armii. Brytyjczycy jednak mieli od niedawna położyć kres temu przemytowi. P. Kot twierdzi nawet, iż gen. Anders, żeby zaopatrzyć się w pieniądze miał skonfiskować złote monety, jakie posiadali polscy żołnierze powracający z Bliskiego Wschodu. Akcja ta miała mu przynieść 40.000 złotych funtów.



W archiwach znajduje się jeszcze jeden raport, tym razem ambasadora A. Parodiego<sup>4</sup>, gdzie mowa jest o amb. Kocie w

---

4. Ambasador, *Délégué du Gouvernement provisoire de la République Française* w Rzymie.

chwili, gdy zapadła decyzja demobilizacji 2-go Korpusu. W raporcie tym, z datą 22 marca 1946, amb. Parodi pisze:

„Dzienniki włoskiej lewicy były jedyne, które ogłosiły 21 marca, że rząd brytyjski powziął decyzję demobilizacji oddziałów polskich, szczególnie tych z 2-go Korpusu, które znajdują się we Włoszech... Ambasada Polski w Rzymie nie ukrywa swojej satysfakcji. Obecnie, podczas nieobecności p. Kota, który udał się do Warszawy, jest ona zarządzana przez p. Wyszyńskiego radcę ambasady. Ten zawodowy dyplomata, który całą wojnę przeszedł w Londynie, w ministerstwie Spraw Zagranicznych i dołączył do tymczasowego rządu zaraz po jego utworzeniu, wydaje się mieć lepsze powodzenie niż jego ambasador, który poróżnił się kompletnie z Anglosasami a szczególnie ze swoim kolegą brytyjskim. Stawia się zresztą w Rzymie pytanie: czy p. Kot wróci na swoje stanowisko, czy też będzie powołany — według tego, co się tutaj mówi — przez swój rząd do sprawowania bardzo wysokich funkcji?”

„Tego samego dnia, w którym prasa podała do wiadomości demobilizację 2-go Korpusu, ambasada polska zorganizowała wyświetlanie filmów propagandowych. Frekwencja była bardzo duża. Filmy zainteresowały szczególnie dyplomatów francuskich, włoskich i cudzoziemców, którzy znali Polskę sprzed wojny i których uderzyło to, że w tych filmach odnaleźli tematy i obrazy, jakie podsuwał im niegdyś pod oczy dział propagandy pułkownika Becka: takie same fotografie z wojny, gdzie widzi się armaty ciągnięte końmi i szarże ułanów w tumanach kurzu; takie same sceny z procesji i z zimowego sportu; ten sam naiwny entuzjazm dla Gdańska, Gdyni i morza”.

Tadeusz WYRWA

---

Tadeusz WYRWA (opracował)

## STARANIA GEN. JÓZEFA JAKLICZA O PRZERZUCENIE W 1942 ROKU ŻYDÓW-KOMBATANTÓW Z FRANCJI DO SZWAJCARII

Fragmenty wspomnień gen. Jaklicza ogłoszone w *Zeszytach Historycznych*<sup>1</sup> nie dotyczą okresu, gdy Generał, wówczas w stopniu pułkownika, kierował tajną „Organizacją Wojskową”,

1. *Vide*: Gen. Józef Jaklicz w *Zeszytach Historycznych* nr 82, str. 123-152.

utworzoną po kapitulacji Francji z resztek wojska polskiego. Okres ten będzie zapewne stopniowo uzupełniany i w tym też celu warto również zasygnalizować starania płk. Jaklicza o uratowanie polskich Żydów przed ich wywiezieniem na stracenie do Niemiec.

Na wstępie kilka przynajmniej słów o wymienionej „Organizacji Wojskowej”. Z początku na jej czele stał gen. Juliusz Kleeberg, a zastępcą jego był płk Jaklicz. Gen. Kleeberg, poszukiwany przez władze okupacyjne, przekazał w grudniu 1942 dowództwo płk. Jakliczowi i w kwietniu następnego roku opuścił Francję. Płk Jaklicz został z kolei odwołany przez władze polskie do Londynu w ostatniej dekadzie maja 1944, tuż przed desantem aliantów w Normandii<sup>2</sup>. Usunięcie płk. Jaklicza — z jego znajomością ludzi, terenu i organizacji — w decydującym dla Francji momencie, mogło być chyba jedynie skutkiem intryg panujących w środowisku rządu polskiego w Londynie.



W zbiorach archiwalnych Instytutu Sikorskiego w Londynie<sup>3</sup> znajduje się kopia raportu, jaki złożył płk Jaklicz gen. Kleebergowi w sprawie Żydów-kombatantów. Raport, napisany w Grenoble z datą 16 września 1942 ma trzy załączniki, z których przytaczam najważniejsze ustępy.

Pierwszy załącznik, to kopia listu płk. Jaklicza z dnia 1 września 1942 przesłanego drogą dyplomatyczną do ppłk. Ludwika Narzyńskiego, p.o. *attaché* wojskowego przy Poselstwie polskim w Bernie. W liście płk Jaklicz pisze:

„Działam w uzgodnieniu i z polecenia Gen. Kleeberga. Proszę porozumieć się z Gen. Prugar-Ketlingiem<sup>4</sup> (ewentualnie również z min. Ładosiem<sup>5</sup>) i przedstawić mu następujące zagadnienie: Rząd francuski pod naciskiem rządu niemieckiego wywozi do Niemiec polskich Żydów. Nie oszczędza również Żydów-kombatantów. Chodzi o ich przetrzucenie i ukrycie w Szwajcarii. Proszę o odpowiedź: 1. Czy gen. Prugar-Ketling godzi się na ich ukrycie w polskich obozach w Szwajcarii; 2. Jeżeli tak, o zorganizowanie odbierania ich z granicy francusko-szwajcarskiej i zajęcie się ich losem na terenie Szwajcarii”.

„Ze swej strony, w razie decyzji pozytywnej, widzę następujące rozwiązanie. My po stronie francuskiej zajmujemy się do-

---

2. Płk Jaklicz, po przejściu Pirenejów, znalazł się w więzieniu hiszpańskim; zwolniony dotarł następnie do Anglii.

3. Sygnatura: A. XII. 4/164.

4. Gen. Bronisław Prugar-Ketling, dowódca 2-giej Dywizji Strzelców Pieszych; po ciężkich walkach w czerwcu 1940 roku przekroczył granicę Szwajcarii, gdzie został wraz z dywizją internowany.

5. Minister Aleksander Ładoś, poseł RP w Bernie szwajcarskim.



starczaniem ich do miejsca przygranicznego po stronie szwajcarskiej, wskazanego przez Panów. Panowie zajmą się ich odebraniem i dalszym losem. W chwili obecnej ilościowo chodzi o 20-30 Żydów-kombatantów. Nie jest wykluczone, że liczba ich się powiększy. Sprawa jest pilna, gdyż mamy ich schowanych w lasach i utrzymanie tego stanu na dalszą metę nie będzie możliwe. Szukam osobnika, który mając możliwość legalnego przejazdu przedstawi tę sprawę Panom osobiście”.



Drugim załącznikiem jest instrukcja pisemna z 5 września, jaką płk Jaklicz przekazał do Szwajcarii przez specjalnego kuryera. Instrukcja ta uzupełniała list wysłany uprzednio do ppłk. Narzyńskiego. Punktem wyjścia, o czym płk Jaklicz przypominał w instrukcji było: „Uzyskanie zasadniczej zgody gen. Prugar-Ketlinga i min. Ładosia na przyjęcie do obozów szwajcarskich Żydów-kombatantów, przychodzących z Francji”.

Wykonanie swojego projektu płk Jaklicz opierał na następujących zasadach:

„Po stronie szwajcarskiej: a) Wyznaczenie i obsadzenie, zależnie od lokalnych warunków, 1-3 punktów przygranicznych, celem odbioru przychodzących...; b) ustalenie znaku rozpoznawczego względnie szyfru przy odbieraniu, celem uniknięcia przyjmowania „dzikich” (nie skierowanych przez nas) i prowokatorów; c) *triage* w Szwajcarii: kombatanci zasobni w gotówkę i mający swoje chody w Szwajcarii, nie mają przymusu pójścia do obozu. Należy ich jednak ująć w ewidencję”.

„Po stronie francuskiej: a) My doprowadzamy do wyznaczonego punktu przygranicznego po stronie szwajcarskiej; b) rozpoczęliśmy montaż organizacji przygranicznej na Genewę i Lausanne (Champéry). Dostosujemy się jednak do tej organizacji szwajcarskiej, która jest dla Szwajcarii wygodniejsza”.

Co do finansowania, to „doprowadzenie do punktów przygranicznych po stronie szwajcarskiej przyjmuje na siebie organizacja francuska. Organizację po stronie szwajcarskiej i odprowadzenie do obozów przyjmuje Szwajcaria”.

Płk Jaklicz nalegał na pośpiech z uwagi na szykany francuskie i „dziką ewakuację”, która, jak pisał „może utrudnić ewakuację zorganizowaną”.



Trzeci załącznik zawierał odpowiedź przywiezioną przez kuryera, prawdopodobnie przekazaną ustnie, którą płk Jaklicz zreasumował na piśmie z datą 15 września 1942. Według tej odpowiedzi, „gen. Prugar-Ketling i min. Ładoś wyrażają zasadniczą zgodę”.

Do polskich obozów wojskowych mogą być przyjęci tylko ci,

„którzy Komisji rdzennie szwajcarskiej udowodnią, iż należą do jednej z następujących kategorii: a) są jeńcami wojennymi, którzy uciekli z obozów jenieckich niemieckich; b) uciekający ze strefy okupowanej francuskiej; c) pochodzą z dzielnic włączonych do Rzeszy niemieckiej; d) są więźniami politycznymi, którzy uciekli z niemieckich obozów koncentracyjnych; e) noszący nazwiska niemieckie lub pochodzenia niemieckiego, którzy mogą być traktowani przez Niemców jako 'Volksdeutsche'”.

„Jest wykluczone stworzenie jakiegokolwiek organizacji po stronie szwajcarskiej. Zbiegowie na własną rękę muszą dotrzeć do Berna, do poselstwa polskiego... Jeżeli zbieg dotarł do poselstwa, ono zgłasza go do władz szwajcarskich. Jeżeli został złapany, żandarm przyprowadza go do poselstwa. Po przejściu przez Komisję, jeśli odpowie warunkom, zostaje wcielony do polskiego obozu”.

Min. Ładoś oświadczył nadto: „a) do władz szwajcarskich o przyjęcie regularne uciekających Żydów z Francji zwrócić się nie może; b) radzi ewakuować na Hiszpanię...; c) jeżeli zbieg dotrze do Berna i zgłosi się do poselstwa bez względu na to czy podpada pod kategorię czy nie, udzieli mu jak najdalej idącej pomocy; d) zbiegowie nie mogą podawać się za Żydów, ani posiadać nazwisk (i papierów) żydowskich. Nazwiska muszą być polskie lub ewentualnie niemieckie”.

Min. Ładoś i gen. Prugar-Ketling „zastrzegają się, że przysyłani Żydzi nie mogą uprawiać żadnej polityki”. Jeśli chodzi o finansowanie, to „do chwili dotarcia do Berna, finansowanie całkowicie oparte o organizację francuską”.



W raporcie płk. Jaklicza z dnia 16 września 1942, który był dołączony do załączników wyżej cytowanych — stanowiąc część składową raportu — i o którym była mowa na wstępie, płk Jaklicz pisał odnośnie odpowiedzi, jaką otrzymał ze Szwajcarii, że „Odpowiedź ta „położyła” praktycznie całą organizację wojskową po naszej stronie, zamknęła możliwość przeprowadzenia celowej akcji ewakuacyjnej. Pozostawiła jedynie furtkę dla indywidualnego ujęcia elementu żydowskiego i przedostania się go na własną rękę do Berna. Dalsze kierowanie przez mnie rozpoczętą organizacją przekształciłoby się, w tych warunkach, na kierowanie „małym szmugielkiem” granicznym. Porozumiałem się więc z czynnikami cywilnymi, które zgłaszającym się Żydom (zarówno kombatantom jak i cywilnym) ułatwiać będą przedostanie się do i za granicę szwajcarską, udzielając im w razie potrzeby pomocy materialnej”.

*Tadeusz WYRWA*

# LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 15 stycznia 1988.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W bardzo ciekawym jak zwykle *Zeszytach Historycznym* nr 82 (rok 1987), znalazł się błąd w tytule cennego artykułu Bohdana Tadeusza Urbanowicza. W Kampanii Wrześniowej był on d-cą III pl. w 1 Szwadronie 10 P.Ł.Lit., a nie d-cą pułku jak brzmi: „Ze wspomnień Dowódcy 10 Pułku Łanów Litewskich”.

Łączę wyrazy szacunku i pozostaję z poważaniem

Kazimierz Draczyński, ppłk  
Członek Komitetu Wydawniczego  
Historii 10 Pułku Łanów Litewskich —  
Adam Dąbrowski.



14 grudnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jak zwykle z zainteresowaniem przeczytałem najnowsze (82-gie) *Zeszyty Historyczne* i pragnąłbym dorzucić parę dodatkowych informacji.

Nota biograficzna Jerzego Łojka (str. 58), który zmarł 7 października 1986, była pisana jeszcze za jego życia (chyba w 1984), więc nie dziwnego, że nie zawiera informacji, których wówczas nie należało podawać do publicznej wiadomości. A teraz po Jego śmierci warto dodać, że poza wymienionymi w nocie pracami, które ukazały się w kraju jawnie, były inne, które wyszły poza cenzurą. Jedna z nich zasługuje na szczególną uwagę. Jest to „Agresja 17 września 1939” wydana przez „Głos” w 1979, pod pseudonimem Leopold Jerzewski (o ile mnie pamięć nie myli, był to oficer napoleoński, jeden z przodków po kądzieli Jerzego Łojka).

Warto również dodać, że ojcem Jerzego Łojka, zamordowanym w Katyniu (który zresztą został wspomniany w rozmowie wydrukowanej w 82-gim *Zeszytach Historycznym*, str. 51) był dr med. mjr Leopold Łojek, ur. w 1897.

Druga uwaga dotyczy wspomnień gen. Jaklicza, który pisze, że 7 września 1939 w Brześciu rozmawiał z ppłkiem angielskim, zastępcą gen. Carton de Wiart, szefa wojskowej misji brytyjskiej przy Naczelnym Dowództwie. Obaj ci oficerowie byli raczej nieprzeciętni, więc może warto by dodać o nich nieco informacji. Carton de Wiart, Belg z pochodzenia, bohater pierwszej wojny światowej, odznaczony najwyższym brytyjskim odznaczeniem bojowym Victoria Cross, zawodowy oficer kawalerii, wielokrotnie ranny, bez oka i bez jednej ręki, był zastępcą, a potem szefem brytyjskiej misji wojskowej w Warszawie w czasie wojny z bolszewikami. Między wojnami mieszkał na Polesiu w nabytym majątku Prostyń, jako osoba prywatna,

choć wielu uważało go za kierownika brytyjskiego wywiadu na Polskę i na Sowiety, ale chyba niesłusznie. Pod koniec sierpnia 1939 został powołany do czynnej służby i znowu mianowany szefem misji wojskowej w Warszawie. Do pomocy wysłano mu z Londynu dwóch oficerów, ppłka Colin Gubbinsa i mjr (lub kpt.) Peter Wilkinsona.

Gubbins był niewysokim, kościstym Szkotem, zawodowym oficerem artylerii, jego pełne imię i nazwisko brzmiało — Sir Colin Mc Vean Gubbins. Urodził się w Japonii w 1896, gdzie jego ojciec był w brytyjskiej służbie konsularnej. Mówił płynnie po niemiecku i po francusku, rozumiał nieco rosyjski. Był czytany, dużo podróżował i lubił dostatnie życie. To z nim rozmawiał w Brześciu Jaklicz.

Po powrocie z Polski Gubbins został szefem Special Operations Executive (SOE), która kierowała akcją podziemną w różnych krajach europejskich. Dostał się stopnia generała.

W czasie pierwszej wojny światowej spędził on dłuższy czas na froncie zachodnim, ale na szczęście uszedł cało. Po rewolucji bolszewickiej brał udział w działalności brytyjskiej w okolicy Murmańska.

Wiosną 1939 odbył dwie podróże „badawcze” (prawdopodobnie pod innym nazwiskiem i z pewnością „po cywilnemu”), jedną w dolinę Dunaju, a drugą do Polski, a potem na Litwę, Łotwę i Estonię.

W połowie lat 60-tych na publicznym zebraniu poświęconym AK w Kensington Town Hall w Londynie jednym z mówców był Sir Colin Gubbins. Z jego przemówienia zapamiętałem kilka szczegółów, które warto odnotować.

Mówił on, że do momentu wypowiedzenia wojny przez Wielką Brytanię, czyli do niedzieli 3 września 1939, podróżował wraz ze swoim adiutantem Wilkinsonem w cywilnych ubraniach, mając mundury w walizkach. Tak zdołali dotrzeć do Lublina. Po ogłoszeniu wypowiedzenia wojny przez Anglię i Francję przed hotelem zebrał się tłum, który wiatował na cześć Wielkiej Brytanii, szczególnie kiedy Gubbins wyszedł w mundurze na balkon hotelowy. Podziwiał wówczas entuzjazm Polaków, a z drugiej strony czuł się skrepowany, bo wiedział, że Wielka Brytania nie jest w stanie przyjąć Polsce z pomocą.

O ile pamiętam, Gubbins już nie zdążył dojechać do Warszawy, bo Niemcy go wyprzedzili. Zresztą zgadza się to ze wspomnieniami Jaklicza, który pisze, że już 7 września czyli w cztery dni później w Brześciu nad Bugiem rozmawiał z Gubbinssem.

W dalszym ciągu swego przemówienia w Kensington Town Hall Gubbins podkreślał, że pierwszym i zasadniczym celem powstania SOE była współpraca z polskim podziemiem. Dopiero potem rozwinięto akcję na inne kraje europejskie — Francja, Holandia, Jugosławia, Grecja, Włochy itd.

Należy jednak zaznaczyć, że o ile chodzi o Polskę, SOE nie angażowało się bezpośrednio i działało poprzez polską organizację, z wyjątkiem lotnictwa brytyjskiego, którego załogi brały udział w lotach nad Polskę. Natomiast we wszystkich innych krajach europejskich SOE interweniowało bezpośrednio w organizacje podziemne, nieraz z fatalnym skutkiem, jak np. w Holandii.

Polacy też mieli niezwykle jak na stan wojenny przywileje w dziedzinie korespondencji radiowej. Mianowicie polska sieć radiowa była w poważnym stopniu niezależna (z wyjątkiem przydziału kanałów korespondencyjnych, czyli częstotliwości), szyfry, przynajmniej formalnie, nie były znane wła-

dzom brytyjskim. Natomiast sieci radiowe innych konspiracji podziemnych były pod ścisłą kontrolą i szyfry w nich używane były znane SOE.

Te szczególne polskie przywileje wynikały w pierwszym rzędzie z faktu, że polski wywiad udostępnił Brytyjczykom dane o Enigmie (niemieckie maszyny szyfrowe), jak również z wartości wiadomości wywiadowczych dostarczanych przez polski wywiad już w czasie wojny, szczególnie z terenów wschodniej Europy, gdzie brytyjski wywiad był słabo zorganizowany.

Wreszcie ostatnia uwaga do 82-gich *Zeszytów Historycznych*. Szkoda, że pani Krystyna Kersten nie natrafiła na moje omówienie jednej z książek Korbońskiego w 34-tych *Zeszytach Historycznych*.

Pozostaję z szacunkiem

Z. S. SIEMASZKO

P.S. Wiadomości o Carton de Wiart i Colin Gubbinsie zostały zaczerpnięte głównie z następujących książek:

— Sir Adrian Carton de Wiart, *Happy Odyssey*, Pan Books Ltd., London 1955, oraz

— M. R. D. Foot, *SOE — The Special Operations Executive 1940-1946*, BBC, London 1982.



Sydney, 26 grudnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z opracowaniem T. Wyrwy (*Zeszyty Historyczne* nr 81, str. 190) o postawie Francuzów wobec ewakuacji wojska polskiego do Anglii w czerwcu 1940 roku wspomnę, że chyba niewiele lepiej działo się w przemyśle wojennym, gdzie pracowali wówczas polscy fachowcy, wyreklamowani z wojska.

Kiedy zgłosiłem się z Węgier w styczniu 1940 w „Bessierze”, dostałem tam piękną „*bon pour service armée*” mimo mej mizernej uprzednio kategorii „D”. Nie mniej, zapewne z uwagi na moją uprzednią pracę w Polsce w przemyśle również na potrzeby armii — szybko wysłano mnie nasamprzód do Etablissement de construction de Chatillon pod Paryżem i dalej do zupełnie nowej fabryki amunicji lotniczej w Irigny pod Lyonem. Tam miałem po opieką sporą grupę doskonałych polskich rzemieślników, metalowców z przemysłu francuskiego i polskiego oraz inżynierów z Polski. Spośród nich pamiętam młodych: małego wesołego inżyniera Jaworskiego, wielkiego kościstego Brylińskiego i nieco starszego Batkowskiego — trochę jak Longinus, ale za wielkimi okularami. Wszyscy wydobyli z wojska, aby zwiększyć produkcję amunicji.

Ogromna hala była zastawiona, jak wojskiem, szeregiem nowiuteńkich, świeżo zmontowanych, wieloperacyjnych automatycznych obrabiarek Gridley'a, Brown-Sharp'a itd. *wprost ze skrzyń ze Szwajcarii*.

Nasi technicy-ustawiacze uruchamiali piękny, lśniący oliwą sprzęt, ciesząc się trochę jak dzieci.

Francuzi spokojni, kiedy nadchodziła przerwa południowa zwyczajnie wydobywali z szafek tegie butle wina.

Wraz z moją polską grupą podlegałem szefowi całego zakładu, generałowi Gressier. Oficer jeszcze z ubiegłej wojny, postawny, wysoki, siwy z pięknym siwym wąsem.

Kiedy z nadchodzącymi z północy ponurymi wieściami o pękającym froncie zameldowałem się u generała, pytając o dalsze zamierzenia i zaznacza-

jąc, że nie mogę dopuścić, aby cenną grupę polskich techników ogarnęli Niemcy — generał z przekonywującą godnością zapewnił mnie, że nie ma powodu do niepokoju, że o wszystkim pamięta, że przecież Francuzi i Polacy od tak wielu lat..., że walczymy razem do końca.

Jest zresztą znamienne, że na moją próbę powrotu do wojska, jeszcze 5 czerwca 1940 dostałem z naszego szefostwa w Quimperle (Finistère!!) odmowę, motywowaną tym, że zmiany są niepożądane, że przewiduje się użycie mnie nadal w przemyśle i że mam pilnować powierzonych mi ludzi.

W niewiele dni po mej rozmowie z generałem, kiedy całą naszą polską gromadą (mieszkaliśmy w Lyonie) w paskudny dżdżysty ranek stanęliśmy przed fabryką, zastaliśmy wrota i kraty zamknięte, ani żywej duszy, a na bramie karteczkę z informacją, że fabrykę ewakuowano do Tuluzy.

Szosa już walił na południe wezbrany, bezładny potok uchodźców, tym razem francuskich.

Naturalnie żadnej fabryki tam nie było, bo została piękna i nowa w Irigny.

Łączę wyrazy szacunku

E. J. TOMASZEWSKI

◆  
Yale University, 29 grudnia 1987.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W roku 1987 Librairie du Regard wydała we Francji książkę pt. *La République tchécoslovaque 1918-1948: une expérience de démocratie*, będącą tłumaczeniem pracy zbiorowej pod redakcją Victora S. Mamateya i Radomira Luży, *A History of the Czechoslovak Republic 1918-1948* (Princeton University Press, Princeton, 1973). W tłumaczeniu francuskim mój rozdział dotyczący polityki zagranicznej Edwarda Beneša uległ poważnym zmianom w przypisach, których część usunięto, a inne skrócono. Ponieważ zmian tych dokonano bez mojej wiedzy i zgody, oświadczam, iż jedynym tekstem, za który przyjmuję pełną odpowiedzialność, jest oryginalny tekst angielski.

Łączę najlepsze wyrazy

Piotr WANDYCZ

◆  
Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 80-tym *Zeszytów Historycznych* (Paryż 1987) został opublikowany list do Redakcji Józefa Świdy, zatytułowany „Odpowiedź na artykuł R. Korab-Zebryka pt. 'Jak było naprawdę?'”, zamieszczony w prasie krajowej.

Z ubolewaniem stwierdzam, iż tytuł tego listu stanowi jaskrawe nieporozumienie. W treści listu J. Świdy nie ma żadnej odpowiedzi na mój artykuł i być zresztą nie może, ponieważ mój artykuł nie dotyczył bynajmniej Józefa Świdy, lecz był wystąpieniem w obronie komendanta Okręgu Wileńskiego AK Aleksandra Krzyżanowskiego, pseudonim „Wilk”, przed oszczerczą napaścią reżimowego dziennikarza Jacka Wilamowskiego. Artykuł mój ukazał się 22 lutego br. w warszawskim piśmie *Przegląd Tygodniowy* nr 8 i stał się jednym z materiałów dowodowych w procesie wytoczonym Jackowi

Wilamowskiemu przez grupę oburzonych akowców wileńskich. W procesie tym występowałem jako świadek oskarżenia.

Kategorycznie proszę nie zaliczać mnie do kręgu Jacka Wilamowskiego, gdyż wyrządza mi to krzywdę moralną. Dla czytelników krajowych różnica między nami jest oczywista, natomiast Czytelnicy poczytnych *Zeszytów Historycznych* mogą być wprowadzeni w błąd.

Józef Świda powołuje się na książkę „Droga do Ostrej Bramy”. Jej autor, śp. Jan Erdman, był moim przyjacielem, o czym świadczy m.in. gruby plik wymienionej z Nim korespondencji. Do napisania swojej książki wykorzystał dużą część mojej rozprawy doktorskiej, którą Mu udostępniłem i co zaznaczył w kilkudziesięciu przypisach, wypowiadając się zresztą nader pochlebnie o mojej rozprawie (na str. 314 i nast.).

*Caeterum censeo, extra Vilnam non est vita!*

Z Warszawy nadeszła wiadomość o zakończeniu w dniu 9 listopada 1987 roku procesu o zniesławienie przeciwko dziennikarzowi Jackowi Wilamowskiemu. Powód (grupa żołnierzy AK) wyraził zgodę na zakończenie procesu pod warunkiem zamieszczenia w zainteresowanej prasie stosownego przeproszenia, wpłacenia 1.000 zł na Fundusz Budowy Pomnika Orła Białego i pokrycia kosztów sądowych w wysokości ponad 17.000 zł. Tekst przeproszenia ma następujące brzmienie:

„PRZEPRASZAM ŻOŁNIERZY AK. W związku z moimi artykułami „Druga odsłona” (*Przegląd Tygodniowy* nr 1 z 1987 r.) i „Misja Christiansena” (*Express Wieczorny — Kulisy* nr 46 z 1987 r.), w których przy niepełnej dokumentacji wydarzeń pomówieniem o współpracę z Niemcami płk. Aleksandra Krzyżanowskiego pseud. „Wilk”, komendanta wileńskiego okręgu Armii Krajowej i kpt. Gracjana Fróga pseud. „Szczerbiec”, dowódcę III partyzanckiej brygady AK oraz żołnierzy tej brygady, niniejszym przepraszam wymienionych i ich krewnych za wyrządzone krzywdy moralne. Deklaruję również wpłatę na fundusz Pomnika Orła Białego w Gdyni kwoty w wysokości jednego tysiąca złotych. — Dr Jacek Wilamowski, Warszawa”.

Przeprosiny ukazały się w *Przeglądzie Tygodniowym* nr 50 z 1987 r. i w *Expressie Wieczornym — Kulisach* nr 237 z 1987 r.

Dr Roman KORAB-ŻEBRYK

---

## S P O S T O W A N I E

Do numeru 82-go *Zeszytów Historycznych* wkraść się nieprzyjemny błąd. Mianowicie w tekście wykładu Józefa Rybickiego pt. „Rok 1945” na str. 21, w trzecim wierszu od góry, wydrukowano: „siły Armii Ludowej w 1944 roku liczyły 10 brygad partyzanckich, 27 samodzielnych oddziałów, 11 grup bojowych — łącznie około 516 tys. osób” — naturalnie nie 516 tys. ale 5-6 tys. osób. Po prostu zamiast kreski między 5 a 6 wkraść się cyfra 1.

REDAKCJA

## SPIS TREŚCI

Michał Heller: <i>Kamienie milowe 70-letniej historii Związku Sowieckiego</i> .....	3
<i>Droga przez mgłę. Z prof. Marią Turlejską rozmawia R. Socha</i> .....	74

## WSPOMNIENIA

Adina Blady-Szwaiger: <i>Szpital w getcie (1939-1943)</i> ..	83
<i>Po aryjskiej stronie</i> .....	119
Andrzej Suchcitz: <i>Dziennik mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego z sierpnia 1944 roku (Lotnicze wsparcie Powstania Warszawskiego)</i> .....	148

## POLEMIKI O PREHISTORII

Zbigniew Gołąb: <i>List otwarty w sprawie artykułu J. P. Horzelskiego „Przygodne uwagi o mowie. O Wandach, Krakach i Lachach” (Kultura nr 7-8/1987)</i> .....	178
Jerzy P. Horzelski: <i>Odpowiedź na list otwarty Z. Gołąba</i>	181

## DOKUMENTY

<i>Jak montowano Rząd Jedności Narodowej w Moskwie w 1945 roku</i> .....	185
<i>Relacja Antoniego Kołodzieja nagrana w ZHP w dn. 15. IX. 1961</i> .....	186



Uzupełnienie relacji Antoniego Kołodzieja nagrane w CA KC PZPR 29. X. 1974 r. ....	208
Relacja Stanisława Szwalbego nagrana w CA KC PZPR 29. X. 1974 .....	211
Rozmowa prezesa Stanisława Mikołajczyka z generałem Wł. Andersem w dniu 24. II. 1945 r. ....	217
Rozmowa z Mikołajczykiem (sprawozdanie generała Andersa) .....	219
Dokumenty z Public Record Office .....	221

## OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa (opr.): <i>Francuzi o Stanisławie Kocie, ambasadorze PRL w Rzymie</i> .....	226
Tadeusz Wyrwa (opr.): <i>Starania gen. Józefa Jaklicza o przetrzymanie w 1942 roku Żydów-kombatantów z Francji do Szwajcarii</i> .....	229

## LISTY DO REDAKCJI

K. Draczyński: <i>Sprostowanie tytułu w artykule B. T. Urbanowicza (Zeszyty Historyczne nr 82)</i> .....	233
Z. S. Siemaszko: <i>Uzupełnienie noty biograficznej Jerzego Łojka oraz wspomnień gen. Józefa Jaklicza (Zeszyty Historyczne nr 82)</i> .....	233
E. J. Tomaszewski: <i>Uwagi na marginesie artykułu T. Wyrwy „Generał Sosnkowski o postawie Francuzów wobec ewakuacji wojska polskiego do Anglii w czerwcu 1940 roku” (Zeszyty Historyczne nr 81)</i> .....	235
P. Wandycz: <i>Oświadczenie nt. francuskiego tłumaczenia rozdziału pióra P. Wandycza o polityce zagranicznej E. Benesa w książce „La République tchécoslovaque 1918-1948: une expérience de démocratie”</i> .....	236
Dr R. Korab-Zebryk: <i>Informacja o wyroku w sprawie o zniestawienie, jaką grupa żołnierzy AK wytoczyła Jackowi Wilamowskiemu</i> .....	236



Redakcja: <i>Sprostowanie</i> .....	237
	239

**ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 26 FEVRIER 1988  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>).**

**Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1988.**

**N° d'imprimeur 8676.**

Dar  
Instytut Polski  
w Sztokholmie

